

Anna H. Niemczynow

BLUSZCZ

Mamy w sobie siłę, której przeszkadza
jedynie nasz brak wiary.
Nikt nie musi być „bluszczem”.
Fantastyczna historia!
Polecam z całego serca.
Agnieszka Lis



VIDEOGRAF

Anna H. Niemczynow

BLUSZCZ

VIDEOGRAF

Redakcja **Anna Seweryn** Projekt okładki *Pracownia WV*

Fotografia na okładce © *Dudarev Mikhail* | Shutterstock Redakcja techniczna, skład i łamanie

Damian Walasek Opracowanie wersji elektronicznej **Grzegorz Bocięk** Korekta *Urszula*

Bańcerk Wydanie I, Chorzów 2018

Wydawca: Wydawnictwa Videograf SA 41-500 Chorzów, Aleja Harcerska 3c tel. 600 472 609

office@videograf.pl

www.videograf.pl

Dystrybucja wersji drukowanej: DICTUM Sp. z o.o.

01-942 Warszawa, ul. Kabaretowa 21

tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12

dystrybucja@dictum.pl

www.dictum.pl

© Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2018

tekst © Anna Harłukowicz-Niemczynow **ISBN 978-83-7835-687-5**

*Że nie dałaś mi, mamo, zielonookich snów – nie żałuję.
Że nie znałam klejnotów ni koronkowych słów – nie żałuję.
Że nie mówiłaś mi jak szczęście kraść spod lady i nie uczyłaś mnie życiowej
maskarady, pieśczoły szarej tych umęczonych dni nie żal mi, nie żal mi.
Nie, nie żałuję, przeciwnie – bardzo ci dziękuję, kochana, żeś mi odejść pozwoliła po
to, bym żyła tak, jak żyłam...
Agnieszka Osiecka*

*Mamo, dziękuję, dziękuję, dziękuję za dar życia.
Codziennie staram się czynić je lepszym Ania*

Prolog

Odkąd pamiętam, zawsze czegoś pragnęłam, zawsze o czymś marzyłam. Chciałam zrobić coś lepiej, dokładniej, mądrzej, bardziej... Rozwijałam się na wszelkich możliwych płaszczyznach. Grałam na pianinie, śpiewałam, trenowałam karate, tańczyłam (a raczej wyginałam się w jakiś niezidentyfikowany przez nikogo sposób), malowałam na szkle, haftowałam, hodowałam kwiaty doniczkowe i robiłam wiele innych, nikomu do niczego niepotrzebnych rzeczy. Nie byłam pewna, czym tak naprawdę powinnam się zająć, dlatego często sugerowałam się opiniami innych. Czerpałam pełnymi garściami z ich „nieograniczonych” pokładów posiadanej „wiedzy”, święcie wierząc, że udzielane przez nich rady są dla mnie jedynymi i słusznymi. Nie podejrzewałam, że byłam w błędzie. Zrozumiałam to dopiero później, znacznie później...

Moja mama zawsze mi powtarzała, że powinnam nauczyć się jakiegoś obcego języka. Zaprowadziła mnie na lekcje angielskiego oraz niemieckiego. Nie wiem dlaczego, ale angielski od początku mi nie leżał. Owszem, lubiłam słuchać piosenek w tym języku, ale żeby od razu się go uczyć? To nie było dla mnie, ale nie chciałam rozczarować mamy. Kto wie, może gdyby nauczał go jakiś przystojny anglista, miałabym większą motywację. Lektorce Wandzie daleko było jednak do jakiegokolwiek piękna. Zgorzkniała, zmęczona życiem kobieta, nie przejmowała się wcale, iż z każdym tygodniem na jej lekcje przychodzi coraz to mniej osób. Wreszcie i ja zrezygnowałam. Mama nie miała pretensji i nieco obniżyła swoje oczekiwania względem mnie, mówiąc, że wystarczy, abym ten cały angielski poznała chociaż w stopniu komunikatywnym. Dziś umiem poprosić o herbatę, kawę, na poczcie i w banku również sobie poradzę, lecz kochać tego języka nie będę nigdy. Natomiast niemiecki... hm...

Z pierwszej lekcji pamiętam tylko tyle, że on był wysoki i pachniał mieszanką piżma oraz wanilii. Zdecydowanie wywoływał we mnie pożądanie. Może dlatego nie potrafiłam się skupić na tych wszystkich *der, die, das*? Nie wiem... To nie było wcale istotne. Istotne było to, że spotykaliśmy się co tydzień. Tak więc to niemiecki najpierw polubił mnie, a potem ja niemiecki.

Miałam wtedy czternaście lat. Michał miał lat dziewiętnaście. Pięcioletnia różnica wieku jest żadną różnicą, jeśli mamy przed sobą osiemnastolatkę i dwudziestotrzylatkę. Niestety wtedy ta różnica była nie do przeskoczenia. Chodziłam przecież do podstawówki, a on był już studentem pierwszego roku germanistyki. Dorabiał jako nauczyciel. Radził sobie na tyle dobrze, że konieczne było utworzenie drugiej grupy. Jakimś dziwnym trafem miał więcej uczennic niż uczniów. Dlaczego? Mogę się tylko domyślać.

Za każdym razem, gdy wchodziłam do sali, wdychałam ten zapach. Michał uśmiechał się, mówiąc to swoje „dzień dobry”, które brzmiało dla mnie bardzo seksownie. Dziś porównałabym to do zwrotu „rozbierz się, wezmę cię tu i teraz”. Siedziałam w pierwszej ławce, rozmarzona, gryząc z zachwytem swój pomarańczowy długopis. Marzyłam o pocałunku z nim. Chyba każda z nas o tym marzyła. Czternaście lat to ten wiek, kiedy się myśli o czymś, o czym myśleć nam zakazują.

Po każdej lekcji podchodziłam do Michała pod pretekstem wyjaśnienia czegokolwiek. Zawsze miałam jakieś niecierpiące zwłoki pytanie, które musiałam zadać przed opuszczeniem sali. Jak nie miałam o co pytać, to pytałam o to, czy nie wie przypadkiem, jaka jutro będzie pogoda. Śmiał się wtedy tak dźwięcznie, że nie rozumiałam nic z udzielanej przez niego odpowiedzi. Jak zahipnotyzowana wsłuchiwałam się w ten jego śmiech. Grał mi potem w uszach przez całe popołudnie, cały wieczór, aż do kolejnej lekcji. Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Chyba byłam zakochana, a może wtedy był to tylko nieokreślony pociąg seksualny? Nie wiem. Gdybym wtedy wiedziała, że przyjdzie mi się wyprzeć wszystkiego, co czuję, stanęłabym na straży swoich uczuć, chociażby naga. Starałabym się bronić tego, co się we mnie rozwijało. Nie pozwoliłabym na zniszczenie czegoś, co miało szansę pięknie zaistnieć dużo, dużo szybciej. Dzisiaj łatwo by było zrzucić winę na wszystkich udzielających mi wtedy „dobrych rad”, lecz tak naprawdę winę za wszystko, na co w swoim życiu pozwoliłam bądź czego zabroniłam, ponoszę ja i nikt inny.

Dziś już wiem, że szczęścia nie należy odkładać na potem. Dziś wiem, że szczęście jest kwestią wyboru, którego dokonałam może trochę zbyt późno. Ale jak to mówią, lepiej późno niż wcale. Tego się trzymam. Dziś jestem szczęśliwa i mimo wszystko wdzięczna, że niestrudzenie brodziłam w kałużach łez w poszukiwaniu szczęścia. W końcu je odnalazłam. W końcu sobie na nie pozwoliłam.

„Kobieto, puchu marny, ty wietrzna istoto” – NIGDY NIE JESTEŚ SAMA. Nie wstydz się. Możesz wszystko w Tym, który cię umacnia. Bądź Mu wierna wbrew temu, co o Nim mówią. On chce dla ciebie dobrze. Wyciągnij ku Niemu swoją dłoń i pozwól się prowadzić.

Część pierwsza

*W ręku Jego i my, i nasze słowa,
roztropność wszelka i umiejętność działania.*

Biblia Tysiąclecia, Mdr 7,16

1. Torba typu „jamnik”

Jak to możliwe, że przez prawie dwadzieścia lat małżeństwa nie dorobiła się nawet walizki? Kiedy wyjeżdżali na wakacje, zawsze pakowała się w torbę typu „jamnik”. Skrupulatnie wyprasowane ubrania po wyciągnięciu z takiej torby wyglądały jak wyjęte psu z gardła. Cóż miała jednak robić, skoro Gerard zakazywał pakowania do walizki, ponieważ ta zajmowała zbyt wiele miejsca w bagażniku ich wiekowego citroena.

– Po co ci tyle ubrań? Kto to widział? Nie mogę zrozumieć, po co nam tyle maneli na wakacje – powtarzał za każdym razem, okraszając swe wątpliwości zamaszystym wymachem obydwu rąk. Naprawdę był multifunkcyjny. Potrafił jednocześnie gestykulować, wyrażać swoje poglądy i palić papierosa.

Nic mu nigdy nie odpowiadała, bo po co wszczynać nieprowadzące do niczego rozmowy. Komunikacja w ich wykonaniu wyglądała tak, że Gerard mówił to, o czym myślał, a Julita to, o czym myślała, zostawiała dla siebie. Po co tłumaczyć po raz dziesiąty, że w torbie znajdują się rzeczy nie tylko jej, ale też dwójki ich dzieci. Do tego trzeba gdzieś zapakować rzeczy psa. Potrzebny im był ten pies, jak dziura w moście. Ale Gerard na niego nalegał, więc Banuś, gigantycznych rozmiarów owczarek niemiecki, zajmował zdecydowanie więcej miejsca w samochodzie, niż zajęłaby walizka Julity. Sama Julita Snarska nigdy nie wpadłaby na pomysł, aby się żalić. Gdyby tylko zaczęła, zaraz usłyszałyby, że źle wychowała dzieci (bo same nie umieją się spakować) i źle wychowała psa (bo za często chciał mu się siku), a mógłby przecież „usprawnić pojemność pęcherza”, gdyby tylko poświęciła mu więcej uwagi. Wolała więc przemilczeć wszystko, jednym uchem wpuszczając paplaninę Gerarda, a drugim wypuszczając ją na zewnątrz. Wiedziała, że gdy tylko wyciągnie kamień, runie na nią lawina „potrzebnych” rad męża, jak to niby powinna postępować, by łatwiej jej się żyło.

Tak po prawdzie, to Gerard miał trochę racji. Dzieci były już prawie dorosłe, powinny się spakować same. Marcin miał już dziewiętnaście lat i aż dziw, że chciał jeszcze z nimi gdziekolwiek jechać. Julitę trochę martwiło, że syn nie ma i nigdy nie miał żadnej dziewczyny. Pocieszała się, że przynajmniej dostał się na polonistykę. Marzył o zawodzie nauczyciela. Doskonale się uczył, co roku przynosił świadectwa z biało-czerwonym paskiem, na które Gerard nie chciał nawet spojrzeć. Zbyt zajęty był obstawianiem numerów totolotka. Poza tym nie pochwalał wyborów syna. Kamila była od Marcina młodsza o dwa lata. Uczęszczała do liceum plastycznego. Julita zazdrościła jej artystycznego luzu i tego, że córka na wszystko miała czas. Dla niej samej czas był produktem deficytowym.

– Mamuś, po co się spieszyć?! Długość życia zapisana jest w gwiazdach. Nie

mamy wpływu na przeznaczenie. Usiądź i odpocznij – mawiała.

– Jak mam odpocząć? Wszystko na mojej głowie. Przecież jutro wyjeżdżamy, a ja mam jeszcze tyle do zrobienia... Na cmentarz chciałam jeszcze pójść, ale chyba się nie wyrobię. Przecież kanapek trzeba narobić. Ela dzwoniła, miałam ją odwiedzić, no ale kiedy? – westchnęła zrezygnowana.

– To idź na ten cmentarz i odwiedź Elę po drodze. Po co nas pakowałeś? Przecież mogliśmy sami – odpowiedziała córka.

– Jak to po co? Gdybym was nie spakowała, to połowy rzeczy byście nie zabrali.

– No i...?

– No i nie miałabyś w czym chodzić.

– No i...?

– Co no i, co no i...?! Nie miałabyś w czym chodzić. To niewystarczający powód?

– Szczerze?

– Nie jestem pewna, czy chcę słuchać twoich rad. Wystarczą mi rady twojego ojca.

– Mamusiu, mimo wszystko ci powiem, co o tym myślę.

Julita przewróciła oczami, planując w myślach kolejne działania.

– Przesadzasz! Uważasz, że świat przestanie się kręcić, jak nie spakujesz nam ubrań? Cóż się takiego stanie, jak nie zrobisz kanapek na drogę? Co się stanie, jak raz zjemy na obiad wczorajszą zupę i co się stanie, jak na przykład zostawisz na tydzień psa z babcią Kostkową? Odpoczniesz od niego i będziesz miała w aucie miejsce na własną walizkę. Uważam, że powinnaś ją sobie wreszcie kupić. Co roku mi mówisz, że masz dość wymiętych ubrań. Dlaczego nie zrobisz czegoś dla siebie?

– Córcia, czy ty siebie słyszysz? Myślisz, że twój ojciec pozwoli, aby Banuś został na tydzień z sąsiadką? – Julita siedziała okrakiem na podróźnej torbie, usiłując zapiąć jej zamek.

Córka spojrzała na matkę i podrapała się po głowie. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, lecz tylko westchnęła.

– Sama widzisz. Póki żyje Banuś, o normalnej walizce mogę zapomnieć. Przecież nie uśmiercę psa. To niehumanitarne. Może i mnie trochę denerwuje ten ojca sierściuch, ale w gruncie rzeczy lubię psy. Nawet takie jak Bany.

– To przynajmniej zrób coś dla siebie. Idź do Eli i na cmentarz, a ja już zrobię te kanapki. Chociaż uważam, że korony z głów nikomu by nie spadły, gdybyśmy raz zjedli w McDonalddie.

Oczy Julity otworzyły się ze zdziwienia.

– W McDonalddie? Nigdy w życiu! Ojca rozboli żołądek.

– To niech sam coś przygotuje do jedzenia. Kiedy ostatnio coś dla ciebie zrobił?

Kiedy ostatnio ty zrobiłaś coś dla siebie?

Julita wstała, wyraźnie zadowolona z dopiętej do ostatniego centymetra „jamnikowej” torby.

– Widzisz? Jak się dobrze uklepie, to wszystko się zmieści – stwierdziła triumfalnie.

Przyglądała się swojemu dziełu, wyraźnie z siebie zadowolona.

– Mamo, pytanie ci zadałam... Nie zmieniaj tematu.

– Marudna jesteś, kochanie. Jak to kiedy ostatnio coś dla siebie robiłam?

Codziennie coś dla siebie robię. Każdego dnia. Przecież wiesz.

– OK, to wymień jedną rzecz.

– Żaden problem, mogę nawet kilka. – Uśmiechnęła się.

– Nie ma takiej potrzeby, wymień jedną. Co ostatnio dla siebie zrobiłaś? Dawaj.

Kiedy przyszło co do czego, Julicie trudno było znaleźć odpowiedź. Po chwili namysłu rzekła:

– Odkurzałam dzisiaj, a potem siedziałam sobie i podziwiałam, jak jest czysto. Lubię czyste przestrzenie. Co ja na to poradzę? Po prostu lubię. Więc odkurzałam sobie dziś rano. Sprawia mi przyjemność patrzeć, jak brudna podłoga nagle staje się czysta i pozbawiona sierści Banego. Ludzie są różni. Ja jestem akurat taka.

Kamila nie wierzyła własnym uszom. Szczeka opadła jej ze zdziwienia. Zorientowawszy się, iż wystawia na widok publiczny swoje odrutowane aparatem ortodontycznym uzębienie, zamknęła usta i przełknęła ślinę.

– Nic nie mów – burknęła Julita. – Każdy robi to, co lubi!

Zarzuciła na siebie starą dzinsową katanę. Guziki nie dopinały się na klatce piersiowej, chyba znowu ostatnio przytyła. Wiele kobiet dałoby się pociąć za obfity biust, którego była posiadaczką. Zerknęła w lusterko. „Nie jest tak źle, mogłabym być jeszcze grubsza. Dziesięć kilo nadwagi to nie to samo, co dwadzieścia. Trzeba szukać pozytywów” – pomyślała. Nie czuła się dobrze z myślą, że do zrobienia kanapek na drogę oddelegowała Kamilę. Chociaż trzeba było przyznać, że z wielką przyjemnością zapakowała do torby kilka zniczy i ruszyła na cmentarz.

Swoją nieżyjącą od ponad dziesięciu lat matkę odwiedzała minimum raz w tygodniu. Siadała na ustawionej obok pomnika ławeczce i zwracała się w myślach ze swoich bolączek. Podczas tych niesłyszalnych dla nikogo rozmów uroniła niejedną łzę. Była z matką bardzo związana. Nawet śmierć nie rozerwała łączącej kobiety nici porozumienia. Przychodziła na cmentarz wtedy, gdy się cieszyła z sukcesów dzieci, gdy coś szło nie tak i gdy chciała wyzalić się na Gerarda. Wiele, wiele lat temu matka odradzała jej małżeństwo z nim. Nie posłuchała jej, więc teraz nie miała prawa

narzekać. Nie miała prawa, lecz czasami to czyniła. Po cichu, w myślach, tak aby nikt nie słyszał. Tylko mama. Przypominała sobie, jak to było, gdy była dzieckiem. Siadała na jej kolanach i przytulała się tak mocno, jakby chciała zapamiętać zapach matczynej miłości na zawsze. Teraz, siedząc na cementarnej ławeczce, mogłaby przysiąc, że ów zapach unosił się dookoła. „Spotkania” z matką dawały jej ukojenie. Oddałaby wiele, by móc znowu napić się z nią kawy i po prostu być blisko niej.

Rozmyślała o tym, że nie ma wcale ochoty na te wspólne wakacje. Co to za wakacje, kiedy jedzie się do czyjegoś domu. Człowiek nigdy nie wypocznie, gdy musi się zastanawiać, czy przypadkiem nie bierze za długo prysznic. Nie cieszyła się na ten wyjazd. Wręcz przeciwnie, przysparzał jej on tylko zmartwień. Czuła, że coś wisi w powietrzu, nie wiedziała tylko, co to takiego. Przez następne dwa tygodnie zmuszona będzie znosić dym papierosowy unoszący się znad kart, w które zacięcie grał będzie Gerard ze swoim bratem Grzegorzem.

Każde wakacje rodziny Snarskich wyglądały tak samo. Kiedy tylko kończył się rok szkolny, Julita pakowała dzieci i wyjeżdżali na dwa tygodnie na wieś. Odwiedziny brata Gerarda były stałym punktem ich letnich atrakcji. Nie było mowy o jakichkolwiek innych planach. Rozmyślenia o wyjeździe nad morze utkwily w szufladzie marzeń, zwanej „Morze? Może kiedyś”. Dzięki Bogu Ela robiła dużo zdjęć ze swoich samotnych wypraw. Podziwiająca je Julita mogła więc wyobrazić sobie siebie, rozłożoną na leżaku i czytającą wciągającą książkę.

Pochłonięta rozmyślaniami nie zauważyła, kiedy znalazła się przed domem przyjaciółki.

– Kogo to moje oczy widzą! – ucieszyła się Ela na jej widok. – Myślałam, że jajca gotujesz i pakujesz kabanosy na drogę.

– Cześć, Ela.

– No, cześć, cześć. A coś ty taka zrezygnowana? Nie cieszysz się z wakacji na wsi?

– Daj spokój...

– Co daj spokój? Trochę optymizmu, kobieto. Niejedna fitnesska marzy o takim obozie przetrwania. Nie ma to jak codziennie dmuchać materac z myślą, że w nocy i tak zejdzie z niego powietrze. Rano budzisz się wypoczęta i zrelaksowana, jak po masażu tajskim. Potem w kolejce do łazienki poćwiczysz mięśnie Kegla, będziesz miała lepsze orgazmy. O ile jeszcze pamiętasz, co to takiego? Żyć, nie umierać!

– O orgazmach to ty się lepiej nie wypowiadaj, obie wiemy, że...

– Dobra, już dobra. Po co te nerwy, kobieto?!

Julita naląła sobie wiśniowej nalewki i wypila ją jednym haustem. Zerknęła spoode łba na żartującą przyjaciółkę, zaczerpnęła powietrza, tak jakby chciała coś

powiedzieć, ale zrezygnowała i nalała sobie jeszcze jeden kieliszek, który tym razem dla odmiany zamierzała leniwie sączyć.

– Dobrze, że jestem gruba, to przynajmniej ta zimna podłoga nie będzie mnie tak uwierać.

– No widzisz, jak wypijaś, to od razu gadasz jak człowiek. Trzeba widzieć pozytywy, Juli. Zawsze może być gorzej.

Ela, chcąc towarzyszyć przyjaciółce, nalała sobie nalewki do szklanki. Czyniła to niezwykle rzadko i raczej w chwilach, kiedy nikt nie widział. Prowadząc zdrowy styl życia, nie była sojuszniczką alkoholu, ale od czasu do czasu ulegała pokusie.

– Nie przesadzasz z tą szklanką? – zapytała Julita. – Ostatnio mówiłaś, że nie pijesz. Ci twoi jogini nie piją, alkohol to zła energia.

– Zmieniłam zdanie. Piję, ale okazjonalnie, dlatego nalałam sobie do szklanki. Po co się rozdrabniać. Lepiej się napiję raz, a porządnie, a potem wrócę na właściwe tory, pomedytuję.

Julita pomyślała, że może i jej taka medytacja by pomogła, ale chwilę później uświadomiła sobie, że nie ma przecież czasu na takie pierdoły. Poza tym nie do końca wierzyła w przydatność tego typu poczynań.

– Nie lubię alkoholu. Nigdy nie lubiłam. Ale Gerard lubi, więc nie chcę wyglądać przy nim na dziwaczkę – powiedziała, zrezygnowana.

– Gerard, Gerard. Ciągle Gerard – westchnęła Ela.

Julita spuściła głowę, udając, że tego nie słyszy.

– Juli, co jest? Coś ty taka osowiała? Byłaś na cmentarzu, powiedzieć mamie o swojej jamnicznej torbie?

– Skąd wiesz?

– Proszę cię. Nietrudno się domyślić, że nie kupiłaś sobie walizki. Co roku to samo. Oczywiście sama siebie przekonałaś, że nie jest ci wcale potrzebna, prawda? Tylko nie kłam. Nie od dziś się znamy, Juli.

– Przecież wiesz, że to teraz niemożliwe. Kiedyś na pewno sobie kupię, trzeba mieć marzenia, choćby takie prozaiczne. Kto wie, może nawet w następne wakacje się spełnią? Słuchaj, a może ja bym z tobą pojechała nad to morze w tym roku? Jak myślisz?

– Jak zobaczę, to uwierzę. Co roku mi to obiecujesz. Potem idziesz grzecznie zapytać o zdanie Gerarda i jak zawsze wystawiasz mnie do wiatru. Obie wiemy, że prędzej słońce spadnie na ziemię, niż ty zrobisz cokolwiek bez zapytania go o pozwolenie.

Julita zamyśliła się nad słowami przyjaciółki. Ela zawsze mówiła to, co myślała. Znały się od dzieciństwa. Ich babcie były zagorzałymi fankami kółka różańcowego.

Co niedziela zabierały swoje wnuczki do kościoła i wpajały im wszystkie religijne zasady. Gdyby nie babcine teorie, życie przyjaciółek mogłoby potoczyć się całkowicie inaczej. Nigdy nie wiemy, jak ogromny wpływ na nasze losy mają słowa wpajane nam przez najbliższych. Czasami wydaje nam się, że podejmujemy decyzje samodzielnie, że jesteśmy samodzielnie myślącymi jednostkami, jednak naszymi myślami często sterują ludzie nam najbliżsi. Robią to, rzecz jasna, w imię naszego dobra, nie mając najmniejszego pojęcia, że czynią nam krzywdę.

– Ela, to nie tak jak myślisz. Nie mogę po prostu ot tak z tobą pojechać. Nie jestem singielką. Mam dzieci, mam męża, psa. Powinam liczyć się z ich zdaniem. Ty masz o wiele prościej. Nikt cię nie ogranicza, nie masz rodziny, a zwierzakami zawsze opiekują się twoi pacjenci. Taka to pożyje. Gdybym nie miała żadnych obowiązków wobec innych, też jeździłabym na samotne wakacje. Jak tylko dzieci wybędą z domu, to...

– To przyprowadzą ci wnuki i będziesz nadal siedziała i lepiała te swoje ruskie pierogi, okraszając je masłem – dokończyła Ela, przewracając oczami.

Dobrze znała stare śpiewki swojej Juli. Znała je na pamięć. Nie mogła pojąć, jak tak mądra kobieta rezygnuje z siebie i swoich pasji, w imię zadowalania innych. Oczywiście nie miała nic przeciwko kobietom poświęcającym się dla rodziny, pod warunkiem, że same tego chcą. Juli nie wyglądała na szczęśliwą z tego powodu. Dwudziestoletnie małżeństwo z Gerardem zmieniło ją całkowicie. Niczym nie przypominała tej szalonej dziewczyny z liceum, która po kryjomu umawiała się z nauczycielem niemieckiego.

Ełę dręczyły wyrzuty sumienia. Gdyby nie ten głupi żart, gdyby nie kot, gdyby nie telefon, Juli mogłaby być teraz właścicielką najpiękniejszej walizki, jaką tylko ludzkość zdołała wymyślić.

Kiedy poznała Ełę, były małymi dziewczynkami, miały po siedem lat. Babcia Władzia miała przyjaciółkę – Leokadię. Leokadia zaś miała wnuczkę – Ełę. Starsze panie zbierały się trzy razy w tygodniu na zbiorowe szydełkowanie. Po szydełkowaniu odmawiały różaniec. Dziewczynki w tym czasie zajmowały się sobą. Jesienią i zimą malowały piękne obrazy, przy pomocy farb, kredek i mazaków, a wiosną i latem grały w gumę albo w klasy. Kiedyś nie było komputerów, iPodów i innych tego typu atrakcji. Julita czasami żałowała, że jej dzieci nie znają takiego podwórkowego dzieciństwa, jakie miała ona.

Babcie zapisały swoje wnuczki na lekcje religii, prowadzone w tamtych czasach przy kościele. Dziewczynki uczęszczały na nie raz w tygodniu. Wtedy to nawet Julicie się podobało. Miała zeszyt, w którym przyklejała obrazki, chodziła na poranne

roraty, w każde Boże Ciało sypała kwiatki, ubrana w białą sukienkę z falbankami, którą babcia Władzia własnoręcznie jej uszyła. Ela zawsze szła za nią. Ekscytowały się wszystkimi religijnymi obrzędami, traktując je jak niezłą zabawę.

Babcia Władzia z babcią Leokadią były zapatrzonymi w siebie przyjaciółkami o jednakowych poglądach. Od najmłodszych lat wpajały swoim wnuczkom, że „te sprawy” to dopiero po ślubie. Julita dobrze pamiętała dzień, w którym babcia Władzia dowiedziała się, że jej wnuczka potajemnie spotyka się z Michałem. Z tym Michałem, co to niby miał ją uczyć niemieckiego, a tak się jakoś złożyło, że niemiecki zaczął mu się mylić z francuskim... Kobieta wpadła w szal. Wrzeszczała na całe gardło, że Bóg wszystko widzi i teraz to za to wszystko Julita smażyć się będzie w piekle. Na nic się zdały dziewczęce przeprosiny, na nic tłumaczenia, że między nią a Michałem nie zaszło nic, oprócz czystego platonicznego zauroczenia. Mówiła prawdę, lecz nikt jej nie wierzył. Na swoje usprawiedliwienie miała tylko szczere słowa. Była w Michale zakochana, myślała o pocałunkach z nim, może o czymś więcej? Lecz... wszystkich tych myśli musiała się wyprzeć w imię miłości do Boga. Wtedy nie wiedziała, że Bóg kocha ją taką, jaka jest. Bezgranicznie wierzyła słowom babci, która przekonywała, że na Boską miłość trzeba sobie zasłużyć. Mówiła: „Pamiętaj, ten, któremu oddasz wianek, ma być twoim mężem, zrozumiałaś?”. Oczywiście, że zrozumiała. Bała się Boga i tego, że faktycznie będzie się smażyć w piekle, cokolwiek by to piekło oznaczało. Bała się go tak bardzo, że ze strachu... no właśnie...

Gerarda poznała w dyskotecie. Zapoznała ich Anka, koleżanka z liceum. Julita miała wtedy osiemnaście lat i była piękną szczupłą dziewczyną, z długimi czarnymi jak matka ziemia włosami. Dziś z tego wizerunku niewiele zostało... Gerard był od Julity dziesięć lat starszy. Imponował jej. Pracował jako żołnierz zawodowy. Miał czerwonego fiata cinquecento, za którym oglądały się wszystkie okoliczne dziewczyny. Bez wątpienia był kimś, tego nie dało się ukryć. Przetanńczyli razem całą noc, wyginając się przy przebojach Modern Talking. Śmierdzącym od piwa oddechem, śpiewał jej do ucha:

*You're my heart, you're my soul,
I keep it shining everywhere I go.
You're my heart, you're my soul,
I'll be holding you forever, stay with you together.*

Była nim zauroczona. Uśmiechała się do niego, myśląc, że samego Pana Boga złapała za nogi. Poważny, starszy, z dobrą, stałą pracą, wydawał jej się kimś idealnym. Nie widziała żadnych jego wad. Nie zauważała, jak ukradkiem uśmiechał się do jej koleżanek. Do Eli również, a raczej przede wszystkim do niej. Nie było

w okolicy mężczyzny, który umiałby tak pięknie kłamać, jak Gerard. Nawijał na swój palec kosmyk jej włosów i patrząc jej prosto w oczy, wypowiadał komplementy. Gdy tańce dobiegły końca, wcisnął jej do kieszeni swoją wizytówkę i złożył na jej ustach płomienny pocałunek o smaku chmielu. Obiecał, że niebawem się odezwie. Nie odezwał się przez miesiąc.

2. Prezent, który zmienił los

Julita była „artystką”. Chodziła do szkoły muzycznej, grała na pianinie, pięknie śpiewała. Każdy myślał, że w przyszłości zostanie gwiazdą programu *Szansa na sukces* i wystąpi na scenie warszawskiej Sali Kongresowej. Wszystko to mogło się zdarzyć, gdyby na osiemnaste urodziny nie dostała od mamy telefonu komórkowego. Gdyby tylko jej matka wiedziała, że ten telefon będzie gwoździem, przybijającym na zawsze Julitę do Gerarda, z pewnością dałaby jej kolejną płytę z pesymistycznymi przebojami Kasi Kowalskiej. Niestety, dała jej ten telefon. Później do końca swoich dni pluła sobie za to w brodę. Szczęśliwa pełnoletnia jubilatka, zauroczona do granic możliwości funkcjami urządzenia marki Alcatel, puszczała wszem i wobec „strzałki” na wymyślone przez siebie numery. Jakież to było fascynujące doświadczenie, wybierać na ośleper numer i dzwonić ot tak, gdzie popadnie.

Razem z Elą bawiły się w tego typu zabawy, korzystając z budki telefonicznej, ustawionej przy budynku poczty. Pierwsze pięć sekund było bezpłatne. Mogły więc zaśmiewać się do rozpuku, gdy robiły kawały swoim „koleżankom”. W słuchawce słychać było sygnał, potem ktoś odbierał, a potem Ela na cały głos udawała, że jest krową. Muczała zadowolona z siebie, po czym połączenie zostawało przerwane, a dziewczyny pokładały się ze śmiechu. Teraz mogły robić to samo, tyle że w zaciszu domowego ogniska. Niby miały po osiemnaście lat, niby myślały o „tych sprawach”, a wciąż były małymi, niczego nieświadomymi dziewczynkami. Pewnego dnia wybrały numer, to znaczy Elka wybrała, korzystając z jakiejś małej karteczki, którą wyciągnęła z kieszeni katany Julity.

– Miau, miau, miau. – Elka tym razem udawała kociaka. Słodko mruczała, po czym próbowała się rozłączyć.

– Halo, kto tam? – odezwał się zaskakująco męski, seksownie brzmiący głos.

Julita ruchem ręki, wskazującym, że odetnie Elce głowę, nakazywała przyjaciółce przerwać połączenie. Ta nic nie robiła sobie z jej uwag.

– To ja, twój kiciuś. Zaopiekuj się mną. Miau – mruknęła, z całych sił, próbując zachować powagę. Wreszcie nie wytrzymała i się rozłączyła.

Obydwie wybuchnęły gromkim śmiechem. Leżały na podłodze, wpatrując się w styropianowe kasetony.

– Taka mała rzecz, a cieszy – powiedziała Julita.

Niewiele im było potrzebne do szczęścia. Wystarczyła obecność drugiej. Były jak siostry. Bawiły się w ten sposób jeszcze chyba przez tydzień, po czym okazało się, że całe doładowanie telefonu zeszło na te ich kawały. Gdy matka Julity chciała skorzystać z komórki, zdziwiła się nieco, iż na koncie nie ma ani grosza, zatem zadzwonić, owszem, mogła, ale tylko na numer alarmowy.

Od tego wydarzenia minęły jakieś dwa tygodnie. Sprawa nieco przycichła, dziewczyny odrabiały właśnie swoje lekkoduszne postępowanie, plewiąc ogródek babci Władzi. Gdy wyrwały pokrzywy rosnące nieopodal jabłunki, jakoś tak mniej było im do śmiechu. Między jednym a drugim wyrwanym chwastem zadzwonił telefon Julity.

– Halo – powiedziała przyciszonym głosem, usiłując w tym czasie wyrwać ziele zagłuszające dorodne babcine truskawki.

– Cześć, kociaku. – Usłyszała.

Zerwała się na równe nogi i zaczęła poprawiać fryzurę. Jakby myślała, że właściciel czarującego męskiego głosu posiada nadprzyrodzoną umiejętność obserwowania obecnego wyrazu jej twarzy.

– Dzień dobry. Z tej strony Julita Laskowska. Z kim mam przyjemność rozmawiać? – zapytała.

– No, proszę, jaki kociak się zrobił oficjalny?

– Kociak? Nie rozumiem? – dukała, wystraszona.

Miała wielką ochotę się rozłączyć. Rozmówca chyba wyczuł jej strachliwe nastawienie i czym prędzej zmienił ton prowadzonej rozmowy.

– Gerard Snarski. Tańczyliśmy razem w Vinecie. Pamiętasz?

Oczywiście, że pamiętała. Strużki potu leciały jej po plecach. Sama nie wiedziała, czy winne były im chwasty, czy rozmowa z „nieznajomym”.

– Gerard? Oczywiście, że pamiętam. Jak mogłabym zapomnieć. Pamiętam, pamiętam. Oczywiście, że pamiętam. Miło, że dzwonisz. Myślałam, że już o mnie zapomniałeś. Naprawdę miło, że dzwonisz. Myślałam, że już nie zadzwonisz. To znaczy, że nie zatelefonujesz, tak to się chyba prawidłowo po polsku mówi, prawda? – plotła trzy po trzy.

Ela oderwała swoją głowę od chwastów i przysłuchując się rozmowie Julity, zaczęła ruchem ciała podpowiadać przyjaciółce, co ta powinna powiedzieć. Pukała się w czoło, tupała nogą, wymachiwała rękami na znak protestu dotyczącego słów, które słyszała. Wreszcie, pokazując dłońmi gest oznajmiający koniec gry na boisku, nakazała przyjaciółce zakończyć rozmowę.

– Wiesz co, muszę kończyć. Chwasty czekają.

– Kociaku, coś ty taka spłoszona? Jakie chwasty? Tylko się nie rozłączaj.

– Muszę kończyć. Pa.

Julita nacisnęła przycisk z obrazkiem czerwonej słuchawki. Połączenie zostało przerwane.

– Co tak machasz tymi rękami, Elka. Kalambury jakieś czy co?

– Macham, bo usiłuję przerwać te twoje żałosne paplanie, zanim do końca się

zbląznisz.

– Odezwała się, mistrzyni randkowania! Spójrz lepiej na siebie. Jakoś nie widzę do ciebie kolejki zainteresowanych.

– Juli, pamiętasz, jak wtedy bawiłyśmy się w głuchy telefon?

– Kiedy? Ostatnimi czasy bawiłyśmy się w to praktycznie codziennie. Przez te twoje zwierzęce fobie musimy teraz to plewić. – Julita wskazała dłonią na zarośnięty ogród.

– OK, powiem prosto z mostu. Wtedy, kiedy udawałam kociaka, to... to nie wykręciłam numeru na ośle. Spisałam go z wizytówki, która wypadła z twojej katany. Kiedy usłyszałam, jak wypowiadasz jego imię, wszystko mi się przypomniało. Przepraszam, Juli. Powinna ci o tym powiedzieć. Stąd te moje kalambury, jak to określiłaś.

Julita otworzyła szerzej oczy, głośno wciągnęła w płuca powietrze. Jej biust uniósł się wyżej, dając wrażenie jeszcze większego, niż był w rzeczywistości.

– Super. Bardzo ci dziękuję. Rychło w czas.

Była naprawdę zła. Gdyby wcześniej wiedziała to, czego dowiedziała się teraz, mogłaby przynajmniej jakoś przygotować się do tej rozmowy.

– Juli, przepraszam. Nie gniewaj się, błagam. Najważniejsze, że się przyznałam, prawda? Jak chcesz, to wracaj do domu. Ja skończę to plewienie.

– Dobrze, już dobrze. Nie bierz mnie na litość. Skończymy to razem i wrócimy do domu. Mam nadzieję, że nie zrobiłam z siebie totalnej idiotki.

Ela odwróciła głowę, aby ukryć cichy śmiech.

– OK, śmiejesz się. Czyli jednak zrobiłam z siebie idiotkę. Wiesz co, Elka...? – zachnęła się. – Ech, już nic. Plew te chwasty lepiej. – Machnęła ręką i wróciła do pracy.

Wieczorem leżała w łóżku, cała obolała po odbytej karze. Trzy godziny spędzone na klęczkach przy plewieniu chwastów dały się we znaki jej niezhańbionemu fizyczną pracą ciału. Przez cały czas myślała o Gerardzie. Przypomniało jej się, jak razem tańczyli, uśmiechali się do siebie, ocierali niewinnie o swoje ciała. Od czasu afery z Michałem nie miała żadnego kontaktu z mężczyznami, a Gerard jej się podobał. Nawet bardzo jej się podobał... Przewracała się z boku na bok, myśląc, jak mogłaby się potoczyć ta rozmowa, gdyby Elka nie zaczęła pajacować, wymuszając tym samym jej zakończenie. Powoli odpływała w sen, który został przerwany przez dźwięk otrzymanej wiadomości.

Kociaku, z przyjemnością się tobą zaopiekuję, tylko daj mi szansę.

Kawa? Jutro? W Nikicie?

Zgodziła się od razu. Nazajutrz jak na skrzydłach pędziła na spotkanie. Tak

mocno wytuszowała rzęsy, że matka aż oniemiała na jej widok. Gdyby wtedy matka ją zatrzymała w domu, gdyby kazała jej zmyć ten ordynarny makijaż, gdyby zabrała jej telefon, gdyby zrobiła cokolwiek... może udałoby się zagrać na nosie przeznaczeniu. Lecz czy miałyby dzisiaj pewność, że gdyby nie przeżyła tego, co ją spotkało, jej życie byłoby lepsze?

3. Julita

Wiele lat wcześniej

Od samego rana szykowałam się na tę kawę. Otworzyłam szafę i wyciągałam z niej wszystko po kolei. Była pełna ubrań, a ja nie miałam nic, co mogłabym na siebie włożyć. Chciałam wyglądać wyjątkowo. Czarne spodnie, czarna bluzka, rozpuszczone czarne włosy i te buty na koturnach. Babcia zawsze się śmiała, że jak zaleje nam piwnicę, to wyśle mnie w nich po ogórki. Ochrciła je „powodziankami”. Mawiała: „Julita, wskakuj w powodzianki i idź przynieść ziemniaków z piwnicy”. Babcia miała poczucie humoru. Gdyby nie te jej sztywne zasady, to...

Kawa z Gerardem nie była jakoś szczególnie ciekawym wydarzeniem. Ot, zwykłe spotkanie. Dzisiaj to wiem. Wtedy nie miałam porównania, więc wydawało mi się, że znajduję się w samym centrum najlepszej randki na świecie. Usiedliśmy w Nikicie, ja zamówiłam cappuccino, a on zamówił piwo. Nie przeszkadzało mi to. „Prawdziwy mężczyzna musi śmierdzieć piwem i fajkami” – tak mawiał mój dziadek, kiedy babcia kazała mu umyć zęby. To zdanie tak bardzo utkwilo mi w pamięci, że, o zgrozo, sama zaczęłam w nie wierzyć. Kompletnie nie znałam się na mężczyznach. No bo i skąd miałam się znać, skoro praktykę w randkowaniu miałam zerową. Elka też nie mogła mi doradzić, bo jej doświadczenia były jeszcze mniejsze niż moje. Cóż wiemy o miłości, mając osiemnaście lat...

Umówiliśmy się jeszcze kilka razy. Nie pamiętam ile, może dwa, może trzy. Chyba jednak trzy... Po tych trzech razach zadzwonił do mnie i zapytał, czy nie zechciałabym przyjść do niego na domówkę. Nie chciało mi się iść. Elka też mi to odradzała, strasząc mnie chwastami w babcynym ogrodzie. Mówiła: „Jak twoja babcia się dowie, to będziesz plewiła ten ogród całą noc”. Mogłam jej posłuchać, lecz... nie posłuchałam. Zresztą zakazany owoc smakuje najlepiej. Gerard był takim zakazanym owocem, a ja nie miałam już czternastu lat i zacięcie walczyłam o swoją niezależność.

Podczas imprezy nie zapowiadało się, że tej nocy coś szczególnego się wydarzy. Było kilka osób, wszyscy starsi ode mnie. Był też alkohol i Gerard sobie nie odmawiał. Kiedy przypominam sobie tamtejszą szklistość jego oczu, robi mi się niedobrze. Wtedy mi to nie przeszkadzało. Dziś aż trudno w to uwierzyć.

Okolo czwartej w nocy wszyscy rozeszli się do domów. Pamiętam to dokładnie, ponieważ na ścianie wisiał zegar z kukułką, który przykuł moją uwagę. Poranne słońce wybijało się radośnie zza chmur. Chciałam iść do domu. Mogłam iść do domu – zawsze byłam rannym ptaszkiem, więc nikogo by to nie zdziwiło. Gerard nie chciał mnie wypuścić. Całował moją szyję, wsadzał rękę pod bluzkę, dotykał mnie tam, gdzie nikt nigdy mnie nie dotykał. Jego śmiałość była porażająca, lecz jeszcze

bardziej porażające było to, że ja, dziewczyna z zasadami, na to wszystko pozwalałam. Powiem więcej – nawet mi się to podobało. No i stało się. Straciłam dziewictwo w wieku osiemnastu lat. Było lato, sierpień, dokładnie nie pamiętam daty, ale pamiętam godzinę (wszystko przez ten zegar) – szósta dziesiąta. Pozostałam po sobie krwistą plamę na śnieżnobiałym prześcieradle. Na jej widok Gerard zapytał:

– Byłaś dziewicą?

– Byłam – odpowiedziałam.

Wtedy zaczął się śmiać. Śmiał się wniebogłosy, a ja... modliłam się, aby nikt tego śmiechu nie usłyszał. Wstydziłam się. Pospiesznie wciągnęłam na siebie ubranie i wyszłam. Nie zdążył mnie nawet przytulić. Zresztą chyba nawet nie chciał.

Zawsze wyobrażałam sobie, że ten pierwszy raz to będzie coś wzniosłego, co zapamiętam do końca swojego życia, jako wyjątkowe. Tak też zresztą obiecywały ówczesnie wydawane czasopisma: „Filipinka”, „Przyjaciółka”, „Dziewczyna” czy „Bravo”. Naczytałam się w nich o owej chwili. Elka kupowała te gazety i trzymała je pod łóżkiem. Dziewczynkom z dobrych domów nie wolno było czytać czasopism uznawanych za zbyt rozwiązłe. „Same głupoty tam wypisują” – krzyczała babcia Elki, gdy pewnego poranka nakryła nas na czytaniu fotostory. Twarz staruszki na zawsze pozostała w mojej pamięci. Leokadia zmarszczyła się przy tym przeokrutnie, wyrażając swoje niezadowolenie najdobitniej, jak to tylko było możliwe.

– Juli! Z nim? – Elka rozdziawiła usta ze zdziwienia. – Jak mogłaś? Miałaś dotrwać w czystości do ślubu. Zwariowałaś? Wiesz, co teraz będzie?

Co mogło być? Nie rozumiałam przyjaciółki.

– Bóg nigdy ci tego nie wybaczy! – powiedziała wreszcie, a ja dopiero uświadomiłam sobie, co tak naprawdę się stało.

Elka wygłaszała swój monolog dotyczący czynu, którego się dopuściłam. Jak to się stało? To bardzo proste. Była chwila, był moment, on nalegał, ja straciłam rozum. Nie było tak, jak opisywali w gazetach. Nie kochałam go, choć z pewnością byłam nim raczej zauroczona. Po tym, jak Elka skończyła swoją tyradę, zaczęłam płakać jak szalona. Żałowałam. Ogromnie żałowałam. Niestety, było zbyt późno. Widok czerwonej plamy na prześcieradle wrył się w moją wyobraźnię. Pragnęłam odkupienia win. Chciałam, aby Bóg mi wybaczył. Nie docierało do mnie, że Stwórca może być po mojej stronie. Bałam się go. Znałam go przecież tylko z opowieści babci, a te przepełnione były historiami o winie i karze, o losie grzeszników, ogniu piekielnym i innych przerażających konsekwencjach łamania zasad wiary. Nigdy nie próbowałam się do niego zbliżyć tak naprawdę. Nie próbowałam poznać go sama.

Następnego dnia poszłam do kościoła. Aż dziw, że babcia nic nie zauważyła.

Mamie też wstydziłam się powiedzieć, wiedziała tylko Ela. Gdyby wtedy moja przyjaciółka miała ten rozum, co dziś... Ech, gdyby krowa miała skrzydła, toby była ptakiem.

Modliłam się na kolanach. Przepraszałam za to, co się stało. Przepraszałam Boga za swój czyn. Łkałam, błagając o wybaczenie. Prosiłam, aby wymierzył mi karę. Moje pojęcie Boga, nie stawiało go po mojej stronie.

4. Urlop życia

Wizyta na cmentarzu podziałała na nią zbawiennie, chociaż możliwe, że ta błogość wywołana była kieliszkiem nalewki, którą poczęstowała ją Ela. Jedno było pewne, tego popołudnia od razu świat zaczął jawić się Julicie w bardziej optymistycznych barwach. Gdy wróciła do domu, Kamila poinformowała ją, że dzwoniła ciocia Marysia, żona Grzegorza. Prosiła, żeby Julita zapakowała ze sobą trochę truskawkowo-czereśniowych konfitur, które tak bardzo smakowały ich synowi, Jacusiowi.

– Tyle razy tłumaczyłam Marii, jak zrobić te konfitury.

– Mamuś, ja ci tylko przekazuję, o co prosiła. Zrobisz, jak uważasz. Zawsze możesz powiedzieć, że już nam się skończyły.

To akurat była prawda, bo konfitury truskawkowo-czereśniowe schodziły w ich domu szybciej niż świeże bułeczki.

Do kuchni wszedł Gerard, zaraz za nim przydreptał pies.

– Julita, gdzie ciasteczka dla Banusia? Miałaś kupić.

Błogi nastrój kobiety momentalnie legł w gruzach. Przytłoczona perspektywą smażenia konfitur i brakiem ciasteczek, momentalnie poczuła, że chciałyby, aby ten dzień już się skończył. Niestety, lista zadań na dzisiaj zdawała się nie mieć końca.

– Przepraszam, Gerardzie, zapomniałam. Kupię te ciasteczka jutro. Byłam na cmentarzu, potem odwiedziłam Elę. Nie będziemy się widziały przez dwa tygodnie i chciałam się z nią pożegnać. Jutro rano wstanę i kupię te ciasteczka. Dziś jeszcze muszę iść po czereśnie i truskawki. Marysia prosiła, abym przywiozła dla Jacusia konfitury, a nie mam w domu ani jednego słoiczka. Mały będzie zawiedziony.

Próbowała jeszcze ratować swoją sytuację, a szczególnie swój dobry nastrój, który przy każdym kontakcie z mężem nieuchronnie się zmieniał.

– Jak idziesz do sklepu po owoce, to chyba możesz kupić po drodze ciasteczka. Jak zwykle stwarzasz problemy, Julita. Poza tym mówiłem ci kilka razy, że w nocy ruszamy. Jeśli nie kupisz ciasteczek dziś, Banuś nie będzie miał ich na wyjazd.

– Tyle że zoologiczny jest po drugiej stronie miasta, a owoce mama kupi tuż za rogiem – wtrąciła się Kamila.

– Pytał cię ktoś o zdanie? Przemądrzała jesteś, jak matka. W dupach się wam przewracało od tego dobrobytu. Gdyby nie ja, nic by tu nie było. Taki problem, żeby Banusiowi ciastka kupić? Całe życie na was pracuję, to chyba mam prawo poprosić o ciastka dla psa. Chyba zgodzisz się ze mną, Julita? – Spojrzał wymownie na żonę.

Julita, przybierając odpowiedni wyraz twarzy, nakazała córce milczenie. Sama też nie powiedziała nic więcej. Włożyła przed chwilą zdjęte buty i wyszła z domu. Gdyby

tylko Gerard pozwalał jej jeździć samochodem, kupienie psich ciasteczek zajęłoby jej góra dwadzieścia minut. Niestety, odkąd zrobiła prawo jazdy, siadywała za kółkiem wyłącznie w chwilach, gdy jej mąż był w stanie wskazującym na spożycie. Słuchała wtedy, że a to źle zmienia biegi, a to za szybko skręca, a to za wolno hamuje. A puenta zawsze była ta sama – że na trzeźwo by tego nie zniósł. Tak więc skazana była teraz na taszczenie w siatkach dziesięciu kilogramów owoców, po pięć z każdego rodzaju. O ciasteczkach dla psa też nie zapomniała. Jak by mogła zapomnieć? Kochała tego zwierzaka, a zarazem go nienawidziła. W pewien irracjonalny sposób była chyba zazdrosna o uczucia, którymi darzył owczarka jej mąż. Gdyby tylko wobec niej i dzieci żywił choćby cień takiej miłości...

Po powrocie do domu zabrała się za przygotowanie konfitur dla Jacusia. Obierała truskawki z szypulek, drylowała czereśnie. Potem wszystko wrzuciła do garnka i zasypała cukrem. Gotowała długo, aż powstała gęsta papka koloru niemal brązowego. Gorące konfitury przełożyła do słoiczków i zapasteryzowała. Nigdy nie mogła się nadziwić, jak to możliwe, że z takiej dużej ilości owoców robi się ich tak mało. Misja spełniona, Julita mogła być z siebie zadowolona. Lubiła Jacusia i cieszyła się, że z lubością pałaszował naleśniki z jej konfiturą.

Wyjazd mieli zaplanowany na godzinę drugą w nocy. Akurat kończyła wygrzewać w piekarniku słoiki, gdy zadzwonił budzik Gerarda.

– Julita! Julita! Julita! Wstałem.

– Ja nawet się nie położyłam – mruknęła do siebie.

– Mówiłaś coś?

Udała, że nie słyszy pytania.

– Zrób herbatę.

Wstawiła czajnik na gaz. Do kuchni weszła Kamila.

– Mamo, dlaczego jesteś w ubraniu? O której wstałaś?

Uśmiechnęła się i pogłaskała córkę po włosach. Czajnik zaczął głośno świszczeć. Wyciągnęła z szafki szklanki i przygotowała dla wszystkich herbatę.

– Obudź Marcina – poprosiła córkę. – Wiesz, jakie on ma problemy ze wstawaniem. Poproś go, aby się zmobilizował.

– Mamo, to nienormalne, że wyjeżdżamy w środku nocy. Nie możemy się wyspać, jak normalni ludzie, i wyruszyć wypoczęci? Nie widzisz, że to jest chore?

– Tata nie znosi korków. W nocy jeździ najmniej samochodów.

– No właśnie! Bo w nocy się śpi, a nie jeździ – zauważyła córka.

– Ojciec jest innego zdania. Proszę, idź do Marcina, bo zaraz będzie problem.

– Idę, idę.

Kamila upiła łyk gorącej herbaty i skierowała się w stronę pokoju brata.

– Julita, robisz tę herbatę? Czekam i czekam. Ile razy mam prosić?

Kobieta bez słowa chwyciła szklankę i po chwili postawiła przed mężem.

– Posłodziłam dwie łyżeczki. Tak jak lubisz. – Przystanęła na chwilę, wypatrując okrucichów zainteresowania. Bezskutecznie.

Pomyślała jeszcze, że podczas smażenia konfitur powinna przebrać się w piżamę. Przynajmniej Kamila nie zauważyłaby, że matka nie zmrużyła oka. Chociaż może ten zabieg nie przyniósłby oczekiwanych skutków? Córka była coraz mądrzejsza. Miało się wrażenie, że widzi więcej, czuje mocniej. Chcąc chronić dzieci, popadała w psychopatyczne myśli. Gotowa była zrobić wszystko, aby zachować przed nimi chociażby pozory normalności.

Po mniej więcej godzinie od pobudki byli gotowi do drogi. Ledwo upchnęła wszystkie torby w bagażniku ich citroena. Dołożyła konfitury dla Jacusia i ciasteczka dla psa, w duchu dziękując, że nie ma już nic więcej do zabrania, bo nie było ani centymetra wolnego miejsca. Gerard z papierosem w ustach odpalił obiekt swojej dumy. Kilka razy chrząknął, podniecając się warkotem wiekowego silnika, po czym wyjechał z podwórka. Czekali ich minimum dziesięć godzin jazdy.

– Jak żaden niedzielny kierowca nie wturla mi się na drogę, to przed trzynastą będziemy na miejscu – powiedział.

Julita była skonana. Cieszyła się, że przez chwilę sobie odpocznie. Może nawet uda jej się zmrużyć oko? Skuliła się na przednim siedzeniu, do granic możliwości przysuniętym do przedniej szyby, bo za jej fotelem siedział Bany (pies nie mógł przecież podróżować w niedogodnej pozycji, jeszcze rozbolałby go kręgosłup, a tego jej mąż by nie zniósł). Marcin i Kamila siedzieli na tylnym siedzeniu. Wyrazy ich twarzy można by było śmiało umieścić w broszurce dla ludzi walczących z depresją.

Nie zdążyli ujechać nawet pięćdziesięciu kilometrów, jak Julita usnęła kamiennym snem.

– Julita, Julita! – Gerard szturchnął ją łokciem, próbując wyrwać z sennych objęć. Nie reagowała.

– Julita, Julita, śpisz?

Nadal nie reagowała. Machnęła tylko bezwładnie ramieniem.

– Julita, na miłość boską! Nie śpij. Powinnaś ze mną rozmawiać. Chyba nie chcesz, żebym usnął za kierownicą. Pozabijamy się! Jak nic przez ciebie się pozabijamy. Z kierowcą trzeba rozmawiać. Powiedział ci to ktoś kiedyś?

Spojrzała na Gerarda niewidzącym wzrokiem. Uniosła rękę. Chciała podrapać męża po głowie. Taki niby nic nieznaczący miły gest. Podobno karma wraca...

– Co ty wyprawiasz? Zwariowałaś do reszty? Zabieraj te ręce! Rozpraszasz mnie tylko. Chcesz, żebym wypadek spowodował? Opanuj się, dziewczyno, bo to wcale nie

jest śmieszne.

Nie rozumiała, co do niej mówi. Opuściła rękę i ponownie przymknęła oczy. Gerard pociągnął nosem i się skrzywił.

– Julita, Julita! – Ponownie ją szturchnął. – Nie śpij, kobieto, tylko dotrzyмай mi towarzystwa. – Znowu pociągnął nosem. Wyglądał, jakby intensywnie nad czymś myślał.

– Julita, Julita! Brałaś dzisiaj prysznic? – Szturchnął jej nogę, ściskając tak bardzo, że zbudził ją ból.

– Gerard? – Przetarła oczy.

– A kto niby?! Święty Mikołaj?

– Przepraszam. Jestem, jestem... Pytałeś mnie o coś? Wybacz, przysnęłam.

Tłumaczyła się powoli, ospale, a jednak z doskonałą wręcz precyzją. Robiła to mechanicznie.

– Pytałem. Oczywiście, że pytałem. Pytam, czy brałaś dzisiaj prysznic?

Zrobiło jej się duszno. Uchyliła okno i próbowała zaczerpnąć powietrza. Nie była pewna, czy śni, czy już się obudziła.

– Julita, pytam po raz ostatni! Myłaś się?

A jednak to nie sen. Odwróciła głowę w stronę męża.

– Przepraszam, nie zdążyłam. Pakowałam nas, smażyłam konfitury dla Jacka. Nie zdążyłam, po prostu nie zdążyłam. Przepraszam najmocniej, Gerardzie. Mam nadzieję, że niczego nie zapomniałam. Niby miałam zapisane na kartce wszystko, co powinnam spakować, ale mam wrażenie, że o czymś zapomniałam. Obym się myliła.

Ręce Gerarda zacisnęły się na kierownicy. Krew napłynęła mu do twarzy. Mocno zaciśnięte szczęki pulsowały z nerwów.

– Powiem ci, czego zapomniałaś. Mózgu zapomniałaś, kobieto. Zresztą co ja mówię. Nie mogłaś zapomnieć mózgu, bo przecież go nie masz. Gdybyś go miała, może potrafiłabyś się lepiej zorganizować. Śmierdzi od ciebie. Najzwyczajniej od ciebie śmierdzi! Naprawdę tego nie czujesz?

Nerwowo odwróciła głowę. Spojrzała na tylne siedzenie samochodu. Kamila i Marcin mieli na uszach słuchawki. Ich oczy były zamknięte. Odetchnęła z ulgą, na pewno nic nie słyszeli. Tym razem jej się udało. Marcin był taki wrażliwy... Kamila również.

Przez resztę podróży nie było mowy o spaniu. Rozmowa też się nie kleiła. Gerard co chwilę wygłaszał jakąś swoją uwagę, Julita tłumaczyła się gęsto, co jakiś czas poplakując w chusteczkę. Dzieci spały.

Mniej więcej w połowie drogi Gerard postanowił napić się kawy. Niestety, termos

został w domu. To była ta rzecz, której zapomniała. Szybko przeprosiła, próbując ratować się propozycją odwiedzenia pobliskiego McDonalda.

– Przecież wiesz, że boli mnie żołądek od tego, co tam sprzedają.

– Kochanie, ale kawę mają pyszną. Myślę, że o wiele pyszniejszą niż ta, którą ja przygotowuję – zapewniła spokojnie. Uśmiechnęła się nawet, wkładając w swój wyraz twarzy tyle miłości, ile tylko było możliwe.

– Beze mnie byś zginęła. Miałaś szczęście, że mnie spotkałaś. Kto to widział? Jak można być tak roztrzepanym? Ogarnij się, Julita, bo ja już mam powoli dość niańczenia ciebie.

Schyliła się do torby, aby sięgnąć po chusteczki. Wytarła zapłakane oczy i wydmuchała nos. Gerard zwrócił jej uwagę, że za głośno smarka. Dzieci się obudziły. Ani trochę nie były zdziwione gęstą atmosferą, która panowała we wnętrzu ich starego Citroena. Tylko Bany zdawał się niczego nieświadom. Wywalił jęzor i patrzył w kierunku swojego pana, spijając wzrokiem każde jego słowo.

– Zrób coś ze sobą, Julita. Ogarnij się. Za godzinę będziemy na miejscu. Jak ty się przywitasz z Grzesiem i Marysią? Czerwona jesteś jak burak. Masz jakiś puder? Przypudruj ten nos. Świecisz się jak nie powiem co. Z tobą tak zawsze. Nie może człowiek normalnie jechać, tylko musi cię pocieszać, bo zawsze się rozkleisz. No, już, już. Przecież nic się nie stało, prawda?

– Tato, całą drogę dokuczasz mamie, a teraz jeszcze masz pretensje, że jest zapłakana? – Kamila wstawiła się za matką.

– Pytał cię ktoś o coś, moja panno? Dzieci i ryby głosu nie mają.

– Nie jestem już dzieckiem. Rybą też nie jestem.

– Dorosła się odezwała. Póki jesteś na moim utrzymaniu, nie masz nic do gadania. Zawsze reagował tak samo. Zawsze te dzieci i te ryby. Można było przewidzieć każde jego słowo.

– Kamila ma rację. Mama ciągle przez ciebie płacze, tato. Całą noc nie spała, aby nas przygotować do wyjazdu...

– Milcz, gówniarzu. Wziąłbyś się za jakieś normalne męskie studia, a nie polskiego ci się zachciało. Nauczyciel się znalazł. Będzie mi mówił, co mam robić. Pójdiesz do szkoły, to tam sobie będziesz koleżaneczki ustawiał. Tutaj nie masz nic do gadania.

– Przestańcie, proszę. Dzieci, wszystko jest w porządku. Posprzeczaliśmy się trochę z tatą, ale przecież to nic takiego. Wszyscy się czasami kłócą, prawda, kochanie? – zwróciła się do męża.

Nic nie odpowiedział.

– Nie psujmy sobie nastroju na samym początku wakacji. Przecież jedziemy

odpocząć. Ciocia Marysia i wujek Grzesiek na nas czekają. Jacek też czeka. Będzie fajnie. Jak tylko dojedziemy, rezerwuję łazienkę. – Wzniosła rękę w górę, chcąc obrócić wszystko w żart.

Kamila spuściła głowę i zaczęła klikać coś w swoim smartfonie. Marcin zrobił to samo. Gerard też umilkł. Wszystko wróciło do „normy”. Mieli przed sobą ostatnią godzinę jazdy. Julita postanowiła doprowadzić się do jako takiego porządku. Wyciągnęła z torby małe podręczne lusterko, które kiedyś dostała od Eli w prezencie urodzinowym. Otworzyła je i jak zawsze przeczytała wymalowaną na szkle specjalną dedykację:

Jesteśmy tym, co o sobie myślimy.

Wszystko, czym jesteśmy, wynika z naszych myśli.

Naszymi myślami tworzymy świat.

Budda

Znała to na pamięć. Przeglądała się w tym lusterku codziennie i jakoś tak mimochodem słowa Buddy utkwili jej w pamięci. Elka często zachęcała ją, aby zaczęła wreszcie żyć bardziej świadomie. Poranne medytacje, śpiewanie mantr – Julita patrzyła na to wszystko z dystansem. Kiedy niby miała się zająć tym całym świadomym stylem życia? Ela to co innego, mogła skupiać się na oddechu i uzdrawiającej mocy szakwii. Julita, chociaż nie pracowała zawodowo, miała pełne ręce roboty. Nie nadążała sprzątać, gotować, prasować czy prać. Praca w domu była niczym praca w fabryce – nigdy się nie kończyła i trwała taśmowo. Bywało, że smażyła naleśniki na dwie patelnie, bo tak szybko znikwały z talerzy. Nigdy nie siadała do stołu z rodziną, była na to zbyt zajęta. Nie potrzebowała dyplomu łódzkiej filmówki, aby wcielić się oscarowo w rolę szczęśliwej matki i mężatki. Nikt nie wiedział o bólu jej duszy. Nikt oprócz Eli. Prezent w postaci lusterka był całkowicie przemysłany. Miał jej przypominać o tym, że nigdy nie jest za późno na zmiany. Tylko czy ona tych zmian chciała? Czy była na nie gotowa?

– Julita, Julita, znowu usnęłaś? – Gerard szturchnął żonę.

– Nie, nie usnęłam, zamyśliłam się po prostu.

– To nie myśl za dużo, bo cię jeszcze głowa rozboli.

Tym razem akurat trafił – głowa jej pękała. Była na nogach praktycznie od dwóch dób. Gerard cały czas wykazywał lekkie podenerwowanie jej „nieograniczoną bezmyślnością”. Sama więc była sobie winna. Powinna trochę nad sobą popracować. Może wtedy w jej małżeństwie działałoby się lepiej. Zawsze przecież zmiany należy wprowadzać, zaczynając od siebie.

– Julita, dojechaliśmy. Otwórz bramę. Nie będę wysiadał. Całą drogę prowadziłem, to może pod koniec tej podróży i ty się do czegoś przydasz.

Taki mieli niepisany podział ról. On kierował, a ona otwierała bramy, tankowała, płaciła za paliwo.

– Dziesięć godzin siedziałś na tyłku, to możesz się ruszyć. Dla zdrowia. Mam wrażenie, że ostatnio przytyłaś. Tylko mi nie mów, że kochanego ciała nigdy za wiele, bo wcale mnie to nie przekonuje – próbował żartować, śmiejąc się rubasznie.

Odpowiedziała wdzięcznym uśmiechem, bo przez lata małżeństwa z Gerardem nauczyła się z jego wypowiedzi wyciągać jedynie pozytywy (prawie zawsze jej się to udawało). Kąśliwą wypowiedź męża potraktowała więc jak przejaw troski o jej wagę. Odpięła pasy i wystartowała w kierunku bramy. Ku jej zdziwieniu Marcin okazał się szybszy.

– Wracaj na miejsce, mama. Od dzisiaj, kiedy tylko będę siedział w tym samochodzie, to ja będę otwierał bramy i tankował.

Rozczuliła się wyznaniem syna. Wróciła na miejsce, pokrzepiona usłyszonymi słowami. Marcin wyrastał na mężczyznę. Rozpierała ją duma.

– Coś taka zadowolona? Pewnie coś przeskrobał i chce się przymilić.

– Tato, czy ty dopuszczasz do siebie, że twój syn najzwyczajniej w świecie chce się zachować jak dżentelmen?

– Że co? Dżentelmen? Taki z niego dżentelmen, jak z koziej... no, wiadomo co. – O dziwo dokończył w myślach.

Na horyzoncie pojawili się Grzegorz z Marią, nie wypadało używać przy nich słów uważanych za niestosowne. Słowo na D nie pasowało do człowieka, za jakiego Gerard się uważał.

5. Afera naleśnikowa

Grzegorz i Marysia mieszkali w Jaczewie. Małeńka wieś położona w województwie mazowieckim oddalona była od Szczecina o kilka, a nawet o kilkanaście godzin jazdy samochodem. Były to rodzinne strony Gerarda, zatem w każde wakacje na pierwszym miejscu był Jaczew, a potem cała reszta. Jeździli tam co roku. Do wyjazdu Gerard zawsze przygotowywał się tak samo – zmieniał samochód na odrobinę lepszy, nowszy, może trochę bardziej wyposażony, którym, rzecz jasna, musiał się pochwalić przed pozostałym na ojcowiznie Grzegorzem.

Rodzice Gerarda i Grzegorza pozostawili im gospodarstwo. Gerard przepisał swoje udziały bratu. Zawsze marzyło mu się coś więcej niż tylko pasienie krów i przerzucanie obornika. Wyjechał więc na Pomorze za lepszym życiem. Poznał Julitę, ożenił się z nią, urodziły się dzieci i tak już zostało.

Gdy wjechali na podwórko, Julita jak co roku zachwyciła się pięknem orzechów, które posadził jej nieżyjący już teść. Lubiła tego staruszka. Urzekły ją jego opowieści o czasach wojny. Było w nich tyle prawdy i tajemnicy. Ludzie, którzy doświadczyli wojny, inaczej patrzyli na życie. Bardziej je doceniali i potrafili się nim cieszyć. Zajadali chleb ze smakiem, nie zastanawiając się nad szkodliwym działaniem glutenu. Byli za niego wdzięczni. Kiedyś, zdumiona konstrukcją rodzinnego domu męża, zadała teściowi pytanie:

– Dlaczego w domu, który tato wybudował, na każdej ścianie są albo drzwi, albo okna. Nie uważa tato, że dom przez to jest mniej ustawny?

– Julitka, dziecko moje. Przeżyłem wojnę. Nigdy nie zrozumiesz, co czuje człowiek śpiący na bombie. Choćbym nie wiadomo jak ci to tłumaczył, nie znajdę słów, aby przekazać lęk, który wtedy towarzyszył mi każdego dnia. Minęło wiele lat, ale to wciąż tkwi gdzieś we mnie i dlatego, żeby spać spokojnie, muszę mieć pewność, że będę miał którąś uciec.

Dom należał teraz do Marysi i Grzegorza. Zbudowany był bez wszechobecnego w dzisiejszych czasach polotu. Posiadał parter i piętro o niemalże identycznym rozstawie pomieszczeń. Kiedy przyjeżdżali, piętro Marysia przygotowywała dla nich. Były tam dwa skromnie urządzone pokoje, oddzielone drzwiami, w których od lat wisały te same, dziś już całkowicie niemodne koralikowe dzwiczące frędzelki. Nie oceniała gustu Marysi. Od śmierci teściów kobieta praktycznie nic nie zmieniła w tym domu. Łóżka były tak stare, że sprężyny z nich wystające wpijały się w żebra. Kiedy Kamila była jeszcze mała, miała niezły ubaw, śpiąc na tym łóżku. Fantazjowała, że śpi „w górach”. Pagórki i doliny nie przeszkadzały jej małemu, plastycznemu ciału. Gdy dorosła, za nic w świecie nie chciała spać na żadnym z tych łóżek. Przejęta Marysia zorganizowała więc materace, na których już od kilku sezonów spali

przebywający w jej domu goście.

Jedyne, co było nowe, to łazienka. Gdy Gerard przywiózł Julitę po raz pierwszy do rodzinnego domu, „te sprawy” wiązały się z wycieczką do wygodki za stodołą. Teraz można się było nawet umyć jak człowiek, i to pod prysznicem.

– Jak dobrze cię widzieć, Julitko. Nic się nie zmieniasz. Cały czas taka uśmiechnięta i pogodna. No, może masz trochę zmęczone oczy, ale po tylu godzinach w samochodzie masz prawo być wykończona – powiedziała Marysia. – Może masz ochotę się odświeżyć po podróży? Ile godzin jechaliście?

– Prawie jedenaście.

– O rety. To bardzo długo. No, ale Gerard zapewne chciał dojechać bezpiecznie. Cały on. Cudownie dba o waszą rodzinę. Taki mąż to skarb.

– To prawda – przytaknęła Julita z nieudawaną szczerością. Spojrzała z dumą na męża, uśmiechając się do siebie. Miała szczęście, że ktoś taki jak on o nią dba. – Z przyjemnością wzięłabym prysznic, jeśli pozwolisz – zwróciła się do Marii.

– Oczywiście, zaraz przyniosę ręcznik. Rozgośćcie się. Jesteście przecież u siebie. Grzegorz poklepywał brata po plecach, chwalał ich nowego-starego Citroena. Kamila i Marcin zamienili kilka słów z Jacusiem. Jak co roku wyglądało to tak samo.

Krople ciepłej wody spływały po ciele Julity. Zamknęła oczy, pozwalając zmysłom na chwilę oddechu po męczącej podróży. Jak to dobrze, że przynajmniej w tym aspekcie to miejsce odrobinę się ucywilizowało. Pomyślała nawet przez chwilę, że cieszy się z obecności tutaj. Odpocznie od supermarketów i niekończących się w nich kolejek. Odpocznie od przygotowywania śniadań, obiadów i kolacji. Marysia może nie była mistrzynią kuchni, ale z głodu na pewno nie pozwoli nikomu umrzeć. Płyn o zapachu czekolady docierał do jej zmysłów. Stała pod prysznicem i myślała o wszystkim i o niczym. Ukryła mokrą twarz w dłoniach. Nie była pewna, czy płacze ze zmęczenia, z rozpaczy czy ze smutku. Czy też może to jednak tylko krople wody spływały jej po policzkach. A może płakała ze szczęścia? Mimo wszystko dotarli przecież szczęśliwie.

Zakręciła wodę, energicznie wytarła ciało frotowym ręcznikiem i wyszła z łazienki.

– Napompowałem ci materac, mamó. Prześpij się trochę. – Marcin uśmiechnął się do matki. Dołączki w jego policzkach, zawsze poprawiały jej humor.

– A gdzie tata? – zapytała niepewnie.

– A gdzie może być tata? Chwali się przed wujkiem możliwościami swojego rzęcha – rzuciła Kamila. – Zawieszenie się podnosi i opada, zawieszenie się podnosi i opada, zawieszenie się podnosi i opada, widziałeś, Grzesiek, takie rzeczy, widziałeś,

Grzesiek, takie rzeczy. Bla, bla, bla. Stary rupieć. – Kamila doskonale parodiowała zachowanie ojca.

Julita miała ochotę się roześmiać, lecz ostatecznie stwierdziła, że byłoby to nietaktowne.

– Kamilko, przestań, proszę. Nie śmiej się z taty. Nie ma nic złego w tym, że chce pochwalić się nowym samochodem, prawda?

– Jakim nowym, mamó? Ledwo się tu dokulaliśmy. Ze Szczecina do Jaczewa jechaliśmy jedenaście godzin. Jedenaście!!! Toż to szok! – Złapała się za głowę.

– Dobrze, że miałam słuchawki na uszach, to nie słyszałam zipiącego silnika tego dwudziestoletniego wehikułu.

– Citroen taty ma siedemnaście lat, córeczko.

– Oj tam, trzy lata w tę czy we w tę. Wielka mi różnica. Rupieć i tyle. Ojciec próbuje przed wujkiem leczyć swoje kompleksy. Żal.pl, tyle ci powiem, mamó.

Po dwóch dobach na nogach ostatnią rzeczą, na jaką gotowa była Julita, były rozmowy wychowawcze. Ze wszystkich sił pragnęła położyć się na nadmuchanym przez syna materacu i zasnąć błogim snem. Tak też uczyniła. Zanim jednak całkowicie oddała się w objęcia Morfeusza, dopadły ją wyrzuty sumienia, że nie tak wychowała dzieci. Nie powinny nabijać się z własnego ojca. Ojca trzeba przecież kochać i szanować. Jakikolwiek by nie był... Bycie matką było jej jedyną życiową rolą. Zrezygnowała ze wszystkiego, co nosiło znamiona samorozwoju. Była matką, żoną i coraz rzadziej kochanką. Do tego ostatniego od jakiegoś czasu się nie nadawała. Tak twierdził Gerard, a ona mu wierzyła.

Obudził ją dźwięk dzwoniącego smartfona. „Rany boskie, kto się tak tłucze bladym świtem?” – pomyślała, klikając zieloną słuchawkę.

– Słucham – powiedziała sennym tonem, próbując się przeciągnąć niczym kot po popołudniowej drzemce.

– No, nareszcie! Dzwonię i dzwonię. Miałaś dać znać, zaraz jak dojedziesz. Czekam i czekam, a ty jak zwykle nic. – Elka trajkotała do słuchawki, nadzwyczajnie pobudzona.

– Ela, to ty?

– Nie, Magda z *Kuchennych rewolucji*, spieszę z kolacyjką.

– Oj, przydałaby mi się. Czekaj, czekaj... – Julita zerwała się na równe nogi, zapominając, że jeszcze przed chwilą smacznie spała. – Boże święty, która jest godzina? O matko, moje kości, wszystko mnie boli.

– Niech zgadnę... – Elka śmiała się do słuchawki. – Powietrze ci zeszło z materaca.

– Skąd wiesz?

– A jak myślisz?

– No tak, głupie pytanie.

– Dobra, teraz całkiem poważnie. Skoro ze mną rozmawiasz, domyślam się, że dojechałaś cała i zdrowa. Opowiadaj, jak tam Marysia, jak Grzesio, no i oczywiście Jacuś. Jak droga?

Julita odkasznęła, dając sobie czas na zastanowienie, czy chce rozmawiać z przyjaciółką uczciwie. Stwierdziła jednak, że powie prawdę, bo nie miała ani siły, ani ochoty na wymyślanie kłamstw.

– Eli, przecież wiesz. Tutaj nic się nie zmienia. Orzech tak jak stał, tak stoi, Marysia tak jak nosiła kolorową chustkę na głowie, tak dalej ją nosi, a Grzegorz... cóż, jak to Grzegorz, zachwyca się Citroënem, bo nie ma innego wyjścia. Nigdy nie przestanie być najlepszym bratem.

– Jak Jacuś? Zjadł już konfitury? Czy jeszcze co nieco się ostało?

– Nawet nie wiem. Smażyłam te konfitury do późnych godzin nocnych, potem ta podróż. Jak dojechaliśmy, to padłam. Marcin ledwie zdążył napompować materac, bo usypiałam w locie. W sumie to może zacząć go dmuchać ponownie, chętnie znowu bym się położyła.

Kobiety roześmiały się serdecznie. Ech, jakie to by było cudowne, spędzić chociaż jedno wakacje razem. Ela wielokrotnie namawiała Julitę na tego typu „szaleństwo”, jednak ta nijak nie dawała się przekonać. Ciągle tylko obiecywała, że porozmawia z Gerardem, ale na tych obietnicach się kończyło.

– Tyle godzin jechałaś, to nie mogłaś się zdrzemnąć?

– A wiesz, rozmawialiśmy z Gerardem... Nie chciałam, aby usnął za kierownicą. Wiesz, jak jest – miotała się w zeznaniach, usiłując zachować spokojny ton.

– Aha, rozumiem. Świstak siedzi i zawija w sreberka. Kogo ty chcesz oszukać? Myślisz, że nie słyszę, jak ci się łamie głos? Jakby co, to wiesz... O każdej porze dnia i nocy. Ja jestem.

Właśnie dlatego wcześniej zdecydowała się mówić prawdę – Ela знаła ją za dobrze, żeby mogła cokolwiek przed nią ukryć.

– Eli, wszystko w porządku. Naprawdę. Tyle że nie bardzo mogę teraz rozmawiać, bo wołają mnie na kolację. Zadzwoń do ciebie jutro. Kocham cię, buziaczki, pa.

– Pa – powiedziała Ela do słuchawki, w której panowała już głucha cisza.

Julita stała obok płaskiego jak naleśnik materaca, ściskając w rękach telefon. Wciąż nie mogła się nadziwić nadprzyrodzonym umiejętnościom Eli, dotyczącym bezbłędnego odgadywania jej osobistych nastrojów. Gdyby się zastanowić, nie było w tym nic dziwnego. Znały się przecież od dziecka, były jak siostry, a czasem nawet

jak jedna dusza w dwóch ciałach. Gdyby jej własny mąż chociaż po części był tak troskliwy, jak Ela, byłaby najszczęśliwszą kobietą na świecie, a tak... była tylko szczęśliwa. Szczęśliwa na swój sposób, czyli na tyle, na ile zdołała to sobie wmówić.

Usłyszała troskliwe wołanie męża:

– Julitka, Julitka, kochanie. Kolacja na stole. Wypoczęłaś, skarbie?

W Jaczewie Gerard zmieniał się w innego człowieka. Tam był takim mężem, o którym w Szczecinie mogła tylko pomarzyć.

Każda szanująca się jaczevska gospodyni miała dwie kuchnie – jedną roboczą, a drugą wystawową. Tak samo było u Marysi. W roboczej kuchni się gotowało i jadło, a w kuchni wystawowej nie wolno było niczego dotykać. Korzystano z niej tylko wtedy, gdy ksiądz przychodził po kolędzie. Julita przebywała aktualnie w tej drugiej, ciesząc oczy jej niezmiennością. Na półkach pomalowanego na biało, nadgryzionego zębem czasu kredensu w równiutkim rzędzie stały zawekowane konserwowe ogórki. Ich wieczka zdobiły lniane ściereczki obwiązane kolorowymi wstążeczkami. W tych lnianych ściereczkach zakłęty był oddech jej nieżyjącej od dawna teściowej. Gdy Helena była wśród nich, wszystko w tym domu było niby takie same, a jednak całkowicie inne. Julita pomyślała o Marysi. Jej szwagierka była bardzo związana z teściową. Zawsze wspólnie „pakowały lato do słoików”, jak to nazywała w myślach Julita. Po śmierci teściowej Marysia nie była w stanie sprostać tej czynności. Dlatego właśnie zawsze prosiła o przywiezienie domowych konfitur.

– Julita, Julitka, idziesz? Naleśniki stygną! – krzyknął ponownie Gerard.

Ton głosu męża przyprawiał ją o szybsze bicie serca. Pod jego wpływem dostała rumieńców na twarzy. Pragnęła bliskości, czułości, dobrego słowa, tak bardzo, jak tylko można to sobie wyobrazić. Uczyla się na pamięć chwil mających jej wystarczyć na długo. Zacisnęła mocniej pasek szlafroka i zeszła na dół, do kuchni codziennej.

Widok umorusanej buzi Jacusia sprawił jej nieopisaną przyjemność. Konfitura spływała po twarzy dziecka, bezwstydnie zatrzymując się na brodzie. Gdy chłopiec spostrzegł stojącą obok ciotkę, pucołowate policzki uniosły mu się w górę w błogim uśmiechu.

– Ciocia, ale dobre. Szkoda, że tak mało – powiedział, smarując naleśnik.

Marysia zmrużyła oczy i westchnęła.

– Oj, Jacuś, wcale nie mało. Ciesz się z tego, co masz. Jest na świecie mnóstwo dzieci, które głodują. I nie wszyscy mają też ciocie, które robią takie pyszności. – Maria uśmiechnęła się do Julity, puszczając oczko.

Julita stała w drzwiach kuchennej izby, próbując dostrzec, co zmieniło się od zeszłego roku. Nic takiego nie dostrzegła. Nawet zapach był taki sam – pomieszanie

stęchłych ziemniaków z przyjemnym chłodem lipcowego wieczoru dawało niezwykle oryginalną i przypisaną tylko do tego miejsca aurę.

– Jak tam, kochanie? Wypałaś się troszkę? – Gerard przesunął się na ławce, robiąc żonie miejsce obok siebie.

Kamila z Marcinem spojrzeli po sobie. Wzrok Kamili zadawał Marcinowi bezgłośnie pytanie z cyklu: „Gdzie się podział nasz stary?”. Julita usiadła niepewnie obok męża, a przed jej nosem w ułamku sekundy pojawił się talerz.

– Jedz, jedz, kochana – zachęciła Marysia. – Na pewno jesteś głodna. Wiem, że do późna robiłaś dla Jacusia konfiturę. – Jej wzrok padł na Kamilę i Marcina. – Tym bardziej chcę o ciebie teraz zadbać.

Julita uśmiechnęła się niepewnie. Na stole stał półmisek ze stosem ociekających tłuszczem placków. Cała Marysia... Jej kuchnia była tłusta i treściwa. Gotowała tak, jak nauczyła ją teściowa – Helena zawsze powtarzała, że chłop to musi zjeść tłusto, aby miał siłę do roboty. Obok naleśników stała nutella i oczywiście konfitury, choć właściwie Jacuś spałaszował już niemal cały słoik. Julita przepadała za nutellą. Miała w domu ukryty jeden słoiczek, do którego od czasu do czasu ukradkiem zaglądała. Gdyby Gerard widział, że podjada niedozwolone słodkości... Odpędziła od siebie te myśli, ale na widok smakołyku dosłownie ciekła jej ślinka. Pech chciał, że była nieprzyzwoicie głodna, w związku z czym pokusa z każdą sekundą wydawała się coraz większa... Miała ogromną ochotę na tłustego naleśnika Marysi, okraszonego czekoladowym kremem. Tylko co by powiedział na to Gerard?

– Julitko, częstuj się – rzekła Marysia. – Pamiętam, że lubisz naleśniki. Tak po prawdzie, to przygotowałam je z myślą o tobie, ale jeśli się nie skusisz, to mam jeszcze coś innego. – Otworzyła lodówkę i zaczęła wyciągać warzywa, masło, ser żółty, wędlinę i sałatkę jarzynową.

Julita spojrzała na to wszystko, żegnając się w myślach z naleśnikiem. No bo skoro miała wybór, powinna przecież zjeść coś lżejszego. Coś, co nie przyczyniłoby się do rozrostu jej i tak już rozrośniętych masywnych ud. Szkoda, że Marysia nie umiała czytać w jej myślach, tak jak Ela. Gdyby tak było, nie postawiłaby na stole nic innego. A tak Julita, niewolnica swoich przyzwyczajzeń i chęci spełniania oczekiwań męża, miała ogromny dylemat, czy zwieść się na kulinarne pokuszenie.

– Kochanie, słyszysz, co mówi Marysia? Zjedz naleśnika, przecież lubisz. Jest też twoja ulubiona nutella. Bardzo proszę. – Mąż nałożył jej placek na talerz i nałożył grubą warstwę kremu czekoladowego.

Znała go jak zły szeląg i wiedziała, że powinna być czujna. Powinna uśmiechnąć się, podziękować za naleśnik i zadowolić się kromką chleba z liściem sałaty. Wiedziała też, że jak się skusi, wieczorem będzie musiała wysłuchać Gerardowego

monologu, dotyczącego odżywiania osób takich jak ona, z nadwagą. Na jej stwierdzenie, że przecież sam położył jej placek na talerzu, on odpowie, że zachęcał ją do jedzenia tylko dlatego, aby nie wyjść przed swoją rodziną na gbura. Możliwa była jeszcze inna opcja: jak odmówi, wieczorem usłyszy, że jest nieposłuszna i niewdzięczna. On chce dobrze, a jej nie można dogodzić. Wiedziała, że jedna z tych dwóch scen rozegra się na pewno. Chyba że stanie się coś, czego teraz nie umiała przewidzieć. Życie z Gerardem było jedną wielką niewiadomą. Była w kropce.

Jako że trudno jej było przewidzieć, która opcja okaże się tą zadowalającą oczekiwania męża, ostatecznie postanowiła pójść na całość i zjeść naleśnik.

– Marysiu, to jest doskonale! Nie pamiętam już, kiedy jadłam ostatnio naleśniki smażone na tłuszczu. Wiem, wiem, nie powinnam. To zbrodnia dla mojej figury, ale przyznam ci, kochana, że dla tego smaku warto zgrzeszyć.

Marysia uśmiechnęła się szczerze, wystawiając na światło dzienne swoje krzywe, przyśódkle uzębienie. Może i nie była nad wyraz urodziwa, może nie miała szczególnej ogłady i taktu, lecz miała coś, czego Julita bardzo jej zazdrościła – była pozbawiona wszelkich kompleksów.

Przy stole nagle zrobiło się głośno. Dźwięk rozlewanej do szklanek pomarańczowego soku mieszał się z odgłosami rozmów wszystkich członków rodziny. Julita pomyślała, że jest naprawdę miło. Upiła łyk napoju, zaśmiała się z dowcipu opowiedzianego przez Grzegorza, pogłaskała kota ocierającego się o jej nogi i... poczuła uszczyplenie na wysokości prawego ramienia. To Gerard. Korzystając z gwaru, owym uszczypleniem chciał zwrócić jej uwagę. Spojrzała w jego stronę przestraszonym wzrokiem. Uśmiechnął się z udawaną szczerością, po czym szepnął jej do ucha:

– Nie przesadziłaś z tym naleśnikiem? Poza tym nie uważasz, że siedzenie w szlafroku przy stole jest raczej nie na miejscu?

Przez resztę wieczoru robiła dobrą minę do złej gry. Nie ważyła się nawet dać po sobie poznać, że coś jej leży na wątrobie (i na pewno nie chodziło o pyszny naleśnik). W okolicy mostka odczuwała klucie, w gardle miała kluchę. Pomimo wszystko uśmiechała się serdecznie, rozmawiając z Marysią. Wypytała ją o wszystko, o co można było wypytać wiejską gospodynię. Marysia odpowiadała ochoczo, ciesząc się, że ktokolwiek interesuje się jej życiem, a życie na jaczewskiej wsi płynęło zdecydowanie wolniej. Nie było przepełnione pulsującym w żyłach stresem ani okupione hektolitrami kiepskiej jakości kawy. Można by tu było naprawdę odpocząć. Gdyby nie...

„Wszystkiemu winien jest ten naleśnik” – uznała w myślach. Próbowwała zasnąć,

ale niestety nie mogła. Przewracała się z boku na bok. Dlaczego to jej ciągle przytrafiały się gafy? Dlaczego pomimo że znała swojego męża od niemalże dwudziestu lat, nie potrafiła wyczuć jego pragnień? Gerard był taki zaradny, mądry. No i dbał o nią. Może nie mieli luksusów, ale niczego jej nie brakowało. Dlaczego nie potrafiła mu się odwdzięczyć? Dlaczego miała tak słabą wolę i nie potrafiła zgubić ani kilograma? Gerard nie lubił grubych kobiet. Jej było to po prostu obojętne.

Leżała, oczekując męża. Układała w myślach tłumaczenia, dlaczego zachowała się tak niestosownie. Rozważała różne opcje. Może tym razem jej się upiecze? Może tym razem trafi w samo sedno i powie to, co jej mąż akurat chciałby usłyszeć? Przecież kiedyś musi jej się udać!

Ktoś chyba nad nią czuwał, bo tego wieczoru Gerard upił się tak mocno, iż nie zdołał dotrzeć do pokoju, w którym czekał na niego napompowany materac. Jakimś cudem wszystko ją ominęło. Może jednak cuda się zdarzają? Usnęła z delikatnym uśmiechem na ustach. Może wszystko jeszcze będzie dobrze? „Na pewno” – pomyślała.

6. Wakacyjne spotkanie z mantrą

Świadomość przebijała się przez zakamarki minimalnie rozchylonych powiek Julity. Do jej uszu docierał śpiew ptaków, który na wsi brzmiał jakoś inaczej niż w mieście. Czyżby te ptaki były mniej zestresowane? Gdzieś z oddali sączyła się muzyka. Kobięcy głos śpiewał:

Ra ma da sa sa say so hung.

Ra ma da sa sa say so hung.

Ra ma da sa sa say so hung.

Utwór był na tyle długi, że Julita zdążyła się już całkowicie wybudzić. Lubiała spać na wznak, co w Jaczewie nie było pożądaną pozycją. Kość ogonowa wbijała się w twardą podłogę. Podobno jedyne, co w życiu pewne, to zmiany. W odniesieniu do materaca to powiedzenie nie miało swojego zastosowania. Niezmiennie schodziło z niego powietrze.

– Cześć, mamó. Wyspałaś się? – zapytała Kamila.

– Cześć, córeczko. – Julita przeciągnęła się, rozpościerając szeroko ramiona. – Tak, wyspałam się. O dziwo, spałam nie najgorzej. Gdzie tata?

– Mamó, czy twój dzień musi zaczynać się od pytania o ojca? Jesteś od niego uzależniona czy jak? Dzięki temu, że nie zdołał tu dotrzeć o własnych siłach, przynajmniej się wyspałaś. Nie mam racji? – Kamila widziała więcej, niż Julicie się zdawało. Nie była już tą małą dziewczynką, której można było wszystko wmówić.

Przemilczała celną uwagę córki.

– Co to za muzyka? Czego słuchasz? Fajne, takie... hm... jak to nazwać... kojące?

– Ten kawałek przyszedł z dedykacją dla ciebie. Ciocia Ela przysłała na Messengerze link z YouTube'a. Coś tam napisała jeszcze, ale nie chciałam być wścibska. Otworzyłam tylko załącznik. Przyjemnie brzmi, prawda? Tylko trochę nudne to, bo te same wyrazy powtarzane są w kółko. Autor tekstu się nie wysilił.

– Pokaż mi to. – Julita wyrwała córce swój smartfon, wyłączyła muzykę i otworzyła wiadomość od Eli.



Wiadomość od: Elżbieta Galinowicz

Do: Julita Snarska

Hej, Juli. Przesyłam ci coś fajnego, myślę, że to ci pomoże. Słuchaj tego codziennie, OK? Najlepiej rano, między czwartą a siódmą, albo wieczorem, między szesnastą a dziewiętnastą. Tęsknię za tobą. Widziałam fajne walizki w promocji. Kolor wściekle czerwony, taki, wiesz, z pazurem. Spodobałyby ci się. W sam raz na wyprawę nad morze. Odezwij się, jak znajdziesz czas.

Buziaki w cycaki ;-)

Ela

Cała Ela. Jak zwykle miała dla niej jakiś cudownie uzdrawiający lek na wszystko.



Wiadomość od: Julita Snarska

Do: Elżbieta Galinowicz

Eli, kochanie, dziękuję za tę piękną przyśpiewkę. Dziś rano obudziłam się przy jej „tanecznych” rytmach. Tak się złożyło, że moja córeczka szczęśliwie zauważyła, że mi ją przysłałaś. Nie wiem, co kombinujesz, ale uroczyście oświadczam, że nie mam zamiaru wstawać o świcie, aby posłuchać piosenek kogoś, kto nie jest w stanie wymyślić więcej niż osiem słów, i to jeszcze w jakimś dziwnym języku. Może znajdziesz coś ambitniejszego? Wiem, wiem... Zaraz mi odpiszesz, że wieczorem mogę posłuchać. Informuję, że wieczory też mam zajęte (spędzam je z Marysią). Jak wrócę, to pogadamy. Też za tobą tęsknię. Ale wiesz co? Nie jest najgorzej. Wczoraj Gerard się upił ;-). Nie sądziłam, że kiedykolwiek będę dziękować za zbawienny wpływ alkoholu na mojego męża.

Buziaki w cycaki? Cóż to za określenie?

*Ściskam
Juli*

7. Julita

Moja przyjaciółka Ela ciągle zgłębiała sekrety swojego wewnętrznego ja, co miało przynieść jej spokój i ukojenie. Próbowwała wciągać mnie w te poszukiwania. Wymawiałam się brakiem czasu albo innymi rzekomymi obowiązkami. Czas płynął, a ja nie miałam go na zwykłe życie. Byłam zajęta przede wszystkim Gerardem. Skupiałam całą uwagę na obmyśleniu strategii, jak go uszczęśliwić. Koncentrowałam na tym swoje „wszystko” – swój poranek, popołudnie, wieczór. Cały dzień. Kiedy już wydawało mi się, że jestem blisko, że witam się z gąską, nagle przed moimi oczyma pojawiała się coś, co zmiatało całą moją nadzieję, pozostawiając zgłiszczca. Nie poddawałam się – próbowałam dalej. Przysięgałam przecież przed Bogiem „na dobre i na złe”. Mieliśmy razem chodzić za rękę, śmiać się i pić poranną kawę. Mieliśmy czytać książki – ja romanse, Gerard kryminały. Potem mieliśmy rozmawiać na temat tego, jakie uniwersalne prawdy odnaleźliśmy w lekturze. Miało być tak normalnie. Wierzyłam, naprawdę wierzyłam, że z Gerardem, ojcem moich dzieci, mogę zbudować wspólny świat. Powiem więcej, byłam przekonana, że ja ten świat z nim zbudowałam. Całe moje życie opierało się na tym związku. Tak bardzo byłam na nim skupiona, że nie myślałam o sobie.

Na szczęście miałam Elę. Kiedy przysłała mi mantrę, zupełnie nie byłam świadoma, jak powtarzanie jej słów może na mnie wpłynąć. Ela zawsze miała milion pomysłów na to, jak uzdrowić moje życie. Nie docierało do niej, że uzdrowienia doświadczę jedynie wtedy, kiedy sama będę tego chciała. Na to nie byłam jeszcze gotowa. Potrzebowałam czasu, by dojrzeć.

8. Wycieczka nad rzekę

Minął już tydzień pobytu w Jaczewie. Całkiem przyjemny tydzień. Pogoda dopisywała, w związku z tym każdego dnia można było wypoczywać na łonie natury. Fantastyczne w tej miejscowości było to, że odcięta była od wszelkiego rodzaju komercyjnych atrakcji. Brak możliwości spędzania wolnego czasu w galeriach handlowych czy innych tłocznych miejscach sprawiał, że człowiek zaczynał zauważać inne rzeczy. Julita zachwycała się życiem na wsi. Wyrażała radość z faktu, że wiejski sklep jest tu czynny jedynie trzy razy w tygodniu i można w nim kupić wszystko, co człowiekowi do życia niezbędne. Z radością chodziła z Marysią na zakupy. Niosła siatki z mąką, wędliną, serem, płatkami śniadaniowymi, z których potem przygotowywała pożywną owsiankę. Mleko Marysia miała własne, smakowało całkiem inaczej niż to sklepowe. Krowa Mućka, choć wiekowa, ciągle dawała radę. Tuzin Marysinych kur znosił piękne jajka. Nic więcej do szczęścia nie było potrzebne. Przez głowę Julity coraz częściej przebiegały myśli, że mogłaby na takiej wsi zamieszkać. Może wtedy nie tęskniłaby za morzem?

Nastrój tego miejsca wpływał na nią pozytywnie. Gerard wciąż gdzieś znikał z Grzegorzem, nie było ich całe dni, po czym wracali wieczorem i zatracali się w „degustacji” coraz to innego rodzaju piwa. Wcale jej to nie przeszkadzało. Pełna optymizmu i wiary w przeżycie fantastycznego dnia, pomyślała, że nie będzie się wtrącać w męskie sprawy i zaproponuje Marysi wypad nad rzekę.

– Zobacz, jak jest cudownie. Zrobimy kanapki z serem, przygotujemy mrożoną herbatę, wskoczmy w kostiumy. Może dzieci z nami pojedą? Będzie fajnie – namawiała szwagierkę.

– Julita, co ty wygadujesz? Jakie kostiumy? Ja nawet nie wiem, co to jest. Nie mam czegoś takiego w swojej szafie. Sto lat nie byłam nad Liwcem. – Marysia była sceptycznie nastawiona do pomysłu.

– Czas to zmienić! – Julita nie dawała za wygraną. Zależało jej na tym wypadzie.

– W naszym sklepie kostiumów nie uruczysz. Nie mam co na siebie włożyć.

Przykro mi.

Marysia miała rację. W jaczewskim sklepie nie było ubrań. Może faktycznie, proponując Marysi wypad nad rzekę, wyskoczyła trochę jak filip z konopi? Nie zamierzała się jednak tak szybko poddawać.

– Marysiu, kiedy ostatnio gdzieś sama wyszłaś? Powiem ci szczerze, że ja nie pamiętam, kiedy ostatnio coś zrobiłam dla siebie. Nasi mężowie przez cały czas są zajęci sobą. Może i my wymyślimy coś fajnego?

– A kto robi obiad? Dzieci z głodu poumierają.

Przysłuchująca się całej rozmowie Kamila zerknęła wymownie znad książki.

Ostatnio pochłaniała je w zastraszającym tempie.

– Ciociu, mama ma rację. Wybierzcie się nad tę rzekę. My z Marcinem coś przygotujemy. Utluczemy schabowe. Co myślisz, Marcin?

– Jasne, Jacuś nam pomoże. Prawda, Jacuś?

Pulchny chłopczyk skinął głową. Marysia westchnęła z rezygnacją. Zerknęła niepewnie w stronę Julity. Było wiadome, że wypad się odbędzie.

– Jak chłopcy nie będą mieli co jeść, to ty się tłumaczysz. – Żartobliwie pogroziła palcem.

Julita machnęła ręką, jakby usłyszała coś, co wcale nie zrobiło na niej wrażenia.

– Spokojnie, biorę to na siebie. – Uśmiechnęła się, myśląc, że dla niej to chleb powszedni, bo Gerard czynił ją odpowiedzialną niemal za całą rzeczywistość.

– Jedźcie nad ten Liwiec, wymoczcie swoje geriatryczne ciała i wróćcie zrelaksowane i uśmiechnięte. My się wszystkim zajmiemy – wtrąciła się Kamila.

– Na pewno? – Marysia dalej nie była przekonana.

– Na sto procent. – Bezzębny Jacuś, któremu tydzień wcześniej wypadły dwie jedyńki równocześnie, uśmiechnął się szeroko.

Początkowo niezbyt przekonana do szalonego pomysłu Marysia, teraz wydawała się cała w skowronkach. Zaproponowała Julicie, że pojedą w takie miejsce, w którym nigdy nikt się nie kąpie. Dzięki temu nikt nie zauważy, że zamiast modnego kostiumu będzie miała na sobie bawełnianą bieliznę. Julita ucieszyła się na taką propozycję. Wbiła się w swój marynarski, nieco przyciasny strój, owinęła szczelnie kolorowym pareo, robiąc z niego sukienkę, i była gotowa.

– Wyglądasz bardzo ładnie, Julitko.

– Maryś, co ty opowiadasz? Gdyby kostium nie był z lycry, mogłabym wsadzić w niego co najwyżej czubek buta.

– Na plażę nie chodzi się w butach – zauważyła Maria, po czym obydwie się roześmiały. – Pojedziemy do Węgrowa. Tam przejdziemy przez lasek, prosto do Liwca. Legniemy się na koc i już. Za dwadzieścia minut mamy autobus, pośpiesz się, Julitko.

– Spiesz się, spieszę. Jestem tak podekscytowana, jakbym jechała przynajmniej na Bora Bora.

– Bora co? – Marysia zmarszczyła nos.

– Nieważne. – Julita odchrząknęła. – Jestem gotowa.

Autobus przyjechał punktualnie. Kobiety, jak tylko się w nim rozsiadły, natychmiast wyciągnęły kanapki. Julicie przypomniały się czasy, gdy była małą dziewczynką. Gdziekolwiek by jechała, zawsze musiała mieć przygotowaną kanapkę. Autobusy działały na nią tak, że gdy tylko znajdowała się w ich wnętrzu,

automatycznie stawała się głodna. Tak było i tym razem. Przeżuwała bułkę z serem, podziwiając widoki za oknem. Zastanawiała się, dlaczego tak rzadko sprawia sobie przyjemności, choćby drobne. Czyżby dawała Kamili przykład cierpiętnicy? Czyżby uczyła córkę, że małżeństwo to ciągły trud? Całe życie wydawało jej się, że jej małżeństwo jest w miarę udane. Wiadomo, nie ma domu bez złomu. Zdarzały się burze z piorunami, lecz zaraz po nich kałuże wysychały. Wszystko wracało do jako takiej normy, ale czy świeciło potem słońce? Nad tym nigdy się nie zastanawiała.

Dojechały wreszcie do Węgrowa. Marysia nabrała kolorów. Opowiadała o wszystkim i o niczym, ciesząc się z wyprawy, jak mała dziewczynka. W drodze z przystanku zatrzymały się przy budce z lodami. Wybrały te w rozmiarze XXL, o smaku czekoladowo-śmietankowym.

– Moje ulubione! Sto lat takich nie jadłam! – ekscytowała się Marysia.

– To już druga rzecz, której nie robiłaś sto lat, Marysiu.

Marysia nieco spoważniała i obdarowała Julitę podejrzliwym spojrzeniem. Jej czoło się zmarszczyło, zsuwając kolorową chustkę na oczy kobiety. Poprawiła ją pośpiesznie i zapytała:

– Chcę cię o coś spytać, Julita. Mogę?

Julita zamarła w bezruchu. Marysia rzadko zadawała pytania, do tego ton jej głosu był jakiś dziwny...

– Jasne, pytaj. Zawsze mogę asertywnie nie odpowiedzieć.

– Jak?

– Nieważne. Oczywiście, pytaj. – Julicie zrobiło się głupio. Poczerwieniała ze wstydu nad własną nietaktownością. Marysia była prostą kobietą, której nikt nie dał szansy na edukację. Skończyła jedynie osiem klas szkoły podstawowej.

– Powiedz mi, czy ty jesteś szczęśliwa z Gerardem?

Julita była totalnie zaskoczona. Wydawało się, że jej szwagierka nigdy nie zastanawiała się nad sensem życia, traktując wszystko z wrodzonym optymizmem i pełną akceptacją stanu rzeczy. A jednak... Pytanie było proste, a zarazem trudne. Julicie odebrało mowę. Wreszcie na odczepnego odparła, że nigdy się nad tym nie zastanawiała. Marysia tylko się uśmiechnęła, nie komentując, ale choć torba z kanapkami wpijała jej się w ramię, odwracając uwagę od pytania, wracało ono do jej myśli jak bumerang, nie dając spokoju.

Kiedy dotarły nad rzekę, Marysia rozłożyła koc w zielono-niebieską kratkę, pamiętający jeszcze chyba czasy komunistyczne, po czym zdjęła z siebie kwiecistą sukienkę. Rozsiadła się na kocu, w samej bieliźnie. Julita przyglądała się ukradkiem jej pomarszczonej, nieskażonej makijażem twarzy i wałeczkom na brzuchu.

– Wiem, że jestem wielka jak słoń – powiedziała Marysia.

Julita się zawstydzila i uciekla wzrokiem w bok. Gerard często mawiał, że jest „królową przypału”. Może miał rację? Wydawało jej się, że zachowuje się taktownie, a potem wychodziło jak zawsze.

– Wcale nie jesteś wielka jak słoń!

– Nie umiesz kłamać, Julita. To dobrze. – Uśmiechnęła się. – Na kocu, który pamięta drugą wojnę światową, siedzi słoń, ubrany w gacie zakupione na wiejskim odpuscie. Śmieszny widok. Nie wiem, co się stało z tą piękną, szczupłą Marysią. Kiedyś na zabawach wszyscy chcieli ze mną tańczyć, a teraz... Ale mam to gdzieś. Dla Grzeška ciągle jestem tą piękną. Chociaż, sama widzisz... – Wskazała na tyłek. – Wyglądam jak wieloryb.

– Nie jesteś ani słoniem, ani wielorybem. Spójrz na mnie! Daleko mi do figury królowej fitnessu. Przy stu sześćdziesięciu pięciu centymetrach wzrostu noszę rozmiar czterdzieści dwa, a czasami nawet czterdzieści cztery. To ja jestem słoniem i wielorybem. Gerard cały czas mi powtarza, że powinnam schudnąć. Mówi, że jestem jak świnia. Za każdym razem, kiedy biorę do ust choćby kęs czegoś, mam wyrzuty sumienia, że w ogóle jestem głodna. Oj, przepraszam, nie to chciałam powiedzieć. To zabrzmiało jak... pewnie teraz pomyślisz...

Julita zmieszala się. Było jej wstyd, że powiedziała prawdę. Zbyt mocno się wyluzowała. Wszystko przez ten autobus, przez tę zjedzoną w nim kanapkę, przez lody, przez „komunistyczny” koc... Bezpretensjonalność Marysi sprawiła, że rozwiązał jej się język. Nie taka przecież była Julita Snarska. Julicie Snarskiej nie wolno było ujawniać swoich prawdziwych myśli. Julita Snarska właściwie sama nie wiedziała, które z jej myśli są prawdziwe.

Wystraszyła się i zamilkła. Teraz Marysia wpatrywała się w nią wyczekująco. Julita spuściła głowę i zaczęła bawić się kawałkiem zerwanej przed sekundą trawy.

– Dlaczego Gerard nazywa cię świnia? – Zmarszczyła czoło.

– Świnia? Ja tak powiedziałam?

– Powiedziałaś. Wyraźnie słyszałam. – Nie dawała za wygraną.

– Och, nie, nie, musiałaś się przesłyszeć. Albo ja się przejęzyczyłam. Świnia? Nie, no coś ty. Gdzie Gerard i świnia? – Julita postukała się w czoło. – Gerard zawsze mówi, że jestem jak świstak. Taki wiesz, co siedzi i zawija w sreberka. Chodzi mu o to, że ja cały czas coś robię. Taki świstak jestem. Rozumiesz?

Starala się być przekonująca. Naiwnie wierzyła, że Maria kupi ten blef. Nie uważała szwagierki za specjalnie lotną ani dociekliwą, choć sama przed sobą wstydzila się, że tak ją ocenia. Marysia wciąż wpatrywała się w nią wyczekująco, ale nie dodała już ani słowa na ten temat. Uspokoilo to Julitę, chociaż pozostała w niej nutka niepewności. Czy aby na pewno Marysia dała się nabrać? Możliwe, bo przecież

w jej oczach Gerard był ideałem cnót wszelkich, wzorowym ojcem i mężem, który traktował swoją żonę niczym królową...

9. Kotlety schabowe

Zapach stęchłych ziemniaków pomieszanych z lipcowym wieczorem ulotnił się gdzieś w nieznane. Kuchnię nieobecnych w niej Marysi i Grzegorza wypełniał teraz smród spalenizny.

– Mówiłem ci, Kamila, że powinienem zadzwonić do Tomasza. Wytłumaczyłby nam, jak się smaży kotlety. Dobrze wiesz, że jest mistrzem w przygotowywaniu polskiego jadła. – Marcin, zrezygnowany nieudanymi kuchennymi rewolucjami, próbował przemówić siostrze do rozumu.

– Ile razy mam ci powtarzać, żebyś uważał. Mało nam kłopotów? Ani się waż do niego dzwonić – syknęła. – Dobrze wiesz, że Jacuś, przy całej do niego sympatii, ma gumowe uszy. Wszystko wypapła – dodała ciszej, porozumiewawczo mrugając do brata.

– Zapytałbym tylko o przepis. Nic więcej.

– Już ja znam to twoje nic więcej. Ciuciu ruciu, ciuciu ruciu i motylki na łączce. Brat, uważaj. Mówię ci, uważaj. Telefon też noś przy tyłku. Ostatnio przez przypadek przeczytałam waszą dość osobistą wymianę zdań.

Ta przypadkowość grzebania w cudzych telefonach była oczywiście fikcją, a prawda była taka, że Kamilę aż zżerało z ciekawości, żeby poznać wiadomości wysyłane przez Tomka.

– No i...?

– No i lepiej, żeby nikt tego nie widział.

– Oj tam, przesadzasz, siostrzyczko. Jak zawsze. – Mrugnął do niej i przewrócił kotlet na drugą stronę.

– No! Tak jak mówiłam, wystarczyło zmniejszyć gaz. Nic się nie przypala, więc wygląda na to, że jesteśmy uratowani. Jak wrócą ojciec z wujkiem, podamy im schabowe jak ta lala.

– A będą ziemniaczki i ogóreczki? – wtrącił się bezzębny Jacuś.

– Oczywiście, że będą. Oczywiście. Nic się nie martw.

Kamila pogłaskała kuzyna po głowie, po czym zabrała się za obieranie ziemniaków i ogórków do mizerii. Jacuś dzielnie jej w tym pomagał. Był kochanym, dobrym dzieckiem. Może odrobinę zbyt papuśnym, ale ta jego pulchność dodawała mu tylko uroku. Jak człowiek na niego spojrział, miał ochotę się uśmiechać. Ciocia może odrobinę go przekarmiła, jednak biorąc pod uwagę, że latami walczyła o to, aby mieć dziecko, było to całkiem zrozumiałe. Wszyscy wierzyli, że z biegiem czasu chłopiec wyrośnie z nadprogramowych kilogramów.

Marcin właśnie kończył smażyć kotlety, mizeria była już prawie przygotowana, a na kuchni wesoło bulgotały ziemniaki. Atmosfera podczas przygotowywania obiadu

była nad wyraz miła. Nastolatkwowie nawiązali nić porozumienia z kilkuletnim Jacusiem, a chłopiec był zachwycony starszym kuzynostwem. Jako jedynakowi brakowało mu towarzystwa, tym bardziej spijał im z dzióbków wyrazy zainteresowania, ciesząc się każdym wypowiedzianym do niego słowem.

– Marcin, a co ty na to, abyśmy kontynuowali takie rodzinne gotowanie, jak już wrócimy do domu? Mama by odpoczęła, a i my mielibyśmy okazję, aby się czegoś pożytecznego nauczyć. Wiesz, zawsze potem można wykorzystać te umiejętności, na przykład zgłaszając się do jakiegoś telewizyjnego show – rozmarzyła się Kamila, zupełnie nie zauważając, że ich kuchennym poczynaniom przyglądał się ojciec.

– Co tu tak spalenizną śmierdzi? Chcecie puścić chałupę z dymem? Co tu się wyprawia? – zapytał ostro.

– Oj tam, zaraz śmierdzi. Te kotlety są całkiem niezłe, może trochę przypieczone, ale zjadliwe. – Grzegorz pochwalił starania młodzieży, wciskając sobie w usta spory kawałek jeszcze ciepłego mięsa.

Nie umknęło to uwagi Kamili. Wyprostowała się z dumą.

– Dzięki, wujku. Te pierwsze faktycznie trochę się przypiekły, ale te są już całkiem OK. – Podsunęła Grzegorzowi talerz pachnących i smakowicie zrumienionych kotletów.

Gerard uśmiechnął się sztucznie, starając się ukryć zażenowanie. W domowych warunkach ta sytuacja wyglądałaby inaczej. „Spalone kotlety! Skucha! Gdzie wasza matka?!”. Teraz musiał się opanować i to denerwowało go jeszcze bardziej.

– Gdzie wasza matka? – zapytał przez zaciśnięte zęby.

– No właśnie, gdzie się podziały nasze piękne panie? – zawtórował mu Grzegorz, cały czas przeżuujący kotleta. Wyglądał na spokojnego i zrelaksowanego.

– Mamusia pojechała z cicią nad Liwiec, a my robiliśmy razem obiad dla wszystkich. – Jacuś wręcz kipiał z podniecenia. Nigdy wcześniej nikt nie powierzył mu tak odpowiedzialnego zajęcia.

Grzegorz wziął synka na kolana i zaczął go łaskotać. Wydawało się, że nic nie jest w stanie przerwać tej rodzinnej sielanki. Gerard też jakby nieco odpuścił, nawet sam sobie nałożył na talerz jedzenie i zaczął konsumować. Cała reszta zrobiła to samo. Po zjedzonym posiłku Kamila zaoferowała, że posprząta.

– Jak mama z cicią wróca, to będzie im miło. Nie chcę, aby miały poczucie, że jak raz postanowiły się gdzieś wybrać, to domowe życie w tym czasie stanęło na głowie.

– Słusznie! – poparł ją Grzegorz. – Masz fajną córkę, bracie. Sam chciałbym taką mieć.

– Dzięki, wujku, wszystko przed tobą. – Bratanica obdarzyła go szerokim

uśmiechem.

Gerard zbył te uprzejmości milczeniem, przewracając tylko oczami.

– Marcin, zagramy w karty? Proszę, proszę. Zagraj ze mną! – Jacuś uwiesił się na nodze kuzyna.

Marcin wreszcie uległ. Przeprosił Kamilę, że nie pomoże jej w uporządkowaniu kuchni, co zostało oczywiście zrozumiane, i wyszedł, ciągnięty przez rozentuzjasmowanego kuzyna. Grzegorz podziękował za posiłek i korzystając z okazji, że żona nie przydziela mu domowych zadań, postanowił udać się na poobiednią drzemkę. Kamila została w kuchni z ojcem. Zaproponowała mu kawę, lecz odmówił. Widziała, że kipi ze złości. Nie lubił, kiedy mama robiła cokolwiek bez porozumienia z nim. Dziś faktycznie zaszalała, ale jak najbardziej jej się to należało. Niby kiedy miała mu powiedzieć, że zamierza się gdzieś wybrać? Wyszedł z wujkiem o świcie, zostawiając swój telefon w domu.

Gerard siedział na drewnianej kuchennej ławce. Przywołał do siebie psa i zaczął go karmić przygotowanymi przez córkę kotletami. Banuś zajadał, oblizując się i pomlaskując głośno. Był zachwycony posiłkiem, zresztą nie było co się psu dziwić. Na co dzień Julita zawsze gotowała dla niego kaszę. Przy pierwszym kotlecie Kamila nie powiedziała słowa, przy drugim też powstrzymała się od komentarza, jednak gdy zauważyła, iż na talerzu pozostały jedynie trzy kawałki mięsa, postanowiła nieśmiało się odezwać.

– Tato, nie myśl, że ja Banemu żałuję, ale... ale czy mógłbyś już nie karmić go mięsem? Mama z cicią zapewne wrócą głodne. Na pewno z przyjemnością zjedzą ciepły posiłek.

– Kto po wsi chodzi, swojej dupie szkodzi. Poza tym twojej matce dieta bez tłustego kotleta może wyjść tylko na dobre – powiedział, po czym oddał pozostałe trzy kotlety psu.

Kamila odwróciła się plecami. Nie odważyła się powiedzieć ani słowa więcej. Po jej policzkach ciekły łzy. Wiedziała, że dyskusje z ojcem zaszkodzą nie tylko jej, ale i wszystkim dookoła. Odkręciła kran i zaczęła zmywać naczynia, ciesząc się w duchu, że jej ciche pochlipywanie zagłusza strumień płynącej wody. Pomyślała, że cudownie byłoby, gdyby życie było takie proste, jak sprzątanie, gdyby można było sprawić, że brudne staje się czyste i jej rodzinę można naprawić, jak za dotknięciem magicznej różdżki. Niestety, nie było takiej możliwości i wszyscy musieli funkcjonować pod dyktando jednego człowieka, w dodatku wiecznie niezadowolonego. Kim był mężczyzna, którego nazywała tatą?

Nagle usłyszała hałas odsuwanego z impetem drewnianego stołu. Odwróciła się, wystraszona. Zdażyła tylko zauważyć plecy ojca, wybiegającego z kuchni. Na stole

leżał telefon Marcina. Podeszła do niego i w sekundę rozumiała, co właściwie tak rozjuszyło Gerarda.



Twoje kotlety na pewno wyszły doskonale.

Nie mogę się doczekać twojego powrotu.

Bardzo tęsknię. K.C. Twój Tomcio

Pobladła, oblała ją fala potu, zrobiło jej się słabo. Przecież ostrzegęła Marcina, żeby był ostrożny! Za późno... Nie pamiętała, jak udało się jej dotrzeć do pokoju, w którym Marcin grał z Jacusiem w Piotrusia. Późniejsze wydarzenia rozegrały się natychmiastowo, a ona stała w progu, nie mogąc się ruszyć. Ojciec kipiał wściekłością i nic nie było w stanie go powstrzymać – ani jej prośby, ani płacz Jacusia, ani krzyki wujka Grzegorza. Okładał pięściami i kopał Marcina, który jedynie zwinął się w kłębek na podłodze, zasłaniając ramionami twarz. Nie bronił się, nie krzyczał, nawet nie płakał. Ojciec wpadł w furję i nawet wujek nie był w stanie go powstrzymać, przestał dopiero, gdy się zmęczył. Kiedy wszystko się skończyło, Kamila uklękła obok Marcina. Była pewna, że tego widoku nie zapomni do końca swoich dni. Brat otworzył puchnące w oczach przekrwione powieki, spojrzał na siostrę pełnym współczucia spojrzeniem i wyszeptał:

– Wszystko będzie dobrze, maleńka. Wyliżę się z tego. – Po czym stracił przytomność.

Gerard spojrzał złowrogo na syna i wyszedł, trzaskając drzwiami, jak gdyby nigdy nic.

Gdy Julita wróciła znad tej nieszczęsnej rzeki, zastała zalaną łzami Kamilę, tulącą do siebie małego Jacusia. Córka, chlipiąc, w kilku zdaniach streściła przebieg tragicznych wydarzeń: myła naczynia, chwilę później rozwścieczony ojciec wybiegł z kuchni, a potem słyszała już tylko płacz i krzyk. Tłumaczyła matce, że nie mogła nic zrobić. Kiedy pogotowie zabierało zakrwawionego brata, wujek Grzegorz kazał jej przenieść płaczącego Jacka do drugiego pokoju. Gdy wyjrzała przez okno po jakiejś godzinie, dostrzegła, że przyjechała także policja. Poprosiła Jacusia, aby się uspokoił i przystawiła ucho do drzwi dzielących ją od funkcjonariuszy. Usłyszała, jak wujek Grzegorz zeznawał, iż bratanek wrócił pobity do ich domu i nie ma pojęcia, kto go tak urządził. Nie miała sił, aby wyjść i wszystkiemu zaprzeczyć. Może to i lepiej? Kiedy funkcjonariusze pojechali, Kamila zapytała wujka jak to możliwe, że przyjechała też policja, przecież nikt jej nie wzywał. Wujek wyjaśnił, że w takich przypadkach to standardowa procedura – pogotowie zgłasza informację o pobiciu policji.

Gdyby ktoś zapytał dziś Julitę, jak to się stało, że tamtego dnia spakowała swoje rzeczy i opuściła dom nieżyjących teściów, nie potrafiłaby powtórzyć chronologii

wydarzeń. Pamiętała tylko, że Marysia płakała, Grzegorz przeproszał, a Gerard...
Gerarda nie było. Po prostu zapadł się pod ziemię. Niespełna dobę później
w drzwiach jaczewskiego domu stanęła Ela.

10. Julita

Nigdy nie wiemy, jak skończy się dzień, który zapowiadał się pięknie. To miał być zwyczajny wypadek nad Liwiec. Miałam się opalić, zjeść kanapkę z serem, pogawędzić z Marią. Chciałam poczuć, że beze mnie świat może dalej się kręcić. Tylko, na Boga, dlaczego rozkręcił się akurat w tę stronę?

Od dawna podejrzewałam, że z moim synem jest coś nie tak. Wróć! Wcale nie chciałam tak tego powiedzieć. Z moim synem wszystko jest w porządku, po prostu kocha inaczej. Ale czy ja nie robię tego samego? Nie umiem wyobrazić sobie życia bez Gerarda. Nawet po tym, co uczynił. Od dwudziestu lat jestem z kimś, kto skatował własne dziecko tylko za to, że odważyło się żyć po swojemu. Za to, że kochało, za to, że miało ludzkie uczucia. Czy miłość jest zarezerwowana tylko dla ludzi heteroseksualnych?

Siedzę przy moim synu. Nic nie rozumiałam z tego, co powiedział lekarz. Nie wiem, co mam zrobić. Jak mam dalej żyć po tym wszystkim? Jak sobie poradzę? Całe moje dorosłe życie toczyło się wokół mojej rodziny. Rodzina to wszystko, co mam. Gerard jest wszystkim, co mam... Jak mam funkcjonować, gdy jego zabraknie? Czuję się jak małe dziecko, które dopiero uczy się wszystkiego. I prawdę mówiąc, jestem przerażona.

Mój synek, mój biedny mały synek. Mój skarb z błękitnymi oczami, których teraz nie mogę zobaczyć. W myślach widzę wszystkie te chwile, gdy z dziecięcą ufnością okazywał mi miłość. Przynosił kwiaty zerwane na łące, malował dla mnie laurki. Zawsze był obdarzony ogromną wrażliwością. Czasami myślałam, że jest wręcz nadwrażliwy, co mnie martwiło, bo takim ludziom jest zawsze trudniej.

To niemożliwe, aby ta historia przytrafiła się właśnie mnie. Takie rzeczy zdarzają się tylko w telewizji. Wiem, że muszę coś zrobić, tylko wciąż nie wiem co. Tak trudno jest wyjść poza ramy dotychczasowego życia. Jak ja sobie z tym poradzę? Do kogo mam się zwrócić o pomoc?

11. Gerard

Krew nerwowo pulsowała mu w żyłach, a ręce kurczowo zaciskały się na kierownicy citroena. Gdyby nie jego brat, ten dzień mógł zakończyć się inaczej. Chyba miał prawo ukarać własnego syna? Był święcie przekonany o słuszności swojego postępowania. Rozbolała go szczęka, którą zaciskał nerwowo. Pracował od świtu do nocy po to, aby utrzymać całą rodzinę, a ona – Julita – nawet nie umiała wychować syna na porządnego człowieka. Co do córki też miał wątpliwości. Pyskate to takie było, że szkoda gadać.

Cofnął się myślami do początków ich związku. Miała być tylko zabawa – fajny niezobowiązujący seks, kilka spacerów, podczas których klepnąłby ją w pośladek, może jakieś kino? Jak mógł nie zauważyć momentu, w którym cienka granica między flirtem a czymś poważniejszym została przekroczona? Zanim zdążył się wycofać, ona już na nim wisiała, cała w pąsach, rozanielona i gotowa na wszystko. Rozdziewiczył ją, to fakt, ale czy to powód, by się od razu żenić? W tym jednym momencie swojego życia zabrakło mu asertywności. Zanim się otrząsnął, było już za późno. Uczepiła się go i dopięła swego – została jego żoną.

Na początku wszystko było w miarę w porządku. Nie kochał jej, ale nie można było powiedzieć, że nie pociągała go jej nietuzinkowa fizyczność. Była piękną długonogą i długowłosą kobietą, o krągłym, apetycznym biuście. Wszyscy mu jej zazdrościli. Chodził z dumnie uniesioną brodą, aż do momentu pojawienia się dzieci. Kiedy zaszła w ciążę, wszystko się zmieniło. Pokażne uda niedbale ocierały się o siebie, a krągłe kiedyś piersi teraz wypełniła ciecz, z którą nie chciał mieć nic wspólnego. Kiedy zawiózł ją do porodu, pielęgniarka sprawdzająca kartę ciąży zapytała: „Jak, na Boga, udało się pani przytyć trzydzieści pięć kilogramów, podczas gdy dziecko waży co najwyżej cztery?”. Odpowiedziała jej, że jak tylko urodzi się maluch, to zaraz weźmie się za siebie. Już wtedy miał okazję się przekonać, iż słomiany zapał to drugie imię Julity.

Niespełna rok po tym, jak urodził się Marcin, jego żona znowu zaszła w ciążę i historia zatoczyła krąg. Julita w niczym nie przypominała tej pięknej dziewczyny, którą fałszywie przysięgał kochać aż do końca swoich dni. Świat kobiety kręcił się dookoła kupek, zupek i spacerków. Nie można było na to wszystko patrzeć. Owszem, prosiła go, aby zaangażował się w opiekę nad maluchami, ale jakoś nie potrafił wyobrazić sobie siebie zmieniającego pieluchy. Zajęcie to wydawało mu się po pierwsze niemęskie, a po drugie wiązało się z obleśnym, kwaśnym zapachem mleka, którego szczerze nienawidził. Trzymał się więc z daleka od niej i tego jej świata, zwanego macierzyństwem.

Podział był jednoznaczny – ona wychowuje dzieci, a on zarabia na ich

utrzymanie. Z jego punktu widzenia ze swoich zadań wywiązywał się doskonale, czego o niej nie można było powiedzieć. Finałem jej nieumiejętnego postępowania była właśnie sytuacja z dziś. Już od dawna coś podejrzewał. Od najmłodszych lat jego syn był ciapą. Nigdy nie potrafił zawalczyć o swoje, koledzy wykorzystywali go na każdym kroku. Ściągali od niego lekcje, zjadali mu kanapki z plecaka i wyśmiewali się z jego wrażliwości. Tyle razy mówił do żony: „Wychowujesz naszego syna na niedojdę”, ale ona nic sobie z tego nie robiła. Nie było z nią kontaktu. Miała klapki na oczach, przez które nie można było się w żaden sposób przebić. To wszystko było jej winą! Zmarnowała chłopaka na zawsze. Nie chciał mieć syna pedała.

Zatrzymał się gdzieś w szczerym polu, próbując się uspokoić. Nie żałował swojego wysoku. Jedyne, czego było mu żal, to że nie udało mu się wymierzyć większej sprawiedliwości. Gdyby Grzesiek się nie wtrącił, załatwiłby sprawę po męsku. Jak on się teraz pokaże w pracy? Nie dość, że gnojkwowi zachciało się studiować polonistykę, to jeszcze okazał się pedałem. Co za wstyd! Krystian, syn Heńka, poszedł do woja i wyszedł na ludzi, Damian, syn Romana, studiował prawo, a Marcin, syn Gerarda, skręcił na lewo i został gejem. To był istny koszmar.

Gerard aż gotował się ze złości. Złapał się za głowę i zaklął siarczyście. Głowa opadła mu ciężko na kierownicę. Rozległ się agresywny dźwięk klaksonu, a Gerard aż podskoczył. W tym samym momencie zadzwonił telefon.

– Halo – rzekł chłodnym tonem.

– Gdzie jesteś? – zapytał równie chłodno Grzegorz.

– Jak to gdzie? Musiałem wyjść. Całe życie z wariatami, chyba należy mi się odrobina odpoczynku.

Grzegorz chrząknął i podrapał się po głowie, próbując zebrać myśli.

– Twojego syna zabrało pogotowie.

– Dupa z niego, nie chłop. Ledwo go dotkniesz, a on już do mamuni po plasterek leci. Na geja go wychowała – taka prawda. Nie mam zamiaru już niczego przed tobą ukrywać, bracie. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Jesteś tam? Halo!

– Jestem, jestem.

– To co się nie odzywasz?

Grzegorz chciał powiedzieć, że nie może sobie wybaczyć, iż przegapił moment, w którym to jego najwspanialszy na świecie, wrażliwy brat stał się skończonym idiotą, niepotrafiącym docenić tego, czym obdarował go los. Wychowywani byli przecież pod jednym dachem, przez poczciwych i dobrych ludzi, dla których empatia była chlebem powszednim. Czy to, co widział i słyszał, działo się naprawdę? Oddałby

wiele, by okazało się to snem.

– Twoja żona i córka się pakują. Ela, ta lekarka, ma po nie przyjechać. Wracaj i błagaj ją o przebaczenie – syknął do słuchawki.

– Słucham? Mam wracać i ją przeproszać? Za co? Za to, że zrobiła z mojego syna pedała?

– To wciąż jest twój syn. Jedyny, jakiego masz.

– Nie mam syna! Ten zniewieściały kretyn musiał się wykluć z jakiegoś innego nasienia... – Gerard najwyraźniej przestał nad sobą panować i z każdym wypowiedzianym słowem mówił coraz głośniej. – Halo, halo! Jesteś tam? Grzesiek?

W słuchawce nastała cisza. Grzegorz Snarski przerwał połączenie. Stał przy oknie, wpatrując się w drzewo, na którego gałęzi kiedyś wisiła huśtawka. Bujał się na niej razem ze swoim bratem... Marysia podeszła do męża, i przytuliła się do jego pleców.

– Wszystko będzie dobrze – wyszeptała. Po jej policzku popłynęły łzy.

– Jak ja mogłem tak nakłamać policji? Ten drań nie jest tego wart.

12. Pod jedną kołdrą

– Jak mam ci się odwdziżyć? Co ja bym bez ciebie zrobiła? – Julita wypłakiwała się w rękaw przyjaciółki.

Od dwóch tygodni Julita, Kamila i Ela przebywały w wynajętym podwarszawskim maleńkim mieszkanku.

– Miałaś jechać nad morze, a tymczasem siedzisz tu ze mną – rozpaczła Juli, pełna wyrzutów sumienia, że pokrzyżowała przyjaciółce plany wakacyjne.

– Daj spokój, przecież jesteśmy jak siostry. Nigdy bym cię nie zostawiła w potrzebie. Zobacz, ile miałyśmy szczęścia. Gdyby nie moi pacjenci, w życiu nie wynajęłabym mieszkania tak szybko i na tak krótki okres. I to jeszcze w Warszawie! Jak to dobrze mieć tylu znajomych. Nie martw się, Juli, poradzimy sobie. Kiedy pojawia się problem, znajduje się rozwiązanie.

Ela pościeliła łóżko i zajęła się przygotowywaniem śniadania. Zaparzyła herbatę i zrobiła kanapki z jajkiem, stawiając je przed Kamilą. Tej dziewczynie też jakby przybyło lat. Może nie zdradzał tego wygląd zewnętrzny, ale oczy wydawały się jakby starsze, zapewne dlatego, że niejedno w życiu widziały.

– Ela, ja wciąż nie wiem, co mam robić. Jak ja mam teraz żyć? Nie mam przecież dwudziestu lat, już za późno na zmiany. No, sama powiedz. – Julita rozplakała się na dobre.

Kamila powoli przeżuwała kolejne kęsy kanapki. Była, a jakby jej nie było. Słuchała, a zdawała się nic nie słyszeć. Jakby wszystko działo się obok niej, była nieobecna. Eli krajało się serce na widok tej dziewczyny.

– Przestań wreszcie się nad sobą użalać. Weź się w garść. Rozumiem, że spotkało cię coś strasznego, ale też wierzę, że to zdarzenie może być dla ciebie przebudzeniem. Musisz być silna, Julita. Jesteś jej teraz bardzo potrzebna. – Skinęła głową na Kamilę. – Poza tym nigdy nie jest za późno na to, aby coś zmienić.

– Jakim przebudzeniem? Co ty za głupoty wygadujesz? Prawie dwadzieścia lat żyłam z tym człowiekiem. Prałam mu gacie, prasowałam koszule, spałam z nim pod jedną kołdrą. Urodziłam mu dwoje dzieci. Poświęciłam dla niego całe życie! Jak on mógł to zrobić? Jak mógł tak pobić Marcina?

– Najwyraźniej mógł i dobrze wiesz, dlaczego to zrobił. Twój mąż jest taki od zawsze. Mogłaś się tego spodziewać – odparła Ela.

Widząc znikające z talerza kanapki, postanowiła dorobić jeszcze kilka.

– Ale to nie jest powód, na miłość boską. Mamy dwudziesty pierwszy wiek!

– To też obie wiemy. – Kroiła jajko, ciesząc się, że ma czym zająć ręce. Gdyby Gerard stanął teraz przed nią, gotowa była go nimi udusić.

– Ela, ja nie mam pieniędzy, nie mam dachu nad głową, nie mam pracy, nie mam

nic. Co ja mam zrobić? Co ja mam zrobić, ty mi powiedz? – łkała Julita.

Jej wielkie jak grochy łzy spływały po puciołowatych policzkach. Zdawała się nie widzieć nic oprócz swojego wielkiego nieszczęścia.

– Bez niego jestem nikim – szepnęła jeszcze, spuszczaając głowę.

Ela tylko słuchała. Zachowanie przyjaciółki od lat miało ten sam schemat – gdy tylko coś się stało, Julita przybiegała do Eli, popłakała trochę, ponarzekła, posłuchała rad i w efekcie wracała do męża. Na nic się zdawały zapewnienia Eli, że Julita sobie świetnie da radę, skoro ona sama w to nie wierzyła.

– Dlaczego nic nie mówisz? Powiedz mi, proszę, co ja mam zrobić!

– Juli, a skorzystasz z moich rad? Wielokrotnie ci mówiłam, że powinnaś odejść od niego już dawno temu, kiedy jeszcze dzieci były malutkie. Posłuchałaś mnie? Przecież ty zawsze chadzasz własnymi ścieżkami, jak kot. Jak ci powiem, żebyś go zostawiła, to zrobisz to? Czy może poczekaasz, aż ciebie zatłucze?

To były mocne słowa, ale Elżbieta wiedziała, że jeśli nie potrząśnie przyjaciółką, ta nadal będzie tkwiła w toksycznym związku. Zależało jej na szczęściu Julity nie mniej niż na swoim własnym.

– Łatwo ci mówić! Gdzie mam odejść? Nawet gdybym chciała. Poza tym ja przysięgałam. Pamiętasz? Przysięgałam przed Bogiem.

– Zawsze jest jakieś rozwiązanie. Nie ma sytuacji bez wyjścia. Nie ty pierwsza i nie ostatnia. A Bogiem się nie zaślaniaj. Jak taka jesteś bogobojna, to powiedz mi, kiedy ostatni raz się modliłaś?

Julitę zaskoczyło to pytanie. Zmarszczyła brwi, jakby usiłowała sobie przypomnieć ten czas, lecz w głowie miała tylko pustkę.

– No właśnie. Otóż to. Obserwuję cię od dawna i mam w kontekście tych obserwacji pewne przemyślenia. Mogłabym ci powiedzieć, ale nie chcę strzępić języka po próżnicy.

– To powiedz!

Ela zawahała się przez chwilę. Kończyła właśnie układać na talerzu kanapki. Odkasznęła i zaczęła mówić:

– Juli, czas spojrzeć prawdzie w oczy. Od najmłodszych lat wpajano nam chrześcijańskie zasady. Mówiono, co wolno, a czego nie wolno. Mówiono, za co Bóg nas pochwali, a za co ukarze. Z lęku przed Bogiem wyszłaś za człowieka, który przez całe życie maltretował psychicznie całą twoją rodzinę. Myślisz, że Bogu podoba się życie, które wiesz? Myślisz, że on chce dla ciebie cierpienia? Może wypadaloby spojrzeć na tego gościa nieco inaczej. Wszystko, co o nim wiesz, to relacje innych. Może poszukaj go sama. Poszukaj takiego Boga, który będzie dla ciebie wsparciem.

Julita zmarszczyła brwi. Nigdy nie myślała o Stwórcy w ten sposób. On po prostu

był, istniał gdzieś, w niewiadomej, wydawałoby się niemożliwej do zlokalizowania, przestrzeni.

– Boga się nie wybiera. Bóg po prostu jest – odparła Julita po chwili zastanowienia.

– Pleciesz bzdury. Gdyby Boga nie można było wybierać, nadal modlilibyśmy się do posążków. Wszystko się rozwija, idzie naprzód. Wyjdź, proszę, poza ramy swojego myślenia, miej własne zdanie!

– Przecież ja mam swoje zdanie.

Ela spojrzała na przyjaciółkę ze zdziwieniem. Julita skuliła się, zrobiło się jej jakby mniej

– Mam swoje zdanie, prawda? – powiedziała, nieco ciszej. – Zawsze miałam, tak mi się wydaje.

– OK, zostawmy to na razie. Powiedz mi, dlaczego wyszłaś za Gerarda.

Julita znowu westchnęła. Czuła, że nie uniknie kolejnej pouczającej rozmowy. Jedyne, czego pragnęła, to położyć się spać. Sen musiał jednak poczekać.

– Przecież wiesz – odpowiedziała.

– Wiem, ale powiedz to na głos!

Julita spojrzała na swoją córkę, potem na Elę, potem znowu na córkę i ponownie na Elę. Kamila jakby się przebudziła. Nagle jej zainteresowanie rozmową wzrosło.

– No, powiedz! – domagała się Ela.

– Zrobiłam to, bo... bo... bo straciłam z nim dziewictwo i uznałam, że jeśli wyjdę za niego za męża, to Bóg wybaczy mi rozwiązłość przedmażeńską – wyrzuciła z siebie na jednym wydechu.

Kamila zastygła w bezruchu. Wbiła wzrok w matkę, jakby ta opowiadała właśnie, że w przeszłości była dziewczyną Harry’ego Pottera.

– Postąpiłaś tak z własnej woli czy może ktoś na ciebie wpłynął?

– Oczywiście, że z własnej woli. Jakby inaczej? Przecież wiesz, że babcia mówiła...

– No właśnie! BABCIA. Brawo! – przerwała jej Ela. – Siedzi tu z nami twoja córka i słucha tego wszystkiego. Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że kazałabyś jej wziąć ślub z pierwszym facetem, z którym pójdzie do łóżka. Czy ty jej przekazujesz wszystko to, co przekazała ci babcia? No, raczej nie. Powiem ci, dlaczego tego nie robisz. Ano dlatego, że sama podświadomie w to nie wierzysz. Wszystko, czego potrzebujesz do dobrego życia, nosisz w sobie, tylko z jakiejś niewiadomej, niepojętej dla mnie przyczyny nie chcesz po to sięgnąć.

Julita wzięła wdech, uniosła rękę, próbując odgonić przelatującą obok jej nosa muchę, spojrzała na córkę i poczuła wstyd.

– Mamo, czy to prawda? Wzięłaś z ojcem ślub ze strachu przed Bogiem? Naprawdę wyszłaś za niego za mąż, bo był twoim pierwszym facetem? Nie wierzę. Przecież to średniowiecze jakieś.

Milczenie Julity potwierdziło wypowiedziane wcześniej słowa.

– Nie wierzę. Jak to możliwe? Takie rzeczy dzieją się naprawdę? – Kamila przeżyła szok.

– Miałam dziewiętnaście lat i lada chwila miał się urodzić twój brat. Poza tym... ja go chyba kochałam. Może nawet nadal...

– Nic nie mów, nie chcę tego słuchać – przerwała jej Kamila.

– Nie ma rzeczy niemożliwych, Kamilko – wtrąciła się Ela. – Wszędzie dookoła nas dzieje się całe mnóstwo niemożliwych historii. Życie pisze najbardziej zaskakujące scenariusze. Znam twoją mamę i jej historię lepiej niż ktokolwiek inny. Mogę tylko powiedzieć, że ludzie robią różne rzeczy w obawie przed Bogiem. To, co zrobiłam ja, jest jeszcze bardziej nieprawdopodobne, ale o tym może innym razem. Chyba dość masz wrażeń jak na jedną rozmowę...

– Co ty mogłaś zrobić, ciociu? Stateczna, samotna pani doktor, która wszystkim pomaga, do tego opiekuje się całym stadem zwierząt? Dobro bije na od ciebie kilometr. Cóż mogłaś zrobić? – dociekała Kamila.

– Raczej czego nie zrobiłam... Kiedyś może ci opowiem. Każdy dźwiga swój krzyż. Tymczasem musimy się zbierać, Marcin na nas czeka. Porozmawiam z lekarzem, wypytam o jego stan. Mam nadzieję, że szybko się stąd zawiniemy i jak tylko Marcinowi się poprawi, wrócimy do Szczecina.

Julita próbowała protestować, bąknęła coś nawet o tym, że będzie lepiej, gdy wróci do swojego mieszkania. Ela brutalnie sprowadziła ją na ziemię słowami, że mieszkanie, które zajmowała od lat ze swoim mężem, nigdy tak naprawdę nie należało do niej. Prawda była taka, że Julita przez dwadzieścia lat budowała domek z kart, sklejjąc jego ściany wątłą nadzieją na lepsze jutro.

13. Dlaczego?

Woń detergentów, pomieszana z aromatem lekarstw i ludzkim potem, stwarzała jedyny i niepowtarzalny zapach szpitala. Na co dzień nie myślimy o tym, że gdzieś, wewnątrz murów takich jak te, toczy się inne, bardziej namacalne, wyraźniej odczuwalne, oddychające szeptem życie. Tam każdy odbywa swoją walkę z ciałem, umysłem i emocjami.

Przez ostatnie dwa tygodnie Julita przychodziła do szpitala codziennie, uparcie wierząc, że właśnie dziś uda jej się porozmawiać z synem. Potrzebowała tej rozmowy. Na początku Marcin nie mógł mówić, a później chyba nie chciał. Nie miała innego wyjścia, jak tylko czekać. Czekanie w zawieszaniu wydawało jej się najgorszym z możliwych stanów. Czas sprawował nad nią władzę, zmuszając do ciągnięcia za sobą prawie czterdziestoletniego ciała, którego grzbiet przygniatały trudne doświadczenia. Mogła sobie pogratulować odkładania życia na potem – to jedno wychodziło jej fenomenalnie. Dopiero przy tym białym szpitalnym łóżku zaczęło do niej docierać, że to „potem” dzieje się właśnie teraz. Właśnie teraz jej życie płynie. Przelatuje przez palce niepostrzeżenie, wcale się za siebie nie oglądając. Jeszcze dwa tygodnie temu opalała się nad rzeką, wmawiając sobie, że jej dni nie różnią się wcale od dni milionów innych kobiet. Teraz, patrząc na syna, zaczynała mieć wątpliwości.

Próbowała oszukać Marysię, Elę, wyuczonym uśmiechem codziennie oszukiwała własne dzieci. Wszystkie relacje międzyludzkie, choć oparte na wymyślonej prawdzie, wydawały się w miarę harmonijne, nawet ta najbardziej iluzoryczna i fałszywa – z Gerardem. Najtrudniejszą do ogarnięcia więzią okazała się ta z osobą widzianą w lustrze. Siebie oszukać było najtrudniej.

Skierowała swoje kroki do umywalki ustawionej w rogu sali. Odkręciła wodę, skupiając uwagę na strumieniu. Płynął wartko, a zarazem jednostajnie. Zupełnie na odwrót niż jej życie, będące jednostajnym, lecz odległym od wartkiego. Jej codzienność zawsze zależała od nastroju osoby z pozoru najbliższej. Na każdy dzień patrzyła oczami męża. Teraz, gdy nie było go przy niej, spojrzała w swoje odbicie. Okruchy jej samej mieszały się z tym wszystkim, co przejęła od niego. Czy była sobą? Czy była nim? Byli sobie tacy bliscy, a jednocześnie tak odlegli. Nie umiała żyć bez niego i jednocześnie tak trudno jej było żyć z nim.

– Mama? – Usłyszała głos syna.

Odwróciła się gwałtownie.

– Jestem tu, jestem, kochanie. – Złapała go za rękę, przyciągnęła ją do ust i pocałowała.

Kiedy był małym chłopcem uwielbiała całować jego dłonie. Wtedy wszystko wydawało się prostsze...

– Przepraszam, mammo. Bardzo cię przepraszam – wyszeptał.

– To ja cię przepraszam, synku. Nie wiem, jak mam cię błagać, byś mi wybaczył. Powinnam cię wspierać... zauważyć. Powinnam porozmawiać z tobą, z ojcem. Nie wiem...

Tłumaczyła się, tak jakby to z jej powodu syn leżał teraz w szpitalnym łóżku. Marcin podniósł wzrok na matkę i uśmiechnął się delikatnie.

– Powinienem być wdzięczny, że tu jesteś, że nie robisz mi wyrzutów – westchnął.

Wyrzutów? Nie rozumiała, co miał na myśli. Było oczywiste, że powinna go wspierać.

– Chyba mogę to już powiedzieć głośno – jestem gejem. Nie potrafię inaczej, rozumiesz? Od dawna marzę, żeby to całe udawanie wreszcie się skończyło. Mammo, możesz być na mnie zła, ale ja... sprowokowałem tę sytuację. Już nie potrafię kłamać.

– Dziecko, co ty opowiadasz? Zła? Jak mogłabym być zła? Pamiętasz, jak byłeś mały, zawsze ci mówiłam, że będę cię kochać, mimo wszystko. Nieważne, co zrobisz, ja zawsze będę po twojej stronie. Wydawało mi się, że jesteśmy ze sobą blisko, że potrafimy rozmawiać. Dlaczego nic mi wcześniej nie powiedziałeś? Dlaczego ja nie wiedziałam, że... że no...

– Że mam chłopaka?

– Tak, że... masz chłopaka – wyszeptała.

– Mammo, jak sobie to wyobrażasz? Jak miałem ci powiedzieć?

Pomyślała, że mógł to zrobić ot tak, po prostu. Jednak chwilę później stwierdziła, że będąc na jego miejscu, postąpiłaby tak samo. Często chcemy być takimi, jakimi widzą nas oczy ludzi z naszego otoczenia.

– Wstydziliś się przede mną? – zapytała niepewnie.

– Tak – odpowiedział po chwili wahania. – Ty byś się nie wstydziała?

Nie potrafiła powstrzymać łez. Jednostajny pulsujący ból głowy odbierał jej zdolność racjonalnego myślenia.

– Mammo...

– Tak, synku?

– Nie mogę wrócić do domu. Oboje dobrze wiemy, że nie mam już czego tam szukać. Ojciec nigdy nie akceptował mnie ani moich wyborów. Po tym, czego się o mnie dowiedział, będzie tylko gorzej... Powiedz, jak ty to wszystko znosisz?

Zbyła jego pytanie milczeniem.

– Albo bardzo go kochasz, albo bardzo w siebie nie wierzysz. Właściwie to nie rozumiem, dlaczego z nim jesteś. Ja i Kamila nie jesteśmy już małymi dziećmi, nie musisz nam stwarzać pozorów domu.

Nigdy wcześniej nie rozmawiali ze sobą w ten sposób. Nie pytała dzieci, co sądzą o jej relacjach z ojcem, bo i po co pytać?

– Synku, nie wiem, co powiedzieć. Nie wiem też, co robić. Od kilku dni nie myślę o niczym innym, jak tylko o tym, jak znaleźć rozwiązanie tej sytuacji.

– Jest jedno dobre rozwiązanie dla wszystkich. Pytanie brzmi, czy się na nie zdecydujesz?

Coś stuknęło. Wystraszona, obejrzała się za siebie. Jej zachowanie nie umknęło uwagi syna.

– Mamo, na miłość boską, boisz się własnego cienia. Sprawdzasz, czy ojciec jest za tobą? Nie martw się, nie ma go tutaj i możesz być pewna, że nie odwiedzi swojego wyrodnego syna geja. Nikt cię nie zwyzywa, nikt cię nie poniży, nikt nie zarzuci cię lawiną obowiązków...

– Co ty mówisz, synku? Przecież tata wcale...

– Jeszcze go bronisz?

Rozmawiali ze sobą, starając się jednak omijać te najbardziej bolesne kwestie. Zupełnie jakby wypowiedzenie ich głośno miało sprawić, że już nie będzie odwrotu, że zmiany będą nieuchronne... Wiedziała, jakie rozwiązanie miał na myśli Marcin, lecz na razie wolała nie podejmować decyzji. Przynajmniej jeszcze przez chwilę...

Zaskrzypiały drzwi, do sali powoli weszła Ela, a zaraz za nią Kamila. Atmosfera nagle się ożywiła. Oczy Julity rozblysnęły niewielką nadzieją.

– Cześć, młodzieży. Jak się dziś czujemy? – zagadnęła Ela, uśmiechając się promiennie.

Kamila podeszła do brata żwawym krokiem i rzuciła mu się na szyję. Wykrzywił twarz w grymasie bólu, co błyskawicznie sprowadziło ją na ziemię. Ostatecznie zdecydowała się delikatnie pogłaskać go po włosach.

– Gdyby nie ten kiepski catering, byłoby całkiem niezłe – próbował żartować. – Wczoraj wieczorem odwiedziła mnie całkiem fajna pielęgniarka. Chociaż, nie powiem, wolałbym, aby odwiedził mnie jakiś pielęgniarz. – Uśmiechnął się szelmowsko. Miał szczerze dość grobowej atmosfery, która towarzyszyła im przez ostatnie dni.

– Bardzo śmieszne. Ty się tak nie rozpędzaj, bo dla mnie twoje zainteresowanie chłopakami to żadna rewelacja, ale mama z ciocią pewnie muszą do tego przywyknąć – oburzyła się Kamila. – Jeszcze ci mało? Mówiłam, że masz uważać. Ostrzegałam!

– Dajże spokój, bratu. – Ela stanęła w jego obronie. – Jak człowiek czuje się dobrze sam ze sobą, to po co ma udawać? Nie wolno się wtrącać w czyjeś osobiste sprawy, nawet jeśli chodzi o nasze dziecko. Każdy z nas powinien podążać swoją

drogą.

– No, widzisz, mamuśka? Twoja przyjaciółka ma takie samo zdanie jak ja. – Marcin poparł Elę. Od zawsze istniała między nimi nić porozumienia.

– Nie wiem, o co wam wszystkim chodzi. Czy ja mówię komuś, jak ma żyć? – Julita była podenerwowana.

– Komuś absolutnie nie. Potrafisz chodzić na palcach po mistrzowsku, kochana – jęknęła Ela.

– Elka, o co ci chodzi? – Zdenerwowała się. – Bardzo cię proszę, wyrażaj się jaśniej.

– Oho, jak mama nazywa mnie per Elka, to wiem, że poruszyłam najczulsze struny.

– Tak po mojemu to zebraliśmy się tutaj, aby odwiedzić chorego, a mam wrażenie, że spotkanie skupia się na mnie. Przecież ja nic nikomu nie zrobiłam. Staram się jak mogę. To miały być zwyczajne wakacje. Z całych sił starałam się, żeby było miło. Dlaczego siedzimy teraz wszyscy w tym przeklętym szpitalu? – Skryła twarz w dłoniach, spuszczaając głowę.

Marcin pogłaskał matkę. Atmosfera znowu zgęstniała.

– Nie można żyć, kontrolując każdy swój krok. Nie można wyrzec się siebie w imię fałszywego spokoju. Wszyscy wiemy, że w twoim życiu nie ma ciebie. Coś ci powiem... – Wziął głęboki wdech, mający dodać mu odwagi. – ...Kamila wiedziała o moim związku z Tomkiem. To prawda, że wielokrotnie mnie ostrzegęła, abym bardziej uważał i nie zostawiał telefonu gdzie popadnie. Szczerze? Zrobiłem to celowo. Miałem dość chowania się po kątach. Byłem przygotowany na fizyczny łomot. To i tak lepsze od codziennego łomotu emocjonalnego. Wiesz, co mam na myśli...

Julita ukradkowo otarła łzy i podniosła głowę. Wszystko ją bolało, czuła się fatalnie.

– Dobrze, kochani. Dość tego. Trzeba pomyśleć, co w tej sytuacji robimy. Rozmawiałam z lekarzem. Miałeś wiele szczęścia, chłopie.

Marcin po raz pierwszy uśmiechnął się szczerze. Skoro Ela powiedziała, że wszystko jest OK, oznaczało to, że lada moment opuści szpital.

– Złamana ręka, wstrząśnienie mózgu, z tym da się żyć. Potrzymają cię jeszcze kilka dni. Muszą całkowicie wyeliminować ryzyko wylewu w przestrzeni podpajęczynówkowej.

– Jakiej przestrzeni?

– Nieważne. – Ela machnęła ręką. – Jeśli do tego czasu nie będzie żadnych niespodzianek, wypisują cię do domu i przechodzisz pod opiekę najlepszej lekarki

w mieście, czyli mnie. – Skierowała palce wskazujące na swój obfitych rozmiarów biust, podskakując przy tym jak nastolatka. – Może być?

– Proponujesz, abym z tobą zamieszkał? Naprawdę chcesz sobie więc gniazdko z gejem, ciociu? Wybacz, ale nie jesteś w moim typie – parsknął śmiechem, puszczając oczko do Eli.

Julita nie poznawała własnego dziecka. Nagle jakby przybyło mu pewności siebie.

– Kochani, życie się nie zatrzymało, karawana jedzie dalej, a ja proponuję, abyście wszyscy się do mnie przenieśli.

Kamila i Marcin zareagowali entuzjastycznie, tylko Julita milczała. Wpatrywała się w troje bliskich jej sercu osób i nie potrafiła wydusić z siebie ani słowa. Nagle zaschło jej w gardle, a język zesztyniał niczym kółek. Podrapała się po głowie, przełknęła ślinę i poprosiła o chwilę zastanowienia. Cała trójka tylko westchnęła. Ela przewróciła oczami i zarządziła uroczyste „opuszczenie lokalu” w celu udania się na chwilę odpoczynku w wynajętym mieszkaniu.

Kiedy tylko wyszły, Marcina dopadły wątpliwości. Może powinien powiedzieć matce, że odwiedził go wujek Grzegorz? Może powinna wiedzieć, iż skłamał policji, która nie ma pojęcia, kto go tak urządził? Niepotrzebny rozgłos nie był im do niczego potrzebny. Chciał chronić matkę, a to, że przy okazji uratował tyłek ojcu, było tylko efektem ubocznym. Policja jeszcze przez jakiś czas węszyła, aby ostatecznie umorzyć postępowanie w sprawie jego pobicia. Bo skoro nie było oskarżonego, a poszkodowany nie chciał współpracować, nie pozostawało nic innego, jak tylko zająć się czymś innym.

14. Paralizujący lęk

Kilka dni zleciało bardzo szybko i wszyscy mogli wrócić do Szczecina. Marcin o własnych siłach opuścił szpital. Miał jeszcze parę siniaków, gdzieś tam coś go bolało, natomiast psychicznie wydawał się w świetnej formie. Żartował, uśmiechał się i cieszył, że nie musi już ukrywać swojej orientacji seksualnej. W przyływie szczerości przeprosił Julitę za wcześniejszy brak zaufania i obiecał, że przy pierwszej nadarzającej się okazji przedstawi jej Tomka.

– Synek, bardzo cię kocham, staram się pogodzić z twoimi wyborami, ale... zrozum mnie, proszę, ja chyba nie jestem gotowa na to, aby poznać tego twojego... no...

– Partnera – dokończył za nią.

– Przepraszam. Mam w głowie taki mętlik, że nie wiem, co myśleć i co robić. Ojciec od tamtej pory się nie odezwał. Nie wiem, co to będzie.

Nie chciała układać swoim dzieciom przyszłości. Nie wyświetlała w swojej głowie filmów na temat tego, kim będą. Niemniej jednak myślała, że kiedyś będzie babcią i przytuli jeszcze do serca dziecko swojego syna. Potrzebowała czasu, by oswoić się ze zmianami. Do tego jeszcze trzeba było poukładać sprawy związane bezpośrednio z nią i jej życiem osobistym.

– Dobrze będzie. Nie martw się. – Kamila, dostrzegłszy zamyślenie matki, poklepała ją po plecach.

– Dzieci, musimy podjąć jakąś decyzję.

– My musimy? My już podjęliśmy decyzję – powiedział Marcin. – Ty musisz się określić, mamó. Mogę iść z tobą po twoje rzeczy.

– Nie! – krzyknęła. – Tylko nie to!

– Spokojnie, przecież nie pobije mnie drugi raz. Pamiętasz, jak czytałaś nam Szyborską? „Nic dwa razy się nie zdarza” – zacytował.

– Lepiej nie ryzykować.

Zrobiła sobie herbaty i poszła do ogrodu. Biła się z myślami. Rozwód po takim czasie? Po co? Co jej tego życia zostało? Za chwilę miała jej stuknąć czterdziestka. Nie miała najmniejszej ochoty zaczynać wszystkiego od nowa. Mieszkanie, które otrzymali od Wojskowej Agencji Mieszkaniowej, wypieściła do granic możliwości. Firanki uszyła sama, wydzierała na szydełku serwety. Dbiała, aby w domu nigdy nie zabrakło kwiatów. Wiosną ustawiała w wazonach tulipany i żonkile. Wszystko, na co miała wpływ, było dopracowane w najdrobniejszych szczegółach. Meble kupował Gerard. Uważał, że nie będzie inwestował nie wiadomo jakich pieniędzy w coś, co można kupić z drugiej ręki i to w całkiem przyzwoitym stanie. Meble kuchenne, pralkę, lodówkę i kuchnię gazową kupili z ogłoszenia. Ktoś akurat się wyprowadzał

i cały niepotrzebny majdan wystawił na sprzedaż. Gerard był taki zadowolony z siebie, że nie miała odwagi psuć mu nastroju. Wiedziała, że szczęśliwy mąż to szczęśliwa rodzina. Było jej tylko trochę przykro, gdy podczas transportu przypadkowo stłukli szybę w kredensie. Nie dość, że był używany, to jeszcze dodatkowo go zniszczyli. Po mistrzowsku ukryła rozczarowanie i jak zawsze z uśmiechem podziękowała mężowi.

Raz jeden Gerard pozwolił jej kupić coś nowego – kanapę do dużego pokoju. Była bardzo podekscytowana. Biegała po sklepach meblowych, uradowana do granic możliwości. Wreszcie udało jej się wybrać piękny zestaw mebli wypoczynkowych, kanapę i dwa fotele w kolorze kawy z mlekiem, obite ekologiczną skórą. Zawsze o takim marzyła. Kiedy zakup przywieziono do domu, nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Niestety radość trwała tylko jeden dzień. Gerard po przespanej na skajowej kanapie nocy uznał, że ma to barachło zabierać, bo jest tak niewygodne, że nie da się na tym dobrze wypocząć. Próbowwała go jeszcze prosić, przekonać jakoś, że uszyje miękką narzutę. Bezskutecznie. Na miejsce mebli z ekoskóry przyjechały inne, które też nie przypadły mężowi do gustu. Znow musiała je oddać. Po tygodniu stała się „szczęśliwą” posiadaczką mebli z ogłoszenia. „Zobacz, jakie ładne. Wcale niezniszczone! Połowę tańsze od tego badziewia, co kupiłaś. Co ty byś beze mnie zrobiła, Julita?” – powiedział do niej mąż. Oczywiście podziękowała.

Siedziała teraz w ogrodzie Eli i dumiała. Koty leniwie ocierały się o jej nogi, psy co jakiś czas czekały, a kuce pasły się na przydomowej łące. Zazdrościła przyjaciółce tej swobody. No, ale Ela nie miała rodziny. Miała tylko swoich pacjentów i zwierzęta. Była piękna, mądra, miała pieniądze, a mimo to wciąż była sama. Julita podejrzewała, że przyjaciółka miała po prostu zbyt wysokie wymagania wobec potencjalnego partnera. Kto by dogodził pięknej pani doktor? Niby co jakiś czas się z kimś umawiała, a skutków tych randek nie było.

– Tu jesteś, szukałam cię. Jadłaś coś? Kupiłam chińszczyznę. – Ela właśnie wróciła z pracy. Wyciągnęła z foliowej torby cztery białe pudełka z pachnącym jedzeniem. – Kamila! Marcin! Ugotowałam obiad!

Julita nadal siedziała w ogrodzie i trzymając na kolanach kota, przez otwarte drzwi tarasowe obserwowała krzątającą się po kuchni przyjaciółkę. Były w jednym wieku, ale ich ścieżki życiowe potoczyły się tak różnie...

– Eli, kochanie. Dlaczego ty jesteś ciągle sama? – wypaliła Julita.

Ela prawie udławiła się kawałkiem kurczaka, który podkraśla. Otworzyła oczy ze zdziwienia.

– Juli, a ty nie powinnaś się teraz zająć swoim życiem? O mnie się nie martw. Nie jestem samotna. Rozejrzyj się... Dwa psy, trzy koty, dwa kuce, królik, zółw

i bojownik w kuli.

– Myślisz, że to domowe ZOO zastąpi ci faceta? – burknęła Julita.

– Normalnie to bym ci coś odpyskowała, ale nie jesteś w normalnej sytuacji, więc będę dla ciebie miła. Zjesz chińszczyznę? – zmieniła temat.

Do kuchni weszli Kamila z Marcinem. Zachwyceni kuchennymi „umiejętnościami” swojej ciotki, rzucili się na jedzenie jak wygłodniałe zwierzęta. U nich w domu nigdy niczego nie kupowano na wynos. Ojciec twierdził, że pieniędzy w błoto wyrzucał nie będzie. Skoro matka siedziała w domu i nic nie robiła, to przecież powinna gotować, bo korona jej z głowy nie spadnie.

– Mamo, nie obraż się, ale Chińczyk ciotki wymiata – powiedziała Kamila.

– To prawda – przytaknął Marcin.

– Dzieciaczki, cieszę się, że wam smakuje. Weźcie swoje pudełeczka i wio do pokoju, OK? Chcę porozmawiać z waszą matką.

– Mamy jeść w pokojach? To nie będziemy się integrować? Ciocia, nie poznaję cię – zdziwił się Marcin.

Ela uwielbiała długie biesiady, w jej domu zawsze jadło się razem. Celebrowała posiłki, twierdząc, że wspólne jedzenie zbliża ludzi.

– Dzisiaj tak wyjątkowo, na jeden dzień zrywamy z tradycją. No, już, zmykać, dzieciaczki – powtórzyła.

– Błagam, nie nazywaj nas dzieciaczkami. Jesteś od nas zaledwie połowę starsza. Na disco możemy cię zabrać – zażartowała Kamila, po czym zniknęła za drzwiami pokoju.

– To nie nazywajcie mnie cioteczką – rzuciła w odwecie. Przełożyła jedzenie na talerze i ustawiła je na stole.

– Dlaczego nie jesz? – zapytała Julitę.

– Chyba nie jestem głodna.

– Jesteś, nie jesteś, powinnaś coś zjeść.

– Nie mam apetytu.

– OK.

Po półgodzinie kurczak pięciu smaków zniknął z talerza Eli, podczas gdy obiad Julity zdążył już kompletnie ostygnąć.

– Zaparzyć ci kawy? Zawsze po obiedzie mam neodpartą ochotę na coś słodkiego. Dobrze, że wczoraj upiekłam ciasto z fasoli. Przynajmniej nie będziemy się opychać niezdrowym jedzeniem.

Ela zaparzyła kawę, pokroiła ciasto i znów usiadła naprzeciwko przyjaciółki, która smętnie dłużyła w talerzu.

– W naszym domu nie jadało się wspólnych posiłków – zaczęła Julita. – Wiesz,

zawsze wyobrażałam sobie, że mój dom będzie pełen ciepła i miłości. Rodzina przy stole i takie tam, rozmowy, śmiech... – Rozłożyła ręce, przewracając oczami.

– Wiem, znam twoje marzenia.

– No widzisz... W teorii jestem mocna. Marzenia mam, gorzej z ich realizacją.

– Wszystko przed tobą.

– Przestań! Jestem stara, mam trzydzieści dziewięć lat.

– Ja też.

– Ty to co innego.

– No tak, ja to co innego... – westchnęła.

Zdecydowała się nie polemizować na temat tego, kto ma gorzej. Upiła łyk kawy i zjadła ciasto. Zawsze tak robiła, gdy chciała wyciągnąć Julitę na zwierzenia. Gdyby zapytała wprost, ta odwróciłaby się na pięcie i tyle by ją widziała. Trzeba było sposobu. Należało jak najwięcej słuchać i jak najmniej mówić. Tak też czyniła. Kawalek po kawalku obgryzała czekoladową polewę, by w efekcie dostać się do wnętrza fasolowego ciasta, które w smaku wcale nie przypominało fasoli.

– Moje dzieci nie są nauczone wspólnych posiłków.

– Przesadzasz. Przecież często jecie razem.

– Nigdy nie jemy razem. Marcin je u siebie w pokoju, Kamila u siebie, a Gerard je w salonie, przed telewizorem. Też sam. O przepraszam, z Banusiem. Taaak... Banuś zawsze mu towarzyszy podczas posiłków. To świetna okazja do tresury. Można powiedzieć: „poproś, Banuś”, „daj głos, Banuś”. Bła, bła, bła. – Julita podparła głowę na łokciu i zapatrzyła się beznamietnym wzrokiem w talerz zimnego jedzenia.

– Ale śniadania jesz z dziećmi – stwierdziła Ela.

– To prawda. Z Marcinem to nawet kawę rano piję. Kamilka nie lubi kawy.

– No i mamy pozytywy. Nie jest tak źle.

– Wspólne posiłki są bardzo ważne dla rodziny. Rozumiem, że codziennie wspólne obiady mogą być trudne do zorganizowania. Każdy ma swoje zajęcia, swoją pracę. Chociaż właściwie... ja nie mam pracy.

– Masz pracę. Pracujesz w domu. Jesteś...

– Błagam, tylko nie nazywaj mnie gospodynią domową. Przecież to załamujące.

– Wcale nie chciałam nazwać cię gospodynią.

Julita, ciekawa tego, jak zostanie określona, wyraźnie się ożywiła.

– Nie? A jak?

– Jesteś strażniczką domowego ogniska – wypaliła pospiesznie Ela.

– Kim? – Zakryła usta dłonią, próbując ukryć śmiech. – Ale żeś wymyśliła. Moje ognisko właśnie zgasło, kochana. Taka ze mnie strażniczka, jak z koziej... no... wiadomo co.

Eli zrobiło się głupio. Jak mogła wpaść na tak beznadziejne określenie? Skarciła się w myślach za językową nieporadność.

– Powtórzę się: rodzina powinna jeść razem, a ja nigdy o to nie zadbałam. Kiedy gotowałam obiad, najadałam się samym smakowaniem, potem nakładałam dzieciom i Gerardowi, no i każdy szedł w swoją stronę. To dlatego...

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że twoje małżeństwo jest fatalne, bo nie jadaliście przy jednym stole? Błagam cię, Juli. Ile ty masz lat?

– Stara jestem...

– Nie jesteś stara, tylko ślepa. Przepraszam, że to powiem, ale nie wytrzymam z tobą. Twój mąż to idiota i tyran. Przez całe życie próbuje sobie ciebie podporządkować. Nie zbudował żadnej więzi z własnymi dziećmi i nie tak dawno pobił Marcina. Mam wymieniać dalej? Kiedy w końcu zaczniesz zauważać, z kim masz do czynienia?

Julita nabiła na widelec kawałek kurczaka i wsadziła go do ust. Wkrótce stał przed nią pusty talerz. Następnie napiła się kawy i zagryzła ją fasolowym ciastem. „Przynajmniej zaczęła coś jeść” – pomyślała Ela.

Każdy centymetr ciała Julity pokryty był chwilami spędzonymi z Gerardem. Podwinęła nogi i objęła je ramionami. Kroki przez nią stawiane zawsze szły w stronę męża, ręce czyniły to, co on chciał zobaczyć, a usta mówiły wszystko, co chciał usłyszeć. Miała teraz ot tak, po prostu zmienić wszystkie swoje przyzwyczajenia? To wydawało się wręcz nierealne.

– Może i nie byłam nigdy mężatką, ale naprawdę wiele w życiu widziałam. Ludzie przychodzą do mnie z różnymi problemami. Nie tylko ich leczę, ale i z nimi rozmawiam. Nie ty pierwsza i nie ostatnia. Masz duże dzieci, które są po twojej stronie. Masz w nich oparcie, ja też przy tobie jestem. Nie bój się.

– Daj mi spokój, proszę. Pójdę się położyć, dość tego gadania. – Wstała momentalnie i zaczęła się oddalać w kierunku sypialni.

– No i masz ci babo placek. Dlaczego nie chcesz ze mną porozmawiać? Nie odchodź, nie odwracaj się ode mnie. Jestem tu dla ciebie.

Te słowa zatrzymały Julitę. Odwróciła się i rzekła.

– Ja nic nie muszę, Eli. Nic nie muszę... zmieniać. Nie zmuszaj mnie dziś do podejmowania decyzji.

– Masz rację. Nie mam prawa cię do czegokolwiek zmuszać. Chciałabym tylko, abyś zrozumiała, że...

– Że co? Co mam zrozumieć? – Julita była zniecierpliwiona.

– Że brak decyzji, też jest decyzją... – wyszeptwała Ela.

Chciała powiedzieć przyjaciółce więcej, wesprzeć ją tak bardzo, jak tylko to

możliwe, jednak nie zdołała. Wszystkie niewypowiedziane słowa zawisły gdzieś między kobietami, po czym każda zajęła się sobą.

15. Julita

Ela jak zawsze miała rację. Brak podjętej decyzji też był decyzją. Nie robiąc nic, decydowałam się na tkwienie w tym związku, w tym małżeństwie, w tej codzienności. Chociaż moja codzienność ostatnio wyglądała inaczej. Wczoraj, jak siedziałam w ogrodzie, nawet mi się to podobało. Nikt nic ode mnie nie chciał, nikt mnie po nic nie wysyłał, nikt na mnie nie pokrzykiwał. Jak przyznam się Eli do swoich myśli, to zaraz zaczniesz na mnie wymuszać działanie. A ja nie jestem chyba jeszcze na to gotowa. Stąd ten pamiętnik. Zaczęłam go pisać, aby się gdzieś wygadać, wyzalić. Może to taka forma psychoterapii? Nie wiem. W każdym razie mi pomaga. Coś trzeba robić...

Rozsadza mi głowę, co wytrąca mnie z równowagi. Zaraz, zaraz, z jakiej równowagi? Nie można nikogo wytrącić z czegoś, co nie istnieje. Brak mi spokoju. Jestem na rozdrożu i nie mam pojęcia, w którą stronę powinnam pójść. Podobno radość i spokój są sposobami Boga, abyśmy wiedzieli, że jesteśmy na właściwej drodze. Nie ma we mnie ani radości, ani spokoju.

16. Pamiętnik

Julita zamknęła swój notes, a długopis schowała do piórnika z wizerunkiem Kubusia Puchatka. Dostała go od wnuczki sąsiadów – byłych sąsiadów. Tak dawno ich nie widziała. Jej życie było jakby zawieszona w próżni. Niby się toczyło, a jednak nie ruszało naprzód.

– Masz może ochotę na herbatę? Właśnie zaparzyłam. – Nagle do pokoju weszła Ela.

Julita aż podskoczyła na krześle.

– Wystraszyłam cię? Przepraszam.

– Nic nie szkodzi. Jestem ostatnio jakaś lękliwa.

Ela chciała powiedzieć, że nawet wie dlaczego, ale ugryzła się w język. W zamian za to zapytała:

– Co robisz?

– A nic, takie tam...

– Takie tam co? – nie dawała za wygraną. Chciała wiedzieć, co dzieje się pod jej dachem.

Julita jakby poczerwieniała. Takie zachowanie przyjaciółki zawsze bawiło Elę. Niby była dorosła, niby nazywała się starą, a na zwyczajne pytania nie potrafiła odpowiadać wprost.

– Nie będziesz się śmiać?

– Śmiać? Niby z czego?

– Piszę pamiętnik. – Spuściła głowę, zawstydzona.

– Poczekaj, coś ci pokażę.

Ela, zauważywszy niepewność przyjaciółki, odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju. Po chwili wróciła z okazałym stosem zeszytów. Dumna z siebie położyła je przed przyjaciółką.

– Co to jest?

– Jak to co? Moje pamiętniki.

– Chcesz powiedzieć, że to wszystko twoje?

– No jasne. – Ela wypięła dumnie pierś, kładąc ręce na biodrach. – Zupełnie nie wiem, dlaczego się tego wstydzisz. Przecież przez całą podstawówkę pisałyśmy pamiętniki. Pamiętasz *Kalendarz szalonego małolata*? – Rozmarzyła się, przewracając oczami.

– Czy pamiętam? No jasne, chyba cała klasa go miała.

– Nie cała, nie cała. Jak już to pół. Chłopaki twierdzili, że to głupoty.

Julita nagle posmutniała. Ukryła twarz w dłoniach i znowu zaczęła płakać. Ela głaskała ją po głowie, czekając, aż się uspokoi.

– Jeśli chcesz, to sobie pójdę. Może potrzebujesz побыć sama? – powiedziała, nie przestając głaskać przyjaciółki. – U Wiśniewskiego, w *Samotności w sieci*, przeczytałam, że „płakać trzeba w samotności – tylko wtedy ma się z tego wielką radość”. Chłop wie, o czym pisze. Zgadza się z nim. Już mnie nie ma.

– Nie! – krzyknęła Julita, sprawiając, że Ela spojrzała na nią zdziwionym wzrokiem. – Nie chodź koło mnie na paluszkach. Jesteś w swoim domu, więc nie przejmuj się moimi humorami... I tak nadużywam twojej gościnności.

Kiedy Juli mówiła o nadużywaniu gościnności, oznaczało to, że potrzebuje rozmowy, ale nie wie, jak ją zacząć. Był to jeden z tych momentów, kiedy trzeba było usiąść i czekać na rozwój sytuacji. Ela przycupnęła na stojącej w pobliżu kanapie i bała się nawet mrugnąć, by nie spłoszyć swojej przyjaciółki.

– Kiedy Gerard odkrył, że piszę pamiętnik, wyrwał mi go z rąk i zaczął czytać na głos. – Julita zakaszła ochryple. – Mówił, że jestem stara i głupia. Czytał to, co napisałam, udając tego, wiesz... – Zamknęła oczy, próbując sobie przypomnieć nazwisko. – ...tego showmana z telewizji, co to swój program nazwał własnym nazwiskiem.

– Aaa... wiem, o kogo chodzi.

– No właśnie... – Mówiła cicho, prawie szeptem. Bała się, że dzieci usłyszą cokolwiek. Zależało jej na zachowaniu dyskrecji.

– Nigdy mi tego nie opowiadałaś.

– Bo czym tu się chwalić.

– Pisanie pamiętnika przez osobę dorosłą może mieć działanie terapeutyczne. To wspaniale, że to robisz. – Ela sapnęła ciężko, oczekując najgorszego.

Przyjaciółka znów płakała, łkała, szlochała, tłumiąc ból, który wręcz rozsadzał ją od środka.

– On ostatnio porobił zdjęcia stron, na których pisałam o tym, że marzy mi się dobry, cudowny mężczyzna. Opisałam go tam z najdrobniejszymi szczegółami, tak jak bym go miała przy sobie. Kiedy to przeczytał, rozpętała się awantura, że mam kochanka. Ścisnął mi dłonie z całej siły i powiedział, że jeśli kiedykolwiek przyjdzie mi coś głupiego do głowy, to użyje tych zdjęć jako dowodu w sądzie, że rzekomo się puszczałam. Wtedy podobno sąd orzeknie rozwód z mojej winy i zostanę z niczym.

– To było wtedy, co miałaś siniaki na nadgarstkach i nie chciałaś o tym rozmawiać?

Julita spuściła głowę, niepewnie przytakując. Ela otworzyła nowe pudełko chusteczek i podała je przyjaciółce. Cała trzęsła się w środku. Serce waliło jej tak, jakby miało wyskoczyć z piersi. Rzadko się denerwowała, ale po tym, co usłyszała, nie mogła opanować emocji. Ze wszystkich sił się powstrzymywała, aby nie pobiec

do Gerarda i mu nie nawtykać. Tylko co by to dało? Zło rodzi zło, negatywna energia jest pożywką dla negatywnej energii. Pragnące zemsty myśli są nasieniem gorzkich łez, a gorzkie łzy były ostatnim, czego jej przyjaciółce było potrzeba.

17. Zmiany

Nie ma nikogo, kto wyszedłby z młodości bez szwanku. Każdemu przytrafia się coś, z czego nie jest dumny. Tyle że konsekwencje tych czynów potrafią być różne. Wielokrotnie słyszała, że powinna się uczyć na cudzych błędach, bo wtedy istnieje szansa, że uniknie własnych. Tylko czy to było możliwe?

Czas płynął, Marcin doszedł do siebie i zaczął pomagać Eli w opiece nad zwierzętami. Kobieta cieszyła się z męskiej ręki w domu. Młody człowiek był bardzo przydatny. Zdjął z jej barków większość obowiązków dotyczących gospodarstwa domowego. Niemalże całkowicie doszedł do siebie pod względem fizycznym, chociaż czasami się zamyślał i oczy mu smutniały. Zapytany o to, jak się czuje, zawsze odpowiadał, że nigdy nie było lepiej. Gdy się na niego patrzyło, człowiek zaczynał się zastanawiać, co jest powodem większego utrapienia – ból fizyczny czy ból emocjonalny.

Kamila również zaczęła sobie układać świat. Zatrudniła się dorywczo jako opiekunka do dzieci. Jej podopieczną była czteroletnia Mania, której rodzice pracowali wraz z Elżbietą w szpitalu. Nastolatka cieszyła się z posiadania własnych pieniędzy. Przyglądająca się całej sytuacji Julita coraz częściej zamieniała swoje łzy na delikatny uśmiech zza zamglonych oczu. Była dumna z tego, jak radzą sobie z codziennością jej dzieci. Zaaklimatyzowały się w nowych warunkach, co stało się powodem do jej rozmyślań nad zmianami, które powinna wprowadzić we własnym życiu. Przez cały czas rozłąki z Gerardem ukradkiem, tak aby nikt nie widział, zadzwoniła do niego kilka, może nawet kilkanaście razy. Nie odbierał. Z trudem, ale wreszcie dała sobie spokój. Czasami nawet wydawało jej się, że za nim tęskni, lecz gdy przypominała sobie, jak ją traktował, znowu go nie lubiła. Nie potrafiła zrozumieć samej siebie. Wciąż martwiła się o dzieci, które w gruncie rzeczy wyglądały teraz tak, jakby nigdy w ich życiu nie istniał ktoś taki jak ich ojciec.

Zbliżał się wrzesień i moment powrotu Kamili do szkoły. Na całe szczęście dziewczyna zarobiła trochę pieniędzy, które przeznaczyła na zakup potrzebnych jej drobiazgów. Marcin, jako student, miał jeszcze miesiąc wakacji. Rok Julity zaczynał się we wrześniu, a kończył w czerwcu. Wakacje zawsze spędzała na planowaniu. Tegoroczne lato okazało się pierwszym, które spędziła, nie planując niczego. Zastanawiała się, co jest z nią nie tak i jak może sobie z tym „nie tak” poradzić. Poprosiła nawet Elę, aby ta zapisała ją na jakąś terapię psychologiczną, gdzie mogłaby nadrobić własne braki. Ela beznamiętnym tonem oznajmiła, że braki to ma raczej Gerard i nie zanosí się na to, aby chciał je uzupełniać.

– Zadzwoń do ciebie chociaż raz? – pytała.

– Nie zadzwonił.

– No właśnie.

Ileż można patrzeć w telewizor i pić herbatę na tarasie, zastanawiając się nad istotą życia? Julita bała się, że z tego nicnierobienia za chwilę popadnie w jakiś nałóg. Tyle że nawet na to nie było jej stać. Wino, papierosy czy coś tam jeszcze kosztują, czyli trzeba pracować, a żeby pracować, trzeba by mieć jakieś dokumenty potwierdzające, że skończyło się chociażby szkołę podstawową. Nie było innego wyjścia, jak tylko wybrać się do miejsca, które kiedyś nazywała domem.

Gdy Ela powiedziała, że na żadną terapię jej nie wyśle, Julita postanowiła spróbować innego wyjścia.

– Ela, pamiętasz tę mantrę, którą mi przysłałaś, kiedy byłam w Jaczewie? Przypomniałam sobie teraz o niej i pomyślałam, że skoro uważasz terapię za stratę czasu, to może ja bym spróbowała tych twoich metod na nadrobienie własnych braków?

Ela właśnie wkładała naczynia do zmywarki. Usłyszawszy pytanie Julity, z wrażenia upuściła na podłogę kubek. Nie zmartwiła się, gdy się potłukł, wręcz przeciwnie, ucieszyła ją zmiana nastawienia Julity.

– Mówiłam ci już, że braków to ty nie masz żadnych – powiedziała beznamiętnie, sprzątając z podłogi, po czym udała się do pokoju po laptop.

Gdy wróciła, otworzyła go, odszukała mantrę, włączyła ją i zaczęła wyjaśniać, iż mantra **Ra, Ma, Da, Sa** jest jedną z najstarszych i najsilniejszych, a jej śpiewanie stymuluje przepływ dobrej energii.

– O nie, to ja już dziękuję w takim razie. Nie mam zamiaru śpiewać. Ostatni raz to ja śpiewałam kołysanki dzieciakom i robiłam to tak, by mnie nikt nie słyszał.

Ela uśmiechnęła się tylko i zaczęła tłumaczyć, iż w śpiewaniu mantr nie chodzi o to, aby się popisywać wokalnym talentem, lecz o to, by uruchomić przepływ energii.

– To ci pomoże, Juli – tłumaczyła.

Julita nie wyglądała na zachwyconą i zaczęła żałować, że w ogóle o tym przypomniła. Zaniżone poczucie własnej wartości ciągle dawało o sobie znać. Do tej pory jej plany, inspirowane chęcią wprowadzenia zmian w swoim życiu, zawsze spełzały na niczym. Gerard był mistrzem podcinania skrzydeł własnej żonie, a ona nie miała sił, aby te skrzydła odbudować. Teraz, gdy była od niego oddalona, próbowała myśleć inaczej. Chociaż przychodziło jej to z wielkim trudem, widząc swoją wyciszoną przyjaciółkę, uznała, że może i ona mogłaby spróbować tego całego mantrowania.

Ela wyznała, że nieprzypadkowo wysłała jej wtedy właśnie tę mantrę. Myślała, że wakacje w Jaczewie okażą się na tyle monotonne, że Juli sama z nudów po nią

sięgnie. Dzisiaj jednak wszystko było inne. Słoneczny niedzielny poranek rozbudził w Elżbiecie iskierkę nadziei na przekazanie Julicie odrobiny spokoju, z którego wszyscy mogą korzystać, a tak niewielu ma ochotę.

– Ta mantra uspokaja emocje. Ma dobroczynne działanie na pracę mózgu – powiedziała Ela.

Julita starała się zachować skupienie i należyłą powagę, co było trudne, bo przypomniała jej się babcia Władzia i prawione przez nią morały. Gdyby widziała je teraz w akcji, oberwałyby po głowie i musiały wyplewić cały ogródek za chęć odprawiania jakichś szarlatańskich modłów. Na samą myśl o tym Julita nie wytrzymała i kąciki jej ust uniosły się delikatnie ku górze.

– Wiem, co myślisz – stwierdziła Ela – ale nie ma tu z nami naszych babć, a my nie jesteśmy już małymi dziewczynkami. Możemy odprawiać takie modły, jakie tylko chcemy. Poza tym wcale nie uważam, abyśmy jako katoliczki robiły coś złego. Julita, te wszystkie bzdety, które nam wmawiano o tym, że Bóg nas ukarze i tak dalej, to istna ściema. Jakie my byliśmy nieświadome. – Przewróciła oczami. – Na szczęście mamy teraz trochę więcej lat i możemy wziąć sprawy w swoje ręce. Cieszę się, że się zdecydowałaś. Nie umiem wiele, bo wszystkiego nauczyłam się sama, ale mam zamiar przekazać ci to, co wiem. Gdyby nie praktykowanie medytacji każdego poranka, to chyba bym oszalała.

Julita skinęła głową. Z zewnątrz jej przyjaciółka wyglądała na silną, niezależną kobietę, niepotrzebującą u swego boku mężczyzny. Krążyły nawet plotki, że jest lesbijką. Obie jednak wiedziały, że prawda jest zupełnie inna, a jej korzenie tkwią mocno w przeszłości.

– **Ra Ma Da Sa** pomaga uzdrowić dolegliwości fizyczne, ale też pozytywnie działa na relacje z innymi ludźmi. Pomaga przejść przez proces przebaczenia i różne trudne chwile. Kiedy mam spadek życiowej energii, zawsze ją śpiewam, nie przejmując się tym, czy ktoś mnie słyszy, czy nie. Wiem, że słoń nadepnął mi na ucho, ale wcale się tym nie przejmuję.

Julicie przypomniały się czasy, kiedy uwielbiała śpiewać. Brała do ręki dezodorant i udawała, że jest Whitney Houston, drąc się na cały regulator i wyciągając najwyższe dźwięki z *I will always love you*. Co się stało z jej marzeniami?

– Uwierz mi, na pewno poczujesz się lepiej. Nie myśl jednak, że śpiewanie mantr to hipermarket – wchodzę, biorę dobre samopoczucie za pięć złotych i wychodzę. Tak to nie działa.

– Nie? To mnie zawiodłaś – zażartowała Juli, co ucieszyło Elę, bo powracający humor był oznaką, że jeszcze nie wszystko stracone.

– Bardzo śmieszne... Domyślam się, że chcesz wiedzieć, o czym śpiewasz, nic dziwnego, nasze umysły są tak skonstruowane, że lubią znać znaczenie wszystkiego, z czym się stykają, a szkoda, bo gdybyśmy tylko potrafili odpuścić sobie pewne rzeczy, z pewnością żyłoby się nam łatwiej.

Pełna zaangażowania, Ela zaczęła objaśniać Julicie znaczenie mantry:

Ra – Słońce

Ma – Księżyc

Da – odbiorca

Sa – całość

Sa – całość

Say – duch, energia

So – manifestacja

Hung – doświadczenie nieskończoności i prawdy

– ***Ra Ma Da Sa*** powinnaś śpiewać na jednym oddechu, natomiast ***Sa Say So Hung*** na drugim. Jesteś gotowa? – spytała z entuzjazmem.

To pytanie było trudne. Julita nigdy wcześniej nie czuła się tak dziwnie. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc milczała przez chwilę, przypatrując się Eli.

– Długo trwa ta piosenka?

– Mantra!

– Tak, tak, mantra – poprawiła się.

– Mantra trwa jedenaście minut. Zobacz, jak niewiele czasu potrzeba, aby poczuć się lepiej. Śpiewaj dość głośno, ale nie krzycz. Zamknij oczy i pozwól dźwiękom wypływać z siebie, a za chwilę poczujesz tę magię. Obiecuję.

Kobiety siedziały naprzeciwko siebie na poduszkach. Ich pozycja przypominała siad turecki, lecz nie krzyżowały nóg. Ramiona ugięły w łokciach, a dłonie otworzyły w kierunku sufitu. Prostując kręgosłup, zachowywały świadomą postawę ciała. Zamknęły oczy i skierowały uwagę na punkt pomiędzy oczami. Ela uruchomiła link z mantrą i zaczęła śpiewać. Jej głos brzmiał przepięknie, był jednostajny, spokojny i pełen baśniowej energii pochodzącej jakby z nie tego świata. Julita przysłuchiwała się mu w skupieniu, nie potrafiąc wydobyć z siebie najmniejszego dźwięku. Wreszcie przełamała się i zaczęła śpiewać. Na początku cicho i nieśmiało, oswajała się z brzmieniem własnego głosu. Czerpane powietrze zaczęło jakby docierać do każdego zakamarka jej ciała, sprawiając wrażenie zawrotów głowy. Dbała o to, aby całą uwagę kierować na punkt pomiędzy oczami, lecz... nagle poczuła, że pod zamkniętymi powiekami zaczynają pojawiać się łzy. Przez cały czas nie otwierała oczu, pozwalając kapać słonym kroplom. Nigdy nie czuła niczego podobnego. Zaczęła śpiewać śmieiej, odważniej, jakby każde wyśpiewywane słowo było ostatnim, jakie wyrwało się z jej krwawiącej bólem piersi.

Kiedy muzyka ustała, Ela powiedziała, aby jeszcze nie otwierała oczu, lecz tylko opuściła ramiona i ułożyła dłonie na kolanach. Poprosiła o wdech nosem i wydech ustami oraz skoncentrowanie się na intencji, w jakiej mantrę zaśpiewała. Kobiety trwały w mistycznym uniesieniu, napawając się spokojem, który zapanował w ich sercach.

– Powoli otwórz oczy – szepnęła Ela.

Julita wykonała polecenie. Jej twarz pokryta była rumieńcem, a oczy szklaną taflą. Broda zaczęła drżeć. Przez chwilę siedziała nieruchomo, próbując opanować emocje, których doświadczyła, lecz po chwili dała za wygraną i zaczęła płakać. Nie był to płacz rozpaczy, żalości czy gniewu. Nie był też płaczem cierpienia, smutku ani rozterki. Czuła się tak, jakby dotykała siebie od wewnątrz, obracając między palcami wszystko, czego doświadczyła. Chwytała i wypuszczała z dłoni, co było i co jest, godząc się na to, co będzie. Energia przepływająca przez jej ciało krążyła z prędkością światła, pomagając spojrzeć na siebie z dystansem. Jeśli naprawdę wystarczy tak niewiele, by żyć lepiej, to dlaczego by nie spróbować?

Oczarowana działaniem mantry Julita po raz pierwszy od kilku tygodni postanowiła zająć się czymś innym niż rozmyślaniami o swojej przeszłości. Otworzyła laptop Eli i surfowała w internecie w poszukiwaniu wiedzy na temat tego, jak może sobie pomóc. Na jednym z blogów poświęconych świadomemu stylowi życia odkryła opisy innych mantr, działających na wszelakie obszary życia. Opisywano tam również praktyki medytacyjne, pomocne w pokonywaniu codziennych trudności. Wciąż zastanawiała się, czy to, co robi, nie jest sprzeczne z jej wiarą. Była przecież katoliczką i za nic w świecie nie chciała porzucić swojej religii. Wychowała się w niej, przekazując tradycję własnym dzieciom. Podzieliła się swoimi wątpliwościami z Elą, która uspokoiła ją szybko:

– Bóg ma wiele imion, moja droga, nieważne, jak go nazywasz, on zawsze chce dla ciebie jednego – dobrego życia. Chociaż czasami to dobro w naszym mniemaniu powinno wyglądać inaczej, to nic nie dzieje się bez przyczyny. Nie przejmuj się, że robisz coś złego, bo nie robisz. Stwórca na pewno nie strzeli ci focha – powiedziała Ela żartobliwie, próbując uniknąć zbędnego patosu.

Julita nie czuła się usatysfakcjonowana odpowiedzią. Chciała mieć pewność, że nie czyni nic, co obraża jej Boga, jej Stwórcę, jej kogoś, o kim jakiś czas temu zapomniała. Dlaczego tak się przejmowała tym wszystkim? Dlaczego nie potrafiła po prostu zająć się sobą i czynnościami mogącymi mieć zbawienny wpływ na jej funkcjonowanie? Zawsze potrzebowała potwierdzenia słuszności swoich działań, taka już była.

Spędziła całą niedzielę na buszowaniu w biblioteczce przyjaciółki. Zaskoczyła siebie samą, z jakim zaangażowaniem wertowała spisy treści. Chciała znaleźć coś, co potwierdzi słuszność działań, które być może spróbuje podjąć, bądź im zaprzeczy. Przez cały ten czas Ela przyglądała się przyjaciółce w milczeniu. Wiedziała, że tę drogę każdy musi przejść sam.

– Widzę, jak się miotasz – zaczęła cicho. – Rano razem śpiewaliśmy, doznałaś być może jakiegoś mentalnego oczyszczenia. Szczerze powiem, że bałam się, iż zareagujesz nerwowo. Na szczęście tak się nie stało. Możesz wkroczyć na dobrą drogę, jeśli tylko będziesz chciała.

„Dobłą drogę? O czym ona mówił? Nigdy na żadną z dróg swojego życia nie wkroczyłam w pojedynkę. Zawsze ktoś za mną stał i szeptał mi do ucha, co ma robić” – pomyślała Julita.

– Dlaczego uważasz, że mogłabym się zdenerwować tak spokojną muzyką? – zapytała niepewnie, bojąc się, co usłyszy w odpowiedzi.

– **Ra Ma Da Sa** niektórych potrafi wprowadzić w stan niepokoju. Ludzie, którzy mają bardzo zanieczyszczone wnętrza, irytują się przy jej nucie. Ty się nie irytowałaś. Możesz zmienić swoje życie szybciej, niż ci się wydaje, Juli. Nie musisz się bać ani oglądać wciąż za siebie. Jesteś autorką swojej codzienności – ty i tylko ty. Decyzja, jaką podejmiesz, należy do ciebie. Wiedz jednak, że we wszechświecie wszystko jest energią. Wszystko się zmienia. Gdybyś tylko na chwilę przysiadła i przyjrzała się wszystkiemu od wewnątrz, zrozumiałabyś, że życie wcale nie jest takie złe, a ty nie potrzebujesz nikogo z zewnątrz, kto będzie je kontrolował. Wszystkie dobrodziejstwa nosisz w sobie. Wszystko, czego potrzebujesz, już w tobie jest. Bez względu na to, co sobie teraz myślisz, ja wiem, że to prawda. Gdybym w pewnym momencie nie porzuciła potrzeby kontroli, nie rozmawiałybyśmy teraz. Chybabym zwariowała – dodała ciszej, przypominając sobie krzyż, jaki cały czas niosła. – Do dziś popadam w trudne stany, ale staram się sobie radzić. Człowiek zawsze ma dwa oblicza: to, które pokazuje innym, i to, które jest prawdziwe. Tego drugiego często się wstydzimy. Przecież wiesz, że nie jestem taka idealna.

Julita wysłuchiwała przyjaciółki w skupieniu. Przez cały czas wydawało jej się, że to ona jest słabszym ogniwem w ich duecie, to jej problemy zawsze były większe i gorsze. Kiedy tylko coś nie tak działo się w życiu Julity, pierwsze, co robiła, to zakładała buty i biegła do Elżbiety, szukając pocieszenia w jej zawsze otwartych ramionach. Nigdy nie pytała o jej problemy, nigdy nie zastanawiała się, czy przypadkiem ona nie potrzebuje wsparcia. Tak naprawdę przez wszystkie lata przyjaźni częściej od niej brała, niż jej dawała. Łatwiej było postawić siebie w cieniu, twierdząc, że nie ma się o niczym pojęcia. To inni byli mądrzejsi, lepsi, bardziej

doświadczeni. Gerard wydawał polecenia, dzieci od pierwszych dni na tym świecie domagały się zaspokajania ich wszystkich potrzeb, a kiedy jeszcze żyła babcia, rozstawiała ją po kątach, mówiąc, co, gdzie i jak ma robić, grożąc plewieniem ogrodu. Czyżby jej matka wychowała ją na nieumiejącą sobie radzić istotę? Nie chciała teraz obarczać jej winą za to, że życie jej córki przybrało ciemniejsze barwy. Co jak co, ale matka zawsze chciała dla niej jak najlepiej. Co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Być może sama nie umiała inaczej, nikt jej nie powiedział albo sama nie doszła do takich wniosków, a teraz było już za późno.

Serce Julity nadal biło, a jej płuca nadal łapczywie próbowały złapać spokojniejszy oddech, tyle że ona tak bardzo bała się zaczerpnąć go samodzielnie. Bez instrukcji i podpowiadania, jak powinna to zrobić. „Wszystko, czego potrzebujesz, jest w tobie” – te słowa rozbrzmiewały w jej głowie. Zaczynała rozumieć to, co mówili wszyscy. Może pora przestać zwałać na innych odpowiedzialność? Może pora samemu zawalczyć o swoje szczęście?

– Naprawdę nie robię nic złego? Nie odwracam się od swojej religii? – Julita postanowiła ostatni raz zapytać przyjaciółkę o to, co ją dręczyło.

– Modlitwa jest mówieniem do Boga, a medytacja jest jego słuchaniem.

No, pomyśl, Juli. Pomyśl sama. Wyciągnij wnioski z tego, co do ciebie powiedziałam.

Julita milczała przez chwilę, po czym szepnęła, prawie niesłyszalnie:

– Niemożliwe, bym, słuchając Boga, uczyniła mu coś złego.

18. Nieśmiała odwaga

Przez cały następny tydzień Julita zmuszała się, aby wstawać wczesnym rankiem po to, by śpiewać mantrę i medytować. Zajmowało jej to około dwudziestu pięciu minut. Za pomocą mantry próbowała się uspokoić i naładować pozytywną energią na nadchodzący dzień, a za pomocą medytacji pragnęła znaleźć się bliżej Boga, od którego ostatnimi czasy się odsunęła. Jeszcze nie potrafiła rozpoznać, czy jej działania przynoszą jakikolwiek skutek, ale nie zamierzała się poddawać.

Ela wytłumaczyła Julicie, że najlepszym czasem do medytacji jest przedział między czwartą a siódmą nad ranem oraz między szesnastą a dziewiętnastą. Niestety, żaden z tych obszarów czasowych nie wpasowywał się w rytm życia, który dotychczas prowadziła, bowiem zazwyczaj wstawała między siódmą a ósmą, więc było za późno. Zależało jej na praktyce, więc musiała pożegnać się z przesiadywaniem wieczorami przed komputerem w celu surfowania w sieci i przyglądaniu się życiu innych ludzi. Przemogła się i była z siebie dumna. Nastawiała budzik na wpół do siódmej, po to, aby zdążyć zaczerpnąć świeżego oddechu nieskażonego odgłosami poranka. Fakt, mogłaby jeszcze medytować wieczorami, ale to byłoby jeszcze trudniejsze. Wtedy zazwyczaj wszyscy schodzili się do domu, wypełniając go gwarem rozmów, stukotem butów i dźwiękami brzęczących smartfonów. Znalezienie w takich okolicznościach spokojnego miejsca graniczyłoby z cudem.

Ela cieszyła się z widoku Julity siedzącej na tarasie jej domu i pogrążonej we własnych myślach. Miała cichą nadzieję, że podróż w głąb siebie wzmocni jej przyjaciółkę i doda sił potrzebnych do podjęcia kluczowych w jej życiu decyzji. Postanowiła przyglądać się całej sytuacji z boku i nie poganiać Julity.

Tydzień później, w niedzielny poranek, przyjaciółka sama zagałę rozmowę na ten temat:

– Postanowiłam odwiedzić Gerarda. Chciałabym z nim porozmawiać – zakomunikowała, uśmiechając się przy tym tajemniczo.

Ela, nie chcąc jej płoszyć, milczała. Zajął się przygotowywaniem kawy w swojej ulubionej kawiarni. Nie znosiła gotowych mieszanek, pełnych chemii. Parzenie porannej kawy od dawna było jej ukochanym rytuałem.

– Rozumiem, że podjęłaś jakieś decyzje? – zapytała, nalewając espresso do porcelanowych filiżanek.

Julita uśmiechnęła się promiennie, jakby doznała olśnienia. Upiła łyk czarnego płynu i jednym tchem wyrecytowała, co zamierza zrobić. Jako że Gerard nie odbierał od niej telefonów, postanowiła dziś po południu udać się do niego i poprosić go o pojedynczą rozmowę. Wyznała, że medytacje działają na nią tak kojąco

i dobroczynnie, że postanowiła załagodzić małżeński konflikt i spróbować wszystko poukładać sobie na nowo.

– Wiesz, Ela, pochodzę z czasów, kiedy to naprawiało się stare, a nie wyrzucało je do śmieci i leciało do sklepu po nowe. Jesteśmy ze sobą tyle lat. Niedługo nasza dwudziesta rocznica, płócienna – rzekła dumnie. – Wyobrażasz to sobie? Dzięki tej mantrze, którą śpiewam, dotarło do mnie, że nie powinnam nosić w sobie złości i zniechęcenia. Chciałabym załagodzić ten konflikt. Wiesz co, to ty mi pomogłaś. Dziękuję ci z całego serca. Jesteś prawdziwą przyjaciółką. Poza tym mieszkam u ciebie już tak długo, nie mogę dalej siedzieć ci na głowie. Powinnam wrócić do domu, do męża. Tam jest moje miejsce. – Znów upiła łyk kawy, uśmiechając się przy tym promiennie.

Ela nie wierzyła własnym uszom. Nie o taką pomoc jej chodziło. Wzięła wdech, aby coś powiedzieć, lecz po chwili zrezygnowała. Gdyby wiedziała, że mantra wywoła w Julicie takie objawy, z pewnością zdecydowałaby się puścić jej disco polo albo może jakieś techno. Nie mogła uwierzyć, jak to możliwe, że po tym, co się wydarzyło, Julita nadal chce naprawiać swoje małżeństwo. Westchnęła tylko, aby nie podgrzewać nerwowej atmosfery, która w ciągu kilku minut wypełniła się jej kuchnia i którą, niestety, czuła tylko ona, gdyż Julita zdawała się w doskonałym, rozanielonym i skłonny do ugód nastroju.

– Julitko, powiedz mi, kochanie, czy ty rozmawiałaś już na ten temat ze swoimi dziećmi? Nie zrozum mnie źle, ja nie oceniam twoich chęci, bo nie na ocenianiu polega przyjaźń, jestem tylko ciekawa, czy Kamila i Marcin dzielą twój fantastyczny nastrój – zaczęła niepewnie.

– Jeszcze z nimi nie rozmawiałam.

– Zamierzasz to zrobić?

– Oczywiście, że zamierzam. Co to za pytanie? Przecież nie będę ukrywała dobrych nowin przed własnymi dziećmi. Dzwoniłam kilka razy do Gerarda, lecz nie odbierał. Postanowiłam więc, że jutro po południu do niego pójde. Jak już się dogadamy i sprawa zostanie załagodzona, wtedy przekażę dzieciom pomyślne wieści.

– Pomyślne wieści... – powtórzyła szeptem Ela. – Jesteś pewna, że się dogadacie, tak? – Tym razem syknęła przez zęby, próbując zachować resztki spokoju.

Julita zdawała się nie dostrzegać targających Elą emocji.

– Jasne, że tak. Niby dlaczego mielibyśmy się nie dogadać? Trochę więcej wiary, Eli. Miłość wszystko wybacza, a ja wierzę, że między nami to jest miłość. – Sączyła kawę, przymykając oczy i rozkoszując się jej smakiem.

Pochwaliła Elę za mistrzowsko przygotowane espresso. Na jej twarzy malował się błogostan. Po chwili ocknęła się z niego i jak filip z konopi wypaliła:

– Kochana, powiedz mi, czy ty masz blaszkę do tarty? Taką, wiesz, z ruchomym dnem? Chciałabym ją upiec dla Gerarda, bardzo za nią przepada. Przez żołądek do serca, rozumiesz?

Elę aż zemdlilo. Najdelikatniej jak tylko potrafiła próbowała wytłumaczyć Julicie, że próba pojednania nie ma sensu, bo najprawdopodobniej skończy się ona rzewnym płaczem.

– Rozumiem, że możesz nie wierzyć w powodzenie tej rozmowy. Nie zapomniałam, co się wydarzyło w ostatnim czasie, ale ja znam swojego męża. Jest uparty, dlatego najlepiej będzie, jak do niego pójdę.

Elżbieta nie wytrzymała i straciła panowanie nad sobą.

– Przecież on nawet nie odbiera telefonów od ciebie! Składaj pozew o rozwód, a nie idziesz go przeproszać. Błagam cię, zachowaj resztki godności. Ja tego dłużej nie wytrzymam. Czy ty naprawdę nie widzisz, że ten człowiek potrzebuje pomocy psychoterapeuty? Myślisz, że go ocalisz swoją miłością? A co z tobą? Kamila i Marcin nie przeprowadzą się do niego. Nawet po swoje rzeczy nie chcieli iść. Zakasali rękawy i pracują, aby wszystko sobie kupić od nowa. Widzisz, aby twój mąż za wami tęsknił? Ja jakoś nie zauważyłam. Jeszcze ci mało poniżenia?

Tym razem Julita poczerwieniała. Wstała od stołu i nerwowo zaczęła sprzątać. Nie patrząc na nic, zgarnęła nawet niedopitą kawę Eli, wylewając ją do zlewu.

– Wiem, że nie mam doświadczenia w sprawach małżeńskich, ale...

– No właśnie, nie masz o tym pojęcia, więc mnie nie pouczaj. Może gdybyś przestała trzymać tę swoją cnotę dla księcia na białym koniu i poznała trochę normalnego życia, nie udzielałabyś mi takich radykalnych rad – lodowato odparła Julita.

Słowa, które padły, zmroziły Elę. Stała, przyglądając się przyjaciółce, i nie mogła zapanować nad gonitwą myśli pędzących teraz przez jej głowę. Nigdy nie sądziła, że sekret, który znała tylko Julita, zostanie wykorzystany przeciwko niej i to w sytuacji, w której najmniej by się tego spodziewała. Była dziewicą, to fakt. Niebawem miała stuknąć jej czterdziestka, a ona nie przeżyła jeszcze nigdy pierwszego razu. A teraz jej przyjaciółka wręcz natrzęsała się z niej z tego powodu. Serce waliło jej jak młotem, a do oczu napłynęły łzy. Nie chciała, aby Julita widziała, że płacze. Odwróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku swojej sypialni.

– Ela, poczekaj! Nie chciałam tego powiedzieć! Przecież wiesz, że ja nie widzę nic złego w tym, że nigdy z nikim nie spałaś.

– Wszystko jest w porządku, Juli. Nie mam żalu. Blaszkę do tarty znajdziesz w dolnej szafce, pod piekarnikiem – odparła, nie oglądając się za siebie.

Stała pod prysznicem i zmywała z siebie nie do końca udany poranek. Nie chciała sprawić przyjaciółce przykrości, ale jakoś tak wyszło. Po prostu zaczęło się w niej budzić coś, czego jeszcze ostatecznie nie umiała nazwać. Może prawo do własnego zdania? Obiecała sobie, że wieczorem porozmawia z Elżbietą na ten temat, tymczasem zamierzała zająć się swoimi sprawami. Postanowiła się trochę ogarnąć i zadbać o siebie od strony powierzchowności. Wtarła we włosy odżywkę i wkrótce po całej łazience rozniósł się zapach malin. Ogoliła nogi, wklepała w ciało balsam i nagle nieoczekiwanie zapragnęła pomalować paznokcie u stóp na czerwono. Nie wiedziała, skąd przyszło jej to do głowy, przecież nigdy tego nie robiła. Kiedy była młodą mamą, nie miała czasu na papranie się w maseczkach do twarzy i planowanie, co na siebie włoży kolejnego dnia. Dwa lata różnicy między dziećmi sprawiły, że wyczerpująca opieka nad nimi wypełniła jej codzienność co do sekundy. Dziś było inaczej, bo Marcin i Kamila byli już prawie dorośli.

Łazienka wypełniła się parą. Julita przetarła łokciem przymglone lustro i z zaciekawieniem przyglądała się swemu odbiciu. Kim była ta kobieta, której czas wymalował między brwiami lwią bruzdę, kąciki ust nieco opadły, a włosy straciły dawny blask i objętość, w zamian za to iskrząc się srebrnymi nitkami? Czy zakochałaby się w sobie takiej?

Desperacko otwierała szuflady Eli, poszukując czerwonego lakieru do paznokci, tak jakby to on miał odmienić jej życie. Musiała pomalować paznokcie tu i teraz. Chciała się zmienić dla niego, chciała, aby spojrzał na nią tak, jak wtedy, w Vinecie, kiedy tańczyli razem, a ona wirowała w radosnych płasach, uważając się za królową życia. Opuściła łazienkę przyodziana w szlafrok Eli, na włosach zawiązała turban z ręcznika, a w dłoniach trzymała upragniony czerwony lakier. W kuchni natknęła się na Elę, która ignorowała jej obecność, zajęta siekaniem fasolki szparagowej. Julita zrozumiała, że nie jest to najlepszy czas na kolejną trudną rozmowę, i zniknęła za drzwiami swojej sypialni z postanowieniem oddania się kosmetycznym rytuałom. Spędziła tam około dwóch godzin, po czym wyszła zadowolona i pachnąca. Spojrzała jeszcze na swoje stopy – kolor paznokci dodawał jej nieśmiałej odwagi. Wskoczyła w sandały, narzuciła na siebie przymałą katanę i ruszyła do sklepu. Na odchodne rzuciła w stronę przyjaciółki: „Do zobaczenia później”, ale Ela nic nie odpowiedziała.

W spożywczym zakupiła niezbędne do przygotowania tarty produkty. Mogłaby przysiąc, że sprzedawca zawiesił na niej oko dłużej, niż wymagały tego obowiązki służbowe. Poczula się kobieco i ładnie, tak jak już dawno się nie czuła. Wracając do domu, podśpiewując pod nosem. Skoro obcy mężczyźni zwracali na nią uwagę, była przekonana, że jutro z jej własnym mężczyzną pójdzie jej doskonale. Mieli przecież dobre chwile. Oczami wyobraźni widziała męża zakładającego jej kosmyki włosów za

ucho i wpatrującego się w nią z pożądaniem. Pomyślała, że upiecze jego ulubioną tartę i zanieśie mu ją, ubrana w najlepszą sukienkę Eli. Porozmawiają i wszystko się jakoś poukłada, jej życie wróci do normy.

Po drodze wstąpiła jeszcze do kwaciarni, zanurzyła nos w płatkach czerwonej jak jej paznokcie róży i postanowiła ją kupić. „Wszystko będzie dobrze” – pomyślała. Kiedy znalazła się w domu, nie zastała Eli. Przyjaciółka przykleiła do drzwi lodówki kartkę z napisem „Na kuchence stoi zupa fasolowa, bardzo pożywna, życzę smacznego. Wrócę wieczorem”. Cała Ela. Tym przemiłym kulinarnym gestem wprawiła Julitę w jeszcze większe wyrzuty sumienia z powodu poranka. Popróbowowała zupy – jak zawsze smakowała obłędnie. Nalała więc sobie talerz, zjadła i zajęła się przygotowaniem tarty.

Przepis był bardzo prosty, miała go w głowie, piekła tę tartę już tyle razy, że zdążyła nauczyć się go na pamięć. Kostkę ciepłego masła połączyła z dwiema szklankami mąki i czterema łyżkami cukru. Wymieszała wszystko dokładnie i gęstym jak plastelina ciastem wylepiła dno blaszki, poświęcając szczególną uwagę jej brzegom. Gotowe wstawiła do lodówki na pół godziny. Następnie nagrzała piekarnik do dwustu stopni, wyjęła ciasto i umieściła je w piekarniku. Po dwudziestu pięciu minutach było gotowe. Wystarczyło tylko poczekać, aż ostygnie i ułożyć na wierzchu, co tylko przyszło do głowy. Przeważnie układała na nim masę budyniową, czasami zwykłe sezonowe owoce albo zasmażane na patelni jabłka, lecz Gerard najbardziej lubił, kiedy robiła tartę z konfiturą truskawkowo-czereśniową. Przypomniała sobie, że nie tak dawno podarowała Eli kilka słoiczków, postanowiła teraz jeden z nich wykorzystać. Na szczęście przyjaciółka nie zdążyła ich jeszcze zjeść. Zadowolona z siebie odkręciła słoik i przełożyła jego zawartość na tartę. Do kuchni niespodziewanie weszła Kamila.

– Zrobiłaś tartę? Czy mogę kawałek? Wiesz, jak ją uwielbiam.

Nie było innego wyjścia, jak pozwolić córce na konsumpcję. Gdyby jej zabroniła, ta zaczęłaby coś węszyć i w efekcie musiałyby jej wyznać prawdę, że wypiek przeznaczony był dla jej ojca. Kamila zjadła trzy kawałki, mlaskając przy tym i mrużąc z zadowolenia.

– Widzę, że ci smakuje, córeczko. Z zaledwie trzech składników wyczarować taki niezły podkład na deser, to tylko ja potrafię. – Julita pochwaliła samą siebie chyba po raz pierwszy w życiu, co nie umknęło uwagi Kamili.

– Mama, no w końcu! Już myślałam, że nigdy nie zaczniesz dostrzegać swoich zalet. Jesteś genialna, a to ciasto to istna bajka.

Julita uśmiechnęła się do siebie, po czym zakasała rękawy i zaczęła robić jeszcze jedno, dla Gerarda. Tym drugim nie zamierzała się z nikim dzielić, choćby nie

wiadomo co.

Zbliżała się dwudziesta, a Eli nadal nie było w domu. Zaniepokojona Julita postanowiła do niej zadzwonić. Wykonała chyba z piętnaście telefonów, niestety przyjaciółka nie odbierała połączenia. Czyżby aż tak bardzo zdenerwowała się tą poranną rozmową, że postanowiła się obrazić jak mała dziewczynka? To nie było w stylu Eli. Niemniej jednak Julita powoli zaczynała odchodzić od zmysłów. Nie miała pojęcia, gdzie mogłaby szukać przyjaciółki. Wysłała do niej kilka SMS-ów z prośbą o pilny kontakt, lecz na nic się to zdało, bo telefon milczał jak zakłęty. Kiedy Julita już niemal pogrążyła się w rozpacz, snując tragiczne scenariusze tego, co mogło się zdarzyć, psy zaczęły wesoło szczekać, co zwiastowało tylko jedno – wróciła pani. Julita zerwała się na równe nogi i podbiegła do drzwi, chcąc przywitać przyjaciółkę.

– Jesteś! Nawet nie wiesz, jak się martwiłam. Dlaczego nie odbierałaś ode mnie telefonu? Gdzieś ty się podziewała? Jesteś na mnie zła o poranek? Jeśli tak, to przepraszam najmocniej, nie chciałam cię urazić. – Julita trajkotała jak nakręcona.

Ela zdjęła torebkę, której pasek zdążył odcisnąć się na jej ramieniu. Uśmiechnęła się blado, a w jej oczach widoczne było zmęczenie z domieszką trudnego do zrozumienia współczucia.

– Nie pogniewałam się. Gdybym się pogniewała, nie ugotowałabym dla was obiadu. Mam nadzieję, że wam smakowało. Dzieci jadły?

– Oczywiście, że smakowało i oczywiście, że jadły. Gdzie się podziewałaś?

– Musiałam coś załatwić.

– Ale co? Nie było cię cały dzień...

– Potrzebowałam spokoju, aby pomyśleć.

– Mogłaś chociaż napisać SMS.

– Straciłam zasięg.

– Nie straciłaś, dzwoniłam i był sygnał.

Ela nie miała ani siły, ani ochoty nikomu się tłumaczyć, a już na pewno nie Julicie. Całe rozgoryczenie poranka utrzymywało się jeszcze delikatnie nad ich głowami, chociaż emocje zdążyły już nieco opaść. Chwyciła twarz przyjaciółki w swoje dłonie i patrząc jej prosto w oczy, jeszcze raz zapewniła ją, że nic złego się nie stało poza tym, że potrzebowała spokoju, aby wszystko sobie poukładać w głowie. Julita dała wreszcie spokój, przytuliła Elę, poprawiła opadający na jej czoło kosmyk włosów, kończąc całe przesłuchanie westchnieniem.

– Przygotowałam tartę. To znaczy zrobiłam dwie tarty. Kamila, wiedziona słodkim zapachem, do jednej z nich mi się dobrała. Nie chciałam jej tego zabraniać,

bo jeszcze by się czegoś domyśliła. Upiekłam więc drugą, dla... niego.

Ela nie miała sił na rozmowy dotyczące Gerarda.

– Dasz kawałek? – zapytała, ignorując słowa Julity.

– Jasne, częstuj się. Poczekaj, ukroję ci, bo wiesz, z tartą to trzeba ostrożnie, bo się rozwali. Usiądź sobie wygodnie. Dzisiaj to ja zaparzę herbatę i porozmawiamy, dobrze?

Ela przewróciła oczami w geście dezaprobaty. Ileż można rozmawiać? Najmilej jak tylko potrafiła poprosiła Julitę, aby dzisiaj się już do siebie nie odzywały.

Zamierzała zjeść kawałek ciasta, wziąć kąpiel i w ciszy oddać się relaksacyjnym medytacjom. Nie chciała słuchać o problemach Julity i Gerarda.

19. Elżbieta Galinowicz

Co z tego, że nastawiła budzik na piątą trzydzieści, skoro nie mogła zwlec się z łóżka. Co chwilę przestawiała go na drzemkę, czyniąc to tyle razy, że z piątej trzydzieści zrobiła się siódma. Otworzyła oczy, zerknęła na zegarek i była na siebie zła – przespała taki piękny wrześnieowy poranek. Po wypiciu szklanki wody z cytryną postanowiła usiąść na chwilę z zamkniętymi oczami i spróbować o niczym nie myśleć. Nie było to jej mocną stroną, bo zawsze coś zaprzętało jej głowę. Dlatego właśnie została lekarzem, no i również dlatego, że miała ogromną potrzebę wspierania innych i niesienia pomocy. Może nawet aż za dużą, bo czasami dobro innych przysłańało jej własne...

Od wczesnego dzieciństwa wychowywana była właściwie przez babcię. Jej rodzice, pochłonięci pracą, nie mieli dla niej zbyt wiele czasu. Była najstarsza z trójki rodzeństwa. Miała młodszą siostrę, a najmłodszy był brat. Mama bardzo wczesnie wyszła za mąż i zrezygnowała ze swoich marzeń o studiach. Szybko urodziła dzieci, ale ponieważ niedługo po porodach wracała do pracy na kolei, opiekę nad nimi powierzała swojej matce – Leokadii. Ela, jako najstarsza, pomagała babci zajmować się pozostałą dwójką rodzeństwa. Czuła się wtedy taka ważna i potrzebna... W nagrodę babcia zabierała Elę wieczorami na lekcje religii w przykościelnej salce. Jako dziewczynka czuła się wyróżniona, że może spędzać ten czas tylko z babcią, nie musząc się nią dzielić z rodzeństwem. To tam poznała Julitę. Nic takiego się nie działo, nikt nie dostrzegł niepokojących sytuacji, mogących zaszkodzić Eli w przyszłości. Wręcz przeciwnie, cała rodzina cieszyła się, że mała Ela nasiąka pozytywnymi wartościami i godnymi uwagi zasadami życia.

Dzisiejszego poranka dorosłą już Elę dopadły wspomnienia. Niemalże słyszała, jak jej nieżyjąca od dawna babcia wypowiada słowa: „Pamiętaj, Elu, uważaj na chłopców, bo wykorzystują”, „Zanim komuś zaufasz, upewnij się, czy warto”, „Mężczyzna musi poczekać, wtedy będzie cię doceniał”, „Jak za szybko się oddasz, to nie będzie cię szanował” i tak dalej, i tak dalej. Kiedyś nie zdawała sobie sprawy z siły tego, co tłukła jej do głowy babcia. Nawet tego do końca nie rozumiała. Nie wiedziała, co to znaczy „oddać się komuś”. Mijały lata, a ona wciąż gdzieś z tyłu głowy słyszała słowa babci, która przestrzegała ją przez mężczyznami, od których najlepiej trzymać się z daleka. W latach szkolnych, kiedy rodziły się pierwsze miłości, nie biegła na randki, stroniła raczej od chłopaków, bo zamiast budzić w niej młodzieńczą fascynację, napawali ją lękiem.

Raz, jeden, jedyny, postanowiła spróbować i przyjęła zaproszenie na studniówkę, od niejakiego Alka. Imponował jej. Dwa lata starszy, wygadany, uśmiechnięty, zawsze otoczony wianuszkami dziewczyn. Pomyślała, że los zesłał jej jedną na milion

szans. Wystroiła się w najlepszą, granatową spódniczkę, jaką miała w szafie, do tego włożyła bluzkę z białym kołnierzem. Kiedy ją zobaczył, uznał, że chyba jednak pójdzie sam, ponieważ jeszcze posądzą go o pedofilię. Była zszokowana jego postawą. Przeplakała całą noc, dochodząc do wniosku, że babcia miała rację. Jej słowa nabrały większego sensu i jeszcze mocniej zakorzeniły się w podświadomości bardzo młodej wówczas dziewczyny.

W końcu dorosła. Cieszyła się, że została studentką medycyny i większość czasu poświęcała nauce. Chciała być najlepsza, bo to w końcu bardzo odpowiedzialny zawód, a ona nie zamierzała przynieść wstydu sobie i rodzinie. Nic więc dziwnego, że indeks wypełniał się piątkami. Czasami próbowała umawiać się na randki. Zawsze była zadbana, elegancka, podobała się płci przeciwnej, więc chętnych do spotkań nie brakowało. Z niektórymi pocałowała się nawet kilka razy, ale nic więcej. Szanowała się, pamiętając o tym, co mówiła babcia i czekając na chwilę, w której będzie przekonana, że warto pozwolić komuś na kolejny krok. Trzymani na dystans mężczyźni po miesiącu, dwóch miesiącach albo i pół roku (najbardziej wytrwali dobrnęli do ośmiu miesięcy) dochodzili do wniosku, że nic z tego nie będzie. Nie przejmowała się tym wcale, uznając, że widocznie nie trafiła jeszcze na tego jednego, jedyne, który przyjedzie po nią na białym koniu, rozkocha w sobie i będą żyli długo i szczęśliwie. Czas płynął nieubłaganie, Ela zdążyła ze świetnym wynikiem skończyć studia, ale u jej boku wciąż nie było żadnego mężczyzny. Kiedy koleżanki rozmawiały na temat seksu, wychodziła pod pretekstem zatelefonowania albo nagłej potrzeby skorzystania z toalety. Tylko Julita wiedziała, co było prawdziwym powodem milczenia Eli, ale zawsze trzymała buzię na kłódkę.

Ela potrafiła zadbać o siebie na każdej płaszczyźnie. No, prawie każdej – z tym mężem miała kłopot. Kandydat na partnera Eli musiał być nie mniej zaradny niż ona sama. Koniecznie wykształcony, przystojny i gotowy czekać, aż zaufa mu na tyle, by stracić z nim dziewictwo. Z nieoczytanym również by się nie umówiła, bo o czym miałyby z nim rozmawiać? Niestety, trzydziestoletni mężczyźni nie wytrzymywali nawet miesiąca randek, podczas których piła z nimi herbatkę i rozmawiała o mądrych książkach. Z biegiem czasu zaczęła się cieszyć coraz większym zainteresowaniem wśród rozwodników, czyli tak zwanych panów drugiego sortu (tak ich wtedy określała). Gdy koleżanki mówiły, że po trzydziestce to już trudno znaleźć kogoś niepozbawionego bagażu doświadczeń, śmiała się w głos, twierdząc, że na nią gdzieś tam za zakrętem czeka wielka, czysta i dozgonna miłość. Naprawdę w to wierzyła. Nie chciała się wiązać z kimś, kto posiada byłą żonę, a już na pewno nie chciała się wiązać z kimś, kto w pakiecie z byłą żoną do związku wniósłby jakiegokolwiek dzieci.

Gdzieś w okolicach trzydziestego piątego roku życia coś zaczęło się zmieniać.

Coraz trudniej było jej skupić uwagę. Miała problemy z koncentracją, wiecznie o czymś zapominała i zaobserwowała u siebie stany lękowe. Nie mogła normalnie pracować, dlatego na kilka miesięcy wzięła bezpłatny urlop, podczas którego poddała się psychoterapii. Wykonała wszystkie niezbędne badania mające wykluczyć jej domniemane choroby. Przy pomocy terapeuty Remigiusza odbyła wędrowkę do swojego dzieciństwa. Odgrzebała wpajane przez babcię zasady i zrozumiała, jak bardzo zaniedbała swoje życie osobiste. Nie obeszło się bez kuracji farmakologicznej, której niestety, nie dało się uniknąć. Na swoje trzydzieste szóste urodziny założyła profil na portalu randkowym, pełna nadziei i wiary, że znajdzie się tam ktoś godzien uwagi. Marzenia o mężczyźnie na białym koniu porzuciła na rzecz marzeń o mężczyźnie na jakimkolwiek koniu, wciąż nie zdając sobie sprawy, że tak naprawdę nie jest jej potrzebny żaden jeździec, lecz zwyczajny chłop z krwi i kości. Taki, który zająłby się jej ciałem i duszą. Terapeuta wielokrotnie jej powtarzał, iż nie powinna mylić seksu z bliskością. Niestety, nie potrafiła się przemóc. Do „tych rzeczy” musiała być zakochana. Nie potrafiłaby inaczej – no bo jak? Ot tak, iść z kimś do łóżka? Coraz częściej zadawała sobie pytanie, co jest z nią nie tak. Podobno jest ładna, zadbana, ma ciekawą pracę, a nie potrafi rozkochać w sobie nikogo, kto przedarłby się przez pancierz jej wyniesionych z dzieciństwa ideałów.

Pochłonięta rodziną i własnymi problemami Julita nie miała czasu na zajmowanie się problemami Eli. Umknęło jej uwagi, że przyjaciółka coraz częściej zagląda do kieliszka. Niby piła niewiele i drogie trunki, takie o jakich zwyczajni alkoholicy często mogą tylko pomarzyć, ale coraz częściej miała poczucie, że jeśli tego nie zaprzestanie, czeka ją kolejna terapia. Wtedy natrafiła na blog poświęcony świadomemu stylowi życia. Zaczęła medytować, modlić się, ćwiczyć jogę. Jakoś powoli się pozbierała. Cały czas miała kontakt z Remigiuszem, który odważył się zasugerować jej, aby... spróbowała masturbacji. Oszołomiona jego poradą, wróciła do domu, święcie przekonana, iż jej noga nigdy więcej nie postanie w jego gabinecie. Po pierwsze, była oburzona tą radą, a po drugie, nie wiedziała nawet, jak miałaby to zrobić. Nie znała uczucia podniecenia. Przez całe życie wypierała je ze swojej świadomości. Wstydziła się reakcji swojego organizmu na erotyczne sceny pojawiające się w oglądanych przez nią filmach. Zalewająca ją fala gorąca natychmiast gaszona była zimnym prysznicem. Dlatego nie lubiła chodzić do kina. Kiedy kilkakrotnie podczas seansu zmuszona była opuszczać salę w celu ochłonięcia, po jakimś czasie przestała tam w ogóle chodzić – chyba że na bajki z dziećmi Julity.

Pewnego wieczoru nie wytrzymała. Nalała sobie lampkę martini, włączyła film *Dirty dancing* i zrobiła to, przyglądając się scenie, w której Patrick Swayze obściskuje pośladki Jennifer Grey. Na początku nieśmiało ocierała dłonią o spodnie, poruszając

przy tym równomiernie biodrami. Kiedy poczuła błogość, postanowiła pójść krok dalej. Szybkimi ruchami pieściła swoje złąknione dotyku ciało, z rozkoszy odchylając głowę do tyłu. Wystraszona reakcjami własnego organizmu, przerwała pieszczoty. Już chciała wybiec do łazienki i zakończyć wszystko zimnym prysznicem, ale sprawy zaszły jednak za daleko. Wróciła na kanapę, dokończyć to, co zaczęła. Trwało to kilka sekund i zakończyło się spazmatyczną rozkoszą. Błogie rozleniwienie mieszało się z przerażeniem. Oddychała ciężko, nie wiedząc, czy jest szczęśliwa, czy przygnębiona. Nie знаła tego uczucia. Miała trzydzieści sześć lat i wyglądało na to, że po raz pierwszy w życiu przeżyła orgazm.

Od tamtego momentu pomimo rzadszych lub częstszych wyrzutów sumienia robiła to regularnie. Gdyby nie to, że w jej domu obecnie zamieszkiwała Julita z dziećmi, zrobiłaby to teraz ze sobą w kuchni na blacie. Remigiusz uświadomił jej, że tylko spełniając swoje erotyczne fantazje, choćby miała to robić w pojedynkę, istnieje szansa, że nie zwariuje. Od jakiegoś czasu patrzyła na niego inaczej. Pierwszy raz spotkali się prawie pięć lat temu i znał ją jak żaden inny mężczyzna. Wiedział o jej rozterkach, niepokojach i seksualnej wstrzeźliwości. Niejednokrotnie niczym ksiądz udzielał jej rozgrzeszenia po tym, jak po singlowemu zaszalała we własnej sypialni. Od jakiegoś czasu znów odwiedzała Remigiusza regularnie, lubiła go, a te spotkania bardzo jej pomagały. Miał tylko jedną wadę – był żonaty.

Cały dom pachniał perfumami Coco Chanel Mademoiselle. Krzątająca się po kuchni Julita zaparzyła kawę, ukroiła kawałek tarty i ustawiła wszystko na śnieżnobiałej tacy, którą postawiła przed Elą.

– Dobrze spałaś? – zapytała.

Ela przewróciła oczami, odkaslnęła i zabrała się za jedzenie słodkiego śniadania. Zamknęła oczy, stęknęła, jęknęła, wyrzucając z siebie ochy i achy zadowolenia ze smaku ciasta.

– To jest na tyle dobre, że nawet nie będę na ciebie zła za perfumy.

Julita zmieszała się trochę. Spryskała się tylko za uszami, lecz niestety, nie udało jej się ukryć drobnej kradzieży.

– Przepraszam – wybąkała. – Po prostu...

– OK, nie ma o czym mówić. Czuj się jak u siebie. Tak naprawdę powinnam ci podziękować, że tu jesteś. Dom tętni życiem. Do pracy mam na czternastą i gdyby nie wy, pewnie pojechałabym tam dużo wcześniej. – Nabijała na widelec kawałki ciasta, mówiąc tonem wskazującym na pogodzenie się z życiową sytuacją.

Julita usiadła naprzeciwko, spuściła głowę, nerwowo skubiąc skórki przy paznokciach. Nie wiedziała, jak zacząć rozmowę, aby nie urazić przyjaciółki.

– Chcesz mi coś powiedzieć, Juli?

Jak ona to robiła, że zawsze bezbłędnie odgadywała nastroje targające Julitą?

– Chciałabym cię przeprosić za to, co powiedziałam. Dobrze wiesz, że tak nie myślę. Masz prawo czekać na miłość, masz prawo do własnych wyborów i nic mi do tego. Nie powinnam cię oceniać. Wstyd mi za moje słowa, naprawdę nie chciałam cię urazić. Nie bez przyczyny mówi się, że najbardziej ranimy tych, których najmocniej kochamy. Kocham cię, Eli, i życzę ci jak najlepiej. Chciałabym, abyś ułożyła sobie życie i nie miała takich problemów, z jakimi ja się borykam.

Julicie naprawdę było przykro. Nie umiała mówić tak pięknie jak Ela. Nie przeczytała tylu mądrych książek i nie umiała sypać z rękawa złotymi myślami. Koleje losu sprowadziły codzienność kobiet na dwie odległe ścieżki, mimo wszystko łączące się w jednym punkcie, jakim było dzieciństwo.

– Daj spokój, nie gniewam się. Powiedziałas prawdę. Przespałam swój czas, a teraz może mnie uratować tylko jakiś cud. Sama już nie wiem...

Ela skończyła jeść. Odsunęła od siebie pusty talerzyk, z którego zniknęły nawet najmniejsze okruszki. Uniosła do góry ramiona, wplotła długie palce we włosy, zakręcając z nich niedbały kok owinięty elastyczną gumką ściągniętą z nadgarstka. Była posągowo piękna. Problemy, z którymi się borykała, wydawały się niewiarygodne. Jak to możliwe, że taka kobieta jak Ela w wieku prawie czterdziestu lat wciąż była dziewicą?

– Uważam, że nie musisz czekać na cud. Jesteś śliczna i gdybyś tylko chciała, w jednej chwili ustawiłaby się do ciebie kolejka.

– Juli, nie jestem paniusią z reklamy szamponu do włosów, aby ustawiała się do mnie kolejka – próbowała żartować.

– Może spróbowałabyś się z kimś umówić? – Julita podrapała się po głowie. – Może z kimś z tego portalu? Mówiłaś, że nawiązałaś za jego pośrednictwem fajne znajomości. Można by je odświeżyć.

Ela wstała od stołu i ruszyła w kierunku lustra. Przyjrzała się swojemu odbiciu, mrużąc oczy, jakby coś jej nie pasowało. Sięgnęła po szminkę w kolorze fuksji i pomalowała nią sobie usta. Zawsze była piękna, bez względu na okoliczności. Nawet w pizamie i niedbale związanym koku wyglądała olśniewająco.

– Nie wiem, czy mi się chce, Julita. Ile razy mam próbować? Umawiałam się przecież, wykazywałam inicjatywę, i co? I nic. – Wzruszyła ramionami. – Może taki mój los, że mam być sama. Nie każda z nas musi być matką, żoną i kochanką. Co mam zrobić? Wiem, że nie powinnam cię tym teraz obciążać, bo sama miotasz się ze sobą. Masz rację, nie powinnam się wtrącać w twoje życie. Radzę tobie, a sama nic nie wiem o życiu w związku. Remigiusz ciągle mi mówi, że powinnam się

odblokować i pójść na całość. Nie rozumiem, co właściwie ma na myśli. Mam sobie wibrator kupić czy jak?

Julita słuchała, robiąc coraz większe oczy. Ela być może niewiele wiedziała o małżeństwie, a ona nie mogła wczuć się w sytuację czterdziestoletniej singielki. Czy jednak nie na tym właśnie polega przyjaźń i miłość, by połączyć dwie różne osoby w szacunku do inności i chęci wzajemnego zrozumienia?

– Czego się boisz, Eli?

Pytanie bardzo proste, a jednocześnie bardzo trudne. Odpowiedź również była prosta, a jednocześnie trudna do zrealizowania.

– Czego się boję? No, proszę cię, Juli. Kiedyś bycie dziewicą wydawało mi się *cool*, uważałam się za kogoś lepszego, komu należy się szacunek, bo wytrwał we wstrzemięźliwości do ślubu. Nawet nie wiesz, jaka byłam z siebie dumna, kiedy ty nie wytrzymałaś, a ja nadal trwałam przy swojej wyimaginowanej świętości. Teraz wydaje mi się to śmieszne. Czterdziestoletnia dziewica! – Prychnęła lekceważąco.

– Jeszcze nie masz czterdziestu lat.

– No, proszę cię. Raptem rok mi pozostał. Myślisz, że do tego czasu coś się zmieni? Załóżmy, że spotykam faceta i coś między nami iskrzy. Są świece, jest wino, dobre jedzenie, i zaczyna się dziać coś więcej. No i co wtedy? Mam mu powiedzieć coś w stylu: „Wiesz, bądź delikatny, bo to będzie mój pierwszy raz”? Przecież on mnie zabije śmiechem i pomyśli sobie, że jestem ostatnim okazem dinozaura, którego gatunek wyginął wieki temu. – Ela machnęła nonszalancko dłonią.

Julita próbowała się nie roześmiać. Tak przedstawiona sytuacja mimo swojej powagi wyglądała faktycznie na zabawną.

– To mu nie mów. Proste. Zaciśnij zęby i idź na całość. Po co komu taka wiedza? Niepotrzebnie się będzie chłopak spinał. Jak nic mu nie powiesz, to zrobi swoje i wszyscy będą zadowoleni. On zaspokoi swoje żądze, ty stracisz dziewictwo – same plusy! Po co kogoś na siłę uświadamiać? Czasami niewiedza to błogosławieństwo!

Julita była z siebie naprawdę zadowolona. Rzadko się zdarzało, aby to ona udzielała rad Eli, a nie Ela jej. Wyglądało na to, że idzie jej całkiem nieźle, bo przyjaciółka słuchała jej w skupieniu, z wyrazem zadumy na twarzy.

– OK, załóżmy, że mu nie powiem i dojdzie już do tego... no...

– Do seksu, nazywaj sprawy po imieniu, tak jest o wiele łatwiej. „Seks” to normalne słowo i nie należy się go bać. – Prężyła się, jakby była ekspertem w tych sprawach.

– No dobra, do seksu. – Ela poczerwieniała, po czym zamilkła na dłuższą chwilę.

Chodziła nerwowo po pokoju, co rusz zerkając w stronę lustra. Jakby chciała się upewnić, że jej wyglądowi niczego nie brakuje, a tym samym może śmiało przystąpić

do nakreślonego przez przyjaciółkę planu.

– Co jeszcze cię gryzie? – zapytała Julita.

– Nie powiem.

Infantylność Eli była nawet urocza, szczególnie że była aktywną, pełną werwy kobietą, a teraz zachowywała się niemal jak mała dziewczynka.

– Mów!

– Nie, nie potrafię... – Skryła twarz w dłoniach.

– Elka, bez jaj. Znamy się prawie całe życie, a ty wstydzisz się ze mną rozmawiać? Ja ci mówię wszystko. Owszem, czasami jest mi trudno, ale zawsze ci mówię. Wiesz dlaczego? Bo mam do ciebie zaufanie.

Z siłą tego argumentu trudno było dyskutować. Ela wiedziała o życiu Julity jeśli nie wszystko, to z pewnością bardzo wiele. Była jej jedyną przyjaciółką. Czas zacieśnił łączące ich więzi nierozzerwalnie i nawet jak się kłóciły i miewały słabsze okresy, niezmiennie trwały przy sobie, zawsze mogąc na siebie liczyć.

Ela przymknęła oczy i czerwona ze wstydu jęknęła:

– Ja bardzo nie chcę mieć dzieci, ale też nie chcę faszerować się środkami antykoncepcyjnymi, bo po mojej przygodzie z psychotropami wolałabym nie serwować swojemu organizmowi kolejnej dawki chemii.

Julita czuła się, jakby rozmawiała z córką. Siedząca teraz przed nią kobieta, która samodzielnie dopilnowała tego, że na zakupionej przez nią działce stanął dom, kobieta, w której szufladzie nie mieściły się już dyplomy, kobieta, która niosła na swoich barkach odpowiedzialność za niejedno ludzkie życie, wyglądała teraz jak kłębek nerwów. Jak to możliwe, że na płaszczyźnie damsko-męskiej nie rozwinęła się praktycznie wcale? Taka mądra, taka ocytana, taka zaradna i taka samodzielna... a taka niedoświadczona.

– Elunia, jest jeszcze coś takiego, jak antykoncepcja mechaniczna. Przecież ja ci nie muszę tego tłumaczyć, na miłość boską. Jesteś lekarzem.

– Jestem pediatrą, a nie ginekologiem.

– OK, ale nie trzeba być specjalistą, aby na każdym możliwym kroku natykać się na prezerwatywy. Teraz to nawet trzylatek może je sobie kupić, bo zwykle leżą przy kasach i jak taki mały spryciarz siedzący w sklepowym wózku nieco bardziej się przechyli, to gotów jest na wieki pozbawić sam siebie szansy na posiadanie rodzeństwa. – Uśmiechnęła się promiennie, próbując nieco rozładować napiętą atmosferę. – Wiesz? Rozumiesz?

Ela patrzyła na przyjaciółkę zaciekawionym wzrokiem. Julita знаła ten wzrok i czuła, że zaraz wybuchnie prawdziwa bomba i padnie pytanie, jakiego nigdy w życiu by się nie spodziewała. Nie myliła się. Wyrwana z zamyślenia Ela zapytała:

– Słuchaj, a czy ta prezerwatywa da radę? No, wiesz, ja jestem dziewicą. A jak ona pęknie przy przebijaniu tej błony?

Julitę wręcz zamurowało i przez dłuższą chwilę nie mogła wydusić słowa. Pytanie było tak dziwaczne, że w pewnym momencie sama zaczęła się zastanawiać nad odpowiedzią. Później przypomniała sobie program, jaki oglądała na Discovery, w którym to znana z produkcji prezerwatyw firma testowała wypuszczany na rynek nowy, wyposażony w innowacyjne wypustki model. Do każdej prezerwatywy wlewano niemożliwe ilości wody, powodując, iż ich wielkość przypominała trzykrotną objętość dorodnego arbuza. Porównując to, co widziała w telewizji, do obaw, jakie nękały Elę, niewiele myśląc, wypaliła pierwsze, co przyszło jej do głowy:

– Ela, błona dziewicza to nie trampolina. Nie da rady się od niej odbić!

Ela pobladła, przygryzła wargę, po czym rozchyliła ze zdziwienia usta, ukazując przebarwione od pomadki zęby. Chwilę później pobladła również Julita, czując, że tym dumnym komentarzem mogła znów urazić Elę, a to akurat było ostatnią rzeczą, jaką chciałyby uczynić. Nagle kąciki ust Eli zaczęły unosić się do góry, po czym kobieta wybuchła gromkim, dźwięcznym śmiechem.

– To najlepsze, co mogłaś powiedzieć. Jesteś lepsza od Remigiusza – przyznała.

Obie chichotały jak szalone i tak też zakończyła się ta specyficzna lekcja wychowania seksualnego. Zestawienie błony dziewiczej z trampoliną zostało wpisane jako jeden z kultowych tekstów przyjaciółek.

20. Wizyta u Gerarda

Rozmowa podziałała na nie obie niezwykle oczyszczająco. Julita odsapnęła, ciesząc się, że w oczach Eli nadal zasługuje na miano przyjaciółki, a Ela próbowała spojrzeć na swój problem z przymrużeniem oka. Niby była lekarzem i niby wszystko wiedziała, ale w „tych sprawach” nie dorastała do pięt wydawałoby się zagubionej Julicie.

Kiedy Julita, cała w pasach, pięknie umalowana, uczesana i wypachniona, pakowała do pojemnika tartę, Ela milion razy gryzła się w język, aby czegoś nie powiedzieć. Bywają w życiu takie momenty, kiedy wiemy, że sytuacja, której jesteśmy świadkiem, skończy się źle, a mimo to nie możemy nic zrobić. Jedyne, co nam pozostaje, to oczekiwać cudu. Bezradność, jaką się wtedy czuje, nie zna granic, przesywa przejmująco całe serce tego, kto jest niemal pewien, jak będzie wyglądać przyszłość. Mimo to Ela nie powiedziała nic. Poprawiła Juli kołnierzyk katany, uśmiechnęła się do niej nad wyraz współczująco i przytuliła, próbując ukryć swoje zażawione oczy.

Znała na pamięć efekty podejmowanych przez Julitę działań, potrafiła bezbłędnie przewidzieć ich skutki. Powielane przez lata schematy zawsze kończyły się tak samo. Gdyby tylko znała słowa, których użycie przestawiłoby Juli myślenie o niej samej, na pewno teraz by ich użyła. Cały czas zgłębiała tajniki świadomego życia, próbując pomóc sobie. Poradniki mówiące o tym, jak żyć spokojnie i szczęśliwie, kupowała w ilościach hurtowych. Rady wyczytane z ich kart również miała w małym palcu. Kłopot zaczynał się wtedy, kiedy trzeba było je wcielić w życie.

Klatka schodowa przywitała ją znajomym chłodem. Zapach dochodzący z piwnicy bloku, w którym spędziła wiele lat swojego życia, przywołał wspomnienia. Nie zdążyła zastanowić się nad ich barwami, bo nim się spostrzegła, stała na wycieracze, w którą niejednym raz wycierała buty. Nacisnęła guzik dzwonka. Rozległo się rytmiczne dudnienie tak dobrze znanych męskich stóp, tłumiące bicie jej własnego serca. Po chwili otworzył. Uśmiechnęła się blado, robiąc głęboki wdech. Chciała coś powiedzieć, jakieś „dzień dobry”, „miło cię widzieć” czy też „dobrze wyglądasz”, lecz nie dał jej szansy. Odwrócił się na pięcie, zostawiając otwarte drzwi. Trzymała w dłoniach tartę, na której spoczął teraz jej wzrok, przesiąknięty nutką rezygnacji. Przez głowę przemknęła jej myśl, że może powinna odejść, uciec, żałując, że tu przysłała, lecz Gerard, jakby przeczuwając jej zmieszanie, zawołał:

– Potrzebujesz specjalnego zaproszenia?

Niczym pies spragniony ludzkiej dłoni przekroczyła próg „domu”. Wszędzie panował bałagan, lecz starała się go nie zauważać. Kłębiące się na podłodze pukle

sierści Banego, pokryte grubą warstwą kurzu meble... mieszkanie w niczym nie przypominało miejsca, które pamiętała.

– Co tak stoisz? Kawę zrób.

Bez słowa skierowała swoje kroki do kuchni, której teraz nie nazwałaby nawet marną wylęgarnią jedzenia. Mimo szczerych chęci nie odnalazła ani jednej czystej szklanki. Z pieczołowitą starannością pielęgnowana kawiarka przypominała teraz obraz nędzy i rozpacz. Zrobiło jej się smutno, przykro i żal, że przez swoją nieobecność doprowadziła to miejsce do takiego stanu. Tak właśnie wtedy myślała... Zakasała rękawy, odkręciła wodę i zabrała się za zmywanie.

– Co tak długo? Robisz tę kawę?

– Już, już, daj mi chwilę. Tylko trochę ogarnę.

Przyspieszyła nieco swoje ruchy. Pod wpływem jej rąk powierzchnie odzyskiwały dawny wygląd. „No, teraz można tu w miarę funkcjonować” – pomyślała. Gerard musiał bardzo cierpieć, skoro nie zauważył tego bałaganu. Pożałowała własnego męża, że swoją wyprowadzką skazała go na taki kryzys. Zaparzyła kawę, nałożyła tartę na świeżo wytarte deserowe talerzyki, ustawiła wszystko na tacy i uśmiechając się niepewnie, weszła do salonu. Bany skierował na nią swój nieufny wzrok, jakby co najmniej była tam intruzem. Zrobiło jej się nieswojo i wyciągnęła rękę, chciała pogłaskać psa, ale gwałtownie odwrócił łeb.

– Psy poznają człowieka po zapachu. On czuje, że nawywijałaś, Julita.

Spuściła głowę, a dołeczki w jej policzkach wyrównały się w mgnieniu oka. Sięgnęła po cukier.

– Miałas przestać słodzić. Ile razy trzeba ci powtarzać, że cukier zabija?

Odstawiła cukiernicę, bezgłośnie przyznając mężowi rację. Przyszła tu porozmawiać, ale jakoś nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Zapach tarty dotarł do jej nozdrzy, a rozrzucone precyzyjnie po jej wierzchu czereśnie zachęcały do spróbowania. Nabiła kawałek ciasta na widelec i wsadziła go do ust. Było wyśmienite. Niepostrzeżenie cała porcja zniknęła z jej talerza.

– Widzę, że nic się nie zmieniłaś, Julita.

Westchnęła. Uspiona czujność odbiła się jej czkawką.

– To tylko jeden kawałeczek. Nic dzisiaj nie jadłam, jestem na diecie, zaczęłam o siebie dbać i nawet ostatnio schudłam dwa kilogramy. – O tym odchudzaniu kłamała jak z nut, ale w słusznym celu, więc czuła się rozgrzeszona. – Postanowiłam się zmienić... Zmieniłam się i cały czas się zmieniam. Nawet paznokcie pomalowałam. – Machnęła mu dłonią przed oczyma.

Zaśmiał się pod nosem.

– Chyba kiepskiej jakości lakier ma ta twoja przyjaciółeczka. Coś ci odprysnęło.

Spojrzała na dłonie. No tak, szorowanie naczyń ręcznie dało się we znaki. Gdyby miała większe doświadczenie w tym zakresie, może założyłaby rękawiczki. Plus obdrapanych paznokci był taki, że odwróciły one uwagę od jej kilogramów, a to już dużo. Wciąż jednak nie mogła wydusić słowa.

– Myślisz, że upieczesz to swoje durne ciasto i ci wybaczę, Julita?

Nie wiedziała, co ma myśleć. W świecie bombardującym ją z każdej strony wyrzutami miała wrażenie, iż sama staje się jednym wielkim chodzącym wyrzutem.

– Co u Kamili? – zapytał nieoczekiwanie.

Zobaczyła światełko w tunelu, dające szansę, na przekierowanie „rozmowy” na inne, bardziej optymistyczne tory.

– U Kamilki cudownie. Sierpień poświęciła na pracę. Opiekowała się dzieckiem znajomych Eli. Zarobiła tyle, że bez problemu wystarczyło jej na przybory szkolne. Coraz piękniej maluje. Ci państwo, u których pracowała, zamówili u niej portrety – mówiła Julita praktycznie na jednym oddechu, tak jakby bała się, że za chwilę coś jej przerwie i nie pozwoli na kontynuację. – Oj, jak ten czas szybko leci. Niedawno ją urodziłam, a dziś? Dziś moja piękna córeczka rozważa studiowanie na akademii sztuk pięknych. To brzmi tak dostojnie, jestem z niej taka dumna.

Gerard gapił się w okno, Julita szczebiotała, wychwalając córkę i jednocześnie unikając trudnego tematu syna. Właściwie to, co działo się teraz, można było nazwać toczącym się w miarę płynnie dialogiem.

– Gerard, może zjesz ciasta? Upiekłam specjalnie dla ciebie – powiedziała niepewnie; w gardle miała kluchę.

– Nie mam ochoty na te twoje ciasta.

– W porządku, rozumiem. Może ja... może... może zrobiłabym nam coś innego do jedzenia?

– Ty ciągle o tym żarcu! – warknął. – Świat nie kręci się wokół żarcia. Myślisz, że jak przyjdiesz tu z kawałkiem przesłodzonej brei, to zapomnę o tym, że zrobiłaś z naszego syna geja? – Strącił ciasto ze stołu. Czereśnie wylądowały na dywanie.

Julicie zaczęły się trząść ręce. Zacisnęła je szybko w pięści, zbierając się na odwagę, bo zamierzała zachować się wobec męża tak, jak jeszcze nigdy dotąd.

– Gerard, pogódź się z tym, że nasz syn ma partnera. Jest innej orientacji, ale przecież to nie powód, aby rozpadło się nasze małżeństwo. Tyle lat jesteśmy razem. Miejmy szacunek do tego czasu. – Zdziwiła się tak płynnie dobranym przez siebie słowom. – Poza tym jest jeszcze taki młody, kto wie, czy nie spotka jakiejś fajnej dziewczyny i może wszystko mu się odmieni. Pozwólmy mu spróbować. Jak nie będzie popełniał własnych błędów, nigdy nie nauczy się żyć.

Zerknęła na psa, który właśnie skończył oblizywać talerz po strąconym cieście.

Potem podszedł do Julity i nawet zamerdał ogonem. Może przypomniał sobie smaki wychodzące spod jej dłoni? Spojrzała na niego dobrotliwie. Brakowało jej nawet tego cwanego zwierzaka.

– Czyś ty do reszty zgłupiała? Mam pozwolić własnemu synowi spróbować być gejem?

Przynajmniej nazwał Marcina własnym synem, co spodobało się Julicie, dając jej cień nadziei, że jeszcze nie wszystko stracone. Kurczowo trzymała się myśli o powrocie do tego mieszkania. Nie wyobrażała sobie innego życia niż to, które wiodła u boku męża. Przez następną godzinę tylko słuchała. Gerard chodził po mieszkaniu w tę i z powrotem, wymachiwał rękami i niczym mantrę powtarzał: „Ja nie rozumiem, ja nie rozumiem, jak można tak postępować, jak można tak postępować”. Na myśli miał to, jak wychowała dzieci. Opowiadał, jak cudowne są dzieci Kazika (kolegi z pracy) oraz Heńka (kolejnego kolegi), jak to ich żony świetnie sobie ze wszystkim radzą, wychowują potomstwo na porządnym obywateli (nie pedałów) i jeszcze pracują zawodowo.

– Myślisz, że przyjdiesz tu teraz i złapiesz mnie na te swoje zakalce?

Milczała, a po jej policzkach płynęły łzy.

– Przestań wyc, Julita. Ciągłe tylko wyjesz i wyjesz. Wzięłabyś się za robotę jakąś, to może dałabyś przykład dzieciom. Może znalazłyby jakieś sensowne zajęcie, a nie jednej wydaje się, że utrzyma się z bazgrolenia, a drugi myśli, że pedała ktokolwiek w placówce oświatowej zatrudni. Myślisz, że jak ludzie się dowiedzą, że ich dzieci uczy zбочzeniec, to nie będą mieli nic przeciwko temu? W jakim ty świecie żyjesz, Julita? Całe życie stałaś pod parasolem, który roztoczyłem nad twoją głową, dlatego jeszcze nie zmokłaś jak kura.

Oddychała ciężko. Dłonie wcisnęła pod uda, aby ukryć przed mężem ich drżenie. Gdyby tylko to zobaczył, nie miałyby szans na powrót, którego tak bardzo pragnęła. Chciała wszystko naprawić, poukładać, ocalić rodzinę. Bycie razem stanowiło w jej świecie świętość. Jako katoliczka przysięgała wytrwać „na dobre i na złe, w zdrowiu i w chorobie, w bogactwie i w biedzie”.

– Gerard, ja... ja... – Brakowało jej tchu.

– Widzisz, czytasz te swoje romansidła i słów ci brakuje. Poczytałabyś coś mądrego, to może umiałabyś powiedzieć jak normalny człowiek, o co ci się rozchodzi.

Zgodziła się z nim w duchu. Gdyby nie on, nie dałaby sobie rady. Nigdy w życiu nie pracowała. Jedyne, co potrafiła, to zajmować się domem, chociaż... sądząc po tym, jak oceniał ją mąż, i z tym nie dawała sobie rady. Jak więc miała dać sobie radę sama? Postanowiła chwycić się każdego argumentu, aby tylko wrócić do męża.

– Bardzo cię przepraszam, Gerard. Jeśli tylko dasz mi jeszcze jedną szansę, obiecuję jej nie zmarnować. Schudnę, zobaczysz, że schudnę. Zacznę liczyć kalorie, przestanę jeść słodczy. Porozmawiam też z Marcinem, może przemówię mu do rozumu. Jeszcze będziesz dumny z naszych dzieci. Tylko... tylko ja muszę wiedzieć, że mam dla kogo. Bez ciebie nic nie ma znaczenia, rozumiesz? Bez ciebie, bez naszej rodziny nie ma mnie. Żona powinna być przy mężu.

– Ciekawe, gdzie byłeś przez ostatnie dwa miesiące. Jakoś cię tu nie widziałem – syknął przez zęby. – Zapuściłaś mieszkanie, na które tak ciężko pracowałem dniami i nocami. Widzisz, jaki tu jest bałagan?

Widziała, oczywiście, że widziała. Bałagan był pierwszym, co rzuciło się jej w oczy po przekroczeniu progu. Skomlała, że wszystko posprząta, że potrzebuje raptem dwóch dni, a wszystko będzie pachniało czystością. Mąż spojrział na nią jak na cień znikający za zakrętem ulicy.

– Idź, Julita. Wyjdź stąd! Ja nie wiem, czy chcę jeszcze z tobą być. Zmarnowałaś mi życie... – dodał z rezygnacją w głosie.

Łzy płynące po jej policzkach sprawiły, iż skrupulatnie wykonany makijaż nie miał szans przetrwać.

– Proszę cię, Gerard, przemyśl to jeszcze raz. Jeszcze nie jest za późno, wszystko możemy naprawić – szepnęła prawie niesłyszalnie.

Opuszczając mieszkanie, wciąż miała nadzieję, że niebawem tam wróci. Gerard tylko potrzebował czasu na przemyślenie sobie wszystkiego. Tłumaczyła go przed samą sobą. Usprawiedliwiała jego zachowanie, powtarzając, jakim wspaniałym jest człowiekiem, tylko te wszystkie okoliczności sprawiają, że zapomina o swojej dobroci. Gdyby nie był dobry, nie opiekowałby się nią tyle lat. Ludzie mają większe problemy i żyją razem, dlaczego im miałyby się to nie udać?

Usiadła na pobliskiej ławce i rozplakała się na dobre. Skryła twarz w dłoniach i szlochała jak małe dziecko.

– To wszystko nie tak – szepnęła do siebie. – Kogo ja chcę oszukać?

Całe jej życie rozsypywało się jak dmuchawiec pod wpływem delikatnego powiewu wiatru. Jak to teraz będzie? Dlaczego tylko ona chciała wszystko ratować? Dzieci odwróciły się od ojca, ojciec nie chciał widzieć dzieci.

– Och, mamó, gdybyś tu była, wiedziałybyś, co mam robić – szepnęła ponownie, zapłakana do granic możliwości.

Nagle jakby z zaświatów usłyszała matczyny głos, szepczący jej do ucha: „Nie ma rzeczy niemożliwych, niektóre po prostu wymagają więcej czasu. Nie lękaj się, córeczko. Wszystko będzie dobrze”. Chwyciła się tych słów z całej siły. Chciała żyć spokojnie i szczęśliwie. Nic przecież nie trwa wiecznie, nawet problemy.

21. Gosposia do wszystkiego

Minęły trzy miesiące od ostatniego spotkania z Gerardem. Był to czas wypełniony smutkiem, żalem, rozpaczą. Każdy łyk porannej kawy dosolony był łzą, każdy obiad doprawiony nadzieją, że może kiedyś jeszcze wszystko się poukłada, zwłaszcza że zbliżały się święta. Dzieci doskonale sobie radziły. Można było powiedzieć, że odżyły. Nawet przepowiednia Julity się sprawdziła – Marcin zerwał z Tomaszem, tłumacząc swoją decyzję tym, że najwyraźniej się pomylił. Uradowana matka próbowała namówić syna, aby powiedział o tym ojcu.

– To może wszystko zmienić, powiedz mu, że nie jesteś gejem. Powiedz mu, proszę – błagała, widząc dla siebie światełko w tunelu.

Przez chwilę nawet było jej wstyd, że z cierpienia syna po rozstaniu próbuje uszczknąć coś dla siebie. Powinna przecież go pocieszać, a myślała tylko o tym, jak pogodzić się z Gerardem. Wciąż nie wyobrażała sobie życia bez męża.

– Mamo, ale ja nie chcę niczego zmieniać. Ela zgodziła się, abyśmy u niej jeszcze trochę pomieszkali. Poza tym mam swoje plany. Dokończę ten rok studiów, a potem kto wie, może wezmę dziekanę i wyjadę na trochę za granicę? Zarobię trochę grosza, może coś odłożę. Wszystko się poukłada. Teraz niewiele mnie tu trzyma. – Złapał się za głowę, zamykając na chwilę spragnione snu oczy. – Tobie też radzę skupić się na sobie, a nie wciąż oczekiwać, że ojciec zmieni zdanie. Tacy ludzie jak on się nie zmieniają.

Przez moment miała do niego żal, że nie chce jej pomóc. Może gdyby Gerard się dowiedział, że jego syn jednak został wychowany na porządnego człowieka, to zmieniłby zdanie? Wizualizacje podupadającego do reszty mieszkania sprawiały, że zaczynała tracić zdrowy rozsądek. Gerard zadzwonił do niej jeden raz. O mało nie połamano sobie nóg, pędząc do telefonu. Wiedziała, że to on, bo tylko wtedy jej smartfon wygrywał inną, ustawioną tylko dla niego melodię. Rozmowa trwała niespełna dwie minuty. Mąż poprosił ją, by oddała klucze. Próbowała go prosić, żeby zmienił zdanie. Przecież zbliżały się święta, czas pojednania... Tyle że on nie chciał próbować.

– Zmarnowałaś mi życie – powtórzył i rozłączył się.

Poprosiła Elę, aby ta zawiozła klucz, co przyjaciółka uczyniła z dziką rozkoszą, po cichu wierząc, że Julita przestanie wreszcie karmić się wyssanymi z palca złudzeniami.

– Juli, z tego już nic nie będzie. Im szybciej to zrozumiesz, tym dla ciebie lepiej. Musisz wreszcie zacząć żyć swoim życiem – spokojnie tłumaczyła Ela.

Nie mogła już patrzeć na cierpienie przyjaciółki. Miała ochotę wyznać jej prawdę – na miejscu Juli od dawna był ktoś inny, znacznie młodszy i z biustem,

którego grawitacja nie zdążyła jeszcze osiągnąć. Gerard specjalnie się z tym nie krył, więc plotka dotarła nawet do lubianej pani doktor, która jednak nie miała sumienia przekazać tego Julicie. Patrzyła jak ta każdego dnia łudzi się, że wszystko jeszcze uda się posklejać, ale tak naprawdę wierzyła w to już tylko ona. Żeby nie zadrezczała się ponurymi myślami, Ela próbowała znaleźć jej jakieś zajęcie, lecz przy jej nikłym, a w zasadzie żadnym doświadczeniu zawodowym nie miała zbyt wielkiego pola do popisu. Pomyślała o recepcji w przychodni. Użyła całej mocy swojego wdzięku, by przekonać dyrektora do stworzenia nowego etatu. Wszystko było załatwione, Julita miała tylko podpisać umowę i mogła zaczynać, niestety w ostatniej chwili rozmyśliła się.

– Elu, dziękuję za troskę i dobre chęci, ale ja... No spójrz na mnie. W recepcji powinna siedzieć młoda, ładna dziewczyna, a nie ktoś taki jak ja. – Oczy jej się zaszklily, po czym zniknęła za drzwiami pokoju, nie chcąc słuchać, jak bardzo się myli.

Marniała w oczach, przypominając karykaturę samej siebie. Zaprzestała śpiewania mantr i medytacji, uznając, że jej już nic nie pomoże. Paznokcie jej rąk poobgryzane były niemalże do żywego mięsa. Wciąż trzymała je w ustach, jakby miało to przynieść jakieś rozwiązanie. Praca opiekunki do dziecka, którą również załatwiła Ela, też nie była odpowiednia. Nie te lata, nie ta cierpliwość. Pacjenci Eli donieśli jej, że w korporacji taksówkarskiej zwolniło się miejsce, więc Julita mogłaby pracować jako dyspozytorka.

– Będziesz siedziała w zamknięciu, tylko ty i telefon. Nie musisz mieć cierpliwości ani wyglądu miss Polonia. Uważam, że powinnaś spróbować.

– Pracując w ten sposób, trzeba mieć pewność siebie, umieć się wysławiać. Gdzie ja do tego?

Ela zachodziła w głowę, jak pomóc Julicie, ale powoli wyczerpywały jej się pomysły. Zaczynało ją irytować zachowanie przyjaciółki. Tego nie, tamtego nie, to niedobre, to nie takie, do tego się nie nadaję... Cokolwiek podsuwała jej na tacy, nic nie było odpowiednie. Podejrzewała, że nawet gdyby zaproponowała jej objęcie stanowiska pani prezes dużej firmy, z pewnością by odmówiła.

W końcu miarka się przebrała i Ela podjęła decyzję za Julitę. Na początku trochę się denerwowała, lecz brak jakiegokolwiek alternatywy nie pozostawiał jej wyboru.

– Co to jest? – zapytała Julita, patrząc na kartkę papieru, na której widniały jej wszystkie dane.

Ela wyprostowała się i oświadczyła:

– To jest umowa o pracę.

Julita wzdrygnęła się.

– Zmieniasz pracę? – zapytała.

– Nie zmieniam, zatrudniam ciebie. Będziesz pracowała u mnie. Sama widzisz, że nie ogarniam. Pracy w przychodni nie ubywa, do tego dochodzą dyżury w szpitalu. Marcin po powrocie na studia też nie bardzo ma czas, aby mi pomagać, więc zatrudniam ciebie. Będziesz moją pomocą domową.

Julita pobladła. Odstawiła kubek z herbatą, którą popijała leniwie. Złożyła ręce na piersiach.

– Przepraszam cię bardzo, ale jaką niby mam być pomocą? Do czego? – zapytała, nieco oburzona.

Ela nie dała się zbić z tropu. Wiedziała, iż jedynym sposobem, aby rozwiązać tę trudną sytuację, jest znalezienie Julicie zajęcia.

– Będiesz gospożą do wszystkiego. Podpisuj, i to już! – Wcisnęła jej do ręki długopis, wskazując wykropkowane na papierze miejsce, w którym chwilę potem pojawił się podpis nieco zszokowanej Julity.

Ela uśmiechnęła się triumfalnie i pogratulowała przyjaciółce nowo objętej posady. Przytuliła ją i pochwaliła, ciesząc się, że wreszcie znalazła kogoś, kto idealnie nadaje się na stanowisko jej prywatnej strażniczki domowego ogniska. Julita stała bez słowa, pozwalając sobie radośnie potrząsać. Nie docierało do niej, iż właśnie podpisała swoją pierwszą w życiu umowę o pracę, czyniąc to bez jakiegokolwiek zastanowienia. O to właśnie Eli chodziło, osiągnęła swój cel – złapała Juli z zaskoczenia.

– Ela, czy ty się zastanowiłaś nad tym? – zaczęła niepewnie. – Wiesz... ja nie jestem dobrą gospodynią. Wykonuję wszystko powoli, czasami zapominam. Gerard wciąż się na mnie złościł, że za szybko odcedzam ziemniaki, podając je niedogotowane. Bywa, że do sklepu chodzę po kilka razy, bo o czymś akurat zapomnę. Z prasowaniem koszul też mam problem. Gerard ciągle mi powtarza, że są wymiętolone. Co prawda ty nie chodzisz w koszulach, no ale masz przecież fartuchy, a to prawie to samo – bełkotała trzy po trzy. – Nie jestem pewna, czy chcesz taką gospożę. Poza tym nie przyjmę od ciebie ani grosza. Kwota, którą mi oferujesz, jest zbyt duża. Tak naprawdę to powinnam pracować u ciebie za darmo. Nigdy ci się nie wypłacę za to, co dla mnie zrobiłaś. Przygarnęłaś pod swój dach mnie i moje dzieci... – Spuściła głowę. – ...powinnam dożywotnio pucować na kolanach twoje podłogi. Wybacz, ale nie mogę się zgodzić na taką kwotę.

– Wszystko postanowione – odparła szorstko Ela. – Nie ma o czym mówić. Odkąd tu jesteście, mój dom wreszcie stał się... domem. Poza tym przecież ty cały czas coś tu sprzątasz, poprawiasz, prasujesz, pierzesz, gotujesz. Dlaczego miałybyś robić to za darmo?

– Dlatego, że tu mieszkam?

Ela przemilczała uwagę. Miała nieodparte wrażenie, iż praca pozwoli Julicie uwierzyć we własne siły, doda jej wiary i samozaparciu, które w konsekwencji zaowocują jakimiś konstruktywnymi zmianami. Na to wszystko potrzebny był czas. Zmiany należy wprowadzać powoli, nie wszystkie naraz.

Julita stała na środku pokoju, przypatrując się dokumentowi, którego mocy nie była jeszcze świadoma. Wreszcie przycisnęła papier do piersi, zamknęła oczy, próbując powstrzymać łzy. Pierwszy raz od dawna były to jednak łzy szczęścia. Ela wzruszyła się tym widokiem.

– Tak się cieszę, że to podpisałaś. Dziękuję – wyszeptała.

– Dziękujesz? Za co? To ja dziękuję.

– Nie jesteś świadoma siły, jaką w sobie masz, Juli. Zamierzam ci udowodnić, że jest inaczej, niż myślisz.

Przytulona do piersi przyjaciółki Julita może nie była świadoma swojej siły, lecz gdzieś na dnie jej samej tliły się iskierki nadziei na lepsze jutro. Nie mogła przecież przestać wierzyć. Matczyny głos z zaświatów dodawał jej sił. Wciąż dudniło jej w głowie: „Nie ma rzeczy niemożliwych, są tylko te wymagające więcej cierpliwości”. Toczyła walkę z samą sobą, i to było najtrudniejsze. Wszystkich można oszukać, oprócz siebie.

Był pierwszy grudnia. Jeszcze tego samego wieczoru przy wspólnej herbacie kobiety doprecyzowały warunki pracy, ustalając wszystko, co można, co trzeba, a czego absolutnie nie wolno robić. Kolejnego dnia dzika rozkosz zalewała serce Eli patrzącej na to, jak zmienia się jej dom pod wpływem rąk nowo zatrudnionej gospodyni. Julita od początku traktowała swoje miejsce pracy z szacunkiem i należytą czcią. Ela nie mogła się nadziwić, jakie szczegóły nie umykały jej uwagi. Prowadzenie domu Julita miała w jednym palcu. Wiedziała, gdzie można dostać najlepsze mięso, gdzie sprzedają najlepsze owoce i jak kupować kwiaty, aby po przyniesieniu do domu nie okazało się, że zwiędły, zanim zdążymy wstawić je do wazonu. Rytm domowego życia dopasowywała do rytmu dnia domowników, pogody i dni tygodnia, dzięki czemu jej pracodawczynie mogła skupić się na swoich zajęciach.

Kamila i Marcin nie mogli się napatrzeć na matkę, z każdym dniem nabierającą coraz większej chęci do życia.

– Mama, swoim przykładem udowodniłaś, że ojciec nie miał racji, twierdząc, iż depresje biorą się z nieróbstwa – bąknął Marcin, przeglądając właśnie gazetę.

Kamila szturchnęła go w bok, okraszając jego tekst lodowatym spojrzeniem.

– No co, chciałem tylko zażartować.

– Głupi żart.

– OK, przepraszam. – Śmiał się pod nosem.
Julita też się uśmiechnęła, o dziwo przyznając synowi rację.

Szóstego grudnia upiekła pierniki w kształcie głów Mikołajów, ozdabiając ich czapki białym lukrem. Kiedy Ela zabrała te cuda do pracy, wszyscy nie mogli się nadziwić, jak pięknie i smacznie są zrobione.

– Doktor Kamińska zapytała, czy nie upiekłabyś dla niej tych pierników na święta. Oczywiście za wszystko zapłaci – powiedziała Ela dzień później.

Nieoczekiwanie powstała lista chętnych na pierniki, które „po pracy” Julita zawzięcie wypiekała do późnych godzin wieczornych. Produkcja trwała ponad tydzień i przyniosła Julicie kilkaset złotych dochodu. Kobieta cieszyła się jak dziecko. Skakała do góry, ściskając w ręce pieniądze i ciesząc się, że po raz pierwszy w życiu kupi dzieciom prezenty za pieniądze zarobione przez siebie.

– To niewiarygodne, Ela, ludzie chcą jeść moje pierniki! To szok! Ja nie wiedziałam, że one mogą tak dobrze smakować. Nawet nie wiesz, jak się cieszę. – Nie mogła się nadziękować.

Przeskakiwała z kanapy na fotel, z fotela na krzesło, radując się niczym mała dziewczynka. Siedząca w fotelu bujanym Kamila w skupieniu rysowała szkic szczęśliwej matki. Doszła do wniosku, że musi uwiecznić tę chwilę, bowiem taki widok nie zdarzał się często.

Ponad dwa tygodnie minęły Julicie w stanie euforii. Czasami się zamyślała, wracając wspomnieniami do Gerarda. Cieszyła się, że jeszcze trochę, a będzie mu mogła pokazać, że naprawdę się zmieniła. Wymyśliła nawet dla niego prezent, który zamierzała kupić, gdy tylko otrzyma zapłatę za ostatnią turę pierników.

Plan, który najpierw zaistniał w jej głowie, ziścił się chwilę później, gdy zauroczona zapachem perfum z najwyższej półki, prosiła ekspedientkę o ich zapakowanie. Dumna z siebie wróciła do domu. Myślała pozytywnie. Ela ciągle jej powtarzała, że tylko ludzie myślący w ten sposób mogą być szczęśliwi, a ona naprawdę chciała być szczęśliwa. Mimo wszystko.

22. Ostatnia próba

Miejsce pracy Julity było również jej tymczasowym domem. Przygotowała je na zbliżające się wielkimi krokami święta. Okna lśniły przejrzystą czystością, biel firan raziła oczy, a wypolerowane meble pieściły zmysły powonienia. Wysokie słoje wypełnione świątecznymi piernikami zdobiły komodę, nad drzwiami wisiała jemiola, a prezenty, zapakowane ze szczególną starannością, czekały na ten jeden jedyny magiczny wieczór w roku. Pozostało jeszcze tylko przygotować wigilijną wieczerzę, lecz to Julita zostawiła sobie na koniec. Zależało jej, by wszystko było świeże i dopięte na ostatni guzik.

– Chciałabym z tobą porozmawiać – zaczęła Julita, skubiąc nerwowo skórki przy paznokciach.

Ela zdjęła z nosa okulary, odrywając się od pisania ważnego medycznego artykułu, które od jakiegoś czasu publikowała w specjalistycznych czasopismach.

– Wszystko w porządku? – spytała, zaniepokojona jęklwym tonem Juli.

– Pomyślałam... to znaczy...

Ela wstała z zamiarem nalania sobie wody. Przechodząc obok Julity, trąciła ją dłonią w przyjaznym geście, ciepło się uśmiechając. Dobra energia unosząca się w powietrzu dodała Julicie odwagi.

– Chciałabym dziś odwiedzić Gerarda i zapytać go, czy nie wpadłby do nas na święta. To znaczy nie do nas, ale do ciebie, w sensie, że do twojego domu, i nie na całe święta, ale może chociaż na Wigilię? Bardzo mi na tym zależy. Chciałabym mu zanieść wcześniej prezent, na wypadek gdyby odmówił, wiesz... zależy mi. Co o tym myślisz? – wyrzuciła z siebie szybko.

Palce prawej dłoni Eli zacisnęły się na szklance tak mocno, że zbladły. Przez głowę przemknęła jej wroga myśl, którą obdarowała nieobecnego Gerarda.

– Szczerze, to nie jestem zaskoczona, i nie będę ukrywać, aby mnie to cieszyło.

Julita wbiła wzrok w dywan, nie mając pomysłu na przekonanie przyjaciółki do słuszności swoich pragnień.

– Zgódź się, proszę – jęknęła przez zaciśnięte gardło.

– Kiedy zamierzasz go o tym poinformować?

– Dziś.

– Dzieci wiedzą? Rozmawiałaś z nimi? Chciałyby widzieć ojca na wigilijnej wieczerzy?

Tego Julita nie przemyślała. Noc przez wszystkich zwana magiczną w jej mniemaniu była szansą na pojednanie. Nie mogła zaprzepaścić okazji zjednoczenia rodziny. Chciała zaprosić Gerarda, upichcić jego ulubiony barszcz z uszkami – jedynie danie, którego w jej wykonaniu nigdy nie krytykował. Chciała podzielić się

z nim opłatkiem i spróbować przekonać swoją rodzinę do życia w zgodzie. Wyświetliła w swojej głowie cały film o przyszłości, zwiastujący szczęśliwe zakończenie. Potrzebowała tylko zgody Eli i teraz błagalnym wzrokiem prosiła ją o pozwolenie.

– Widzę, że już podjęłaś decyzję, więc niepotrzebnie mnie pytasz.

– Pytam, bo mieszkam u ciebie, no i... liczę się z twoim zdaniem.

– Jeśli to ma cię uszczęśliwić, to nie widzę problemu. Tylko coś ci powiem, póki jesteś w stanie mnie słuchać i póki twój świat ponownie nie rozleciał się na małe kawałki.

Odstawiła szklanę z wodą, oparła się tyłem o kamienny kuchenny blat i założyła ręce na piersi, przechylając głowę w pełnym rezygnacji geście.

– Wiem, jak zakończy się twoja kolejna próba. Myślę, że ty też wiesz. Pójdiesz tam, zaniesiesz mu na tacy okruchy własnej godności, a potem wrócisz stłamszona i przygnębiona. Nie wierzę, że nie widzisz tego, co się dzieje. To niemożliwe, aby ktoś tak mądry, jak ty pozwalał tak sobą pomiatać. Powinnaś dziękować Bogu, że ten człowiek nie chce do ciebie wrócić.

– Jeszcze nie wiadomo, czy nie chce, bo może wróci – wtrąciła się Juli.

– Po mojemu to zrobiłby ci najlepszy prezent, znikając na dobre z twojego życia.

– On nigdy z niego nie zniknie. Przecież mamy dzieci! One połączyły nas na zawsze.

– Na miłość boską, Julita, jakie dzieci? Marcin to stary byk, mężczyzna mający na koncie związek homoseksualny! Kamila jest jak kot, chadza własnymi ścieżkami, pogrążona w artystycznym świecie. Nie widzisz, jak staje się kobietą? Nie zauważyłam, aby te maleńkie dzieciaczki tęskniły za ojcem tyranem.

Julita poczerwieniała gwałtownie. Krew napłynęła jej do głowy, uwidaczniając pulsujące na skroniach żyły.

– On nie jest żadnym tyranem. Zazdrościsz mi, bo... bo... bo...

– No, dokończ. Nie krępuj się. Zazdroścę ci męża, bo sama go nigdy nie miałam? Zazdroścę ci seksu raz na kwartał albo i rzadziej? Oczywiście, że właśnie seksu ci zazdroścę. Ja, dziewica orleańska czekająca na księcia na białym koniu, zazdroścę ci twojego ogiera. Mam tego dość! Obudź się wreszcie!

Julita zamknęła oczy, zatkała uszy i udawała, że nic nie słyszy. Ela podeszła do niej i szarpnęła ją za ramiona.

– Chcesz, to idź do niego. Jak wrócisz, będę tu na ciebie czekać z pudełkiem chusteczek. Tylko obiecaj mi jedno...

Przerażone oczy Julity zaszklily się nagle. Bała się mrugnąć, z trudem powstrzymując się, żeby się nie rozplakać.

– Co tylko chcesz – powiedziała.

– To będzie ostatni raz, kiedy pozwolisz się upokorzyć. Pójdiesz tam, zaprosisz go, a jeśli odmówi, złożysz pozew o rozwód i zaczniesz żyć jak człowiek, nie jak cierpiętница.

Serce Julity waliło jak młotem. Nie mogła racjonalnie myśleć. Bała się składania deklaracji, bo od nich nie było już odwrotu.

– Ale ja... ja...

– Przysięgnij, że to ostatni raz!

Ela nie spuszczała wzroku z przyjaciółki. Czuła, iż musi kuć żelazo póki gorące. Jeśli nie uda jej się wymusić tej obietnicy teraz, szanse na naprawę życia Juli każdego dnia będą małe, a starania, jakie wkładała w odbudowę poczucia własnej wartości zakompleksionej mężatki, po prostu pójdą na marne.

Przytłoczona przesywającym wzrokiem przyjaciółki Julita oddychała ciężko, walcząc sama ze sobą.

– Dobrze, zrobię to ostatni raz. Obiecuję – westchnęła wreszcie.

Ulga malująca się na twarzy Eli rozświetlała oczy promiennym blaskiem, dodając wiary, że nie wszystko stracone. Pozostawało tylko czekać. Scenariusz był znany, a główni bohaterowie akcji – z pozorów nudni i przewidywalni. Czas miał zweryfikować przypuszczenia. Przypomniała sobie ten głupi żart z telefonem, gdyby nie on, historia życia Juli mogłaby wyglądać zupełnie inaczej...

Wieczór był zimny i ponury. Brakowało śniegu malującego poszarzałe ulice na biało. Kiedy była dzieckiem, uwielbiała, gdy babcia ciągnęła ją na sankach. Wracając do domu zmarznięta, ale szczęśliwa. Tam zawsze czekało na nią coś pysznego, przygotowanego przez mamę. Była takim szczęśliwym dzieckiem, co później poszło nie tak, że cała ta radość życia stopniała jak zeszłoroczny śnieg... Idąc dobrze znaną ulicą, przypominała sobie smak krówek smażonych przez matkę. Jak to możliwe, że nigdy nie zapytała jej, jak zrobić te pachnące dzieciństwem cukierki? Teraz było już za późno. Nie było mamy, nie było babci, nie było nikogo, oprócz Eli. To dlatego obiecała jej, że spróbuje po raz ostatni. Nie chciała utracić jedynej osoby na świecie, która z upartością osła walczyła o jej szczęście.

Pełna determinacji, nie zwracała uwagi na padający deszcz. Nie zdążyła włożyć czapki, próbowała więc naciągnąć na głowę kaptur. Pod płaszczem skryła małą torebkę z perfumami, kupionymi za pierwsze samodzielnie zarobione pieniądze. Duma mieszała się ze strachem, nadzieja z lękiem, odwaga z brakiem wiary. To była ostatnia szansa. Jeśli teraz jej się nie uda, dwadzieścia lat jej życia wyparuje ot tak, pozostawiając po sobie zgliszcza wspomnień, głęboko zakorzenionych w jej głowie.

Po rozmowie z Elą nie miała nastroju na szczególne przygotowania do spotkania z mężem. Zmieniła tylko bluzkę na tę, która wydawała jej się bardziej wyjściowa. Spodnie zostawiła te same – sprane dzinsy uparcie opinające jej wciąż pokaźne pośladki. Nie schudła ani grama (tak jak obiecała), ale też nie przytyła (a to już dużo). „Myśl pozytywnie, myśl pozytywnie” – nakręcała siebie samą, niczym zegarek działający bez baterii. Musiała tylko pilnować, aby nie wypaść z rytmu. „Wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze” – powtarzała w myślach. Liczy się to, co człowiek sobą reprezentuje, a nie to, w co jest przyodziany – tak by powiedziała jej mama. Kochana mama. Czy kiedykolwiek jej dzieci będą tak tęskniły za nią, jak ona tęskniła za swoją matką? Tego prawdopodobnie nigdy się nie dowie.

„Nie ma jak u mamy, ciepły piec, cichy ką. Nie ma jak u mamy, kto nie wierzy, robi błąd. Nie ma jak u mamy, cichy ką, ciepły piec. Nie ma jak u mamy, kto nie wierzy, jego rzecz” – słowa piosenki niosły jej serce w kierunku osiedla zamieszkiwanego niegdyś z mężem. Sięgnęła do kieszeni płaszcza, na próżno szukając w nim kluczy do mieszkania. Jak mogła zapomnieć, że Ela zwróciła je Gerardowi. Zadarła głowę, chcąc sprawdzić, czy pali się światło w dobrze jej znanych oknach. Przypomniała sobie, jak latem na parapetach ustawiała tam surfinie w podłużnych donicach. Uśmiechnęła się do swoich wspomnień, wyolbrzymiając ich wartość, idealizując je. Dzisiaj nic się nie liczyło. Dziś chciała tylko pojednania. Dziś nie pamiętała niczego, co złe. Nie pamiętała obelg rzuconych pod jej adresem, nie pamiętała swojej gotowości na każde jego skinienie, nie rozpamiętywała tego, jak musiała otwierać bramę, jak obrażał ją, mówiąc, iż od niej śmierdzi... Nie pamiętała nawet, jak pobił ich dziecko, jak kpił ze wszystkiego, co zrobiła. Wszystko, co złe, uleciało. Przecież zbliżały się święta – czas pojednania.

Zamknęła oczy i w myślach układała sobie słowa, które wypowie zaraz po tym, jak on otworzy jej drzwi. Może za nią zatęsknił? Przecież to niemożliwe, aby pozbył się z serca kogoś, z kim przeżył tyle lat! To niemożliwe, że zapomniał trudy, jakie pokonywała, będąc w ciąży. Niemożliwe, że nie pamiętał, iż z jej ust nigdy nie zaznał słów skargi czy narzekań. Była dobrą żoną. Była najlepszą żoną, jaką można było sobie wyobrazić. Może nie była idealną, ale któż jest? Wychowywała dzieci, dbała o dom, uśmiechała się przez łzy, dziękując za każdy dzień, jaki przyszło jej przeżyć w dostatku. Dzięki niemu, dzięki Gerardowi, nigdy nie zaznała głodu. Mogła przecież trafić gorzej. Przez jej głowę przebiegło teraz całe życie.

Gdyby miała więcej czasu i więcej szans, może przygotowałyby się do tego spotkania lepiej, lecz... obiecała Eli, że to będzie ten ostatni raz. Wzięła głęboki wdech, wciągając w płuca świeże od deszczu powietrze, pachnące bardziej jesienią niż zimą. Udowodni przyjaciółce, że się myliła. Pokaże jej, iż małżeństwo Snarskich

przetrwą wszystko. W zdrowiu i w chorobie, w bogactwie i w biedzie, póki śmierć ich nie rozłączy. Przysięgała przed Bogiem – pragnęła zrobić wszystko, aby przysięgi dochować!

Takiego uśmiechu nie widziała na jego twarzy chyba nigdy. No, może wtedy, kiedy tańczyli ze sobą pierwszy raz, dawno, dawno temu. Pachniał też jakby nie sobą, ubrany był jak nie on. „Podmienili Gerarda?” – zapytała siebie w myślach.

– To ty – rzucił sucho, kiedy ją zobaczył.

Po uśmiechu nie pozostał nawet cień. Zmienił się w jednej chwili, jakby ściągnął maskę.

– Mogłaś mnie uprzedzić. Mamy dwudziesty pierwszy wiek, Julita. Istnieje coś takiego, jak telefony komórkowe. Nie trzeba lecieć przez całą wieś do sołtysa ani nadawać telegramu, by poinformować kogoś, że ma się zamiar zwać do niego w gościnę.

Nie zamierzała się „zwać”, jak to określili. Jeszcze nie powiedziała nawet słowa, a już „skucha”, „zonk”. Wybąkała szybko przeprosiny, zdjęła kaptur i stała w milczeniu, bojąc się wykonać choćby krok w jego stronę. Gdy ich spojrzenia na chwilę się spotkały, próbowała odnaleźć w jego oczach dawny płomień uczucia, w który zawzięcie i uparcie wierzyła. Otarła mokre krople deszczu z policzków, przez nieuwagę odsłaniając prezentową torebkę, na którą przeniósł się teraz wzrok jej męża.

– Skoro już wyskoczyłaś z tymi odwiedzinami jak Filip z konopi, to wejdź. Tylko uprzedzam... – Spojrzał na zegarek. – ...mam zaledwie kwadrans. Później musisz stąd zniknąć.

Zegarek przykuł jej uwagę. Nie wyglądał na tani, wręcz przeciwnie. Jej sokoli wzrok dopatrzył się emblematu znanej marki.

– Piękny – wybąkała, chcąc zagaić rozmowę.

Zmieszał się, jak nie on. Przewrócił oczami, naciągając rękaw idealnie wyprasowanej koszuli na nadgarstek.

– Do rzeczy, Julita. Po co przysłałaś? Nie mam czasu na głupoty.

Ścisnęła w spoconych rękach torebkę z perfumami. Nie wiedziała, jak zacząć. Jego nerwowość zawsze odbierała jej poczucie pewności siebie.

– U mnie wiele zmian – zaczęła niepewnie. – Od jakiegoś czasu pracuję – wyznała z nutką dumy.

Zrobił zdziwioną minę, wyglądał na zainteresowanego. Dodało jej to odwagi.

– To nic wielkiego, ale na początek chyba nie jest źle, skoro zarobiłam na prezent dla ciebie. Proszę! – Podsunęła w jego stronę pakunek.

– Dla mnie? – zapytał, zdziwiony, wyciągając dłoń. Temat jej pracy przemilczał.

Zajrzał do środka, przez moment sprawiając wrażenie nawet zadowolonego. Rozpakował prezent, z zaciekawieniem przyglądając się flakonikowi.

– To Armani – powiedziała z entuzjazmem.

– Przecież umiem czytać – odrzekł.

– Psiknij na nadgarstek. Mam nadzieję, że zapach ci się spodoba.

Psiknął w powietrze i bez słowa schował flakon z powrotem do torebki. Postawił prezent na szafce. Perfekcyjnie ukryła rozczarowanie, że nawet jej nie podziękował.

– Ja nie mam nic dla ciebie, Julita. Po tym, jak się wyprowadziłaś...

– Właśnie w tej sprawie tu dzisiaj przyszłam – przerwała mu nieopatrznie, czyniąc krok w tył. Postawiła go intuicyjnie.

Był rozkojarzony. Ewidentnie jego głowę zajmowały inne myśli aniżeli jej wizyta. Nerwowo przeczesywał włosy, wstawał, siadał, chodził po pokoju. Starła się nie zwracać na to uwagi. W końcu jej mąż taki właśnie był – nieobliczalny i nieprzewidywalny.

– Zbliżają się święta i bardzo chciałabym, abyśmy spędzili je razem. Może zechciałbyś wpaść do nas? Ela się zgodziła. Przygotuję kolację, porozmawiamy, podzielimy się opłatkiem. Wiesz, tak jak dawniej. Jak rodzina. Później może... – Ściszyła głos. – Może wróciłabym tutaj? – zapytała niepewnie.

Jego źrenice rozszerzyły się niebezpiecznie. Wpatrywał się w nią, nawet nie mrugając. Przeraziła się tym widokiem. Spodziewała się najgorszego. Siedział przed nią i milczał. Ciszę przerywało równomierne sapanie psa, leżącego teraz u jej stóp.

– Gerard... – ośmieliła się przerwać ciszę. – Słyszałeś, co powiedziałam?

Ocknął się, wzdygając. Znów nerwowo przecesał włosy dłonią.

– Nie zawracaj mi dupy, Julita. To była twoja decyzja. Myślisz, że jak przyjdiesz tu z jakimś pachnidłem, to wszystko się zmieni? Na jakim ty świecie żyjesz, kobieto? Zawsze byłaś oderwana od rzeczywistości. Ciasteczka i perfumki może by zadziałały, ale jakieś dwadzieścia, no, może dziewiętnaście lat temu. Nic nie trwa wiecznie i niech to do ciebie dotrze. Całe życie tylko na moich plecach siedzisz. Za robotę byś się wzięła, a nie wymyślasz jakieś pojednania. Nigdzie nie będę chodził. Swój dom mam i po Elkach nie będę się szwendał. Tym bardziej w święta.

– To może my przyjdziemy do ciebie? Chociaż na chwilkę. Dzieci się ucieszą. – Nie dawała za wygraną.

Zaśmiał się szyderczo, przerażając ją tym.

– To nie są małe dzieci i nie wiem, czy zdążyłaś zauważyć, ale nie wierzą już w Świętego Mikołaja. Ogarnij się!

Czuła, że rozmowa przyjmuje nieodpowiedni obrót. Zrobiło jej się gorąco. Wiedziała, że jeśli nic nie zrobi, będzie mogła jedynie pomarzyć o wspólnych

świętach.

– Gerard, ale ja pracuję. Zmieniam się... dla ciebie, dla nas. Wszystko się zmieni, obiecuję. Dogadajmy się. Przecież jesteśmy małżeństwem już prawie dwadzieścia lat. Nie żal ci tego czasu?

Nagle jakby dotarło do niego to, co powiedziała.

– Gdzie pracujesz?

Wyprostowała się, przez moment łapiąc wiatr w spłoszone żagle.

– U Eli. Zatrudniła mnie, prowadzę jej dom i piekę ciasta na zamówienie.

To znaczy na razie piekłam tylko pierniki, ale kto wie, może rozwinę interes. Będzie nam lżej. Nie będziesz musiał tyle pracować, ja też się dołożę.

Znowu zaczął się śmiać. Śmiał się tak bardzo, że aż złapał się za brzuch i usiadł na stojącej nieopodal kanapie. Założył nogę na nogę i nie przestawał rechotać.

– Co cię tak rozbawiło? – zapytała, zdziwiona.

– Julita, ja zawsze wiedziałem, że ty jesteś naiwna, ale żeby aż tak? Praca u Elki? – prychnął. – Co to za praca? Znajdź taką, gdzie dostaniesz umowę.

– Ale ja mam umowę.

Znów zmienił się w Gerarda, jakiego znała. Machał rękami na prawo i lewo. Wyśmiał jej naiwność i „stanowisko pracy”, nabijając się z nikłych umiejętności, jakie posiadała. „Tylko zupy nie przesól i ziemniaki dogotowuj, bo cię przyjaciółeczka zwolni” – ironizował, a ona coraz bardziej zapadała się w sobie. Nie chciała płakać, nie chciała mu pokazywać swojej słabości. Miała przecież być silna, miała być dla niego wsparciem. Walczyła z coraz szybciej bijącym sercem i cisnącymi się do oczu łzami. Zaciskała pięści tak, że poczuła wbijające się w dłonie paznokcie. Jej wargi przywarły do siebie, tworząc cienką, bladoróżową kreskę.

– Co tak gały wybałuszyłaś? Powiedz coś! – prowokował ją. – Wylecisz z tej roboty na zbity pysk. Chociaż może i nie wylecisz. Kto wie, jakie ty tam masz jeszcze obowiązki. Ludzie gadają, że ta twoja Elka to woli dziewczynki. Trochę się jej dziwię, że wybrała ciebie, ale... o gustach się nie dyskutuje.

– Nie jestem żadną lesbą i Ela też nią nie jest! – wybuchła wreszcie.

Jej słowa rozwścieczyły go jeszcze bardziej. Zbliżył swoją twarz ku jej twarzy i syknął tak, że poczuła na niej jego pachnący świeżą miętą oddech. Złapał ją za ramiona i potrząsnął mocno.

– Wyjdź stąd, Julita, zanim wyprowadzisz mnie z równowagi. Jeśli powiesz bodajże jeszcze jedno słowo, nie ręczę za siebie. Znowu mnie prowokujesz, a potem będziesz ryczała w kącie. Tylko to potrafisz.

Wstała szybko, próbując wyrwać się z uścisku jego dłoni. Znała ten jego stan, wiedziała, jak to może się skończyć. W takiej chwili należało przestać się odzywać,

każde jej słowo mogło zostać okupione kolejnym siniakiem. Dziś obchodził się z nią wyjątkowo łagodnie. Uznała, że trzeba to docenić i zejść mu z drogi. Nie byłoby fajnie, gdyby na same święta jej twarz „przyozdobiły” różnokolorowe sińce. Bokiem, tak aby nie stracić go z oczu, przesuwała się w kierunku drzwi wyjściowych. Nie była w stanie oddychać. Teraz myślała już tylko o opuszczeniu tego mieszkania. Gerarda ogarnęła wściekłość – takiego stanu rzeczy nie należało lekceważyć.

– Zabieraj tego śmierdziucha! – krzyknął, kiedy już chwyciła za klamkę i rzucił w jej kierunku prezentową torebkę.

Złapała ją w ostatniej chwili, dziwiąc się, że zachowała refleks w tej stresującej sytuacji. Wybiegła na klatkę schodową i pospiesznie zaczęła zbiegać po schodach. Na jednym z ostatnich stopni potknęła się i upadła. Rozplakała się, chowając twarz w dłoniach. Nagle poczuła na plecach czyjś dotyk.

– Nic się pani nie stało? – zapytał przyjemnie brzmiący kobiecy głos.

Uniosła głowę, nieco spłoszona.

– Nie, nie. Przewróciłam się tylko. Wszystko w porządku.

– Na pewno? Może potrzebuje pani pomocy?

Puszysta blondynka o błękitnych jak ocean oczach nie dawała za wygraną.

Uśmiechała się przyjaźnie, sprawiając wrażenie zatroskanej. Pomogła Julicie wstać.

– Muszę już iść. Dziękuję za troskę.

– Gdyby pani czegoś potrzebowała, to... – Zaczęła grzebać w torebce. – O! Jest! Proszę wziąć moją wizytówkę. Kto wie, może jeszcze kiedyś się spotkamy?

Wcisnęła Julicie w dłoń tekturową karteczkę, po czym odeszła, uśmiechając się delikatnie i życzliwie.

23. Za zakrętem

Bolało jak nigdy wcześniej. Rozpruwało od środka jeszcze bardziej niż wtedy, gdy dowiedziała się, że Gerard zdradza ją z Boguśką – właścicielką wypożyczalni kaset wideo. Gorycz minionych lat pokrywała teraz każdy milimetr jej ciała. Deszcz padający z nieba zastąpiły płynące z oczu łzy. Nie umiała wrócić do domu i powiedzieć Eli, że nic z tego nie wyszło. Jak niby miałyby to zrobić? Ela znów powiedziała, że ma sobie wreszcie dać z nim spokój. Jak dać sobie spokój z kimś, kto przez ponad połowę życia nadawał sens naszemu istnieniu? Była jak bluszcz... wierna, potrafiąca przetrwać niesprzyjające warunki, gotowa poświęcić wszystko. Oddać siebie, swój czas, swoją godność. Po co jej bycie kimś, kiedy nie może być z nim, ze swoim mężem? Równie dobrze mogłaby być niewidzialna.

Zatopiła się w tych myślach, idąc bez celu. Mijała przystrojone świątecznie wystawy sklepów i zerknęła z zazdrością na przebywających wewnątrz ludzi. Jakaś para uśmiechała się do siebie podczas oglądania pluszowego misia. Okno piekarni wypełnił widok stojących w kolejce ludzi, spragnionych świeżego chleba. Młody mężczyzna płacił kwiatiarce za bukiet krwistoczerwonych róż. Uśmiechał się przy tym tajemniczo. Wszyscy kogoś mieli, wszyscy mieli cel, marzenia, własne życie... tylko nie ona. Jej życiem był Gerard. Nawet gdy się kłócili, gdy na nią krzyczał, poniżał ją i sugerował rozstanie, ona była głucha na te wszystkie sygnały. Wybaczyla mu wszystko. Absolutnie wszystko.

Ścisnęła w dłoniach torebkę z perfumami. Przypomniła sobie, jaką radość sprawiło jej kupienie tego prezentu. Teraz to wszystko było bez znaczenia. Gerard wyrzucił ją z ich wspólnego mieszkania i nic nie wskazywało na to, aby chciał jej powrotu. Lada chwila miała przeżyć pierwsze święta bez niego. Nie wiedziała, jak sobie z tym poradzi. Jeszcze wczoraj cieszyła się z faktu posiadania pracy, a dziś wszystko nagle straciło sens. Po co jej praca, kiedy nie ma jego? Po co jej pieniądze? Dzieci są coraz starsze i radzą sobie same. Została sama, mogłaby teraz zniknąć. Wsiąść do byle jakiego pociągu, na byle jakiej stacji i pojechać przed siebie. Skoro nie mogła mieć jego, nie potrzebowała nic.

Kilka miesięcy wcześniej naprawdę wierzyła, że ta przerwa dobrze zrobi jej małżeństwu. Tymczasem rozłaka stała się gwoździem do trumny tego związku. Niecierpliwie szukała w swojej głowie rozwiązań problemu, gorączkowo zastanawiała się, co jeszcze mogłaby zrobić, by go odzyskać. Panicznie bała się bycia kobietą rozwiedzioną. Sama myśl o tym, że miałyby się nazwać rozwódką, przyprawiała ją o palpitacje serca, zalewając jej ciało potem. Czyżby nadszedł czas spojrzenia prawdzie w oczy? Naprawdę jej małżeństwo było takie złe, że nie dało się zrobić nic, by je naprawić? Obiecała Eli, że to będzie ostatni raz, lecz... nie obiecała tego sobie.

Ludziom można obiecywać wszystko, lecz jeśli nie jest się uczciwym w stosunku do samego siebie, składa się obietnice bez pokrycia. Czy aby na pewno takim człowiekiem chciała być? Nic nie trwa wiecznie – jak to powiedział sam Gerard – i jeśli po raz kolejny zawiedzie Elę, może nie otrzymać następnej szansy. Tego też się bała, chyba jeszcze bardziej. Bo kto by jej wtedy został?

Miała kluchę w gardle. Łzy płynące po jej policzkach prawie że zamarzały. Nie wiedziała, gdzie jest, więc przystanąła na chwilę, aby zlokalizować swoje położenie. Poczowała na sobie męski wzrok. Jej oczy spotkały się z jego oczami na chwilę dłuższą niż jest to możliwe w przypadku obcych sobie ludzi. Stała nieruchomo. On też się zatrzymał. Jakby zatrzymał się cały świat.

– Julita? – usłyszała głos, który wydał się znajomy, lecz nijak nie mogła sobie przypomnieć skąd go zna.

Poczowała chłód. Chwyciła za poły płaszcza, aby się nim szczelniej okryć. Na głowę zarzuciła kaptur, który zakrywał jej teraz całą twarz. Nie chciała, aby ktokolwiek rozpoznał, że płakała.

– *Guten tag! Schön dich zu sehen!* – powiedział po niemiecku.

Myślała, że śni. Spodziewałaby się wszystkiego, ale nie tego, że właśnie dziś, kiedy jej małżeństwo było na początku swojego końca, spotka jego! Tego, do którego robiła maślane oczy w podstawówce, tego samego, który pachniał piżmem i do którego wzdychała pierwszymi młodzieńczymi westchnięciami. Dla niego gotowa była plewić babciny ogródek każdego dnia i każdej nocy. Tylko dlaczego ten świat tak okrutnie się pomylił, rozdzielając ich drogi?

– Michał! Michał Kuczyński! – wykrzyknęła, zapominając o uczuciu smutku, jakie jeszcze kilka minut temu nią targało.

– W całej okazałości. – Rozłożył ręce w geście przywitania.

Padli sobie w ramiona. Był wysoki, szczupły i nieziemsko przystojny. Chociaż prawie łysy, dopatrzyła się kilku srebrnych nitok tuż przy skroniach. Mogłaby utonąć w jego zapachu. Przypomniała sobie czas, kiedy patrząc na niego, gryzła pomarańczowy długopis i marzyła o wspólnym życiu razem z nim. Gdyby nie babcia, to kto wie... Stali tak przez krótką chwilę, ciesząc się spotkaniem po latach. Kiedy ją obejmował swoimi szerokimi ramionami, pomyślała, że przyjemnie jest poczuć się bezpiecznie. Nie znała tego uczucia. Było dla niej nowe, inne i takie wyjątkowe. Tylko czy miała prawo się nim cieszyć? Ona, prawie rozwiedziona, prawie czterdziestoletnia, z dwójką prawie dorosłych dzieci? Wypuścił ją z ramion, chociaż zdawało jej się, że wcale tego nie chciał.

– Ile to lat minęło? Nic się nie zmieniłaś! – Uśmiechał się. Oczy mu błyszczały dokładnie tak samo, jak wtedy, kiedy powtarzali razem czasowniki modalne.

– Och, dziękuję. Ile lat? Kto by to liczył. Tak się cieszę, że cię widzę. Co u ciebie? Opowiadaj szybko!

Chciałaby zapytać o wszystko. Czy nadal mieszkał w Szczecinie, czy faktycznie został nauczycielem i czy – co najważniejsze – jest żonaty! Przez jej głowę przebiegało tysiąc myśli i jeszcze więcej pytań. Chciała nawet zaprosić go na kawę, lecz zanim zdążyła to zrobić, podeszła do nich puszysta blondynka.

– O, tu jesteś! Myślałam, że mi uciekłeś. – Uśmiechnęła się tak samo przyjaźnie, jak godzinę temu, kiedy zbierała ją z podłogi.

Czar prysł. Nici z kawy i pogaduszek przypominających o przeszłości. Julita poczuła się jak przysłowiowe piąte koło u wozu. Czyżby ta baba ją prześladowała?

– No coś ty, jak bym mógł cię zostawić? – Uśmiechnął się, a ona złapała go pod ramię.

– Pozwól, że ci przedstawię... to jest Julita. Chodziliśmy razem do podstawówki. To znaczy ona chodziła do podstawówki, w której ja uczyłem niemca. O rety! – Złapał się za głowę. – Naprawdę fajnie, cię widzieć. – Nie krył szczerej radości.

Julita uściśnęła wypielegnowaną rękę towarzyszki. Czerwień jej paznokci przykuwała wzrok.

– Rozalia Kuczyńska – przedstawiła się blondyna. – My się chyba już gdzieś widziałyśmy, prawda? I to całkiem niedawno. – Zmrużyła oczy.

Julicie zrobiło się głupio. Jasne, że się widziały. Godzinę temu, jak siedziała na zimnej posadzce i opłakiwała nieudaną rozmowę z własnym, osobistym mężem. Michał przypatrywał się obu paniom, wzrokiem zadając pytanie: „O co tutaj chodzi?”. Blondyna na szczęście uprzedziła ją w odpowiedzi:

– Pamiętasz, przed chwilką byliśmy u pani Ewy.

– Pamiętam – odparł, nic nie rozumiejąc.

– No i tam, na klatce schodowej, spotkałam panią Julitę. Upadła jej torebka, schyliłam się, by ją podać. Nic szczególnego, jednak... – Przerwała na chwilę. – ... pani twarz zapadła mi w pamięć.

Julita odetchnęła z ulgą, słuchając tych bredni. Umarłaby ze wstydu, gdyby ta zaczęła opowiadać, jak naprawdę wywinęła orła na schodach, nakrywając się własnymi nogami.

– Jaki ten świat jest mały. – Michał uśmiechnął się do blondyny z wyjątkową czułością.

Patrząc na tych dwoje, można było złapać jeszcze większego doła. Byli jak ci ludzie ze sklepów, emanowali radością, roznosząc nad swoimi głowami aurę dobra i serdeczności. Musieli bardzo się kochać. Uśmiech Julity nieco przygasł, a rozmowa przestała się kleić.

– Słuchaj, teraz musimy już lecieć. Spieszmy się na kolację do mamy Rozalii. Musimy jeszcze odebrać chłopców ze szkoły.

„A więc ma dzieci. No cóż, ot moje zezowate szczęście...” – pomyślała.

– Ale może... – Zawahał się i machnął ręką. – Dam ci wizytówkę. Szkoda by było tak po latach zerwać przypadkowo odnowiony kontakt – wybąkał.

Blondyna zmroziła go wzrokiem. Chyba była zazdrosna, a może zatroskana? Julita nie zdołała odgadnąć jej myśli. Chwyciła szybko prostokątną tekturkę i nie patrząc na jej treść, wsunęła do kieszeni płaszcza. Wyglądało na to, że państwo Kuczyńscy zaplanowali na nią skomasowany atak, w ciągu godziny wciskając jej do kieszeni swoje wizytówki. Grzecznie się z nimi pożegnała, wymawiając się ważnym spotkaniem. Na pożegnanie nie uściśnął jej już tak wylewnie, za to z czułością obejmował blondynę. Julita poczuła ukłucie zazdrości. Chciałaby mieć obok siebie kogoś takiego.

Postanowiła wrócić do domu. Miała dość wrażeń na dzisiaj. Cała tęcza przeróżnych emocji rozbłysnęła na jej osobistym niebie. Dlaczego musiała go spotkać? Dlaczego coś, co mogło okazać się pocieszeniem, jeszcze zanim zdążyło stać się pocieszające, dobiło ją dokumentnie? Gdyby był sam, wypiłaby z nim kawę, pożaliłaby się na świat, wypłakała w rękaw. A tak? Tak to mogła jedynie popatrzeć na jego wizytówkę, wiedząc, że na sto procent nie zrobi z niej użytku.

Następnego dnia leżała w łóżku tak długo, aż Ela wyszła do pracy. Nie chciała podkrecać i tak napiętej atmosfery. Przyjaciółka cały poprzedni wieczór robiła jej wykład na temat tego, jak powinna postąpić. W niektórych aspektach miała rację, ale łatwo jej było mówić. Jak się stoi z boku, to nie ma się problemu z udzielaniem rad. Trzask drzwi dał znać, że droga jest czysta, można było wstać, zaparzyć sobie kawę i pomyśleć o planie dnia. Gdyby nie to, że Ela płaciła jej za zajmowanie się domem, nie wyściubiłaby teraz nosa z łóżka. Wewnątrz poczucie obowiązku wygrało ze znużeniem i zniechęceniem. Ukroiła sobie pajdę chleba, posmarowała ją nutellą i zajadała ją, popijając kawą. Gdyby tylko Ela wiedziała, że w jej domu jest smarowidło, którego skład przypomina tablicę Mendelejewa, padłaby trupem. Julita bunkrowała swój przysmak, szczelnie zamknięty w szafie, pomiędzy ubraniami. Wyciągała tylko wtedy, kiedy bez stresu można było się najeść. Znowu zajadała smutek. To czekoladowe cudo było balsamem dla jej poturbowanej duszy.

„Jesteś bluszczem! – krzyczała Ela poprzedniego wieczoru. – Uczepiłaś się go i wisisz na nim, jakbyś własnego zdania nie miała! Obudź się wreszcie i zacznij wyglądać tego, co może cię spotkać za zakrętem. Życie tak szybko się zmienia, jutro możesz być zupełnie gdzie indziej, tylko zacznij dostrzegać możliwości. Na Gerardzie

świat się nie kończy. Przemyśl to, zanim opleciesz go znowu swoją rozpaczą”. „Czy naprawdę jestem kobietą bluszczem?” – Julita w myślach zadała sobie to pytanie po raz pierwszy. Nie do końca rozumiała znaczenie tego słowa. Słodycz nutelli wymieszana z aromatem kawy pieściła jej podniebienie. Nie miała już siły płakać...

Kiedy skończyła, wstawiła naczynia do zmywarki. Nogi same poniosły ją w kierunku płaszcza. Wyciągnęła z kieszeni wizytówki.

BEFamily

mgr Rozalia Kuczyńska

specjalista ds. zatrudnienia opiekunek

tel. 500-454-XXX

Nie zastanawiając się długo, zerknęła na wizytówkę Michała.

Michał Kuczyński

tel. 601-563-XXX

Nad wizytówką Rozalii nie zastanawiała się długo. Natomiast wizytówka Michała wydała jej się dziwna. Nie mówiła nic o człowieku oprócz tego, że zdradzała jego imię, nazwisko i numer telefonu. Kto robi sobie takie wizytówki i po co? Wyrzuciła obie do śmietnika, po czym zmieniła zdanie i wyciągnęła je stamtąd, ostatecznie kładąc je na swoim biurku.

Mama mawiała, że najlepsze, co można zrobić, kiedy jest się smutnym, to znaleźć sobie jakąś pracę. Postanowiła więc umyć okna. W końcu za to jej płacono.

24. Święta, święta i po świętach

Była to pierwsza od lat Wigilia, kiedy nikt nie narzekał na jakość stojących na stole potraw. Ich smakowitość sprawiała domownikom nieprzyzwoitą radość jedzenia i wszystko znikało w mgnieniu oka. Ela chwaliła pierogi z kapustą i grzybami, Kamila jak zawsze zajadała się śledziem, a Marcin nie mógł oderwać się od barszczu. Kompotu z suszu zabrakło już po pierwszym rozlaniu. Zaproszeni na wieczerę rodzice Eli byli pod wrażeniem precyzji, z jaką wszystko zostało przygotowane. Pani Helena – matka Eli – po raz pierwszy nie przygotowywała świąt sama. Przyznała, że zdając sobie sprawę, jakie to trudne, obawiała się przyjść do córki. Gdyby tylko wiedziała, że wszystko przygotuje Julita, z pewnością spałaby spokojnie. Pan Ryszard przytaknął żonie. Julita czuła się za wszystko odpowiedzialna. Co chwila donosiła brakujące rzeczy i pytała, czy wszystko jest w porządku. Ela wielokrotnie przy wszystkich poprosiła ją o więcej luzu. Tylko jak tu się wyluzować w tak ważnym dniu?

Uspokoiała się dopiero przy rozpakowywaniu prezentów. W tym roku Święty Mikołaj przyniósł jej książkę. Twarda oprawa *Sekretu Rhondy Byrne* przyprawiła ją o szybsze bicie serca. Zanurzyła nos między kartkami – zawsze tak robiła, uwielbiała wąchać książki. Podziękowała, uśmiechając się do wszystkich, przyglądając się radości, z jaką pozostali domownicy rozpakowywali podarunki. Było naprawdę miło. Obejrzelі wspólnie kultowy film – *Kevin sam w domu*, śmiejąc się do rozpuku. To znaczy śmiali się wszyscy oprócz Julity. Ona, korzystając z tego, że pozostali byli zaaferowani filmem, postanowiła się wymknąć do swojego pokoju, by sprawdzić, czy przypadkiem nikt nie dzwonił. Siedziała na krawędzi łóżka, lekko przygarbiona, wpatrując się w swój smartfon.

– Tu jesteś. – Usłyszała głos Eli.

Przyjaciółka usiadła tuż obok i zaczęła gładzić ją po plecach, sprawiając, że po policzkach Julity spłynęły łzy wzruszenia.

– Chciałam cię pochwalić. Dziś wszystko było doskonałe. Spisałaś się na medal. Powinnam całować cię po stopach za to wszystko. Dom lśni czystością, pachnie świętami i smakuje czystą dobrocią – powiedziała.

Mogła już nic nie mówić, bo po usłyszeniu tych słów Julita popłakała się jeszcze bardziej.

– Płacz, płacz. Dobrze, że płaczesz. Nie można tłumić uczuć, zwłaszcza wtedy, kiedy nie wiemy, co robić.

Julita wytarła nos w chusteczkę, nie spuszczając oczu z telefonu.

– Przepraszam cię. Po prostu... – mówiła z trudem. – Po prostu po raz pierwszy od lat nie spędziłam Wigilii z własnym mężem i... to dla mnie bardzo trudne.

– Domyślam się. Uważam jednak, że zrobiłaś niewiarygodne postępy. Powiem więcej – wiem, że niebawem zrobisz jeszcze większe.

– Myślisz, że można myć kible z jeszcze większą precyzją? – zażartowała Julita. Obie roześmiały się serdecznie.

– Myślę, że jeśli chodzi o pucowanie kibli, muszę cię nieco zmartwić. Osiągnęłaś poziom „master” i to mnie trochę martwi, ponieważ lada chwila, kiedy już okrzepniesz i pogodzisz się z tym, co się wydarzyło, będziesz chciała czegoś więcej. Wtedy ja zostanę sama z tym bajzłem, licząc na cud, że pewnego dnia pod moim oknem pojawi się ktoś, kto mi to wszystko pomoże ogarnąć.

– Znajdzie się, na pewno. Nic nie trwa wiecznie, Eli, nawet twoja samotność. A ja? Ja się chyba nigdy nie pogodzę z tym, co się wydarzyło.

– Chcąc iść na przód, musisz zostawić kogoś w tyle. Nie ma innej rady. Ty musisz iść do przodu, Julita, inaczej zmarnujesz resztę swojego życia. Pomyśl o tym.

Może i Ela miała rację, tylko dlaczego ruszenie z miejsca oznaczało zostawienie w tyle Gerarda? Nie chciała go zostawiać. Gdyby dziś stanął w drzwiach i poprosił o rozmowę, byłaby wniebowzięta. Tymczasem on nawet nie napisał. Dzieci nie wspomniały o nim ani słowem. Świadczyło to tylko o ich poziomie przywiązania do ojca. Sama Julita myślała o mężu z fanatyczną wręcz natarczywością. Stawała się dla siebie niebezpieczna i czuła głęboko w sercu, że jeśli nic z tą obsesją nie zrobi, jej życie może rozpaść się na jeszcze drobniejsze kawałki.

– Pewnie myślisz, że jestem głupia, prawda? – zaczęła. – Siedzę tu i modłę się do telefonu.

– Myślę, że jesteś bardzo przywiązana do swojej przeszłości. Nic dziwnego. Funkcjonowałaś w tej przestrzeni tak długo, że trudno jest się oderwać w kilka miesięcy.

– Chciałabym go usłyszeć. Wiem, to chore, ale... mógłby mnie nawet zwyzywać, byłabym tylko słyszała jego głos. – Schowała twarz w dłoń.

Ela nie przestawała głaskać jej włosów. Nie wiedziała już, jak ma pomóc przyjaciółce. Cóż poradzić? Nie ma dobrego wyjścia z takich sytuacji. Może trzeba było po prostu poczekać? Pozwolić, aby to życie zadecydowało?

Posiedziały tak jeszcze przez chwilę, po czym mama Eli zawołała córkę. *Kevin* się skończył i wszyscy wpadli na pomysł, że pójdą na pasterkę. Julita nie miała najmniejszej ochoty na opuszczanie ciepłego domowego zacisza. Ogień w kominku zachęcał, aby przy nim usiąść i zatopić się w lekturze, którą otrzymała od Świętego Mikołaja. Przez chwilę domownicy usiłowali ją odwieść od tego pomysłu, argumentując to faktem, iż taka msza odbywa się tylko raz w roku, lecz Julita w tym wypadku wykazała się skuteczną asertywnością i w efekcie postawiła na swoim.

Msza rozpoczynała się o dwudziestej drugiej. Kiedy wszyscy wyszli, Julita posprzątała, ukroiła sobie makowca i usiadła w fotelu, zajadając i wpatrując się w ogień. Na kolana wskoczył jej kot Siwek.

– Cześć, kiciusiu. Myślisz, że świąteczne wypieki nie pójdą mi w biodra? – udało jej się zażartować. Kot zamruczał uroczym, dodając uroku chwili.

Nagle zadzwonił telefon. Julita aż podskoczyła, prawie że zrzucając na podłogę makowiec. Odebrała pospiesznie, nie zwracając uwagi na to, kto dzwoni.

– Słucham – powiedziała, może zbyt głośno.

Serce biło jej jak oszalałe, a krew szybciej zaczęła pulsować w żyłach.

– Cześć, Julitko.

Usłyszała kobiecy głos, nie udało jej się go rozpoznać. Odchyliła słuchawkę od ucha, próbując sprawdzić, kto dzwoni, lecz próba szpiegostwa nie została wynagrodzona.

– Kto mówi? – zapytała wreszcie.

– To ja.

Ludzie są czasami naiwni. Myślą, że jak się przedstawią, mówiąc „to ja”, to wszyscy nagle w jakiś cudowny, telepatyczny sposób odgadną ich tożsamość.

– Jaka ja? – burknęła oschle Julita.

– Marysia z Jaczewa.

Kot wylegający się na kolanach, zniecierpliwiony hałasem, oddalił się w nieznane. Julita odstawiła makowiec na stolik i wyprostowała się, jakby ktokolwiek widział jej zachęcającą do rozmowy postawę.

– Marysiu, miło cię słyszeć – wybąkała, już nieco mniej pewnie i bardziej przyjaźnie.

Marysia była bardzo spięta rozmową. Głos miała jakby wystraszony i przyprawiony nutką niepewności. Obawiała się, że Julita w pół słowa postanowi przerwać połączenie. Kiedy już nieco się uspokoiła, wyrecytowała życzenia, jakby czytała je z kartki. Julita podziękowała i życzyła całej rodzinie pomyślności. Po wymienionych uprzejmościach obie panie na chwilę zamilkły. Jako że milczenie przez telefon jest niebywale trudne, Marysia postanowiła je przerwać:

– Julitko, jest mi przykro. Gerard nie mógł sobie wymarzyć lepszej żony. Dlatego tak bardzo mi przykro. Ciągle o was myślę. Modliłam się za was, zastanawiałam się, czy gdybyśmy wtedy nie pojechały nad ten Liwiec, to... to może nie byłoby tego rozwodu?

Rozwodu? Jakiego rozwodu? O czym, u diabła, ona mówiła? Owszem, mieli kryzys, który przeciągał się już dość długo, ale nikt jeszcze nie podjął tak drastycznych decyzji. O żadnym rozwodzie nie było mowy! Julicie odebrało głos,

a Marysia ciągnęła dalej:

– Ta nowa kobieta Gerarda to ona tylko świeci dekoltem i pachnie perfumami na dwa kilometry. Nic nierobotna jest. No i w takiej mini do Wigilii siadać?

Julicie zaschło w gardle i wbiło ją w fotel. O co chodzi, na miłość boską? Jaka kobieta? Jaka mini?

– Gerard zachowuje się jak opętany. Przyjechali do nas i tylko ciągle po sklepach się szwendają. Chyba ona za to wszystko płaci. Przecież nie nasz Gerard. Ona to podobno jest właścicielką jakiegoś interesu. Coś opowiadała, że kiedyś jakieś kasety sprzedawała czy coś... Teraz chyba ciuchami handluje. Wyobraź sobie, że sukienkę mi przywiozła. Jak moja jedna noga się w nią zmieści, to będzie jakiś cud.

Przysięgam, nie żartuję.

– Marysiu, powoli, powoli. Bo... – Julita przełknęła ślinę. – Bo wiesz, ja... – chciała jej powiedzieć, że o niczym nie wie, lecz Marysia najwyraźniej nie zrozumiała jej szarpanego zdania.

– Ale co ja ci będę o tej babcie opowiadać. Julitko, ja chciałam ci powiedzieć, że ty jesteś u nas zawsze mile widziana. Wszyscy cię kochamy. Jesteśmy po twojej stronie. Głupi chłop z tego mojego szwagra. Oj, głupi. Jeszcze ten rozwód... Podobno rozprawę macie już w styczniu. Jeśli dobry Bóg spełni moje noworoczne życzenie i ta cała Boguśka kopnie Gerarda w tyłek do tego czasu, to może jakoś da się to poskładać, co? Jak myślisz? Powiedz, że nie skreśliłaś go do końca. Może się jeszcze dogadacie? Tak nam wstyd... tak bardzo nam wstyd za niego.

Marysia zamilkła. Słyszać było tylko jej chlipanie. Prawdopodobnie wydmuchiwała nos i ocierała łzy. Tyle wystarczyło, aby Julita zrozumiała sens słów, których nigdy w życiu by się nie spodziewała. Znów zrobiło jej się gorąco. Zawsze w takich sytuacjach czuła się, jakby przechodziła klimakterium. Pałaca fala rozdzierała całe jej ciało. Do oczu napłynęły łzy, a dłoń spoczywająca na krawędzi fotela zacisnęła się jej w pięść.

– Marysiu, bardzo sobie cenię twój telefon, ale obawiam się, że nic nie da się już zrobić. – Sama nie wierzyła w słowa, które wypowiedziała. Przecież jeszcze nie dalej jak godzinę temu gotowa była dać się pokroić za swojego męża.

Marysia nadal chlipała w słuchawkę.

– Gerard dokonał wyboru. Miał do tego prawo. Widocznie nie sprawdziłam się jako żona – dodała ciszej.

Normalnie to już by płakała, lecz stało się coś, co ją zaskoczyło. Poczowała złość. Wszechogarniającą złość. Chciała teraz zapomnieć o tym, że jest kobietą, katoliczką i matką. Chciała kłać wniebogłosy, tak aby sam diabeł nie powstydział się epitetów wypuszczanych z jej ogarniętego furią wnętrza. To ona chodziła, prosiła, błagała, a on

przez ten czas... Ech... I to z Boguśką?! Jak długo to trwało? Ostatni raz, kiedy przyłapała ich w jej własnym domu, dzieci były jeszcze malutkie. Czyżby przez te wszystkie lata ukrywał przed nią ten romans? Przecież to chore!

Przesyłając świąteczne pozdrowienia, zakończyła rozmowę z Marysią.

To były pierwsze święta, które spędziła z dala od Gerarda. Cały czas wyobrażała sobie, że będą czasem pojednania z nim, lecz tak się nie stało. Po tym, co usłyszała od szwagierki, coś w niej pękło. Poczowała rozgoryczenie i złość, chyba po raz pierwszy w życiu doznała takich uczuć w zestawieniu z własnym mężem. Musiała przyznać przed sobą, że stoi u progu rozwodu i konieczne jest, aby się z tym pogodziła.

25. Julita

Mówi się: „Święta, święta i po świętach”. Telefon od Marysi sprawił, że zakończenie świąt wyglądało tak, jakby mój świat stanął w miejscu. Czułam się, jakbym do tego momentu funkcjonowała w innej rzeczywistości, jakby słowa, które usłyszałam, przelały czarę goryczy. Poświęciłam wszystko dla tego małżeństwa. Zrezygnowałam z marzeń, ambicji, planów. Dałam się zamknąć w ciasnej trumnie własnych lęków i upiornych obowiązków, jeszcze za życia. Nawet nie drapałam pazurami, aby ktoś zechciał uchylić jej wieko. Nie było najgorsze to, że się w niej znalazłam, lecz to, że zadomowiłam się w tym ciasnym wnętrzu, wmawiając sobie, że jest mi wygodnie.

Telefon od Marysi wszystko zmienił. Przerwywając połączenie, spięłam pośladki i naprężyłam nogi, przygotowując się do tego, aby z całej siły kopnąć w ograniczające mnie drzwi własnego wnętrza. Znalazłam się po drugiej stronie i... zwymiotowałam. Pochylona nad toaletą wydałam z siebie wigilijną kolację. Nie było nikogo, kto podałby mi szklankę wody. Siedziałam na zimnej posadzce w wypielęgowanej własnymi rękami łazience, nie wiedząc nic oprócz tego, że pragnę zmiany. W życiu każdego człowieka nadchodzi taki moment, że już nie jest w stanie dłużej funkcjonować jak do tej pory. Moje aktualne życie przypominało ginące w rurach kanalizacyjnych fekalia. Niby byłam potrzebna, a jednak taka zbędna...

Płakałam, płakałam i płakałam... Nie podejrzewałam, że człowiek jest w stanie wylać z siebie tyle łez. Czy płakałam za Gerardem? Nie... Płakałam za sobą i za czasem, który utraciłam, oblepiając tego człowieka samą sobą. Wszystkie znaki na niebie i ziemi tak wiele razy chciały być przeze mnie zauważone. Dlaczego byłam ślepa? Nie można chcieć za dwoje. Oparłam się plecami o zimną ścianę, podkurczyłam kolana, układając na nich zmęczone ramiona. Odchyliłam głowę i jestem w stanie przysiąc, że gdyby ktoś na mnie teraz patrzył, zobaczyłby człowieka, który się poddał. Lecz ja się nie poddałam. Zaczęłam się modlić, ale nie tak na klęczkach, jak to robi się w kościele, lecz tak, jak modlą się ludzie, dla których modlitwa wydaje się ostatnią szansą. Mówiłam do Boga własnymi nieprecyzyjnie poskładanymi zdaniami. „Proszę, pomóż mi, bo ja już sama nie wiem, kim jestem. Tyle lat żyłam, starając się wypełniać twoje przykazania, i co mi z tego przyszło? Boże, powiedz... kimkolwiek jesteś i gdziekolwiek jesteś, daj mi, do cholery, jakiś znak. Dlaczego pozwalasz, aby mnie deptano? Ile jeszcze jestem w stanie wytrzymać? Ile upodlenia? Mam to znosić? Mówiłeś, że miłość jest ciepła, że jest łaskawa, że nie unosi się pychą. Kazałeś mi tkwić w ramionach człowieka, który ma mnie za nic. Potępiasz rozwód, to też wiem, ale... ja już nie daję rady. Powiedz mi teraz, co ja mam zrobić. Czy wybaczysz mi, kiedy od niego odejdę? Ja się nawet umierać boję.

Rozumiesz?”.

Nic nie odpowiadał, a może ja nie słyszałam tego, co mówił? Może byłam na niego zbyt zła, aby usłyszeć, co ma mi do powiedzenia. Poczułam ciężar własnej głowy. Musiałam się położyć. Zwinęłam się w kłębek i wydałam się sobie taka mała i krucha. Nie gabaryty człowieka decydują o jego sile – potwierdzałam tę tezę w całej swojej okazałości. Zabrakło mi słów, język odmówił posłuszeństwa. Rozmowę ze Stwórcą dokończyłam w myślach, błagając go, aby dał mi jakiś znak. Jakikolwiek. Chciałam być blisko niego, a jednocześnie bałam się, jak zareaguje na złamanie przysięgi, którą przed nim złożyłam, że nie opuszczę męża aż do śmierci... „Boże – szeptałam w myślach – ja chyba nie Kocham siebie samej. Jak mogłam pozwolić, aby mnie tak niszczone? Przez tyle lat...”.

26. Nadgorliwość gorsza od faszyzmu

Płacz wymęczył ją do granic. Nigdy wcześniej nie płakała tak długo i z takim zaangażowaniem, aby w konsekwencji zasnąć. Obudziło ją delikatne poszturchanie.

– Julitko, kochanie, wstań, proszę. Dlaczego ty się przytulasz do toalety? – szeptała Ela.

Z trudem otworzyła oczy, posklejane od zaschniętych łez, a świąteczną bluzkę „zdobiły” plamy. Wyglądała jak obraz nędzy i rozpaczy.

– Chciałabym cię opierniczyć, ale wiem, że nie tego potrzebujesz. No, wstań! Wstawaj, i to już. Zanim dzieciaki cię zobaczą.

Julita podniosła się powoli i z ociąganiem. Przeraziła się własnego odbicia w lustrze. Makijaż, w którego wykonanie włożyła sporo czasu, znajdował się teraz wszędzie, tylko nie tam, gdzie powinien się znajdować.

– Szybko umyj twarz i wskakuj w piżamę – rozkazywała przyjaciółka. – Dawaj, dawaj. Moja matka zaraz zacznie dopytywać. Wiesz, jakie z niej KGB. Jutro na Onecie będą o tym pisać. Chyba nie chcesz, aby o twoich problemach sercowych dowiedziała się cała Polska?

– Niby skąd wiesz, że płacę przez niego – odezwała się do tej pory milcząca Julita.

– A co, jest jakiś inny powód? Jak mi powiesz, że płaczesz nad sobą, to nie uwierzę. Pewnie znowu zastanawiałaś się, co zrobić, aby ten cały Gerardziu wrócił. Jak o nim myślę, to mi się nóż w kieszeni otwiera. Dobry Boże, wybac mi to, co powiedziałam, ale taka jest prawda.

– Przestań, Elka, z tym Bogiem. Myślisz, że on cię traktuje tak poważnie, jak ty jego? Z całym szacunkiem, ale daj chłopu odetchnąć.

Ela zastygła w bezruchu. Czyżby to mówiła Julita?

– Tak, tak... obie dałyśmy się nieco ponieść. Ja – zagorzała mężatka, a ty – zagorzała cnotka. Obie jesteśmy żalosne. Co tak patrzysz? O nas mówię. Zagorzałe fanatyczki! Nic w nadmiarze nie jest dobre. Nadgorliwość gorsza od faszyzmu, tyle ci powiem – rzuciła, wycierając mokrą twarz.

„Dałyśmy się ponieść? Fanatyczki...?” – Ela powtórzyła w myślach, usiłując zapamiętać te słowa, aby potem, kiedy już odetchnie, zastanowić się nad ich sensem.

Rozległo się pukanie do drzwi łazienki i pytania, czy wszystko jest w porządku. Przyjaciółki zgodnie odparły, że tak, usiłując odsunąć domowników od tej intymnej chwili, w jakiej się znalazły.

– Co się z tobą stało, Juli? Dlaczego znów płakałaś? Zadzwońska do niego?

Julita pokrótce opowiedziała o rozmowie telefonicznej, której była jedną z bohaterek. Pozostawiając dla siebie kwestię wezwania do sądu, nie chciała

debatować w środku nocy o własnym rozwodzie.

27. Pierwszy dzień świąt

W niektórych krajach tradycja nakazuje, by świąteczne prezenty rozpakowywać w pierwszy dzień świąt. Wszyscy jeszcze w piżamach biegną do choinki i wyciągają spod niej różnokolorowe pakunki. Szkoda, że takiej tradycji nie ma w Polsce. Wiercząca się w łóżku Julita pomyślała, że rozpakowanie jakiegokolwiek prezentu mogłoby być teraz dla niej całkiem miłym początkiem dnia, następującego po bezsennej nocy. Wszystko wskutek wieczornej „drzemki” na zimnej posadzce łazienki. Dokonała ona skutecznej regeneracji jej wymęczonego emocjami ciała. Jak to niewiele człowiekowi potrzeba, aby nabrać sił, by dalej zadręczać się własnym życiem...

Najpierw opuściła lewą nogę, szybko zdając sobie sprawę, że nie powinno się nią wstawać. Zmieniła zdanie i dotknęła prawą stopą teakowej podłogi. Gdyby babcia słyszała jej myśli, Julita dostałaby niezłe manto za podtrzymywanie w swoim umyśle wiary w tak nieprawdopodobne dyrdymały. Każdy szanujący się katolik nie ma prawa wierzyć w siedem lat nieszczęścia po stłuczonym lustrze, w czarne koty przebiegające mu drogę ani w to żalosne wstawanie lewą nogą... Julita była katoliczką, a pomimo tego od dziś, od pierwszego dnia świąt, postanowiła zreformować swoje życie, zaczynając od tej niewielkiej zmiany. Będzie wstawać prawą nogą. Symboliczne zetknięcie się stopy z podłożem i postawienie pierwszego kroku nabrało nagle ogromnego znaczenia. Jakby zdała sobie sprawę, że nie można iść przez życie w butach innej osoby. Jeszcze do wczoraj, przyodziana w obuwie własnego męża, przemierzała wszystkie ścieżki swojej codzienności. Dziś uświadomiła sobie, iż jedząc codziennie chleb z jednego pieca, nie dawała sobie szansy na poznanie innych smaków. Nie wiedziała jeszcze jak, ale chciała to zmienić.

Wyjrzała przez okno, za którym nie dostrzegła ani jednego płątka śniegu. W zamian za to po podwórku Eli można było bez skrępowania płasać w kałużach, co właśnie czynił Sraluch – jej pies. Ciągle nie mogła się nadziwić, dlaczego Ela nazwała swojego psa tak brzydkim w jej odczuciu imieniem. Podobno załatwiał się gdzie popadnie, ale czy to jest wystarczający powód?

Skierowała swoje kroki do kuchni. Przepyszna kawa z kawiarki przyjaciółki była teraz jednym z niewielu jej marzeń, których realizacja znajdowała się w zasięgu ręki.

– Wstałaś już. – Usłyszała głos Eli. – To dobrze, zaparzę nam kawę, ukroję makowca. Uwielbiam to twoje ciasto. Musisz koniecznie podać mi przepis. Makowiec ma to do siebie, że często bywa suchy i wiórowaty. Twój jest fantastyczny, Juli. Kto nauczył cię tak doskonale piec?

Ela próbowała zagadnąć o czymś miłym. Nie chciała zaczynać dnia od trudnych tematów. Tym bardziej że było to święto Bożego Narodzenia.

– Chętnie napiję się kawy. Od ciebie zawsze. A makowiec? Cóż... – Spuściła głowę, zamyślając się nad tym, od kogo nauczyła się go piec. – O wiem! – Uniosła palec w górę. – Przepis na to ciacho znalazłam lata temu w takiej gazecie dla młodych mężatek. Trudno w to uwierzyć, ale kiedyś byłam młodą mężatką. Wiesz, chciałam zaimponować Gerardowi. No i zobacz, jak na tym wyszłam...

Dlaczego wszystko kręciło się wokół Gerarda? Ela nie dawała za wygraną, próbując odciągnąć Julitę od myślenia o nim.

– Podasz mi ten przepis? Jak zaniósłam do szpitala kawałek tego ciasta, to wszyscy zwariowali. Zupełnie siebie nie doceniasz.

Prawda była dokładnie taka, jak powiedziała Ela. Julita zupełnie siebie nie doceniała. Wstała od stołu i bez słowa ruszyła w kierunku swojej sypialni. Po chwili wróciła ze starym, wysłużonym zeszytem w dłoniach. Otworzyła go na odpowiedniej stronie.

– Nie wiem, po co ci ten przepis. Mogę piec to ciasto codziennie, choćby i dla całego szpitala. Jeśli tylko na tym da się zarobić, to będę szpitalną makową królową.

– Zarobić da się zawsze na tym samym. Na prawdzie! A ty jesteś prawdziwa i uczciwa. Nie tylko twój makowiec jest tego dowodem. Dyktuj, a ja będę pisać.

Ela chwyciła swój nowy kalendarz, który dostała od Świętego Mikołaja.

– Będiesz pisać w nowym kalendarzu? Ja na twoim miejscu zostawiłabym miejsce na wpisywanie terminów randek.

Ela podniosła wzrok, przewróciła oczami w geście rezygnacji, westchnęła i jeszcze raz poprosiła o podyktowanie przepisu.

MAKOWIEC JULITY

Pierwszy etap – masa makowa:

- 500 g maku
- 100 g masła
- 1 szklanka płynnego miodu
- ulubione bakalie – 200 g rodzynek
- 100 g orzechów włoskich
- 2 łyżki likieru amaretto (opcjonalnie ekstraktu migdałowego)

Przygotowanie:

Mak wsypać do dużego garnka i zalać gorącą wodą (kilka centymetrów ponad poziom maku). Gotować około 30 minut, od czasu do czasu mieszając. Odcedzić na durszlaku wyścielanym lnianą ściereczką. Pozostawić do odsączenia na około 30 minut. Mak zmielić.

– Jak ty zmieliłaś ten mak? Przecież ja nie mam maszynki? – zapytała Ela. Julita uśmiechnęła się pod nosem, napawając się dumą z powodu własnej

pomysłowości.

– Użyłam miksera – mrugnęła.

– Tak się da? Jesteś niesamowita.

– Wszystko się da, trzeba tylko chcieć. Podobno rzeczy niemożliwe wymagają tylko odrobiny cierpliwości...

– Skoro tak uważasz, powinnaś zastosować tę zasadę do własnego życia.

Ela miała rację. Najtrudniej stosować złote rady w stosunku do samej siebie. Julita uśmiechnęła się smutno. Potrzebowała słów wsparcia. Chłoneła je niczym wyschnięta gąbka. Łaknęła pochwał muskających jej kruche wnętrza, pozbawione samoakceptacji. Widząca rozkojarzenie Julity Ela poprosiła o kontynuowanie dyktowania przepisu.

Zmieszać mak dwukrotnie. W czasie, kiedy masa stygnie, posiekać orzechy i roztopić w rondelku masło z miodem. Do roztopionej masy dodać bakalie – wszystko razem podgrzać około minuty, ciągle mieszając. Odsączony i wystudzony mak przełożyć do miski i dodać do niego masę miodową oraz amaretto. Wszystko razem dokładnie wymieszać.

– To ta masa leżała w lodówce już na tydzień przed świętami? – zapytała Ela.

– Oczywiście, że tak. Przygotowałam ją dużo wcześniej. W prowadzeniu domu konieczna jest organizacja. Bez niej ani rusz. To taśmowa robota. Jak odpuścisz, to zginiesz w gąszczu codzienności. Dużo lepiej działać systematycznie i według konkretnego planu.

Ela przyglądała się przyjaciółce, nie mogąc się nadziwić. Prowadzenie domu nigdy nie było jej mocną stroną, dlatego też tak bardzo zachwycała się umiejętnościami Julity.

– Masę możesz sobie przygotować wcześniej i przechowywać ją w lodówce, jednak przed użyciem musisz doprowadzić ją do temperatury pokojowej – powiedziała.

– OK, do tem-pe-ra-tu-ry po-ko-jo-wej – przesyłabizowała Ela, zapisując wszystko dokładnie.

Drugi etap – spód makowca:

- 125 g mąki pszennej
- 50 g cukru pudru trzcinowego/opcjonalnie cukier puder zwykły
- 60 g masła
- jedno jajo

Przygotowanie:

Mąkę przesiać do miski, dodać cukier i pokrojone w kawałeczki masło. Rozetrzeć w palcach kawałki ciasta – powstanie drobniutka kruszonka. Dodać

jajko i szybko wyrobić gładkie ciasto. Wylepić nim spód tortownicy, uprzednio wysmarowanej margaryną i obsypanej bułką tartą (średnica tortownicy 28 cm/opcjonalnie można użyć dużej blaszki o wymiarach 20/30 cm)

Trzeci etap – przygotowanie makowca:

- przygotowana wcześniej masa makowa
- 10 jajek
- 10 łyżek kaszy manny

Przygotowanie:

Piekarnik nagrzać do temperatury 180 stopni. Oddzielić białka od żółtek. Żółtka utrzeć na puszysty krem (około 8 minut ubijania mikserem). Oddzielnie ubić białka na sztywną pianę. Masę makową wymieszać z kaszą manną, następnie delikatnie połączyć ją z utartymi żółtkami oraz z ubitą pianą z białek. Przełożyć do tortownicy wcześniej wylepionej kruchym spodem i wstawić do piekarnika. Piec 50 minut, po czym wyłączyć piekarnik, pozostawiając w nim ciasto na jeszcze 10 minut. W czasie, kiedy makowiec będzie się piekł, zrobić polewę kajmakową.

– Ten kajmak jest najlepszy. Myślisz, że w święta to nie idzie w biodra? – Ela uniosła głowę, nieśmiało zadając pytanie.

– Myślę, że świąteczne ciasta idą w cycki – odparła Juli.

Obie roześmiały się serdecznie.

Czwarty etap – miodowa polewa kajmakowa:

- jedna szklanka śmietanki kremowej
- pół szklanki miodu

Przygotowanie:

Śmietankę i miód umieścić w rondelku i gotować nie doprowadzając do wrzenia przez około 45 minut. Mieszać polewę co około 5 minut, uważając, aby nie przywarła do dna rondelka. Gotowa polewa przybierze kolor jasnobrązowy. Wystudzony makowiec udekorować polewą i posypać płatkami migdałowymi oraz posiekanymi orzechami.

Ela notowała wszystko skrupulatnie. Wyglądało na to, że udało jej się rozgonić kłębiące się nad kobietami chmury. Jakoś nie miała nastroju na poważne rozmowy. Coraz trudniej jej było zachować pozytywne nastawienie do świata, kiedy Juli wiecznie płakała.

– Marysia powiedziała wczoraj, że Gerard złożył pozew o rozwód. – Julita wyrzuciła z siebie to zdanie jednym tchem.

Ela zastygła w bezruchu. Widelec z makowcem zatrzymał się w połowie drogi z talerza do jej spragnionych słodczy ust.

– Wiesz coś o tym?

Oczywiście, że wiedziała. Korzystając z tego, że wszyscy w okolicy ją znali, ubłagała listonosza, aby pozwolił jej odebrać list. Kiedyś leczyła jego córkę, zrobił więc, co kazała, spłacając swój dług wdzięczności. Wytarła usta dłonią, zapominając o jakichkolwiek zasadach dobrego wychowania.

– Elu, słyszysz mnie? – Julita się niecierpliwiła.

– Tak, oczywiście, że słyszę – burknęła. – Odebrałam wezwanie do sądu. To był czas, kiedy odrobinę się poskładałaś, nie chciałam tego psuć. Zwłaszcza że zbliżały się święta. Wiem, co mi zaraz powiesz, że kłamstwo ma krótkie nogi i takie tam. Niby co według ciebie miałam zrobić? Miałam kopać leżącego?

Julita usiadła przy stole. Nie była w stanie utrzymać w dłoniach filiżanki z kawą. Ręce jej się trzęsły, a na skroniach pojawiły się kropelki potu. Z jednej strony chciała zrozumieć Elę, a z drugiej – była na nią zła. Dlaczego zawsze ktoś trzeci musi decydować o tym, jak potoczy się jej codzienność? Może Ela zrobiła to w dobrej wierze, ale dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane.

– Kiedy jest sprawa?

– Nie pamiętam. Schowałam ten papier do szuflady.

– Jak to nie pamiętasz? Przecież powinnam, do jasnej cholery, pójść na własną rozprawę rozwodową. Nie uważasz? Chyba, że zamierzałaś to za mnie załatwić.

Policzki Julity poczerwieniały ze złości. Ela skuliła ramiona, gotowa pokornie wypić piwo, którego sobie nawarzyła. Wstała od stołu i skierowała swoje kroki w stronę szuflady, by odszukać przedmiot bożonarodzeniowej dyskusji. Wygrzebała białą kopertę spod pliku recept i reklam oferujących najnowsze leki na hemoroidy. Nie zauważyła, iż jedna z owych reklam przykleiła się do koperty, którą bez słowa wręczyła przyjaciółce.

– Super! Wezwanie na mój rozwód wcisnęłaś do szuflady, w której przechowujesz nowinki dotyczące żylaków odbytu. Jak mogłaś?

Ela miała szczerą ochotę odpowiedzieć, że owo wezwanie z chęcią wcisnęłaby Gerardowi tam, gdzie owe żylaki się tworzą, lecz ugryzła się w język. Julita gotowa jeszcze odebrać jej słowa zbyt dosadnie.

– Przepraszam, Juli. Najmocniej cię przepraszam. Naprawdę nie chciałam źle. Pokazałabym ci to zaraz po świętach. Nie chciałam tego ukryć. Przecież tu mieszkasz, zaglądasz do szuflad, a ja nie zamykam niczego na klucz. Listonosz przyniósł ten szmatławiec w dniu, kiedy szpital oszalał na punkcie twoich pierników. Byłaś taka szczęśliwa... Nie chciałam ci tego psuć.

Julita wyrwała kopertę z rąk przyjaciółki i prędko ją otworzyła.

– Dwudziesty ósmy stycznia, godzina dwunasta – przeczytała beznamiętnie, jakby zupełnie jej to nie dotyczyło. Po policzkach spłynęły jej łzy.

Ela podeszła do Julity. Przepraszała i głaskała ją po plecach. Do kuchni wszedł Marcin. Spojrzał na matkę i nie zapytał nawet, co się stało. Wyglądał, jakby dręczyło go coś o wiele bardziej przygnębiającego. Pochłonięta własnymi smutkami Julita nie spostrzegła rozluźniających się więzi z dziećmi. Zbyt mocno była skupiona na własnym cierpieniu, nie zdając sobie zupełnie sprawy, że rozwód będzie jedynie preludium agonii rozpacz, którą szykował dla niej los.

28. Noworoczne postanowienia

Poradniki dotyczące życia, które nieustannie pod nos podsuwała jej Ela, zgodnie uznawały, iż nie trzeba czekać na przełomową datę, by wprowadzać zmiany. Najlepiej jest zacząć od zaraz, pracować codziennie. Nie wystarczy powiedzieć sobie: „Od dziś myślę pozytywnie”. Trzeba te zmiany wcielić w życie poprzez regularną praktykę.

Obserwująca Elę Julita była pełna podziwu dla przyjaciółki, która wyglądała na taką, co wiezie życie usłane różami. Mieszkając razem z nią, miała okazję zobaczyć jej codzienność, podczas której zwykli ludzie patrzyli na nią z podziwem i zazdrością w sercu. Gdyby tylko wiedzieli, ile bycie tą, której SIĘ UDAŁO, tak naprawdę kosztuje... Coś musiało być na rzeczy w tych wszystkich „szamańskich” modłach jej przyjaciółki. Jeśli to właśnie one były główną przyczyną w miarę spokojnego ducha Eli, to dlaczego nie miałyby pomóc Julicie, która tyle już razy obiecywała sobie zmianę?

Dziś jakby coś w niej pękło. Może dlatego, że nowy rok zbliżał się wielkimi krokami? Wzięła w dłoń swój pamiętnik i postanowiła w nim zapisać wszystko, o czym marzy. Przez chwilę siedziała z pustką w głowie, po czym szybko wielkimi literami napisała: PRAGNĘ ZMIAN NA KAŻDEJ PŁASZCZYŹNIE SWOJEGO ŻYCIA. Spojrzała na napis. Coś, co do tej pory tliło się z tyłu jej głowy, nagle przybrało realny wymiar. Zobaczyła czarno na białym, czego pragnie. Nie wiedziała jeszcze, jak potoczy się jej życie, ale chciała je zmienić. Ze wszystkich sił pragnęła przeżyć resztę swojego życia w zgodzie ze sobą. Ktoś by powiedział, że przysłowiowe wstawanie prawą nogą to bzdura, ale jeśli jej poprawiało ono humor i nakręcało pozytywną energią na cały dzień, to dlaczego miałyby tego nie czynić?

Uśmiechnęła się do siebie i napisała: MAM W SOBIE WSZYSTKO, CZEGO POTRZEBUJĘ, ABY TYCH ZMIAN DOKONAĆ! Patrząc na swoje odważne wyznanie, wzięła głęboki wdech, chwając siebie samą za słowa, które napisała. Kamila powiedziałaaby: „Brawo ty, mamoo”. Dlaczego więc miała nie powiedzieć do siebie: „Brawo ja”? Kto miał ją chwalić, jeśli ona sama do tej pory nigdy za nic siebie nie pochwaliła? Wszystko, czego w życiu doświadczamy, jest odbiciem naszych wewnętrznych myśli. Przez dwadzieścia lat małżeństwa... nie myślała o sobie wcale. Była dla siebie obojętna, a człowiek, który jest dla siebie obojętny, nie jest w stanie dać szczęścia innym. Jej duszę porosły chwasty. Nigdy o nią nie dbała. Nie mówiąc już o ciele, które zarosło obfitą warstwą niechcianego tłuszczu.

ZMIENIĘ SWOJE ŻYCIE – dopisała na końcu, wierząc, że tylko ona może to zrobić. Nikt inny. Przez jej głowę przebiegało teraz milion myśli. Nie wiedziała, jak to zrobić, wiedziała tylko, że żyć tak, jak żyła, dłużej się nie da. Pomyślała o tych wszystkich ludziach, których podziwiała. Pierwszą taką osobą była jej mama, która

nigdy na nic nie narzekała i zawsze dla wszystkich miała szczery uśmiech. Mawiała, że jest on tańszy od elektryczności, a daje zdecydowanie więcej światła. Zmiany w życiu można rozpocząć od codziennego porannego uśmiechu. Ela zawsze namawiała do niego Julitę, która do dziś była oporna. Miało się to zmienić, mimo wszystko.

Gdy przeczytała to, co sama napisała, postanowiła pójść za ciosem i napisać do siebie list. Taki, jaki chciałaby dostać od kogoś, kto bardzo ją kocha. Nie miała pojęcia, skąd ten pomysł przyszedł jej do głowy, ale czuła całą sobą, że powinna to zrobić, zanim rozum zacznie zadawać pytania typu „po co?” i „dlaczego?”. Chciała pójść za głosem serca. Aby nadać ważność temu listowi, zmieniła czarny długopis na ten w kolorze zielonym i napisała:

Droga Julito,

Chciałabym zacząć pozytywnie, ale pierwsze, co ciśnie mi się pod pióro, to napisać Ci, że przez prawie czterdzieści lat swojego życia nie byłaś dla siebie przyjaciółką. Czas to zmienić! Nie od nowego roku, nie od pierwszego, nie od poniedziałku, ale właśnie od teraz będziesz dla siebie dobra i pozostaniesz wierna swemu postanowieniu po kres Twoich dni. Nikt nie zesłał Cię na ten świat z myślą, abyś cierpiała. Wiele z tego, czego doświadczyłaś, było efektem braku szacunku i miłości do siebie samej. Obiecuj mi, że w myśl zasady pozytywnego egoizmu będziesz dla siebie największą wartością. Tylko tak masz szansę naprawić i uleczyć swoje życie. Nie chcę Ci ściemniać, że będzie łatwo. Nic, co wartościowe, nie spada nam z nieba, ale obiecuję Ci, że warto nad sobą pracować. Po to, aby każdego dnia stawać się lepszą dla siebie. Tylko dobro ofiarowane sobie możesz przerodzić w dobro pущzone w świat. Obiecuj mi, że będziesz o tym pamiętać.

Julita przeczytała to, co do tej pory napisała. Była z siebie naprawdę dumna. List jeszcze nie był ukończony, miała sobie zdecydowanie więcej do powiedzenia. Zaparzyła herbatę, wkroiła do niej plaster cytryny, pogrążona w zamyśleniu, co jeszcze w liście mogłoby się pojawić, po czym wróciła do pisania.

Bóg nie jest tym, za którego Go uważasz. Nie potępia Twoich decyzji. Zawsze wyciąga do Ciebie pomocną dłoń. Przecież gdyby tak nie było, czym byłyby opowieści o przyjęciu w jego domu zbłąkanych owiec? Jesteś jedną z nich. Twoja zbłąkana dusza potrzebuje ukojenia i nie powinnaś się odwracać od Bożych łask. Nie zastanawiaj się, co powiedzą inni. Po prostu żyj pięknie, od teraz. Nie bój się życia. Czy Ty wiesz, że w Piśmie Świętym jest napisane 365 razy „nie lękajcie się”? To musi być jakiś znak dla ludzkości. Nie można bać się życia. Cokolwiek jeszcze Cię w nim spotka, wszystko jest potrzebne. Nie było Ci dotąd łatwo, ale właśnie takie doświadczenia wpuszczają w naszą duszę światło, oświetlające nam drogę do

lepszego, bardziej wartościowego jutra. Człowiek, który wie, co to znaczy cierpieć, będzie potrafił docenić chwile radości. Życie nie składa się tylko z podmuchów wiatru nad ciepłym morzem. Życie to także sztormy, których doświadczyłaś i z pewnością jeszcze niejedną raz doświadczysz. Pamiętaj, Julito, Twoim sterem i okrętem jest miłość, którą w sobie nosisz. Pokład Twojej duszy powinnaś wyłożyć codzienną praktyką pozytywnego myślenia. Od teraz, właśnie od teraz, od zaraz, od już – dawaj przykład swoim życiem. Unieś dumnie głowę i pokaż, że możesz iść przez życie mimo zawirowań, jakie miały miejsce. Możesz to zrobić! Ja w Ciebie wierzę.

Od dziś jestem Twoją najlepszą przyjaciółką.

Julita

Pisanie listu do samej siebie okazało się terapeutycznym zajęciem. Jakoś tak w mgnieniu oka Julicie zrobiło się lżej na duszy. Jakby ubyło jej zbędnych kilogramów smutku. To wcale nie było proste zadanie – po tylu latach poniewierania napisać do siebie coś miłego i motywującego. Nie zważając na to, co powiedzą, pomyślą czy też zrobią inni, ten list był początkiem nowej, innej Julity.

Część druga

*Wszystkie troski wasze przerzucie na Niego,
gdyż Jemu zależy na was.*

Biblia Tysiąclecia, P 5,7

1. Kiedy Bóg zamyka drzwi, uchyla okno

Sylwester zbliżał się wielkimi krokami. Kamila postanowiła spędzić ten wieczór, oddając się radosnemu twórczemu działaniu.

– Zamierzam malować całą noc. W przełomowych chwilach trzeba robić rzeczy wzniosłe, aby kolekcjonować w myślach pozytywne wibracje – opowiadała przy śniadaniu.

Julita przysłuchiwała się córce. Był w tym jakiś sens, choć trudny do ogarnięcia rozumem matki. Dziewczęta w jej wieku szalały w dyskotekach, a Kamila wolała malować. Julitę cieszyło jednak, że dziewczyna przynajmniej miała pasję.

– A ty? Co będziesz robił? Masz jakieś plany? – zapytała Marcina, który właśnie wszedł do kuchni.

Nic nie odpowiedział. Nasypał sobie płatków owsianych do miski, zalał je mlekiem i wstawił do kuchenki mikrofalowej, której chyba tylko on w tym domu używał. Ela ciągle nadawała, jakie to szkodliwe, więc w jej obecności nikt nie miał odwagi zbliżyć się do urządzenia. Nikt oprócz Marcina, wyglądającego teraz na mieszkańca totalnie innej planety niż Ziemia.

– Marcin, zadałam pytanie. Słyszysz? – powtórzyła Julita.

Spojrzał na matkę z wyrazem twarzy, jakby ta mówiła do niego po chińsku.

– Przepraszam, zamyśliłem się – odparł.

– Wszystko OK, chłopie? Jak tam studia? – Ela patrzyła na niego badawczym wzrokiem, jakby jej oczy miały moc promieni rentgenowskich. Od jakiegoś czasu ten chłopak nie zachowywał się normalnie. Czy tylko ona to widziała?

– Jestem zwyczajnie zmęczony. Na studiach OK, a na sylwestra nigdzie nie idę. Nie mam ochoty. Zostanę w domu.

Julita zaczęła nadawać bezgłośnie znaki w kierunku przyjaciółki, mówiące o tym, żeby dała spokój jej synowi.

– Wygląda na to, że tylko ja się będę bawić do białego rana – powiedziała Ela.

– Naprawdę? Dlaczego ja nic o tym nie wiem? – spytała Julita.

– Jakoś tak się nie złożyło, aby o tym porozmawiać.

– Gdzie idziesz i z kim? Mów szybko!

– Remigiusz mnie zaprosił na jakąś domową imprezę. Pójdę, co mi szkodzi.

Chyba nie masz nic przeciwko, że zostaniesz sama?

Julita zmrużyła oczy, próbując sobie przypomnieć jak najwięcej szczegółów dotyczących owego Remigiusza. Niewiele o nim wiedziała, ale jedno, co było jej wiadome, to że ten facet był żonaty.

– Marcin jak zjadłeś, to posprzątaj po sobie, proszę – zwróciła się do syna, wychodzącego właśnie z kuchni. W myśl zmian, jakie zamierzała wprowadzić

w życie, nie chciała już wszystkich wyręczać. Należało się szanować.

Marcin zawrócił bez słowa, wsadził miskę do zmywarki i wyszedł, nie zaszczycając pań jakimkolwiek słowem.

– Coś z nim jest nie tak, mamó – stwierdziła Kamila. – Jest jakiś nieobecny, jakby coś go dręczyło. Coraz mniej się uśmiecha, chodzi jakiś zamyślony, jakby... –

Podrapała się po głowie. – ...jakby był nieszczęśliwie zakochany albo coś jeszcze gorszego.

– Kamila, co ty opowiadasz? Miłość to nie powód do smutku!

– I kto to mówi!

Faktycznie w ustach Julity te słowa nie brzmiały wiarygodnie.

– Ela, musisz mi koniecznie coś wyjaśnić – zmieniła temat, zwracając się do przyjaciółki.

Kamila uznała, że nic tam po niej i wyszła z kuchni.

– Czy to ten Remigiusz, o którym myślę? Ten psycholog? Ten ŻONATY psycholog?

Po tym, jak zostały same, Ela nieco się rozluźniła. Opowiedziała Julicie o całym sylwestrowym zamieszaniu. Faktycznie mogło to zabrzmieć, jakby umawiała się z zaobrączkowanym facetem.

– Spokojnie, tylko spokojnie. Już wyjaśniam. Nie chciałam tak przy Kamili opowiadać. Remik idzie z żoną. Tacy faceci jak on nie chadzają po tym świecie sami, a ja, jak wiesz, nie oglądam się za żonatymi. Nasze relacje już dawno wyszły poza ramy kontaktów lekarz–pacjent. Może dlatego, że mój psycholog zatrudnił się w tym samym szpitalu, co ja. Ostatnio mieliśmy razem dyżur i zaproponował, abym wybrała się z nimi do jakiegoś Łukasza. Podobno jest singlem i jako jedyny nie ma problemu z tym, aby w sylwestra zamieniono jego mieszkanie w dyskotekę. Zgodziłam się. Co mi szkodzi? Chyba nie masz mi za złe tego, że zostawię cię samą?

Julita odetchnęła z ulgą. Myśl, że jej przyjaciółka romansuje z cudzym mężem, wydała się przerażająca. Jak to ludzka psychika bezwiednie potrafi wyświetlić film, który w rzeczywistości wcale nie ma racji bytu.

– Czy mam coś przeciwko? Coś ty! To wspaniała wiadomość. W co się ubierzesz?

– Nie mam pojęcia. Szkoda, że to nie bal przebierańców, bo poszłabym w szpitalnym kitlu. Cieszę się, że nie jesteś zła. Słuchaj, a może... poszłabyś ze mną? Nikt nie powinien mieć nic przeciwko temu. Mogę zapytać Remika, czy będzie więcej podstarzałych singli.

– Dziękuję, to miłe, że o mnie pomyślałaś, ale zostanę w domu. Porozmyślałam sobie o wszystkim i o niczym. Usiądę przy kominku i... zastanowię się, w co się ubrać na własny rozwód.

Kobiety wybuchły śmiechem. Życie kobiety, jeśli chodzi o wygląd, jest bardzo przewidywalne. Cokolwiek by się w nim nie działo, zawsze chcemy wyglądać dobrze.

Dni między świętami a Nowym Rokiem wydają się idealnym czasem na zakupowe szaleństwo. Korzystając z okazji, że Ela miała wolne, a Julita wylizła wręcz cały dom do perfekcyjnej czystości, przyjaciółki postanowiły nieco zaszaleć. Kto by pomyślał, że na wypieku świątecznych pierników można tyle zarobić. Pragnąca zmian Julita postanowiła cały swój „słodki” dochód przeznaczyć na nową garderobę.

– Na własny rozwód nie pójde przeciw jak jakaś ostatnia fleja, prawda?

– No raczej – przytaknęła jej Ela.

– Wiesz, jak pojawi się tam Boguśka w tej swojej mini, to nie mogę być gorsza. Może uda mi się do tego czasu trochę schudnąć. Zostały cztery tygodnie. Mam szansę pozbyć się co najmniej czterech kilogramów.

– Mnie do sylwestra zostały cztery dni, więc raczej za późno na dietę cud. Po tym wszystkim, co zaserwowałaś nam na święta, boję się wchodzić na wagę.

– Gdybym wyglądała tak jak ty, kupiłabym tę. – Julita kiwnęła głową w kierunku wystawy. Stał na niej obrzydliwie szczupły manekin płci żeńskiej, przyodziany w skrajnie przylegającą i uwypuklającą biust sukienkę koloru zielonego.

Zachwycone spojrzenie Eli mówiło wszystko. Kobietom nie pozostało nic innego, jak tylko wejść do środka, by ją przymierzyć. Przemiała ekspedientka szerokim, szczerym i z pewnością wybielonym uśmiechem gotowa była zrobić wiele, jeśli nie wszystko, aby owej sukienki się pozbyć. Przyniosła do niej wszystkie niezbędne dodatki. Nie minęło pięć minut, jak Ela ze statecznej, na co dzień ubranej w biały kitel pani doktor zmieniła się w królową nocy. Czarne, wysadzone kryształkami szpilki i kopertowa torebka nadawały kreacji wyjątkowego szyku.

– Wyglądasz wprost... Nie mogę znaleźć słowa... bo wyglądasz tak przepięknie.

– To prawda, wygląda pani perfekcyjnie. Ja, niestety, nie wbiłam się w tę suknię. Po urodzeniu dwójki dzieci figura już nie ta. Dobrze, że mam na co zwałać swoje lenistwo – roześmiała się kobieta z sąsiedniej przymierzalni.

Julita gotowa była przysiąc, że skądś ją zna. Usiłowała przyporządkować głos kobiety do obrazu wymalowanego w swojej pamięci. Zanim udało jej się to zrobić, nieznajoma/znajoma postanowiła jeszcze raz się przedstawić.

– Przepraszam, pozwoliłam sobie wtrącić się w rozmowę. Widzę, że mnie pani nie poznaje – zwróciła się do Julity. – Rozalia Kuczyńska, miałyśmy okazję się poznać, pamięta pani? Jestem...

– Tak, tak, wiem, kim pani jest. Przepraszam, ostatnio jestem nieco roztargniona.

Wiele zmian w moim życiu... – Julita wysiliła się do granic możliwości, by ukryć prawdziwe emocje, które nią targały.

Rozalia Kuczyńska, we własnej osobie. Ta, która zbierała Julitę z podłogi. Dokładnie ta sama, która szczyrzyła się do „jej” pachnącego piżmem Michała. Tej kobiety nie dało się nie lubić. Gdyby tylko nie stała Julicie na drodze do starej miłości, kto wie, może by się zaprzyjaźniły. Rozalia Kuczyńska wyglądała na najszcześliwszą mężatkę pod słońcem. Nic dziwnego.

– Miło panią poznać. Mam na imię Elżbieta, jestem przyjaciółką Julity. – Ela przerwała niezręczną ciszę.

Rozalia wyciągnęła do niej dłoń, uśmiechając się od ucha do ucha. Trzeba było przyznać, że jest naprawdę piękna i bije od niej coś w rodzaju życzliwej magii. Brzmienie jej głosu roztaczało pozytywne fluidy, sprawiając, że człowiek, chcąc nie chcąc, sam się uśmiechał.

– To ja zostawię panie, pójdę zapłacić za tę piękną suknię – powiedziała Ela, oddalając się w kierunku kasy.

Przebywanie sam na sam z Rozalią było onieśmielające. Julita pożałowała, że nie jest w stanie zapanować nad lekkim drżeniem dłoni i nerwowo pulsującą w żyłach krwią. Rozalia najwyraźniej to wyczuła.

– Może mówmy sobie po prostu po imieniu? Zostawmy te oficjalne słowo „pani” – zaproponowała, chcąc rozluźnić atmosferę.

– Tak, tak. Oczywiście! – Julita zgodziła się natychmiast.

– Wspomniałaś coś o zmianach w życiu... Nie chciałabym być wścibska, ale na ogół oznacza to albo rozwód, albo nową pracę.

Julita odchrząknęła. Zrobiło jej się gorąco. Fakt, że przeszły na ty, nie upoważniał Rozalii do tak szybkiego zacieśniania więzów.

– Przepraszam, tak wypaliłam. Nie powinnam się spoufalać. W zasadzie wcale się nie znamy. Michałek mi trochę o tobie opowiadał, ale niewiele. Jest taki zabiegany.

– Nic nie szkodzi. W zasadzie strzeliłaś w dziesiątkę. Rozwodzę się i... pracy w sumie nie szukam, chociaż może by mi się przydała.

Julita nie wierzyła w swoją otwartość. Normalnie przed kimś takim jak Rozalia zwiewałaby gdzie pieprz rośnie. Lecz ta sytuacja nie była normalna – niby zwykłe spotkanie w sklepie, a jednak noszące w sobie iskrę niezwykłości. Czyżby to było przeznaczenie?

– Może mogłabym ci w czymś pomóc? Michałek mówił, że świetnie mówisz po niemiecku. Podobno sam cię uczył.

Znów ten Michałek! Michałek to, Michałek tamto. Dlaczego los wystawiał ją na taką próbę? Dlaczego zmuszona była walczyć z palącym serce uczuciem zazdrości?

Gdyby nie babcia... być może teraz ona byłaby kobietą z błyskiem w oku robiącą codziennie Michałkowi kanapki. „Tak nie wolno myśleć, masz być życzliwa i nie masz prawa nikomu niczego zazdrościć” – zdyscyplinowała się.

– Czy popełnię kolejne faux pas, jeśli zapytam, czym się zajmujesz?

– Nie, nie popełnisz. – Julita wyraźnie się rozluźniła. – Wiesz... nie mam zbyt bogatego doświadczenia zawodowego. W sumie to nie mam żadnego doświadczenia zawodowego. Całe życie zajmowałam się domem i rodziną. Teraz... sama rozumiesz...

– Jasne, rozumiem. – Rozalia jakby posmutniała, lecz po chwili jej oczy znów rozbłysnęły iskrzącym płomieniem.

– Teraz pracuję u Eli. Prowadzę jej dom. Tak że sama widzisz – nic takiego! Sprzątam, gotuję i opiekuję się jej zwierzętami, a ma ich całe mnóstwo: psy, koty, a nawet kucyki. Nie wspominając o reszcie gryzoni i pełzaczy.

Żrenice Rozalii rozszerzyły się jeszcze bardziej, chociaż wydawało się, że jest to już niemożliwe. Wyglądała na bardzo zainteresowaną tym, co usłyszała.

– Nie wiem czy wiesz, ale prowadzę firmę zajmującą się zatrudnianiem opiekunek dla ludzi starszych. Może byłabyś zainteresowana? Wspomniałaś coś o rodzinie. Rozumiem, że masz dzieci, tak?

– Tak, ale już prawie dorosłe. Kamilka ma siedemnaście lat, a Marcin dziewiętnaście.

– O, to duże towarzystwo. Można ich chyba zostawić na kilka tygodni, prawda? Praca wygląda tak, że jedziesz na dwa miesiące, a potem na dwa wracasz do Polski. Pracujesz oczywiście na terenie Niemiec. Uważam, że jesteś idealną kandydatką. Pomyślisz o tym?

Julita bezwiednie rozdziawiła usta, a oczy nie odważyły się zamrużyć. Czyżby Rozalia Kuczyńska proponowała jej pracę? Czy w wieku prawie czterdziestu lat nie jest za późno na rozwój swoich osobistych ambicji? Chociaż serce rozszalało się szybkim, wesołym rytmem, to rozum, próbując je okiełznać, zaczął zadawać pytania. Czy to nie za późno? Co będzie z dziećmi? Jak sobie poradzisz? Nigdy nie była za granicą! Julita potrząsnęła głową, jakby to miało przepędzić wątpliwości.

– Musiałabym się zastanowić – odparła, chociaż, szczerze powiedziawszy, miała ochotę od razu się zgodzić. Perspektywa wyjazdu za granicę była kusząca.

– Pomyśl i daj znać. Masz moją wizytówkę? Zresztą poczekaj, dam ci jeszcze jedną. – Wyciągnęła ze swojej eleganckiej torby bilecik i wręczyła go Julicie.

– Dziękuję, na pewno dam znać.

– Gdybyś się zdecydowała, to mogłabym cię wysłać do bardzo fajnej rodziny, już pod koniec stycznia.

– Oj...

– Nie pasuje?

– Nie bardzo... wiesz... dwudziestego ósmego... mam rozprawę rozwodową.

Rozalia znów posmutniała. Odrzuciła otwartą dłonią opadający na czoło kosmyk jasnych włosów i zmusiła się do uśmiechu, odrobinę mniej szczerego niż dotychczas.

– W takim razie coś się wymyśli. Jeśli podejmiesz decyzję, daj mi jak najszybciej znać. Porozmawiam z rodziną Witt. Myślę, że byliby skłonni poczekać.

Zaprotegowałabym cię.

Julita chciała podskoczyć z radości. Dopiero od niedawna praktykowała pozytywne myślenie, wątpliwe więc było, że przynosi ono tak szybkie efekty. Podziękowała Rozalii kilka albo nawet kilkanaście razy, wprawiając ją tym samym w zakłopotanie.

– Ale, ale... – Zawahała się przez chwilę, poskramiając swoją nieoczekiwaną radość. – Dlaczego ty to dla mnie robisz? Przecież... przecież wcale mnie nie znasz. Nie masz pojęcia, czy sobie poradzę. W zasadzie... nic o mnie nie wiesz.

– Powiedzmy, że lubię pomagać. – Rozalia położyła wypielęgnowaną dłoń na ramieniu Julity. Krwistoczerwone paznokcie oszałamiały swoją doskonałością.

Ela zdążyła zapłacić za sukienkę, lecz dostrzegłszy ożywioną rozmowę obu pań, postanowiła pokręcić się po sklepie, przeglądając kolekcję zimowych sweterków. Widok wymieniających uśmiechy i uściski dłoni kobiet nieco ją zaskoczył. Julita nie była na co dzień zbyt wylewna, dlatego Ela postanowiła im nie przeszkadzać. Rozalia Kuczyńska wykazała się jednak sporym taktem. Kiedy zauważyła, że Ela błąka się bez celu, szybko się pożegnała i opuściła sklep, obdarzając ją na odchodne szerokim uśmiechem.

– Miło było panią poznać, pani Elu – rzekła.

– Dziękuję, mnie również. – Odwzajemniła uśmiech i pomachała życzliwie dłonią.

Rozalia opuściła sklep, pozostawiając po sobie aurę dobrej energii i roznoszący się dookoła zapach perfum, których z pewnością nie nabyła w wysyłkowej promocji.

– Juli, a coś ty taka zadowolona? Wyglądasz, jakby Rozalcia podarowała ci wygrany kupon w totolotka. Co to za baba? Jakaś szamanka czy co? Skoro tak działa na ludzi, to może i ja bym spróbowała? Droga jest?

Julita roześmiała się serdecznie, szturchając Elę w ramię.

– Ty głupolu! To nie jest żadna szamanka! Kupiłaś tę sukienkę?

– Kupiłam.

– No, to dobrze, bo wyglądasz w niej wystrzałowo. Ten Łukasz wypadnie z kapci, jak cię zobaczy.

– No, no. Wolałabym, żeby raczej z gaci wypadł, ale... ty lepiej nie zmieniaj tematu, kochana.

– OK, chodźmy na kawę. Wszystko ci opowiem.

– A twoje zakupy? Miałaś przecież kupić sobie coś na sprawę rozwodową.

– Stylówka na rozwód może poczekać, zrobię to po kawie. Moje życie się zmienia, Ela! Chodź szybko, chcę ci wszystko opowiedzieć.

– Tak zdecydowanej Juli to ja w życiu nie wiedziałam! Idziemy.

Chwilę później przysiadły w ulubionej kawiarni. Julita opowiadała z rozrzewnieniem, jak to poznała Rozalię w tym feralnym dniu, kiedy próbowała dojść do porozumienia ze swoim za chwilę byłym mężem. Cała w euforii, bez składu i ładu wyrzucała z siebie emocje, jak to wszystko w życiu dzieje się po coś, bo przecież gdyby wtedy nie poszła do Gerarda, to nie wpadłaby na Rozalię.

– Zaraz, zaraz... Powoli, Julita. Weź wdech, wydech i zacznij od początku. Używasz zbyt wielu skrótów myślowych, abym była w stanie cię zrozumieć.

Julita zamknęła oczy, chociaż przyszło jej to z wielkim trudem, zrobiła trzy głębokie wdechy i dokładając wszelkich starań, szczegółowo opowiedziała wszystko od początku.

– Gadasz! Żona TEGO Michała zaproponowała ci pracę? – Ela otworzyła buzię ze zdziwienia. – Tego Michała, przez którego plewiłaś nieustannie ogródek? Ale jaja!

– Dokładnie tego. Szok, co?

Ela upiła łyk latte na podwójnym espresso i wpakowała do ust ciastko oreo.

– Ty nie miałaś się odchudzać? – upomniała ją Juli.

– Od nowego roku. Przez te emocje nie mogę się opanować. Poza tym to ciasto jest podobno eko. Przynajmniej tak je reklamują. Na mleku kokosowym i tak dalej.

– No tak, to całkowicie zmienia postać rzeczy. – Doskonały humor nie opuszczał przyjaciółek.

– Zostawmy te ciastka w spokoju. Julita! Powiem szczerze, że gdybym miała myśleć tylko o sobie, odradzałabym ci ten wyjazd. Odkąd zamieszkaliście u mnie, moje życie całkowicie się zmieniło. Nie mówię o tym, że doprowadziłaś wreszcie mój dom do perfekcyjnego stanu, ale przede wszystkim tętni w nim życie. Jakkolwiek by to irracjonalnie nie zabrzmiało, to... wasza trójka nadała sens mojej codzienności. Chociaż więcej mieliśmy z pozoru smutnych momentów, to sam fakt, iż nie pijam już sama porannej kawy, jest dla mnie bezcenny. Dziękuję ci za to.

Wzruszenie dało się we znaki, pokrywając oczy Eli przejrzystą taflą łez. Przyjaciółki padły sobie w ramiona. Teraz to już nawet Julita się wzruszyła. Po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuła, że jeszcze nie wszystko stracone i być może jej również pisane jest coś dobrego, na co warto czekać.

– Elu, gdyby nie ty... Gdzie ja bym poszła? Co zrobiła? Powiedz tylko słowo, a zostanę, nigdzie się nie ruszę.

Ela otarła szybko łzy, sprawdzając w podręcznym lusterku, czy tusz otulający jej nieziemsko długie rzęsy pozostał na swoim miejscu.

– Ani mi się waż rezygnować z takiej szansy! Zwariowałaś? Przecież ty musisz jechać. Mam nadzieję, że nie zapuszczę domu do reszty. Poza tym nie pakujesz się już dzisiaj, prawda? Nauczysz mnie tego i owego? Obiecuję być dzielna. – Podniosła w górę dwa palce, jakby uroczyście składała przysięgę.

– Oczywiście, z dziką przyjemnością nauczę cię szorować toaletę. – Juli roześmiała się. – Chociaż... myślę, że moja Kamilka z chęcią ci we wszystkim pomoże. To dobre dziecko. Marcinek również. Chyba mogą u ciebie zostać?

Ela przymknęła jedno oko, zacisnęła usta i kręcąc głową w prawo i lewo, udawała, że zastanawia się nad możliwością spełnienia prośby. Julita złożyła dłonie jak do modlitwy i błagalnym szeptem prosiła o zgodę.

– No dobra, zajmę się tymi twoimi nicponiami. Jak to dobrze, że masz takie duże dzieci, bo do pieluch to ja się nie nadaję.

Juli spoważniała w jednym momencie.

– Byłabyś doskonałą mamą.

– To raczej nigdy nie nastąpi – odparła Ela, okraszając swoje słowa szczyptą zniecierpliwienia.

– Dlaczego? Skoro ja mogę zmienić swoje życie, to dlaczego ty miałabyś nie uczynić tego samego? Kto wie, może ten Łukasz...?

– Zmieńmy temat, proszę. Nie będę miała dzieci, i już. Najpierw musiałabym się pozbyć tego... Jak widzisz, nawet nie przejdzie mi to przez gardło.

Julicie zrobiło się odrobinę wstyd. Jej życie było tak różne od losu Eli. Zawodowo nie osiągnęła nic. Dopiero teraz cieszyła się z szansy wyjazdu do pracy za granicę. Myśl o sprzątaniu i dbaniu o dom niemieckiej pary emerytów wprawiała ją w stan ekscytacji nie mniejszy, niż osiągają prezesi wielkich, prężnie rozwijających się koncernów. Tymczasem Ela zawodowo osiągnęła szczyt – uznanie w oczach ludzi, błyskotliwą karierę zdolnej pani doktor, której wszyscy zazdrościli. Gdyby tylko wiedzieli, ile ją to kosztowało... Ile musiała poświęcić, by być w miejscu wydającym się spełnieniem marzeń.

Kiedy filizanki z kawą pokazały swoje dno, kobiety ponownie wyruszyły na podbój sklepów. Zarobione na produkcji pierników pieniądze aż się prosiły, by wydać je na ubrania, w których Julita miała wkroczyć w nowe, lepsze życie.

2. Każdy koniec jest początkiem

Wpatrując się w blask noworocznej nocy, roziskrzonej fajerwerkami, Julita wyobrażała sobie swoje nowe życie, powtarzając jak mantrę słowa, które kilka chwil wcześniej napisała w pamiętniku: „Nie bój się, wszystko będzie dobrze. Uwolnij się od strachu i lęku. Płyn z falą życia – ona na pewno przyniesie coś dobrego”.

Obok niej stały dzieci. Kamila przyodziana w grubą puchową kurtkę i wełnianą czapkę, nos miała uroczo wysmarowany farbą, zupełnie tak jak wtedy, gdy była małą dziewczynką. Marcin przywitał Nowy Rok w piżamie, na którą narzucił starą kurtkę Eli. Julita obejmowała swoje dzieci, nie mogąc się nadziwić, jak to się stało, że tak szybko urosły. Kiedy były małe, lubiła sobie żartować, że da im karę, bo tak szybko rosną. Obsypywała je tysiącami pocałunków, nazywając tę zabawę „miłością matki”. Marcin uciekał wtedy do szafy, próbując się schować. Krzyczał: „To boli, to boli!”. Odpowiadała zawsze: „Miłość matki nie boli”. Gerard nie lubił tych zabaw, uważał je za rozbawianie dzieci. Czyniła to więc tylko wtedy, gdy nie było go w domu.

Wpatrując się teraz w fajerwerki, odpłynęła myślami do czasów, kiedy to pogrążona w codzienności nie zastanawiała się nad tym, jak chciałaby przeżyć swoje życie. Po prostu trwała, działała automatycznie i bezrefleksyjnie. Wykonywała swoje codzienne obowiązki niczym maszyna. Była jak pracownik fabryki, pilnujący, aby taśma jej codzienności ciągnęła się w miarę równomiernie i bez zbędnych zawirowań. Nie miała czasu na myślenie o sobie, przynajmniej tak jej się wydawało. Mijały dni, mijały tygodnie, mijały lata, doprowadzając ją do miejsca, w którym była dziś.

Tegoroczny sylwester nie różnił się zbyt od poprzednich. Często bywała sama z dziećmi. Gerard przeważnie brał służbę, tłumacząc, że nie ma nikogo, kto mógłby zrobić to za niego. Gdyby nie świadomość, że teraz jej „jeszcze mąż” wziął sobie służbę na zawsze, to święto nie różniłoby się niczym od pozostałych. Do rozwodu zostały raptem trzy tygodnie. Za trzy tygodnie będzie singielką z odzysku. Myśl ta nie była zbyt optymistyczna, a ona dopiero uczyła się pozytywnego myślenia, rączkując nieporadnie jak bobas po świecie swoich emocji i pragnień.

Złożyła życzenia córce, mówiąc coś o spełnianiu marzeń, życiu w zgodzie ze sobą i tak dalej. Nie była dobrym przykładem tego, o czym właśnie mówiła, ale Kamila bardzo wspierała ją choćby w drobnych krokach prowadzących do zmiany.

Tymczasem Marcin słuchał wywodu matki, próbując ukryć samoistnie malującą się na jego twarzy ironię. Zauważyła to w mgnieniu oka, więc stając przed nim, nie wiedziała, jak z nim porozmawiać.

– Pożyczmy sobie wszystkiego najlepszego i po sprawie – powiedział pierwszy, chcąc przerwać jej milczenie.

Tyle chciała mu powiedzieć, lecz słowa grzęzły w gardle i niewypowiedziane

rozpływały się gdzieś w powietrzu.

– Marcinku, nie wiem, co się ostatnio z tobą dzieje, ale chciałabym, abyś wiedział, że zawsze możesz na mnie liczyć – zdołała wydusić.

Marcin przetarł zaspane oczy. Wyglądał na takiego, który marzy, aby jak najszybciej znaleźć się z powrotem w łóżku.

– Zwłaszcza teraz, kiedy wyjeżdżasz – burknął.

– Powiedz tylko słowo, a zostanę. Jestem ci to winna.

Gdyby tego właśnie chciał, zmieniłaby swoje plany. W głębi serca liczyła na przyzwolenie syna, ale dla jego dobra była skłonna na wszelkie ustępstwa.

– Jak zostaniesz, to już chyba nigdy nie odzyskam wiary w twoje odrodzenie – rzekł i przytulił ją do siebie. – Przepraszam, mam, że nie spełniłem waszych oczekiwań. Czasami mam wrażenie, że to wszystko stało się z mojego powodu.

– Może spróbujemy spojrzeć na to tak, że to, co się wydarzyło, miało miejsce dzięki tobie? Powinam puścić wreszcie swoją przeszłość i spróbować łapać szanse, jakie zsyła na mnie ten u góry.

Niewątpliwie ostatni rok rodziny Snarskich nie należał do zbyt udanych. Stojąc we trójkę na tarasie, zanurzyli się we własnych myślach. Tymczasem Ela oddawała się szampańskiej zabawie, pozwalając Łukaszowi na wiele więcej, niż przewidywała wcześniej.

Każdy koniec jest początkiem czegoś nowego. Koniec poniedziałku jest początkiem wtorku, koniec grudnia jest początkiem stycznia, koniec roku jest początkiem czegoś, z czym zwykle wiążemy wiele nadziei. Parząca w noworoczny poniedziałek kawę Ela usiłowała się bronić przez początkiem czegoś, co mogłoby okazać się pomocne w rozwiązaniu jej życiowego problemu. Pomimo pozostałości sylwestrowego makijażu na twarzy oraz powrotu do domu nad ranem wyglądała na wypoczętą.

– Mam nadzieję, że impreza się udała? – zagadnęła ją Juli. – Jak tam ten Łukasz? Będzie coś z tego? – Przeszła od razu do rzeczy, nie siląc się na zbytne wstępy.

Ela nie zdążyła umoczyć ust w kawie, a już wydawała się nią pobudzona. Uśmiechnęła się tajemniczo i mrugnęła.

– Ale makijaż to mogłaś zmyć. Sama ciągle powtarzasz, jak to szkodzi na cerę.

– Och, Juli... – westchnęła. – Powtarzam, powtarzam. No i co z tego, że powtarzam. Czasami trzeba wyluzować. Jak byśmy chciały być zawsze takie doskonałe i nie popełniać błędów, to byśmy zwariowały.

Julita otworzyła oczy ze zdziwienia, nie poznając przyjaciółki.

– I kto to mówi – odparła szybko.

Ela zapatrzyła się w okno. Stała tak przez chwilę, przyglądając się temu, co się za nim działo. Padający deszcz był co prawda dziwny o tej porze roku, ale nie na tyle dziwny, aby wpatrywać się w niego z taką fascynacją. Po chwili usiadła naprzeciwko Julity, zaciągnęła luźną koszulę na kolana i uśmiechała się tylko, dalej milcząc.

– Sądząc po twojej minie, ten Łukasz jest całkiem, całkiem – skwitowała Julita.

– Nawet bardzo całkiem, całkiem.

Łukasz był singlem z wyboru. Pracował jako pilot wycieczek. Wysoki, nie do końca ogolony i sprawiający wrażenie biorącego życie lekko i z dystansem. Wirując z panią doktor pół nocy w tanecznych płasach, zdołał ją zauroczyć opowieściami o słonecznej Grecji. Z relacji Eli wynikało, że był totalnym przeciwieństwem mężczyzn, na których do tej pory zwracała uwagę. Musiał naprawdę zrobić na niej wrażenie, skoro nie zniechęcił jej fakt, iż posiadał troje dzieci, i to każde z inną kobietą.

– To mnie wcale nie obchodzi, Juli. Nie zamierzam sobie z nim układać życia. Chciałabym, wiesz...

– No, wiem.

– A on się do tego idealnie nadaje. Nie przejmuje się zbytnio tym, co będzie jutro, więc myślę, że mogłoby być fajnie. Mógłby mi pomóc w pozbyciu się...

– W pozbyciu się dziewictwa.

– No właśnie.

Dawna Julita na pewno wyraziłaby teraz swoją wątpliwość co do słuszności nawiązywania kontaktów seksualnych z facetem, któremu daleko do odpowiedzialnego ojca. Już nawet miała coś powiedzieć, ale zrezygnowała, uznając, że nie ma do tego najmniejszego prawa. Kim była, by oceniać życie innych ludzi, skoro jej własne nie należało do idealnych. Od pewnego czasu starała się patrzeć na wszystko z różnych punktów widzenia, nie próbując oceniać, lecz akceptować.

– Nic nie powiesz? – zdziwiła się Ela.

– Niby co? Akurat ja, przyszła rozwódka, jestem ostatnią osobą, która może ci radzić, z kim stracić dziewictwo. Szczerze powiedziawszy, w twoim wieku to dobrze by było, aby to się już po prostu wydarzyło. Nie ma co wybrzydzać – wypaliła, nie zastanawiając się zbytnio.

– Wiesz co? Dziękuję ci bardzo za szczerą radę. Mam iść do łóżka z byle kim, bo jestem już stara, tak? – Ela oburzyła się, nadymając policzki.

Julita przewróciła oczami. Może faktycznie przesadziła z tym wybrzydzeniem, ale tak uważała. Może obydwie powinny wreszcie zacząć korzystać z życia, a nie zastanawiać się nad tym, co im wypada, a co nie.

– Jeśli ten „byle kto”, jak to określiłaś, sprawia, że... robi ci się wilgotno w...

no... no w majtkach – to tak! Powinnaś się z nim bzyknąć!

Ela zakryła twarz dłońmi, czerwieniąc się jak mała dziewczynka.

– Zbyt wiele czasu straciłyśmy na zastanawianie się nad tym, co nam wolno, a czego nam nie wolno. Nie masz takiego wrażenia? Nie mamy wpływu na innych ludzi, za to mamy wpływ na siebie.

– Dobrze wiesz, że to nie nasza wina. Gdyby nie nasze dzieciństwo, gdyby nie nasze babcie... mogłoby teraz być całkiem inaczej.

– Nie masz racji, Ela. Nasze babcie chciały dla nas jak najlepiej. Pokazały nam drogę, jaką same podążały, bo innej nie znały. Lecz ich już z nami nie ma. Odeszły. My zostałyśmy i póki żyjemy, mamy szansę to zmienić. Zobacz, do czego doprowadziło nas myślenie, że Bóg nam czegoś nie wybaczy. Ja przez dwadzieścia lat żyłam z mężczyzną, który był moim pierwszym partnerem. Nie mam pojęcia, jak to jest być z kimś innym, jak to jest smakować życie. Ty do dziś pozostałaś dziewicą w oczekiwaniu na doskonałą miłość. Ideały, którymi żyły nasze babcie, są oczywiście piękne i wzniosłe. Byłoby cudownie móc żyć zgodnie z nimi. Niestety, dzisiejszy świat jest inny i, chcąc nie chcąc, musimy dostosować się do panujących w nim warunków. Nie uważasz?

Teraz Ela nie mogła uwierzyć w to, co słyszała. Gdyby kilka miesięcy temu ktoś powiedział jej, że Julita we własnej osobie będzie ją przekonywać do tego, by zaczęły żyć pełną piersią, chybaby nie uwierzyła.

Za każdym razem, kiedy Ela wracała z randki z Łukaszem, Julita patrzyła jej prosto w oczy, bezgłośnie zadając pytanie, czy to już. Za każdym razem padała ta sama bezgłośnie odpowiedź: „Daj mi wreszcie spokój”.

– Chcesz go trzymać w niepewności? – zapytała Julita.

– Spokojnie, przestań mnie poganiać, nie prześpię się z nim przecież po dwóch tygodniach!

– A dlaczego nie? Ja bym się przespała po dwóch dniach, a jak by mnie przypiliło, to i po dwóch godzinach. – Julita nasypała cukru do kawy i mieszała ją teraz dynamicznie, raz w jedną, raz w drugą stronę.

– Może dlatego, że to za szybko? Poza tym dlaczego sypiesz tyle cukru?! Miałaś się odchudzać. Za tydzień masz rozwód. – Zabrała jej kawę sprzed nosa i wylała ją do zlewu. – Zrobię ci drugą. Poślodzę stewią, będzie mniej kalorii.

– To już wolę się płynu do naczyń napić. Całe życie byłam gruba, więc na siłę nie będę się odchudzać, aby wyglądać jak miss na własnym rozwodzie. Mam gdzieś, co pomyśli o mnie ta Boguśka.

Podejście Julity zaczęło imponować Eli. Wyglądało na to, że świadomy styl życia,

śpiewanie mantr i codzienna modlitwa zaczynały przynosić jakieś efekty.

– Nie byłaś całe życie gruba. – Ela postawiła przed Julitą filiżankę kawy pięciu przemian, posłodzonej oczywiście stewią.

Ta upiła łyk i gdyby nie to, że była obserwowana, w życiu by tego nie przełknęła. Zmusiła się jednak i pozwoliła, by rzekomo superzdrowa kawa ogrzała jej spragniony kofeiny przełyk.

– Myślę, że powinnaś się z nim przespać, i to jak najszybciej. Im szybciej to zrobisz, tym szybciej będziesz miała to za sobą. – Julita wolała skupić się na poważniejszych tematach niż jej odchudzanie.

Ela westchnęła i przewróciła oczami. Ciągłe wałkowanie tego wątku zaczynało ją męczyć. Ile można gadać o jednym i tym samym? Zaczęła się nawet zastanawiać, czy jej dziewictwo nie ciążyło bardziej Julicie niż jej samej. Wiedziała, że przyjaciółka nie chce dla niej źle, i wiedziała, że pozbycie się problemu było praktycznie na wyciągnięcie ręki, bo Łukasz w ciągu tych dwóch tygodni dobierał się do niej przynajmniej z pięć razy. Niestety, wiedzieć to jedno, a zacząć działać to drugie. Właśnie z tym drugim miała największy problem.

– Boję się, że zajdę w ciążę. Nie chcę zaliczyć wpadki przy pierwszym razie, a już na pewno nie z facetem, który zmuszony jest płacić alimenty na swoje dzieci trzem innym kobietom.

Julita kolejny raz wytłumaczyła przyjaciółce istnienie czegoś takiego jak antykoncepcja, Ela po raz kolejny wyraziła wątpliwość w skuteczność prezerwatyw i ostatecznie obie zdecydowały, że powinna zacząć przyjmować antykoncepcję hormonalną. Biorąc pod uwagę, że jest lekarzem, mogła sobie nawet sama wypisać receptę.

Kiedy już ze szczegółami zaplanowały inicjację seksualną Eli, przeszły do tematu rozwodu, a dokładniej tego, w czym Julita wystąpi na sali sądowej. Przebierankom nie było końca, a obie panie poczuły się, jakby te prawie czterdzieści lat, które miały za sobą, było krótsze przynajmniej o połowę. Jak to dobrze, że nie straciły siebie. Przyjaźń między kobietami nie należy do najłatwiejszych, tymczasem im przychodziło to z niewiarygodną łatwością. Miały powód do dumy. Jeden z niewielu, ale miały. A to już coś!

Nadszedł wreszcie dzień sprawy rozwodowej. Julita wstała wczesnym rankiem, aby rozpocząć go od wyśpiewania mantry *Sa Ta Na Ma*. Poszukując informacji dotyczących znaczenia tej mantry, dowiedziała się, iż opisuje ona ciągły cykl życia i jest katalizatorem zmian. Właśnie tego jej było trzeba. Chciała przystosować się do zmian zmierzających w jej kierunku już od dawna, pogodzić się z nimi, zaakceptować

i uczynić z nich najlepsze, co mogło jej się przydarzyć. Spędziła na śpiewaniu ponad pół godziny. Po wszystkim pomodliła się jeszcze, po raz pierwszy prosząc Boga o to, aby ją wsparł podczas dzisiejszego dnia.

Jej modlitwy od pewnego czasu były inne niż dotychczas. Nie była już taka oficjalna w stosunku do Boga. Postanowiła się z nim zaprzyjaźnić, przedstawiając mu swoje prośby nieco mniej serio niż dotychczas. Potrafiła nawet zażartować, mówiąc: „Wpakowałeś mnie w to bagno, więc pomóż mi się z niego wydostać”. Patrzyła na Stwórcę oczami przyjaciółki, której można powiedzieć wszystko, bez obaw, że zostanie się wyśmianym. Kiedyś nie odważyłaby się liczyć na wsparcie. Kiedyś uznałaby, że jej problem jest błahy i na tyle nieistotny, iż nie ma prawa prosić o duchowe przewodnictwo. Teraz zmieniła swoje podejście, uznając, że jej życie nie ma nic wspólnego z nieważnymi pierdołami (jak dotychczas myślała), lecz jest naprawdę ważne.

Po wszystkim zrobiła głęboki wdech i wydech, ruszając w kierunku garderoby, gdzie czekały na nią przygotowane już od tygodnia ubrania. Niestety, z zaplanowanych do zrzucenia czterech kilogramów nie udało jej się osiągnąć żadnego. Ubrała się w luźną zieloną sukienkę, która miała z nadzieją wprowadzić ją w przyszłe, lepsze życie. Zjadła śniadanie, wypila kawę, umyła zęby i wykonała staranny makijaż, zwracając szczególną uwagę na wytuszowanie rzęs, sięgających prawie do brwi i będących niewątpliwie jej atutem. Mimo dość nerwowej sytuacji czuła się w miarę spokojnie. „To pewnie zasługa śpiewania mantr” – pomyślała. Przypomniała sobie słowa wypowiedziane kiedyś przez Johna Kennedy’ego: „Zmiana jest jedną z cech życia. Ci, którzy skupiają się jedynie na przeszłości lub teraźniejszości, z całą pewnością przegapią przyszłość”. Ona nie chciała swojej przyszłości przegapić. Straciła już wystarczająco dużo czasu. Nie do końca zgadzała się z Kennedym co do braku konieczności skupienia na teraźniejszości, sądząc, że jest jej ono potrzebne do cieszenia się chwilą i doceniania tego, co ma. Może nie miała wiele, nie nagromadziła dóbr materialnych, aby żyć teraz, nie martwiąc się o finansową przyszłość, lecz jeśli chodzi o doświadczenia, niewątpliwie była bogata, a bawet bardzo bogata.

Usiadła na szafce z butami, usiłując włożyć kozaki. Z trudem zapięła je w łydkach. „Trzeba z tym coś wreszcie zrobić – pomyślała. – Nie mogę przecież wiecznie wmawiać sobie, że spuchłam w nocy”. Cieszyła się, że nikogo nie było w domu, bo nie usiłowali jej na siłę pocieszać. Przez ten moment chciała przejść sama i przeżyć go po cichu, najspokojniej, jak to tylko było możliwe. Zerknęła jeszcze w lusterko, uśmiechnęła się do siebie, unosząc kąciki ust, zarzuciła torebkę na ramię i już miała wychodzić, kiedy nagle rozdzwonił się jej telefon. Ucieszyła się, że stało

się to teraz, a nie na rozprawie. Znając swoje roztargnienie, zapewne zapomniałyby go wyciszyć. Wygrzebała komórkę z dna torby i oniemiała. Dzwonił Gerard. „Czego on chce? Odebrać czy nie odebrać – myślała. O ułamek sekundy za długo i zanim podjęła ostateczną decyzję, nastąpiła cisza. – Nie dzwonił do niej przez tyle czasu, a dzwoni w dzień rozwodu? To do niego niepodobne. Pewnie chciał zapytać, czy na pewno się pojawię”.

Wreszcie zdecydowała się oddzwonić. Kobięca ciekawość wygrała ze zdrowym rozsądkiem, nakazującym trzymać się z dala od byłego męża. Odebrał w połowie pierwszego sygnału.

– Halo? Julitka? Usłyszała brzmienie jego głosu, takie same jak wtedy, kiedy brał ją pod włos, usiłując wcisnąć jej na talerz tłustego naleśnika. Nie dała się zwieść pozorom. Kiedy usłyszała to jego „halo”, miała ochotę odpowiedzieć: „Kopyta ci walą”, ale ugryzła się w język. Słowo „Julitka” zapaliło w jej głowie czerwoną lampkę. Na sto procent czegoś chciał.

– Cześć – odpowiedziała oficjalnym tonem. – Coś ważnego? Taksówka na mnie czeka.

Usłyszała chrząknięcie. Wyczuła niepewność, która nieco ją zdziwiła, ponieważ jej jeszcze mąż był jedną z tych osób, które uważały się za opanowane i pewne siebie. Wręcz nieznoszące sprzeciwu.

– Ja właśnie w tej sprawie. Pomyślałem, że... – Zawahał się przez sekundę, co postanowiła wykorzystać.

– Że co zrobiłeś? Pomyślałeś? – odparła z ironią.

„Jeden zero dla ciebie” – pochwaliła się, puszczając oczko do lustrzanego odbicia. Aby wyjść z twarzą, musiał przemilczeć jej uwagę.

– Po co masz jechać taksówką, skoro ja jadę w tym samym kierunku. Przecież mogę cię zabrać. Z przyjemnością po ciebie przyjadę. Jesteś u Eli, tak? – zapytał z wyczuwalną nadzieją w głosie.

Przysiadła na szafce na buty. To, co usłyszała, wprawiło ją w osłupienie nie mniejsze niż wtedy, gdy dowiadujemy się, że w miejscu, gdzie powinien wisieć papier toaletowy, nie wisiało nic więcej oprócz tekturowej rurki. Odchrząknęła, chcąc zyskać na czasie. Gerard nie wytrzymał napięcia.

– Rozumiem, że mogę przyjechać? – zapytał, tonem dziecka spragnionego nowej zabawki.

Milczała.

– Jesteś tam?

Uszczypnęła się w udo, chcąc sprawdzić, czy to, co się dzieje, nie jest snem.

– Tak, tak – rzuciła.

– To jadę – rzekł z wyraźną ulgą w głosie.

– Nie! – krzyknęła. Dotarło do niej dopiero, co tak naprawdę się wydarzyło. Nagły skok adrenaliny spowodował, że odzyskała panowanie nad rzeczywistością.

– To tak czy nie? – Jeszcze mąż zaczynał się niecierpliwić.

„Natury nie oszukasz” – pomyślała.

– Dziękuję za twoją troskę, ale poradzę sobie sama. Widzimy się za pół godziny w sądzie – rzuciła ostro i przerwała połączenie.

Gdyby tylko miała więcej czasu, chyba znów usiadłaby na medytację, niestety taksówka już czekała, a siedzący za jej kierownicą mężczyzna nerwowo naciskał klakson. Otworzyła drzwi domu, dając do zrozumienia, że spieszy się jak tylko to możliwe. Usadowiwszy się na tylnym siedzeniu samochodu, przeprosiła za zbyt długie oczekiwanie. W odpowiedzi kierowca uśmiechnął się życzliwie, oznajmiając, że wszystko jest w porządku, a on chciał tylko, aby usłyszała, że już nadjechał.

Starła się uspokoić rozbiegane myśli. Próbowwała odpędzić nęcącą ciekawość, dlaczego Gerard zaproponował jej podwózkę na ich własny rozwód. Coś musiało być na rzeczy, tylko jeszcze nie wiedziała co. Inaczej nie zwracałby się do niej z taką życzliwością. Zbyt wiele lat z nim przeżyła, aby teraz mu zaufać. Postanowiła zrobić szybką, trzyminutową medytację na oczyszczenie myśli. Kiedy przyciskała kciuk do czoła, taksówkarz patrzył na nią podejrzliwym wzrokiem, ale nie odważył się zadać pytania, za co była mu wdzięczna. Kiedy skończyła, jej telefon znów zapikał. Otrzymała od Gerarda SMS: „Po co te nerwy, Julita? Chyba możemy się rozstać z klasą, jak ludzie, prawda?”. Nie wierzyła własnym oczom. Gerard i rozstanie z klasą? To do niego niepodobne, na pewno miał w tym jakiś ukryty cel. Ten SMS był bombą z opóźnionym zapłonem. Tego była pewna.

Kilka dni wcześniej Ela podarowała Julicie książkę o wymownym tytule – *Jak pogodzić się z rozstaniem*. Już na pierwszych stronach autor tego poradnika napisał, że trzeba szukać pozytywów. Ameryki co prawda nie odkrył, ale miał rację. Gdyby nie szukała pozytywów w tym, co ją spotkało, pewnie już by zwariowała. Siedziała na drewnianej ławce przed salą rozpraw, ściskając nerwowo torebkę, którą położyła na kolanach, i wyliczała pozytywy sytuacji, poczynając od tych błahych, a kończąc na tych naprawdę poważnych. Uzmysłowała sobie, że od teraz kiedy tylko będzie chciała, będzie żarła (nie jadła, lecz obrzydliwie żarła) tyle naleśników, ile tylko jej dusza zapagnie, i jeśli tylko przyjdzie jej na to ochota, wysmaruje wszystkie całą zawartością słoika nutelli. Ta myśl zdecydowanie poprawiła jej humor. Potem nadeszły te mniej optymistyczne, przypominające jej, że za kilka godzin jakaś obca baba albo obcy facet, niczego o niej niewiedzący, ogłosi, że nie jest już mężatką.

Słowo „rozwódka” nie podobało jej się wcale. Tylko niby jak miała się nazwać? Panną też nie była. Może powinna o sobie myśleć jak o singielce? W zasadzie nigdy nie była singielką. Kiedy była bardzo młoda, nie znano jeszcze takiego określenia, a kiedy już się ono pojawiło, to zawsze była żoną. Bycie singielką zdecydowanie bardziej jej odpowiadało niż bycie rozwódką i tego postanowiła się trzymać.

Siedziała, nerwowo stukając obcasem o posadzkę, i nagle przypomniała sobie scenkę z filmu *Nigdy w życiu*, kiedy to okazało się, że głównej bohaterce, Judycie, na własnym rozwodzie rozmazał się makijaż. Grający jej męża Jan Frycz na milion sposobów dawał jej znaki, aby się wytarła. Pomyślała sobie, że Gerard z pewnością nie byłby tak wspaniałomyślny, aby dawać jej znaki dotyczące poprawienia rozmazanego makijażu. Woląла uczynić to sama. Wyciągnęła z torebki lusterko i jeszcze raz przeczytała widniejący na nim napis.

Jesteśmy tym, co o sobie myślimy.

Wszystko, czym jesteśmy, wynika z naszych myśli.

Naszymi myślami tworzymy świat.

Budda

Wzruszyła się tymi słowami. Kochana Ela... Nawet, jak jej nie było, to czuła na swoich plecach oddech przyjaciółki. Jakie to ważne, aby sobie zawsze przypominać, że nikt inny jak właśnie my tworzymy swoją rzeczywistość. Makijaż pozostawał w nienaruszonym stanie. Wyglądała nawet ładnie. Podobała się sobie. Chwilę później pojawił się Gerard. Na jego widok odechciało jej się wszystkiego. Ubrany był w całkiem porządny garnitur, a wypolerowane buty świeciły się z daleka. Mimochodem zerknęła na swoje ubłocone kozaki i już chciała wsunąć je pod ławkę, bojąc się, że jeszcze mąż zwróci jej uwagę, lecz na przekór wszystkiemu odważnie wyprostowała kolana. Gdyby tylko nie ograniczała jej własna fizyczność, gotowa była te buty podstawić mu pod nos. Oczywiście udał, że nie widzi. Po raz kolejny chcąc wyjść z twarzą, musiał zachować milczenie. „Dwa zero dla mnie” – cieszyła się. Niby nic takiego, a pewności siebie jakby odrobinę jej przybyło.

– Cześć, Julitko. Ładnie wyglądasz.

Jej źrenice powiększyły się jak zakropione atropiną.

– Cześć. Coś ty taki miły? – zapytała, nie zastanawiając się zbytnio.

Podszedł do niej, uśmiechnął się czarująco, strzepując z jej zielonej sukienki niewidzialny paproszek. Niby zwyczajny i nawet miły gest, lecz jego dotyk powodował przerażenie. Nigdy wcześniej tego nie robił, dlatego tak bardzo ją to zdziwiło. Usiadł obok. Pachniał pięknie i gdyby nie wiedziała, jakim człowiekiem jest naprawdę, z pewnością byłaby oczarowana. Milczał. Jak nie on, co powodowało, że coraz trudniej było jej utrzymać opanowanie.

– Coś ty taki miły? – powtórzyła pytanie.

Cisza między nimi nigdy nie zwiastowała niczego dobrego. Tym milczeniem wbił jej gola. Było dwa do jednego dla niej. Za wszelką cenę zależało jej na utrzymaniu prowadzenia.

– Zawsze staram się być miły dla kobiet. Szkoda, że przez te wszystkie lata nie zdążyłaś tego zauważyć.

– No tak, dla cudzych kobiet z pewnością jesteś miły. Dla mnie niekoniecznie – odparła.

W miejscu publicznym mogła sobie pozwolić na większą swobodę w mówieniu. Gerard puścił ten przytyk mimo uszu. Kiedy tylko chciał, potrafił zachowywać się jak człowiek bez żadnych emocji. Kiedyś chwalił się w domu, że na każdego mięczaka trzeba znać sposób. Podejrzewała, że nauczył się tego w pracy. Nie bez przyczyny mówi się, że wojskowi zawsze mają trochę nierówno pod sufitem. Nigdy nie chciała generalizować, ale знаła tylko kilku żołnierzy i żaden z nich nie był całkiem normalny.

– Nigdy cię nie zdradziłem – wypalił ni z tego, ni z owego.

– Teraz to już chyba za późno na takie rozmowy. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale siedzimy przed salą rozpraw, w której za chwilę ktoś wypowie na głos, że nie jesteśmy już małżeństwem. Bądź łaskaw mi tego nie utrudniać. Może po tobie to spływa jak po kacze, ale ja musiałam się bardzo starać, aby wytrwać tu przy akompaniamencie twoich pokerowych zagrywek.

– Spokojnie, spokojnie. Po co te nerwy? Jakich pokerowych zagrywek? Nie mierz innych swoją miarą, Julita. – Machnął ręką, tak jak zwykł to robić, gdy przesoliła ziemniaki.

Odetchnęła głęboko, próbując się uspokoić. Tylko jak tu być spokojną w takiej chwili? Jakie to szczęście mają ludzie posiadający pieniądze. Gdyby tylko miała ich więcej, na własny rozwód przysłałaby jakiegoś prawnika. Oszczędziłaby sobie tych nerwów. Niby pieniądze szczęścia nie dają, ale... Nie chciała narzekać, bo przecież obiecywała sobie pozytywne myślenie, ale szukanie plusów tej sytuacji przychodziło jej z coraz większym trudem.

Chyba chciała tego rozwodu. Perspektywa, że mogłaby teraz stać się panią samej siebie, dodawała jej skrzydeł. Wcale nie chodziło jej o to, że kiedyś się poświęcała. Robiła to przecież z miłości. Chciała tylko, by doceniał jej trud i zaangażowanie. Nigdy nie powiedział „dziękuję”, nigdy się szczerze nie uśmiechnął na jej widok. Czuła, że mu przeszkadza. Nigdy nie żaliła się komukolwiek, nawet Eli. Swoje problemy próbowała załatwiać sama. Gdyby tylko chciał, mogli żyć zgodnie i dobrze. Lecz on nie chciał... Przez tyle lat nie wykazywał zainteresowania ich związkiem, że

teraz jakby coś w niej pękło. Siedziała w mało przytulnym sądowym korytarzu, a przed oczami przelatywało jej całe życie.

– Julita? – wypowiedział jej imię pytająco.

Odwróciła głowę w jego kierunku.

– Może my zrezygnujemy?

Usta rozchyliły jej się bezwiednie, a serce zaczęło bić jak oszalałe. On naprawdę to powiedział? Gerard Snarski, we własnej osobie, ten, któremu biegała po oranżadę i papierosy, ten, dla którego pies Banuś był ważniejszy niż cała reszta, teraz próbował zwać z własnego rozwodu? To było jak jakiś sen!

Z zamyślenia wyrwał ją służbowo brzmiący głos:

– Sprawa z powództwa Gerarda Snarskiego przeciwko Julicie Snarskiej o rozwód. Zapraszam na salę rozpraw.

Czyżby ktoś nad nią czuwał, uwalniając od konieczności udzielania odpowiedzi? Wstała i na drżących nogach ruszyła przed siebie. Jak przystało na prawdziwego dżentelmena jej jeszcze mąż przepuścił ją w drzwiach. Czy to, co przed chwilą dotarło do jej uszu, było prawdą, czy może tylko bujna wyobraźnia splątała jej figla? Sędzia nakazała jej usiąść po swojej lewej stronie. Gerard, jako osoba wnosząca pozew o rozwód, usiadł po stronie prawej. Zaczęła się rozprawa, która była przeżyciem abstrakcyjnym i trudnym do zapamiętania. Na pytania sędzi odpowiadała jak robot, nie czując płynących po policzkach łez. Następujące po kolei czynności były tylko drogą do tego jedyne, ostatecznego pytania: „Czy zgadza się pani i czy chce rozwodu z powodem, Gerardem Snarskim?”. Nie podejrzewała siebie o taką stanowczość, lecz bez mrugnięcia okiem odpowiedziała, że tak. Nie miała siły ani chęci już dłużej ciągnąć tej farsy, przez prawie dwadzieścia lat zwanej małżeństwem. Kiedy to sobie uświadomiła, poczuła się lżej. Nagle jakby cały świat stanął przed nią otworem.

Nie słyszała nawet, o czym mówił Gerard. Patrzyła na zmianę na poruszające się usta sędzi oraz własnego jeszcze męża. Jak w niemym filmie, przesuwające się klatki rzeczywistości działały się jakby poza nią. Po zakończeniu przesłuchania zostali wyproszeni na korytarz. Tym razem nie usiadł koło niej, lecz na ławce po drugiej stronie. Nie był człowiekiem, którego znała. Oparł łokcie na kolanach, pochylił plecy i ukrył twarz w dłoniach. Oddychała głęboko, próbując się uspokoić.

Po półgodzinie, trwającej niczym cała wieczność, zostali ponownie poproszeni na salę. Sędzia beznamiętnym głosem oznajmiła, że ich małżeństwo jest już przeszłością. Na koniec pożyczyła obojgu wszystkiego dobrego i było po wszystkim. Zabawne, bo kiedy się pobierali, również życzone im wszystkiego dobrego. Kiedy wychodziła z sali rozpraw, czuła na plecach bolesny dotyk nieżyjącej własnej matki. Jakby

szeptala do niej: „A nie mowilam, ze to nie jest mezczyzna dla ciebie?”. „Mowilas, mowilas” – odpowiedziala jej w myslach.

Otwierajac ogromne drzwi gmachu sadu, miala ochote sie rozplakac. Serce pekalo jej od nadmiaru emocji. Ze wszystkich sil zebrała sie w sobie, aby tego nie uczynic.

– Moze dasz sie zaprosic na kawe? – zapytal jej juz niemaz, skladajac jej taka propozycje chyba po raz pierwszy w zyciu.

Wiatr rozwiewal jej wlosy w kazdym mozliwym kierunku. Nie czula zimna, wręcz przeciwnie, bylo jej bardzo goraco, tak ze przy zaledwie kilku stopniach na plusie rozpiela plaszcz.

– Ktos chyba na ciebie czeka. – Wskazala dlonia Boguske, stojaca z szampanem obok wiekowego citroena.

– Przepraszam, nie wiedzialem... Mowilem jej, ze ma tu nie przychodzic. Glupio wyszlo. – Zmieszal sie, probujac sie tłumaczyc.

– Nic nie szkodzi. Idz, idz. Jesteś przeciez wolnym czlowiekiem. Zupełnie tak jak ja – powiedziala i odwrócila sie w przeciwnym kierunku.

Czyzby jej juz niemaz jednak mial jakies uczucia? Jego zachowanie bylo do niego zupełnie niepodobne. Gdyby mial brata bliźniaka, gotowa bylaby przysiac, ze wyslal go w zastepstwie na wlasny rozwod.

Ruszyla w kierunku postoiu taksowek, starajac sie nie patrzec w strone prawie nagiej cycatej Boguski.

– Julita, Julitka! – zawolal ja.

Czy nie bylo mu malo, jak na jeden dzien? Czego jeszcze chcial? Przeciez juz podeptal jej ego dokumentnie, dopuszczajac do sytuacji, w ktorej zmuszona byla patrzec na swoja nastepczynie, wymachujaca radośnie szampanem. Odwrócila sie niechętnie.

– Co jeszcze, Gerard? Nie jesteśmy juz malzenstwem. Mozesz mi dac swiety jebany spokoj? – zaklela, po raz pierwszy w zyciu w jego obecności.

Zdziwil sie nieco jej postawa.

– Jeszcze podzial majatku. Nie jest chyba dla ciebie zaskoczeniem stwierdzenie, ze wszystko, czego sie dorobiliśmy, to dzieki mnie. Gdyby nie moja praca, pozdychalibyśmy z glodu, Julita. Przeciez wiesz, prawda? – strzelal slowami jak z karabinu, powoli oddalajac sie w kierunku Boguski.

Nic nie odpowiedziala. Przed sala rozpraw przez chwile pomyslala, ze naprawde jest mu zal tych wspólnie spedzonych lat. Jakaż byla naiwna! Zacisnela oczy, by nie widziec dlugich nog Boguski, obejmujacych okrakiem tulow jej juz niemaza.

3. Julita

Mówi się, że człowieka poznaje się po tym, jak potrafi się rozwieść. Coś w tym jest. Klasa, której wymagał ode mnie Gerard, jemu samemu jakoś umknęła. Ostatnią rzeczą, o której myślałam po opuszczeniu gmachu sądu, był podział majątku. Zresztą o jakim majątku my tu mówimy? Sześćdziesięciometrowe wojskowe mieszkanie, umeblowane używanymi przedmiotami, z pewnością miało jakąś wartość, ale czy aż taką, by w imię jego posiadania zatracić szacunek do siebie?

Mogłam z nim walczyć, ale nie chciałam. Po co? Jak się walczy, zawsze są ofiary. Koncentrując życiową energię na udowadnianiu sobie, że mam rację, tak naprawdę bym ją straciła. Wszystko w życiu można odbudować, pod warunkiem, że się tego chce. A ja chciałam.

Tydzień po rozwodzie po raz ostatni odwiedziłam mieszkanie Gerarda. Zabrałam resztę swoich rzeczy, które zmieściły się w mojej nowej, czerwonej walizce. Wyraz twarzy Gerarda przyglądającego się tej walizce był bezcenny. Koniec z torbami typu jamnik! Koniec z wymiętymi sukienkami i wyciągniętymi psu z gardła bluzkami. Ela zrobiła mi prezent na „nową drogę życia”. Kochana Ela. Całe życie marzyłam o takiej walizce. Czerwień dodawała jej pikanterii, a każdy, kogo mijałam, mógł sobie myśleć o mnie jak o odważnej kobiecie. Bardzo chciałam być taką kobietą. W wyobraźni każdego dnia się nią stawałam. Wizualizowałam sobie siebie jako kogoś, kim nigdy nie byłam.

Ja, całe dotychczasowe życie siedząca w garach, postanowiłam wyjechać w poszukiwaniu lepszego życia. Podświadomie czułam, że może mi się udać. Nie było już nikogo, kto ciągnąłby mnie w dół. Jediną osobą, która mogłaby mi stanąć na drodze, byłam ja sama – moje dawne lęki, poupychane w zakamarkach duszy dawne wspomnienia, moja przygnębiająca i zniechęcająca mnie nadwaga. Z nią też musiałam sobie jakoś poradzić. Pragnęłam zmian. Dla siebie samej. Musiałam wreszcie zrozumieć, że aby ruszyć z miejsca, kogoś muszę zostawić w tyle. Tym kimś był Gerard. Ojciec moich dzieci. Takiego im wybrałam, nie miałam więc prawa teraz narzekać. Najłatwiej byłoby zwalać winę na innych. Zawsze mogłam się sprzeciwić babci i jej zasadom. Nie uczyniłam tego nigdy, dlatego więc teraz miałabym ją obwiniać za całe zło, jakiego doświadczyłam?

Moje pamiętniki (tak, te, które kiedyś bałam się pisać) zapełniały się powoli pozytywnymi cytatami, które czytałam w chwilach zwątpienia. Uczylałam się, chłonąc optymizm w pełnym tego słowa znaczeniu, a moim życiowym mottem stały się słowa Emersona, który powiedział, że „zwyciężają ci, którzy wierzą, że mogą zwyciężyć”. Moim zwycięstwem nie byłoby wyrwanie Gerardowi części naszego wspólnego mieszkania. Doskonale wiedziałam, że według prawa mój były mąż powinien mnie

spłacić. Nie uczynił tego, a ja o to nie walczyłam. Pragnęłam zwycięstwa nad sobą. Zadałam sobie pytanie, czy lepiej poczuje się jako właścicielka kawałka podłogi przesiąkniętej złą energią, czy może lepiej mi zrobi, gdy stanę się właścicielką siebie samej. Wybrałam to drugie, skupiając na tym celu wszystkie swoje działania. Czułam, że tylko tak osiągnę życiową harmonię, niezbędną do dobrego, spokojnego życia, o jakim marzyłam.

4. Do odważnych świat należy

Gdyby ktoś jej kiedyś powiedział, że zdobędzie się na odwagę, by wyjechać do pracy za granicę, nigdy by nie uwierzyła. Zaczęła sobie uzmysławiać, że od momentu zdania matury z językiem niemieckim miała tyle wspólnego, co Chińczyk z gotowaniem bigosu. Była przerażona. „Czy ja jeszcze coś pamiętam? – zadawała sobie to pytanie. – Może powinnam ten niemiecki odświeżyć?”.

Tego samego dnia postanowiła pójść do pobliskiej księgarni i zaopatrzyć się w rozmówki polsko-niemieckie. Kiedy stanęła przed regałem z pomocami do nauki języka obcego, oniemiała. Wszystkiego było w bród. Do wyboru, do koloru. Wystarczyło tylko chcieć sięgnąć po tę wiedzę. Ostatecznie wybrała *Blondynkę na językach*, słynnej podróżniczki Beaty Pawlikowskiej, dorzucając do koszyka książkę o pozytywnym myśleniu. Takich nauk nigdy za wiele. Starła się codziennie pracować nad sobą, bo gdy tylko przestawała, momentalnie jej utrzymujący się w ryzach nastrój doznawał pogorszenia. Nic dziwnego, na szczęście i harmonię trzeba pracować przeciw codziennie. Systematyczność to podstawa we wszystkim, do czego się zabieramy.

Szczęśliwa z zakupu, udała się do pobliskiej kawiarni. Zamówiła cappuccino, sernik i usiadła. Pierwszy raz w swoim prawie czterdziestoletnim życiu była sama na kawie. Na początku czuła się nieco dziwnie. Nerwowo rozglądała się na boki, jakby zastanawiając się, jak właściwie powinna się zachowywać. Wzięła wdech, wydech, przymknęła oczy i w myślach próbowała się uwolnić od powstałego w ciele napięcia. Świadomy oddech stał się już częścią jej życia. Wszyscy zajęci byli swoimi sprawami i nikt nie zwracał na nią uwagi. Popijając łyk za łykiem słodką kawę i delektując się sernikiem, poczuła się przyjemnie. Rozpakowała książkę do nauki niemieckiego i zaczęła czytać. Obco brzmiące słowa po chwili zaczynały brzmieć znajomo. Ludzki umysł w zakamarkach swoich szuflad potrafi przechowywać ogrom danych. Części z nich chciałyby się pozbyć, na przykład swojego małżeństwa. Tylko czy aby na pewno wyszłoby jej to na dobre? Doświadczenie życiowe, które posiadała, na tyle ją wzbogacało, że miała świadomość, czego już na pewno będzie unikać. A to już dużo!

Zadzwoił telefon.

– Cześć, Julita. – Usłyszała głos Rozalii.

Poprawiła się na krześle, jakby ktoś ją obserwował. Nabyte przez lata lęki o to, jak jest odbierana przez innych, nie były takie łatwe do wyplenienia.

– Witaj. Bardzo się cieszę, że cię słyszę. Szczerze powiedziawszy, miałam do ciebie telefonować. Nigdy nie zgadniesz, co właśnie robię...

– Jeśli powiesz mi, że leżysz w wannie, popijasz szampana i zagryzasz go truskawkami, to odpowiem ci, że ci zazdroścę.

Julita zamilkła. Takiej odpowiedzi nie spodziewała się wcale. Rozalia zdecydowanie skracając panujący między nimi dystans, co bardzo jej się podobało. Gdyby jeszcze nie była żoną Michała, mogłaby się nawet spróbować z nią zaprzyjaźnić.

– Aż tak dobrze to nie jest – odpowiedziała po chwili. – Jestem w kawiarni, piję kawę, jem pyszne ciastko i przeglądam podręcznik do nauki języka niemieckiego. Przyznaję szczerze, że trochę się obawiam, czy podołam wymaganiom państwa Witt.

– Rozumiem, że się ostatecznie zdecydowałaś?

– Tak, tak, jak najbardziej. Ela zaoferowała mi pomoc przy dzieciach, więc chyba nie ma na co czekać. Jak to mówią – ahoy, przygodo! Nawet nie wiesz, jaka jestem podekscytowana. Nigdy nie wyjeżdżałam za granicę sama. Wróć! Co ja mówię? Nigdy nie wyjeżdżałam nigdzie sama.

– Czas to zmienić. Czy możesz wpaść do mnie, do biura, abyśmy dopełniły wszelkich formalności? Państwo Witt są bardzo zadowoleni, że przyjedziesz, i nie mogą się już doczekać. Mogłabym zamówić ci busa... powiedzmy na za tydzień.

Rozmowa toczyła się bardzo szybko. Jeszcze nigdy w życiu Julity decyzje nie zapadały w tak zastraszającym dla niej tempie.

– Za tydzień? O rety! – Złapała się za głowę. – Czy ja zdążę się przygotować?

– Spokojnie zdążysz. Nic się nie martw. Dobrze, aby nie przedłużać. Czekam na ciebie w swoim biurze za dwie godziny. Podpiszemy umowę i... cóż, będę mogła życzyć ci powodzenia.

– Trochę się boję, jak to będzie.

– Nic się nie bój. Będzie dobrze. Czekam. Pa!

– Pa! – pożegnała się, wypila ostatni łyk kawy i postanowiła jeszcze chwilę posiedzieć, aby ochłonać.

Pomyśleć, że jeszcze kilka miesięcy temu jej codzienność była całkiem inna. Jedyłą atrakcją dnia wydawało się wyjście do sklepu spożywczego i na cmentarz. Jej typowy dzień kręcił się wokół prania, sprzątanania, gotowania i wysłuchiwanie tego, co zrobiła źle. Gerard przecież jej nie chwalił. Zwykł mawiać, że to z obawy, bo „jeszcze jej się w dupie poprzewraca”. Teraz z pełną odpowiedzialnością mogła stwierdzić, że jej jedyny nieomylny mąż nie miał racji. Dobre myśli i pozytywne słowa nie mogły mieć na nią negatywnego wpływu. Wręcz przeciwnie. Zaczynała już widzieć zmiany mające swój początek w codziennej medytacji, modlitwie i pisaniu pamiętnika. Pozytywna energia zaczęła do niej wracać, co powodowało, że częściej się uśmiechała i ten uśmiech był jak najbardziej szczery. Mimo smutku po rozstaniu miała w sobie nadzieję, a to było najważniejsze.

Może trochę uciekała... Spacerując tak dobrze znanymi jej ulicami, prawie na każdym rogu widziała jakieś wspomnienie. Grzebanie w przeszłości nie wpływało na nią korzystnie. Wyjazd miał być swego rodzaju wybawieniem. Nie bez przyczyny mówi się, że jeśli chce się złapać dystans do tego, co się przeżyło, powinno się opuścić miejsce, w którym to się działo. Tylko tak można spojrzeć na wszystko z perspektywy.

Budynek, w którym znajdowało się biuro, pachniał nowością. Uwielbiała ten zapach. Niczym nieskażone miejsce miało szansę na wypełnienie się tylko taką energią, jaką wniesli do niego właściciele. Przyszła przed czasem. Usiadła na skórzanej kanapie i spokojnie czekała. Sekretarka zaproponowała jej kawę, lecz grzecznie odmówiła. Ciśnienie miała na wystarczająco wysokim poziomie. Chwyciła pierwszą z brzegu gazetę i zaczęła ją przeglądać. Uśmiechające się z obrazków kobiety o równych, wypielęgnowanych zębach nastrojały ją optymistycznie. „Przyjemnie jest patrzeć na zadbanych ludzi” – pomyślała.

– Już jesteś? – Rozalia wyrosła przed nią nie wiadomo skąd, co trochę wystraszyło Julitę.

– Jestem, byłam niedaleko. – Wstała i przywitała się, wymieniając z Rozalią serdeczny uścisk.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że się zdecydowałaś. To odmieni twoje życie, zobaczysz!

Julita nie bardzo rozumiała, co Rozalia ma na myśli. Cóż kobieta jej pokroju mogła wiedzieć o zmianach, jakie ona sama aktualnie przeżywała? Mając przy boku takiego faceta jak Michał, wiodła iście sielskie życie, nie przejmując się niczym, i do tego jeszcze była kochana. Nic, tylko zazdrościć.

– Ja również się cieszę. Tak jak już wspomniałam, obawiam się tych zmian, ale staram się być dobrej myśli. Wiesz... to moja pierwsza poważna praca i od razu taka odpowiedzialna. Nie wiem, jak poradzę sobie z językiem i w ogóle...

Rozalia grzecznie wysłuchiwała wszystkich obaw, ani razu nie przerywając potoku płynących słów.

– To naturalne, że się obawiasz. – Zaczęła mówić dopiero, gdy nastała absolutna cisza. – Uważam, że to bardzo dobrze o tobie świadczy. Nawet nie wiesz, ile mamy tu odważnych dziewczyn, które siedząc na twoim miejscu, wychwalają się pod niebiosa i obiecują nam złote góry, machając świstkami zdobytymi na rzekomo najlepszych kursach opieki. Jednak posiadanie wiedzy, a umiejętność jej wykorzystania to dwie różne sprawy. Nie wystarczy wiedzieć, jak postępować z osobami starszymi, trzeba tę pracę jeszcze czuć. Opiekunką w sumie może zostać każdy, ale nie każdy będzie dobrą opiekunką. Ty masz zadatki na tę drugą.

– Dziękuję, czuję się wyróżniona. Choć nie wiem, dlaczego i czym sobie zasłużyłam.

– Powiedzmy, że mam oko do ludzi. – Rozalia mrugnęła. – Do tego umiejętność porozumiewania się w obcym języku jest twoim niebywałym atutem.

– No, tutaj to bym polemizowała. Nie miałam od lat styczności z niemieckim...

Tym razem Rozalia jej przerwała, upominając, że powinna mieć trochę więcej wiary w siebie.

– Państwo Witt to bardzo mili ludzie. Opowiem ci o nich trochę, abyś się nieco uspokoiła.

– Dobrze, zamieniam się w słuch.

– Pan Harald przez całe życie pracował jako stomatolog. Najpierw jako młody lekarz zdobywał praktykę w państwowej placówce, a wkrótce otworzył własny gabinet. Swoją pasję do upiększania ludzkich uśmiechów przekazał synowi, który przejął po nim cały dobytek i do dziś dnia stworzone przez niego „dziecko” kwitnie, co sprawia staruszkowi wielką radość. Żona pana Harald ma na imię Maraike i nigdy nie pracowała zawodowo. Również skończyła medycynę, ale z własnego wyboru poświęciła swoje życie dla rodziny. Wspólnie dorobili się pięciorga potomstwa, trzech synów i dwóch córek. Nawet nie wiem, ile posiadają wnucząt, ale ty z pewnością się tego dowiesz.

Julita uśmiechnęła się, słuchając tej opowieści. Jak to dobrze wiedzieć, że szczęśliwe rodziny naprawdę istnieją. Ucieszyła się, że będzie mogła obcować z ludźmi, którzy spędzili razem całe życie i sądząc po tym, co opowiadała Rozalia, musieli się szalenie kochać. Pięciorga dzieci nie wydaje się na świat przez przypadek.

– Mieszkają w dużym domu, którego ostatnie piętro przeznaczone jest dla ciebie. To naprawdę luksusowe warunki. Będziesz miała własny pokój z osobną łazienką. Nie musisz sprzątać, ponieważ do tego dzieci państwa Witt zatrudniają inną panią. Chodzi o to, abyś była dla nich wsparciem i dotrzymywała im towarzystwa. Pielęgniarka przychodzi dwa razy w tygodniu i szykuje porcję leków dla obojga. Trzeba pilnować, aby zostały przyjęte o odpowiedniej porze. Jak się domyślasz, starsi ludzie o takich drobiazgach potrafią zapominać.

– Z tym akurat nie powinnam mieć problemów. Jestem obowiązkowa. – Julita powiedziała o sobie coś pozytywnego, co mile Rozalię zaskoczyło.

– Pan Harald porusza się o własnych siłach, mimo sędziwego wieku. W maju skończy osiemdziesiąt dziewięć lat. Z tego, co mi wiadomo, jeszcze jeździ samochodem.

Julita otworzyła oczy ze zdziwienia.

– Tak, tak, moja droga. Jak się o siebie dba, wszystko jest możliwe. Nawet jazda

na rowerze, którą podobno staruszek uwielbia.

– A co z panią Maraike? Jaka jest? Co lubi robić? – Julita coraz bardziej interesowała się swoimi przyszłymi podopiecznymi (choć na razie trudno jej było używać tego słowa, nawet w wyobraźni).

– Maraike kilka lat temu przeżyła wypadek. Niefortunnie upadła ze schodów. Nie znam szczegółów tego zdarzenia, ale wiem, że porusza się na wózku.

Julita posmutniała. Jakie to życie bywa niesprawiedliwe. Kobieta wydała na świat pięcioro dzieci, a na starość los odpłacił się jej takim przykrym doświadczeniem.

– Hej, nie smuć się! Oprócz tego, że jest niepełnosprawna ruchowo, to z jej głową wszystko w porządku. Uwielbia grać w rummy. Podobno jest w tym świetna i nawet, skubana, oszukuje.

Kobiety zaczęły się śmiać. Rozalia opowiadała jeszcze przez jakiś czas, aż wreszcie uznała, że dosyć tego, bo zepsuje Julicie wszystkie niespodzianki czekające ją na miejscu.

– Wygląda na to, że jadę tam trochę na wakacje. Jeśli jest tak, jak mówisz, nie powinnam mieć większych problemów. Chyba sobie poradzę.

– Julitko, chciałabym, abyś miała świadomość, że to nie jest standard. Nasze opiekunki różnie trafiają. Bywa, że starsi ludzie są... co tu dużo mówić... są straszni. To jest mimo wszystko trudna praca. Często trzeba pomagać im w codziennej higienie, w korzystaniu z toalety. Bywa, że mają demencję starczą. Miałam przypadek, kiedy jedna z opiekunek złapała swoją podopieczną, gdy ta stała przy oknie, na wpół rozebrana, pokazując swoje wdzięki pracownikom remontującym elewację budynku. To może wydawać się śmieszne, ale zapewniam cię, z pewnością takie nie jest.

– Rozumiem. Nie widzę w tym nic zabawnego. Wobec takich tematów należy zachować pokorę, bo nigdy nie wiadomo, kim my się staniemy na starość.

– To prawda.

Przez chwilę obie pograżyły się w zadumie.

– Rozalio, wiesz... zapomniałam chyba zapytać o najważniejsze.

Rozalia szybko wymieniła kwotę, jaką Julita zarobi na obczyźnie. Słyszając ją, kobieta prawie spadła z krzesła. Choć nie była dobra z matematyki, obliczyła szybko, że aby zarobić tyle na miejscu, popyt na świąteczne pierniki musiałby istnieć przez cały rok, a ona zmuszona byłaby je wypiekać nieustannie, z drobnymi przerwami na załatwienie fizjologicznych potrzeb. Choć jednak pensja była ważna, nie była kluczowa.

– Chciałabym wiedzieć, dokąd wyjeżdżam. Jak do tej pory wiem tylko, że do Niemiec.

– Ależ ze mnie gapa! – Rozalia złapała się za głowę. – Jedziesz do Norymbergi. Julicie zaparło dech w piersiach. Nie mogła uwierzyć w swoje szczęście.

– Bawaria? – zapytała niepewnie.

– Nie inaczej. – Rozalia rozłożyła ręce w przyjaznym geście.

Dołączki w policzkach Julity pogłębiły się momentalnie. Chociaż na co dzień nie była zbyt wylewną osobą, teraz miała ochotę rzucić się Rozalii na szyję i zacząć dziękować za szansę, którą jej dała. Prawdą było to, co wyczytała w swoich mądrych książkach – kiedy los nam coś zabiera, to tylko po to, aby za chwilę coś nam ofiarować w zamian. Chociaż trzęsała się ze strachu, postanowiła go przełamać. Przecież nie do nikogo innego jak właśnie do odważnych należy świat. Julita Snarska była odważna – przynajmniej w swojej wyobraźni.

Kiedy wyszła z biura Rozalii, ściskając w dłoniach świeżo podpisaną umowę o pracę, ponownie skierowała swoje kroki do księgarni. Do podręcznika z niemieckiego i książki o pozytywnym myśleniu dokupiła jeszcze przewodnik po Bawarii. Niestety, takiego o samej Norymberdze nie udało jej się nabyć. Mimo wszystko była szczęśliwa. Los puścił do niej oczko, rozsiewając w sercu nadzieję, że ze wszystkim sobie poradzi. Zupełnie nie przewidywała, że za rogiem czeka na nią złowrogi zakręt. Dobro, którego obecnie doświadczała, miało ją przygotować do sytuacji, z którą przyjdzie jej się zmierzyć.

5. Wyjazd

Wstała o wpół do szóstej i przez czterdzieści pięć minut śpiewała ostatnio odkrytą słowiańską mantrę – *Radoro daro slawo* – która miała wprowadzić ją w stan równowagi i zniwelować zapory w przepływie energii. Szukała czegoś, co pomogłoby jej wskoczyć na wibracje sprzyjające dobremu losowi. Pragnęła, aby wszystko w Niemczech ułożyło się dobrze. Powtarzanie tej agmy miało wnieść w jej życie entuzjazm i zmniejszyć wszelkie obawy oraz lęki. Chciała się odciąć od negatywnych emocji i myśli. Śpiewała więc, uparcie wierząc, iż energia wytwarzana za pomocą jej strun głosowych zadziała na tyle sprzyjająco, że będzie jej łatwiej przygotować się do nadchodzących zmian. Głęboko wierzyła, że przy pomocy mantr może wpłynąć na własne życie i uwolnić nieznany do tej pory potencjał.

Kiedy skończyła, udała się do kuchni, by przygotować posiłek dla trojga bliskich jej sercu ludzi. Wyjeżdżała dopiero za kilka dni i do tego czasu zobowiązała się przed Elą do wykonywania swoich dotychczasowych obowiązków z należytą starannością. W końcu na razie to była jeszcze jej praca. Zapakowała do pudełek przygotowanego dzień wcześniej kurczaka z warzywami, zaparzyła herbatę do trzech termosów i zapakowała wszystko w trzy osobne papierowe torby. Kiedy z uśmiechem na twarzy żegnała wychodzącą do pracy Elę, pędzącą do szkoły Kamilę i spieszącego się na wykłady Marcina, pomyślała, że jest prawdziwą szczęściarą, że ma o kogo dbać. Podziękowała w myślach za wszelkie dobro, w myśl zasady, że trzeba się cieszyć tym, co jest, a nie roztkliwiać nad tym, za czym się tęskni.

Po wszystkim, zanim jeszcze wpadnie w wir codziennych obowiązków, postanowiła nalać sobie do wanny wody z pianą i oddać się lekturze przewodnika po niemieckiej Bawarii. Rozebrała się i zerkając na swoje odbicie w lustrze, gotowa była siebie zganić za przywierające do ciała fałdki tłuszczu i wszędobylski cellulit, lecz w porę się opamiętała i patrząc sobie prosto w oczy, rzekła:

– Jesteś piękna taka, jaka jesteś. Mogłabyś, oczywiście, trochę stracić na wadze, ale tak czy siak cię kocham.

Powiedzenie słowa „kocham” było najtrudniejsze. Odkąd pamiętała, własne szczęście uzależniała od innych. Wydawało jej się, że jej życie będzie cudowne, kiedy Gerard będzie ją kochał albo kiedy dzieci będą ją kochały. Poczucie własnej wartości opierała na odczuciach innych ludzi, co dziś wydało się kompletnie bez sensu, bo przecież nie miała większego wpływu na to, czy ktoś ją pokocha. Mogła się oczywiście starać, i tak też czyniła, lecz... tak naprawdę tylko pokochanie siebie samej mogło dać jej prawdziwe ukojenie. Po jej policzkach popłynęły łzy wzruszenia. Obtarła je otwartą dłonią, uśmiechnęła się do pucołowatej twarzy i jeszcze raz przyjrzała się sobie łaskawiej, tym razem skupiając się na pozytywach. Miała piękne

oczy, które zabawnie mrużyły się przy uśmiechu, i urocze dołeczki w policzkach. Grzechem byłoby się z tego nie cieszyć.

Zanurzyła się wreszcie w wodzie, otworzyła świeżo nabyty przewodnik, odszukała rozdział o Norymberdze i zaczęła czytać.

Norymberga – miasto na prawach powiatu w Niemczech, w kraju związkowym Bawaria, w rejencji Środkowa Frankonia. Położone nad rzeką Pegnitz (nieco powyżej jej ujścia do rzeki Regnitz), gospodarcza i kulturalna stolica Frankonii, drugie co do wielkości miasto Bawarii. Najbliższe duże miasta: Monachium – około sto pięćdziesiąt kilometrów na południowy wschód – oraz Stuttgart – około sto pięćdziesiąt sześć kilometrów na południowy zachód – i Frankfurt nad Menem – około sto osiemdziesiąt sześć kilometrów na północny zachód. Miasto zniszczone podczas drugiej wojny światowej – odbudowane.

Rozmarzyła się podczas czytania i przeglądania zdjęć tego urokliwego zakątka. Oczami wyobraźni widziała siebie siedzącą w kafejce, popijającą kawę i zjadającą jakieś pyszne ciastko. No dobra, może nie ciastko, ale z pewnością zagryzającą suszone owoce (miała przecież stracić na wadze). Rozalia obiecała jej, że w trakcie dnia będzie miała dwie godzinki dla siebie. W sam raz, aby zdążyć napić się kawy i wyjść na jakiś spacer. Jeśli dogada się z rodziną państwa Wittów, to może pozwoli jej się któreś soboty wybrać do Monachium? Och, tak bardzo chciałyby zobaczyć ten słynny stadion, na którym trenuje mistrz Lewandowski. Oczywiście nie zapomniała, iż przede wszystkim jedzie tam do pracy.

– Będę za tobą tęskniła – powiedziała Ela, unosząc głowę znad pysznej lasagne ze szpinakiem, którą Julita przygotowała na kolację.

– Ja też – powiedziała Kamila, odrywając się od swojego talerza.

Jedynie Marcin jadł w milczeniu. Wydawał się nie słuchać tego, co mówią jego, bądź co bądź, współlokatorki. Julita zdziwiła się jego zachowaniem, zresztą nie pierwszy raz. Coś się działo z tym chłopakiem. Próbowала rozmawiać z nim na wszelkie możliwe sposoby, lecz każdą jej próbę kwitował jednym zdaniem: „Nie martw się, jestem trochę zmęczony uczelnią, poza tym jest OK”. Czuła, że jej synek, jej malutki chłopczyk, stopniowo, krok po kroku się od niej oddalał. Pocieszała się, iż taka jest kolej rzeczy – dzieci rosną, zaczynają żyć własnym życiem. Mimo wszystko było jej jednak żal tej relacji. Kiedyś przecież mówili sobie o wszystkim.

– Marcin, a ty? – zapytała, próbując wyrwać syna do odpowiedzi.

Zmrużył oczy, jakby mówiła do niego po chińsku.

– Co ja?

– No, czy będziesz tęsknił, tak jak dziewczyny?

– Jakie dziewczyny?

Wszystkie trzy spjrzały po sobie, zaskoczone zachowaniem jedyne go mężczyzny siedzącego z nimi przy stole.

– Jak to jakie? Co ty, śpisz? Kamila i Ela powiedziały, że będą za mną tęskniły. Pytam więc ciebie, czy i ty zatęsknisz za swoją matką.

Przełknął ostatni kęs lasagne, wstał od stołu, szurając głośno krzesłem, i wstawił talerz do zmywarki. Ucieszyło to Julitę. Przynajmniej nauka sprzątan ia po sobie nie poszła na marne.

– Będę tęsknił, mam o – powiedział, po czym odwrócił się do niej i pocałował w policzek.

– Czy wszystko dobrze?

– Oczywiście. – Próbował wykrzywić twarz w grymasie na kształt uśmiechu. – Idę się pouczyć. Mam trochę zaległości.

– Ucz się, synek, ucz. Wiesz, że jestem z ciebie bardzo dumna?

– Wiem, mam o, wiem – odpowiedział, po czym zniknął za drzwiami pokoju.

Kobiety zostały same. Ich nastrój po tym zajściu stał się jeszcze bardziej nostalgiczny. Dokończyły jedzenie, posprzątały i przytuliły się do siebie.

– Naprawdę będzie mi ciebie brakowało – powtórzyła się Ela.

– Ciociu, weź się ogarnij, bo nie lubię, jak ktoś patrzy na moje łyzy – wtrąciła się wzruszona Kamila.

– A to nie alergia? – zapytała Julita, ironizując.

– O, przepraszam. Masz rację, mamuś. Oczywiście, że to alergia. Jak zawsze zresztą.

Po kolacji postanowiły spędzić babski wieczór, racząc się nalewką przyniesioną przez Elę z pracy, oglądając po raz setny film *Dirty dancing* i ubolewając nad faktem, że grający główną rolę aktor odszedł z tego świata. Kamila z Elą usiłowały powtórzyć widziane na ekranie sceny tańca. Julita natomiast straciła humor. Matczyna intuicja podpowiadała jej, że z Marcinem dzieje się coś dziwnego. Miała nadzieję, że się myli, i właśnie o to postanowiła się pomodlić przed snem.

Prawie wszystko było gotowe do wyjazdu. Zerkając co raz na walizkę, nie mogła uwierzyć, że marzenie o jej posiadaniu się spełniło. Wszystko nieoczekiwanie tak szybko poszło naprzód, a mogłaby przecież teraz pakować się w torbę typu jamnik. Poczowała wdzięczność. Nieszczęśliwe sytuacje jej życia zaczynały przybierać nieoczekiwany obrót, potwierdzając tezę, iż dobre to, co się dobrze kończy. Poza tym coś się kończy, coś się zaczyna. Przed nią miało się zacząć nowe życie. Na razie prowadzone w pojedynkę, ale może kiedyś... Chociaż teraz trudno jej było sobie

wyobrazić związek z kimś innym niż Gerard, to nie wykluczała możliwości dania sobie takiej szansy.

Bus zamówiony przez Rozalię miał przyjechać po Julitę o piątej nad ranem w poniedziałek. Oznaczało to, że domownicy, chcąc się z nią pożegnać, byliby zmuszeni do pobudki o nieludzkiej porze. Poprosiła, aby pożegnania przełożyć na niedzielny wieczór. Wszyscy przystali na tę propozycję, zwłaszcza uwielbiająca się wysypiać Kamila. Wtedy to wszyscy się wyściskali, nawet Marcin – o dziwo. Pojawiły się łzy wzruszenia, życzenia powodzenia i powtarzające się prośby, aby zatelefonowała, jak tylko dojedzie na miejsce. Z przejęcia nie mogła zasnąć. Kręciła się z boku na bok, raz było jej gorąco, raz zimno. Wreszcie wstała z zamiarem napicia się ciepłego mleka. Babcia zawsze mówiła, że ono pomaga na sen.

Była trzecia w nocy, kiedy siedząca z kubkiem mleka Julita żegnała się ze swoim dotychczasowym życiem, prosząc Boga o to, aby ją prowadził. Drżącym głosem wymawiała słowa modlitwy:

– Proszę, weź mnie za rękę i poprowadź. Chciałabym dobrze żyć. Rozsiewać uśmiech, przywracać nadzieję, podawać pomocną dłoń tym, którzy jej potrzebują. Aby stać się lepszą, potrzebuję Twojego wsparcia. Wiem, że mi pomożesz. Kiedyś nie prosiłam Cię o nic, a teraz proszę o coś każdego dnia, wierząc, że mam trochę więcej życzeń do wykorzystania. Powoli zaczynam czuć na plecach twój popychający mnie do przodu oddech. Obiecuję nie zmarnować szansy, którą mi dałeś. Mam wrażenie, że jest ostatnią. Zapewne było ich więcej, lecz najzwyczajniej w świecie je przeoczyłam, za co Cię przepraszam. Dobry Boże, miej w opiece moje dzieci, a w szczególności Marcina. Czuję, że coś niedobrego się z nim dzieje. Jeszcze nie wiem co, ale... Cokolwiek by się wydarzyło, uchroni, proszę, moje dziecko.

Nie zauważyła, kiedy usnęła na stole.

– Juli, Juli, skarbie – usłyszała szept Eli.

Pierwsze, o czym pomyślała to, że zasnęła. Przerazona zerwała się na równe nogi.

– Spokojnie, masz jeszcze sporo czasu. Jest kwadrans po czwartej. Wskocz szybko pod prysznic, a ja przygotuję ci kanapki na drogę. Mogą być z szynką i serem? Julita poprawiła szybko włosy. Nie wiedziała, co się dzieje.

– Dlaczego ty wstałaś? Nie umawialiśmy się wszyscy, że pożegnania mamy już za sobą?

– Nie myślisz chyba, że mogłabym sobie smacznie spać, podczas gdy moja przyjaciółka jedzie na koniec świata w poszukiwaniu szczęścia?

– Ech, bez przesady. Szczęście to ja mam tutaj. Mam was, a to dla mnie najważniejsze.

– Dobrze, w takim razie w poszukiwaniu przygody i...

– ...i dystansu do tego, czego doświadczyłam – dokończyła zdanie przyjaciółki, po czym udała się pod prysznic.

Opływająca jej ciało ciepła woda powoli budziła ją do życia. Wycierając się energicznie pachnącym ręcznikiem, nie dowierzała, że to wszystko dzieje się naprawdę. Kto by pomyślał, że ona, ta, która przez całe życie nie wyjechała nigdzie sama, teraz zdecydowała się na taki krok. Ubrała się i wyszła z łazienki. W kuchni już wszyscy na nią czekali.

– Chyba nie sądziłaś, że pozwolimy ci wyjechać bez pożegnania? – powiedziała Kamila.

– Nie martw się. Dwa miesiące szybko miną i już będziesz z powrotem – powiedział Marcin.

– Słyszałam, że Niemcy produkują fajną grillową kiełbasę. Bratwursty czy jakoś tak? – zażartowała Ela.

Julita, patrząc na swoją rodzinę, rozplakała się rzewnymi łzami. Chyba nigdy w życiu nie czuła takiego wsparcia. Kiedyś przeczytała, że energia, jaką wysyłamy w świat, wraca do nas. Od jakiegoś czasu nieustannie odczuwała dobro – czyżby dlatego, że sama je wysyłała? Jeśli to prawda, to wystarczy tylko zmienić częstotliwość nadawania swoich myśli, a życie może obrać całkiem inny, bardziej oczekiwany kierunek.

Machając swoim bliskim zza szyby odjeżdżającego busa, czuła spokój. Wiedziała, że ze wszystkim sobie poradzi. Życie nie zawsze płynie tak, jak byśmy tego chcieli, ale to przecież od nas zależy, jakimi emocjami obdarzamy stawiane na naszej drodze doświadczenia. Obiecała sobie, że cokolwiek się wydarzy, będzie myślała pozytywnie. Zamierzała dotrzymać słowa.

6. Julita

Mówi się, że życie jest nieustającą podróżą. Mam wrażenie, że zanim wyruszyłam w tę podróż, prawie przez czterdzieści lat stałam w poczekalni, aby kupić bilet. Mówi się też, że na spełnianie marzeń nigdy nie jest za późno, z czym się nie zgadzam. Przecież w moim wieku nie miałam już szansy na przeżycie szczęśliwego małżeństwa z mężczyzną, któremu urodziłabym gromadkę dzieci. Z pewnymi rzeczami trzeba się po prostu pogodzić. Dokonałam w życiu złych wyborów. Uczyniłam tak w imię prawd i zasad, które uważałam za słuszne. Chciałam dobrze, ale dobrymi chęciami... wiadomo...

Kiedy myślę teraz o swoim dotychczasowym życiu, to dochodzę do wniosku, że w sumie nie było takie złe. Może nie urodziłam dzieci komuś, kto bardzo ich pragnął, ale przecież były cudowne. Miałam te dwie osoby, które kochałam bezwarunkowo. Miłość do dziecka jest nadzwyczajna, nie da się jej porównać do żadnego innego uczucia. Kamila i Marcin byli tym, co zawsze utrzymywało mnie na powierzchni. Byli moim kołem ratunkowym, które wciąż na sobie nosiłam, regularnie dopompowując powietrzem. Teraz, kiedy siedzę w tym busie, mam wyrzuty sumienia, że zostawiłam ich z Elą. Wiem, że są prawie dorośli, ale mimo wszystko tak trudno jest odciąć pępowinę...

Nie mogę narzekać! Wszystko złe, co się wydarzyło, doprowadziło mnie do teraz. Wreszcie stanęłam w kolejce po bilet do lepszego jutra i nabyłam go w całkiem korzystnej cenie. Wsiadłam do busa i jadę w nieznane, wierząc, że czeka mnie tam coś dobrego. Łzy ciekną po policzkach, kiedy pomyślę, ile mnie ominęło i czego już nigdy, za żadne pieniądze, nie odzyskam. Czas jest wartością deficytową naszych czasów. Chciałabym myśleć, że tracąc go, zyskałam nową perspektywę, ale jeszcze tego nie potrafię.

7. Witaj w naszej bajce

Kiedy wysiadła z busa, jedyne, o czym marzyła, to ciepła kąpiel, zwykła kanapka z masłem i kawałek łóżka, na którym mogłaby przyłożyć głowę do poduszki.

Kierowca pomógł jej wyciągnąć walizkę z bagażnika.

– Ta czerwona to pani? – zapytał.

– Tak, moja – odpowiedziała.

Była nieco wystraszona, jednym okiem zerkając na dom państwa Wittów. Był ogromny. Cała posesja ogrodzona była wysokim murem, jakie widziała dotąd tylko na filmach.

– Widzę, że jest pani przestraszona – powiedział kierowca.

– Mam na imię Julita – przedstawiła się, wyciągając do niego dłoń. –

Przepraszam, podczas podróży nie byłam zbyt rozmowna. Musiałam przemyśleć parę spraw. – Uśmiechnęła się do niego promiennie.

– Damian. – Młody chłopak odwzajemnił uścisk dłoni. – Nic się nie martw, Julita. Będzie dobrze. Przyznaję, nie jest to codzienny widok. – Patrzył na willę, drapiąc się po głowie.

– To dobrze czy źle?

– Oczywiście, że dobrze. Przynajmniej będziesz miała dobre warunki mieszkaniowe. Trzeba szukać pozytywów. – Uśmiechnął się, ukazując swoje żółte zęby, zdradzające zamiłowanie do palenia tytoniu.

– Bardziej od dobrych warunków mieszkaniowych wolałabym dobre towarzystwo.

– O to też się nie martw. Życzę powodzenia. Widzimy się za dwa miesiące, prawda?

– Tak, tak. Przyjedziesz po mnie pierwszego kwietnia?

– Prima aprilis?

– Nie, nie, poważnie. – Julita jeszcze nie weszła do domu państwa Wittów, a już chciała mieć przynajmniej ustne potwierdzenie, że ktoś ją stąd odbierze.

– Oczywiście, że przyjadę. Wszystko ustalę z panią Rozalią. No, śmiało, idź! Chyba ktoś na ciebie czeka. – Wskazał na bramę, przy której stał uśmiechający się życzliwie nieco starszy od niej mężczyzna.

Dotarło do niej, że za chwilę znikną wszyscy, z którymi mogłaby się porozumiewać w dobrze znanym ojczystym języku. Miała ochotę przytulić kierowcę, aby zachować w sobie chociaż ociupinkę polskiej rzeczywistości. Czy w domu ogrodzonym wysokim murem mogą mieszkać ludzie pozytywnie nastawieni do świata? A może to jacyś dziwacy, którzy zwariowali na punkcie swojego bogactwa, postanawiając odgrodzić się od tych, co mają mniej?

Chwyciła rączkę swojej czerwonej walizki i ruszyła w kierunku czekającego na nią mężczyzny. Nie chciała dać po sobie poznać, że cała wewnątrz się trzęsie.

– Witam panią, pani Julito. Cieszę się, że dojechała pani cała i zdrowa – przywitał ją w języku Goethego.

Przedstawiła się, próbując opanować drżenie głosu wypowiadającego niemieckie słowa.

– Mam na imię Andreas, jestem synem Maraike i Haralda. Na co dzień mieszkam w Monachium. Przyjechałem na chwilę, aby panią przywitać. Rodzice już czekają.

– Bardzo mi miło. – Uśmiechnęła się niepewnie, pozwalając wyręczyć się w niesieniu walizki.

Poprosił, aby poszła za nim. Przyglądając się jego barczystym plecóm, wykonała znak krzyża i wzniosła oczy ku niebu, prosząc, aby dom, w którym spędzi następne dwa miesiące, okazał się przyjazny. Kiedy weszli do środka, państwo Witt już na nich czekali. Uśmiechnięty od ucha do ucha staruszek wstał od stołu, chwycił za rączki wózka, na którym siedziała żona, i oboje zbliżali się do Julity. Ich widok był porażająco piękny. Obrazy kojarzące się z miłością zwykle przedstawiają młodych, zakochanych, patrzących sobie w oczy ludzi, obejmujących czule swoje ciała. Widok mężczyzny pchającego przed sobą wózek ukochanej żony wywołał w Julicie wzruszenie tak silne, iż nie zdołała powstrzymać szklistej tafli nadciągającej na jej oczy.

– Witamy panią w naszym domu – powiedział.

Ukloniła się tak, jak zwykły to robić uczennice przed nauczycielem. Nie zdołała wykrztusić z siebie słowa.

– Widziałem przez okno, jak się pani przeżegnała... – Zaśmiał się serdecznie. – Mamy nadzieję, że nie będzie pani z nami aż tak źle. Postaramy się być grzeczni. – Mrugnął do niej.

– Bardzo mi miło państwa poznać – wykrztusiła wreszcie przez zaciśnięte gardło. – Ja tylko... ten znak krzyża to... ja chciałam... – Nie mogła znaleźć niemieckich słów, dzięki którym mogłaby się jakoś wytłumaczyć.

– Cieszymy się, kochaniutka, że przyjechałaś. Pani Rozalia bardzo cię chwaliła. Podobno umiesz dobrze gotować, co bardzo mnie cieszy, bo ja, jak widzisz, mam kłopot, aby sięgnąć do najwyższych szafek. – Maraike wskazała palcem na swój wózek.

Julita się zawstydziała.

– To się okaże, czy taka ze mnie świetna kucharka. W każdym razie będę się starała, aby państwu smakowało. Mogę zacząć już zaraz. Przygotuję jakąś kolację, jeśli państwo pozwolą. – Zaczęła pospiesznie rozpinać płaszcz, gotowa rzucić się

w wir pracy.

– Spokojnie, spokojnie! Pani Julito, dopiero pani weszła. Proszę najpierw usiąść, rozgościć się w miejscu, które, mamy nadzieję, stanie się pani nowym domem – uspokoił ją Andreas.

Odetchnęła z ulgą i usiadła przy wielkim, prostokątnym stole, zdolnym pomieścić przynajmniej dwanaście osób. Po chwili stanęła przed nią filiżanka świeżo zaparzonej herbaty. Umoczyła usta, rozkoszując się jej aromatem. Andreas przejął obowiązki gospodarza. Wyciągnął z lodówki pokrojone wcześniej wędliny, żółty ser, ogórki i pomidory. Była w tym domu zaledwie chwilkę, a już poczuła się swobodnie. Kiedy się najadła i napiła, emocje trochę opadły.

Państwo Witt okazali się bardzo miłymi ludźmi. Przyznali, że denerwowali się jej przyjazdem. Do tej pory radzili sobie sami, korzystając jedynie z pomocy przyjaciół i rodziny. Jednak od pewnego czasu codzienność zaczęła ich przerastać i uznali, że czas najwyższy poprosić o pomoc w szerszym zakresie. Andreas z żoną wpadli na pomysł, aby zatrudnić opiekunkę z Polski. Agnes, żona Andreasa, wynalazła polską firmę delegującą opiekunki do pracy w Niemczech i tak oto Julita trafiła do tego domu.

W dalszej części rozmowy ustalono, na czym będą polegały obowiązki Julity, co pokryło się z informacjami, które otrzymała od Rozalii. Została wypytana o rodzinę, dzieci i plany na przyszłość. Kiedy powiedziała o rozwodzie, starsi państwo się zasmucili. Siedząca w jej pobliżu Maraike odruchowo położyła swoją pomarszczoną dłoń na dłoni Julity, przez ciało której przeszedł dreszcz. Gest starszej kobiety przywołał wspomnienie jej własnej matki, za którą tak bardzo tęskniła.

– W Polsce mówi się, że gdy się chce rozbawić Boga, trzeba mu opowiedzieć o swoich planach – odpowiedziała na pytanie o swoją przyszłość, po chwili zastanowienia dodając, że chciałaby tylko, aby jej życie się ustabilizowało.

Dłoń Maraike zacisnęła się na jej dłoni.

– Mamy nadzieję, że odnajdziesz spokój pod naszym dachem, moje dziecko. Jesteś jeszcze bardzo młoda i wszystko możesz sobie poukładać – rzekła z przekonaniem w głosie, w które nie sposób było nie uwierzyć.

Wzrok Haralda, skierowany na Maraike, wyrażał miłość bezwarunkową, o jaką tak trudno między mężczyzną a kobietą.

Podziękowała za wszystko, dziwiąc się sobie, iż stać ją było na taką wylewność. Zastanawiała się, co spowodowało jej ufność wobec tych ludzi. Odpowiedź była tylko jedna: oni ją akceptowali. Aprobata płynąca z oczu, które niejedno w życiu widziały, była tym, czego Julicie najbardziej było potrzeba.

Pokój Julity urządzony był schludnie i bez zbędnego przepychu. Na środku stało szerokie łóżko, mogące pomieścić przynajmniej trzy Julity. Pod oknem ustawiono duże drewniane biurko, a na ścianie po lewej stronie stała szafa. Przeważały jasne barwy, dające wrażenie nieskazitelnej czystości. Obok pokoju umiejscowiono łazienkę tylko do jej dyspozycji. Takiego luksusu nie zaznała nigdy w życiu i nie mieściło się to nawet w sferze jej marzeń. Kiedy pierwszy raz położyła się w wannie pełnej piany, poczuła się po prostu szczęśliwa. Po raz pierwszy od dawna. Czyżby los chciał jej wynagrodzić całe zło, którego doświadczyła?

Po kąpieli wskoczyła w ulubioną piżamę i położyła się w pachnącej świeżością pościeli. Postanowiła zatelefonować do Polski.

– Wreszcie dzwonisz! Odchodzimy tu od zmysłów. Dzwoniłam kilka razy, ale jak zwykle nie odbierałaś. – Usłyszała zaniepokojony głos Eli.

– Przepraszam. Wiem, że miałam dać znać, jak tylko dojadę, ale wszystko działa się tak szybko, że zupełnie zapomniałam – tłumaczyła się przyjaciółce.

– Opowiadaj szybko. Jak jest?

– Lepiej ty mi powiedz jak u was? Jak dzieci? Wszystko w porządku?

– Tak, wszystko OK. Nie martw się. Kamila maluje, a Marcin... nie wiem w sumie, co robi. Zamknął się u siebie. No, opowiadaj, bo umieram z ciekawości.

Julita opowiedziała jej pokrótce wydarzenia ostatnich kilku godzin.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę. Widzisz? Mówiłam, że wszystko będzie dobrze. Fantastycznie, że się zdecydowałaś. Teraz to już z pewnością wszystko się poukłada. Poznasz tam jakiegoś przystojnego Helmuta albo Hansa i będziesz żyła długo i szczęśliwie.

Wizja roztoczona przez Elę, chociaż przepełniona optymizmem, nie brzmiała zbyt sensownie. W jej wieku trudno było o samotnego Helmuta albo Hansa.

– Ty mi lepiej powiedz, jak Łukasz?

W słuchawce nastąpiła cisza, choć – nie wiedzieć czemu – zwiastująca coś pozytywnego.

– Jesteś tam?

– Jestem, jestem.

– To opowiadaj.

– Byliśmy dzisiaj razem w kinie.

– W kinie czy na filmie?

– A jest jakaś różnica? – zdziwiła się Ela.

– Oczywiście, że jest. Na film chodzi się po to, aby oglądać, a do kina, aby się całować.

– To byłam w kinie – wycedziła nieco ciszej.

– Wiedziałam! – krzyknęła Julita, zrywając się na równe nogi. – Wiedziałam, wiedziałam! No i jak było? Kiedy kolacja ze śniadaniem? Umówiłaś się już? To świetna wiadomość. Los nam sprzyja, moja droga. Ja mam pracę, ty masz faceta i lada chwila pożegnasz się ze swoją cnotą. Bardzo dobrze! – Klasnęła w ręce, czując się jak nastolatka.

Nie podejrzewała, że po drugiej stronie Elżbieta nerwowo obgryzała paznokcie, zastanawiając się, czy dobrze robi.

– Nie cieszysz się?

– Jasne, że się cieszę, tylko trochę się obawiam. Wiesz, te jego dzieci i te alimenty... To lekkoduch, Juli. Co będzie, jak się zakocham?

Faktycznie, tego Julita nie przemyślała. Z jednej strony bardzo chciała, aby jej przyjaciółka straciła wreszcie dziewictwo, a z drugiej obawiała się, że ktoś mógłby ją zranić. Kalkulując na szybko sytuację, postanowiła podnieść Elę na duchu, tak jak to zwykle ona robiła z nią.

– Coś ci powiem, Ela. Zawsze to ty jesteś tą mądrzejszą i tą, która mi radzi. Czas chyba zamienić się rolami, choćby na chwilę. Nie możesz zakładać niczego z góry. Ciągłe czegoś się w życiu bałyśmy i w tym strachu przeżyłyśmy zbyt wiele lat. Myślisz, że to jest dobre? Może i wyświechtane to powiedzenie, że kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana, ale jakże tutaj odpowiednie, prawda?

Ela ssała palec, krwawiący po wygryzionej w nerwach skórcie przy paznokciu.

– Tak bardzo się boję...

– Wiem.

– A to będzie bolało?

– Nic nie będzie bolało. Przestań panikować. Facet, który ma trójkę dzieci, raczej się zna na rzeczy.

– Tak myślisz?

– Jestem tego pewna.

– Niby skąd? Przecież nie masz porównania.

Faktycznie, nie miała porównania. Celna uwaga Eli zbiła ją lekko z tropu. Na szczęście w porę się ocknęła.

– Czytałam. Zresztą nieważne skąd. Ela, ja wierzę, że jeszcze wszystko będzie dobrze. Obu się nam ułoży. Zobaczysz! Patrząc na tych ludzi, odzyskałam wiarę w miłość między mężczyzną a kobietą. Może nie stworzymy już rodzin z gromadką dzieci, ale nikt nie powiedział, że nie zasługujemy na kawałek szczęścia, prawda?

– Masz rację. Dziękuję. Wiesz, mam wrażenie, że to wszystko, co się stało w ostatnich miesiącach, tylko wzmocniło naszą przyjaźń. Stałaś się inna, czuję, że i ja mogę na tobie polegać.

Julicie zrobiło się ciepło na sercu.

– To wszystko dzięki tobie. Dziękuję ci, przyjaciółko.

– Ja tobie bardziej.

Po wymianie uprzejmości i uronieniu kilku łez wzruszenia pożegnały się, obiecując sobie codzienny, chociażby internetowy kontakt. Julita poprosiła jeszcze o rozmowę z dziećmi. Chociaż nie trwała ona tak długo, jak ta z Elą, wystarczyła, aby poczuć falę spokoju spływającego na nią za sprawą głosów własnych pociech. Cieszyła się, że zostawiła je w dobrych rękach.

Euforia związana z pobytem w nowym miejscu trwała jeszcze przez prawie dwa tygodnie. Dobrodziejstwa dwudziestego pierwszego wieku sprawiły, że zagraniczny wyjazd Julity nie był nacechowany przeraźliwą tęsknotą. Kiedy tylko chciała, mogła zobaczyć swoich bliskich za pomocą aplikacji, którą Andreas zainstalował w jej smartfonie.

Wszystko stopniowo się normowało, a jej nowe życie dość szybko zaczęło przypominać ulubioną rutynę. Każdego dnia wstawała o piątej nad ranem, aby bez przeszkód oddawać się codziennym medytacjom. Dzięki temu jej życiowa energia utrzymywała się na doskonałym poziomie. Medytacje pobudzały umysł i siłę woli, a śpiewane mantry dodawały optymizmu. Poranki z samą sobą stały się jej nawykiem, bez którego czuła, że dzień jest niekompletny. Praca, chociaż wdzięczna, okazała się trudna. Patrząc na ułomności starzejącego się ludzkiego ciała, nieraz oddawała się refleksji nad sensem życia.

Rano zawsze pomagała Mareike przy porannej toalecie. Kobieta ważyła sporo, zatem dźwignięcie jej było nie lada wyzwaniem. Kiedy już zasiadali do śniadania, Julita czuła się, jakby właśnie wykonała poranną gimnastykę. Wdzięczność, jaką okazywała starsza kobieta, była największym podziękowaniem. Harald na szczęście nie potrzebował dużej pomocy. Wystarczyło tylko przypomnieć mu, aby umył zęby, założył czystą bieliznę. Wszystkie te obowiązki były dla Julity kompletną nowością. Do tej pory oczywiście opiekowała się innymi, ale były to jej własne dzieci i najbliższa rodzina. Zajmowanie się obcymi ludźmi w początkowej fazie nacechowane było potężną dawką barier związanych ze wstydem, które musiała pokonać zarówno ona, jak i państwo Witt.

Minął zaledwie tydzień jej pobytu pod dachem tych przemiłych starszych ludzi, kiedy to Mareike dopadł straszny wirus. Biedna męczyła się okrutnie, cierpiąc na ostre dolegliwości gastryczne. Julicie trzęsły się ręce, kiedy po raz kolejny w trakcie nocy przebierała i myła starszą panią, wijącą się z bólu i cierpiącą z powodu ograniczeń, jakimi uraczyło ją własne ciało. Fetor ludzkich odchodów roznosił się po

całym domu i mogłoby się wydawać, że ta noc będzie pierwszą, w której Julita pożałuje, że zgodziła się pracować w ten sposób, lecz stało się wprost przeciwnie. Kiedy po fatalnej nocy nadszedł poranek, Mareike wodziła za Julitą wdzięcznymi oczami, co chwila dziękując za okazane jej wsparcie. Harald próbował wynagrodzić swojej pracownicy nieprzespaną noc, wciskając jej do kieszeni banknoty. Nie przyjęła ich, tłumacząc, że wykonywała jedynie swoją pracę.

Wystarczyło więc kilka dni, aby starsi ludzie zakochali się w swojej opiekunce. Czuła się dobrze w ich domu. Wszystko, co przygotowała do jedzenia, pochłaniane było z wdzięcznością. Nikt nie narzekał, że za słone, za słodkie, za rzadkie czy za gęste. Po prostu jedzono posiłki, przed każdym z nich odmawiając modlitwę. To również było dla Julity nowością. Kiedyś próbowała wprowadzić taki zwyczaj w swojej rodzinie, lecz została wyśmiana. Gerard skwitował to jednym zdaniem: „Zapierdalam, to mam na jedzenie. Nikomu nie będę za to dziękował. To mnie powinniście dziękować, że w brzuchu wam nie burczy”. Nie próbowała mu wtedy tłumaczyć, że zdolność do pracy nie jest sprawą oczywistą i za to też powinien być wdzięczny. Wtedy nie miała odwagi ani siły i chęci też jej brakowało. Powiedzenie „z kim przestajesz, takim się stajesz” nabierało tu ogromnego znaczenia. Przebywając z Gerardem, była taka jak on. Smutna, zgorzkniała i niepotrafiąca sobie radzić z rzeczywistością. Teraz, kiedy była z dala od niego, wszystko się zmieniło. Okazało się, że nie jest tak, jak twierdził. Potrafiła sobie radzić w trudnych i z pozoru stresujących sytuacjach. Ona – Julita Snarska – czuła się wyróżniona, bo służyć drugiemu człowiekowi to jak służyć samemu Bogu. Wiedziała, że to, co z siebie daje, wróci do niej po stokroć. Nic w przyrodzie nie ginie – tego była pewna.

Coraz lepiej radziła sobie z obowiązkami. Wypracowały z Maraike taką kombinację ruchów, która ułatwiała im obu poranną toaletę. Starsza pani starała się współpracować, co bardzo Julicie odpowiadało. Wyobrażenie o pracy opiekunki okazało się totalnie różne od rzeczywistości.

Nieoczekiwanie w codzienności Julity zaczęły pojawiać się koleżanki, z którymi dotychczas nie miała żadnego kontaktu. Dowiedziawszy się, że pracuje za granicą, próbowały prosić ją o pomoc w znalezieniu podobnego zatrudnienia. Wszystkie odsyłała do Rozalii, która dokonując wstępnej selekcji, z kilkunastu wybrała jedną. Szczęśliwa wybranka musiała pochwalić się gdzieś zarobkami, bo nagle z każdej strony zaczynały spływać do Julity prośby o pożyczki. Na początku grzecznie odmawiała, tłumacząc, że ma sporo wydatków. Tak naprawdę w Polsce nie miała nawet dachu nad głową i gdyby nie wielkie serce Eli, przy dobrych wiatrach wylądowałyby w jakimś przytułku albo i nawet pod mostem. W końcu nabrała

odporności i po prostu przestała odpowiadać. Życzliwi donieśli, że „poprzewracało jej się w dupie” od tego euro i że „struga wielką damę”. Dziwiła się, jak to łatwo ludziom wydawać opinię o innych. Ciekawe, czy byliby zdolni do przekraczania granic, które ona forsowała codziennie, aby to pożądane przez nich euro zarobić.

Każdy dzień do złudzenia przypominał poprzedni: pobudka, medytacje, poranna toaleta, śniadanie, spacer, obiad, drzemka, kolacja, wieczorny telefon do Polski i... wszystko od nowa. Kiedy starsi państwo udawali się na poobiednią drzemkę, miała chwilę dla siebie. Wsiadała wtedy na rower i zwiedzała okolicę. Niestety, wszędzie było daleko. Dom jej podopiecznych umiejscowiony był na obrzeżach Norymbergi, przez co nic nie wyszło z planów picia kawy w kafejkach. Nie narzekała. Cieszyła się, że jej skarbonka coraz bardziej pęcznieje i wizualizowała sobie wypad na zakupy, na które uda się tuż po powrocie.

Kiedy wracała z przejażdżki, starsi państwo akurat się budzili. Parzyła herbatę i zasiadali do gry w rummy. Nie mogła się nadziwić, jak bystry umysł uchował się w głowie pana Haralda. Siedział cichutko w skupieniu i zawsze, kiedy już myślała, że tym razem wygra, on nagle wykladał ciąg liczb, zmiatając całą pulę. Mimo starań i byciu czujną rzadko udawało jej się wygrywać. O ile nikomu nie dokuczały różnego pochodzenia bóle, popołudnia mijały w isticie sielskiej atmosferze. Ci ludzie byli jak dzieci – totalnie oddani i wdzięczni. Jak nabroili, spuszczaali głowę i potrafili przeprosić. Pokora, jaką nosili w sobie, była godna podziwu. Patrząc na nich, Julita zastanawiała się, czy nie jest zbyt zuchwała w swoich marzeniach i oczekiwaniach wobec życia. Może nie powinna mieć ich wcale? Człowiek, który ma oczekiwania, przyjmuje na siebie ryzyko rozczarowań. Uczyła się od państwa Wittów tych oczekiwań nie mieć. Przypomniała sobie, jak często marnowała czas jej dany. Miotaa się z kąta w kąt, nie wiedząc, co z nim zrobić. Roztkliwiała się nad swoim życiem i nad tym, co przeżyła. Przy Maraike i Haraldzie spostrzegła, że jej zachowanie było zbyt egoistyczne. Czy nie powinna dziękować za każdy dzień? Momentami czuła się emocjonalnie popaprana, cokolwiek to popapranie miałoby oznaczać. Przecież wszystko układało się dobrze. Miała co jeść, miała pracę, zdrowe dzieci. Rozwód był już za nią i nawet w miarę zdążyła się z nim oswoić. Czasami jednak dopadały ją myśli, że tak wiele straciła...

Pewnego dnia, widząc jej roztargnienie, Mareike zaczęła dopytywać:

– Pani Julito, czy wszystko w porządku? Wygląda pani na zmartwioną.

Oderwała Julitę od prasowania, które należało do obowiązków kobiety sprzątajacej dom. Julita zabrała się za nie, ponieważ nie mogła sobie poradzić z gonitwą własnych myśli.

– Tak, wszystko w porządku – skłamała, naiwnie sądząc, że na tym skończy się

rozmowa.

Mareike siedziała na wózku i przyglądała się dynamicznie przesuwanej po desce żelazku, pod którym płócienny obrus stawał się idealnie gładki. Wodziła wzrokiem raz w prawo, raz w lewo i ewidentnie nad czymś się zastanawiała.

– Pani Mareike, potrzebuje pani pomocy? W każdej chwili mogę przestać.

– Dziękuję, moje dziecko. Mam wszystko, czego mi potrzeba. Kiedy jesteś obok, czuję się spokojna. Dzisiaj jednak zauważyłam, że jesteś jakaś nieobecna. Dlatego tak ci się przyglądam. Powiedz, o co chodzi. Będzie ci lżej.

Prostota, z jaką Mareike wyraziła myśl, urzekła Julitę. Ta kobieta nie udawała, nie owijała w bawełnę, nie bładziła dookoła, aby wreszcie dotrzeć do sedna sprawy. Jej życiowe doświadczenie zdecydowanie miało przewagę nad umiejętnością konspiracji, tak często przypisywaną ludziom młodym.

– Ma pani rację. Jestem trochę smutna... – zaczęła mówić.

– Opowiedz mi o tym, we dwie coś zaradzimy. Tobie ulży, a ja poczuję się potrzebna. Ciało mam stare, ale umysł całkiem sprawny. Obie możemy sobie pomóc, moje dziecko.

– Dziękuję pani bardzo. Nie wiem, czy znajdę niemieckie słowa, aby wyrazić to, co mnie martwi.

– Jestem pewna, że znajdziesz. Mówisz doskonale w naszym języku. Poza tym mamy przecież czas. Chyba nie wybierasz się nigdzie, prawda? Nasza rozmowa może trwać nawet kilka dni. – Roześmiały się obie.

Julita odłożyła żelazko, złożyła deskę i usiadła na krześle, nieopodal wózka Mareike.

– Dziękuję.

– Podziękujesz, jak będzie za co. Na razie nic jeszcze nie powiedziałaś.

Sam fakt, że seniorka zainteresowała się jej samopoczuciem, wydawał się wyróżnieniem. Była przecież tylko opiekunką. Zupełnie nie zdawała sobie sprawy, że jest AŻ opiekunką, a jej obecność w tym domu jest błogosławieństwem.

– Chodzi o to, że ja bardzo się staram myśleć pozytywnie. Każdego dnia wstaję rano, aby medytować. Uśmiecham się do lustra i wyznaję sobie miłość.

– To piękne. Miłość do siebie jest miłością na całe życie. To najlepsze, co możemy sobie podarować.

Trudno było się nie zgodzić z tymi słowami.

– Tyle że ja to robię, a nie mam pewności, czy tak naprawdę jest. Mówię sobie, że siebie kocham, a... Ech... trudna ta miłość.

– Zgadza się. Miłość do siebie odarta jest z wyobrażeń. Czarno na białym widzimy swoje ułomności. Nie mamy szansy przed nimi uciec. Wszystko trzeba

w sobie przepracować. A ty pracujesz nad sobą, przecież widzę. Samo to, że pochylasz się nad własną osobą, już jest sukcesem.

– Ale ja ciągle rozpamiętuję to, co było. Myślę o swoim małżeństwie. Czytałam, że człowiek ma szansę zapanować nad myślami i emocjami, więc ciągle próbuję to zrobić. Tyle że to strasznie trudne. Ciągle czytam i czytam, a im więcej czytam, tym jestem głupsza. – Z trudem dobierała niemieckie słowa.

– Pomyśl o tym, co będzie, kiedy już osiągniesz to, o czym marzysz. Nie zastanawiaj się nad tym, że coś jest trudne. Trudne jest zawsze na początku. Później, w miarę upływu czasu wszystko staje się o wiele łatwiejsze.

Mareike na wszystko miała odpowiedź. Słowa płynące z jej ust wydobywały się stamtąd z niebywałą lekkością. Tak jakby mieszkały w niej od zawsze i tylko od czasu do czasu wychodziły na spacer po to, aby ukoić swym brzmieniem będące w potrzebie ludzkie uszy. Do oczu Julity napłynęły łzy. Chciałaby tak wiele powiedzieć i tak wiele wysłuchać z tego, co miała do powiedzenia ta mądra kobieta. Tylko bała się, że nie będzie umiała się wysłowić.

– Nie bój się, że dzieli nas bariera językowa. Gdy dwie osoby chcą się dogadać, zawsze tak się stanie.

Czyżby ktoś tu czytał w jej myślach? Podniosła wzrok, zawieszając go na pomarszczonym czole rozmówcy.

– Tak jak powiedziałam... Mamy czas, dopóki tu jesteś i dopóki dobry Bóg mnie pozwala być tutaj.

Ostatnio często myślała o upływającym czasie. Rozpaczała, że wszystko, co najlepsze, dawno ma za sobą. Uważała się za starą, a tak naprawdę jej wiek można było śmiało pomnożyć przez dwa, dodać jeszcze trochę i dopiero wtedy osiągnęłoby się wiek Mareike. Zrobiło jej się głupio.

– Widzi pani, bo ja czasami myślę, że nie mam już szans na taką miłość, jaką widzę w waszym domu. – Spuściła głowę. – Mam za sobą nieudane małżeństwo i choćbym nie wiem jak bardzo pragnęła stworzyć nową rodzinę, to na wiele rzeczy jest po prostu za późno.

Mareike słuchała uważnie, nawet nie mrugając.

– Na co według ciebie jest za późno?

– Chociażby na rodzenie dzieci.

Staruszka uśmiechnęła się, jakby jej wyobraźnia wyświeślała właśnie nieskazitelnie optymistyczny obraz. Wyraz jej twarzy nie pasował do smutku wyrażonego w wypowiedzi Julity. Po chwili poruszyła głowę, jakby obudziła się z głębokiego snu.

– Mylisz się, Juli.

Do tej pory owo „Juli” zarezerwowane było tylko dla najbliższych. Czyżby staruszka stawiała się jej bliska? Czy też może użyła zdrobnienia, aby zapobiec łamaniu języka na obco brzmiącym imieniu?

– Kiedy wyszłam za Haralda, planowaliśmy, że będziemy mieli dwoje dzieci – chłopca i dziewczynkę. Mówi się, że człowiek planuje, a Stwórca krzyżuje. Tak też było w naszym wypadku. Po urodzeniu dwóch synów dałam sobie jeszcze jedną szansę. Pomyślałam: „do trzech razy sztuka” i...

– Urodził się trzeci syn – skwitowała Julita.

– Dokładnie tak. Przy trójce dzieci było tyle zajęć, że ledwo się z wszystkim wyrabiałam. Kiedy byli mali, wydawało mi się, że jak podrosną, będę miała więcej czasu, bo sami się sobą zajmą. Jakże naiwne były moje wyobrażenia... Chłopcy urosli, a wraz z nimi urosły potrzeby. Do południa zajmowałam się praniem, sprzątaniami, gotowaniem, a po południu stawałam się szoferem i woziłam moich nicponi w tę i w tę na wszystkie zajęcia. Dyktowały rytm mojego życia. Przestałam przyglądać się córeczkom koleżanek, przestałam marzyć, że kiedyś i ja będę mamą dziewczynki. Uznałam, że nie wszystko w życiu można mieć, a trzeba być wdzięcznym, za to, co się dostało od losu.

– Ale państwo chyba mają pięcioro dzieci? I z tego, co mi wiadomo, to...

– Otóż to, moja droga! – Jej oczy błysnęły iskrą entuzjazmu. Zaciśnięta jej i ponownie otworzyła, aby otrzeć łzy wzruszenia.

Julita wierciła się na krześle, ciekawa dalszej części opowieści.

– Zbliżały się moje czterdzieste drugie urodziny. Harald wykupił nam wycieczkę do Polski. Zawsze chciałam zobaczyć Szczecin, Gdańsk, Warszawę, Kraków.

– Naprawdę? – zdziwiła się Julita.

– Moja babka ma polskie korzenie. Stąd to zamiłowanie do Polaków.

Julita dopiero teraz zrozumiała życzliwe nastawienie do swojej osoby, tak sprzeczne z panującą powszechnie opinią na temat niechęci do siebie tych dwóch narodów.

– Teściowa zajmowała się chłopcami, a my wyruszyliśmy w pierwszą samotną wędrowną podróż po Polsce. Oj, jakże to przepiękny kraj – westchnęła. – Kiedy zamykam oczy, widzę szczecińskie Wały Chrobrego, warszawskie Łazienki, krakowski Wawel, gdańską starówkę.

Julita rozumiała zachwyty staruszki nad pięknymi miejscami, ale nie rozumiała, co wspólnego miała wyprawa do jej ojczystego kraju z opowieścią. Starowała się jednak nie okazywać zniecierpliwienia. Przecież miały czas...

– Widzisz, kiedy wróciliśmy z naszej podróży, spóźniła mi się miesięczka. Pierwsze, o czym pomyślałam, było przekwitanie. Jesień życia przecież prędzej czy

później dopadnie każdego. Nawet nie wiesz, jakie było moje zdziwienie, gdy pan doktor oznajmił mi radosną nowinę.

– Naprawdę? Miała pani czterdzieści dwa lata, gdy zaszła w ciążę?

Kiedy Mareike kiwnęła głową, do pokoju wszedł Harald. Najwyraźniej podsłuchiwał rozmowę kobiet. Wydawał się onieśmielony tym, że żona zdradza intymne szczegóły ich małżeńskiego pożycia. Jednak zauważywszy jej radość, nie powiedział nic, tylko ucałował jej srebrną czuprynę.

– Kilka miesięcy później urodziły się nasze dziewczynki.

– Bliźniaczki? – Julita otworzyła szerzej oczy ze zdziwienia.

Starsi państwo bardzo się ożywili. Miała przed sobą namacalny dowód na to, że w życiu wszystko jest możliwe. Przyglądając się im, zrozumiała, że wybieranie się na emocjonalne wycieczki po przeszłości nie wnosi do jej życia nic dobrego. Strach przed tym, co się wydarzy, także wydawał się paraliżujący. Uznała, że powinna bardziej popracować nad byciem tu i teraz, które tak szybko umykało, niemalże niepostrzeżenie.

Popołudnie minęło tak, jak zwykle. Zjedli podwieczorek, pograli w rummy, zjedli kolację. Cisza i spokój pieściły uszy i serca całej trójki. Julita ewidentnie przechodziła swoją metamorfozę na płaszczyźnie emocjonalnej. Czyżby pewina łącząca jej terażniejszość z przeżytych małżeństwem zaczynała się stopniowo nadrywać? O niczym innym nie marzyła, jak tylko o tym, by uwolnić się od stereotypów i uprzedzeń. Wszystko wskazywało na to, że jest na dobrej drodze.

8. Metamorfoza bluszczu

Istnieją dwa typy kobiet bluszczów. Pierwsze z nich, udające zagubione istoty, zarzucają na zaradnego i ustawionego finansowo mężczyznę sieć swojego uroku, po czym wiodą sielskie życie wśród materialnych wygod, cały czas grając rolę nieporadnych. Leżą, pachną i są – po prostu. Drugim typem kobiet bluszczów są kobiety o niskim poczuciu własnej wartości, którymi łatwo jest sterować. Takich kobiet szukają mężczyźni oczekujący bezwzględного posłuszeństwa od płci przeciwnej.

Julita słuchała wywodu pewnego słynnego niemieckiego psychologa, który mówił o jakże znajomym aspekcie jej życia. Nie rozumiała wszystkich słów, lecz wyłapała kontekst. O ile byłaby szczęśliwsza, gdyby nie zrozumiała nic! Wściekła, wyłączyła telewizor i udała się do swojego pokoju. Rzuciła się na kanapę i próbowała zapomnieć usłyszane przed chwilą słowa. Podstępny umysł niczym bumerang zawracał je z powrotem. Nałożyła na głowę poduszkę, próbując tym gestem odpędzić „wroga”. Niestety, nie było to takie proste, przyznać przed sobą, że było się taką kobietą... Zadzwoiła do Eli i opowiedziała jej całą sytuację.

– Nie rozumiem do końca twoich rozterek, Julita. – Ela wydawała się rozanielona, co nie umknęło uwagi przyjaciółki.

– Czego tu nie rozumieć? Byłam takim bluszczem, Ela. Pozwalałam się lepić Gerardowi na wszystkie możliwe sposoby. Ten niemiecki psycholog mi to uświadomił. Rety, jaka ja byłam głupia! – emocjonowała się, gestykulując z takim rozmachem, iż sam jej były mąż mógłby się od niej uczyć.

Ela ziewnęła.

– Przepraszam bardzo, czy ja przynudzam?

Ela ziewnęła ponownie.

– Co? Nie, nie. No coś ty, nie przynudzasz. Po prostu uważam, że znowu niepotrzebnie się denerwujesz. Chyba masz tam za dużo czasu na myślenie.

Julita nerwowo rzuciła poduszką o podłogę, rozchylając usta w niemym krzyku. Gdyby tylko mogła, wrzeszczałaby teraz na całe gardło.

– Nie pomogłaś mi.

– W tej kwestii nie możesz oczekiwać pomocy ode mnie. Jedyłą osobą, która może ci pomóc, jesteś ty sama. Przecież już byłaś w miarę ogarnięta. Co się takiego stało? Nie możesz pozwolić, żeby wyprowadzało cię z równowagi paplanie jakiegoś psychologa z telewizora! Poza tym, jak sama słusznie zauważyłaś, BYŁAŚ bluszczem, a nie JESTEŚ bluszczem. Ten etap życia masz już za sobą. Weź się w garść.

„Co racja, to racja” – pomyślała Julita. Nie chciała zbyt szybko chwalić

przyjaciółki za bądź co bądź krzepiącą wypowiedź. Poczuła w sercu bardzo delikatne ukłucie zazdrości. Ela zawsze na wszystko miała dobrą radę. Nawet wyciągnięta z łóżka i zasnana, potrafiła błysnąć inteligencją.

– Słuchaj, a dlaczego tak właściwie ty ziewasz w środku dnia? Nie jesteś w pracy?
– Usłyszała w słuchawce dźwięk do złudzenia przypominający połykanie. – Kawę pijesz?

– Mów ciszej, proszę, jestem trochę niewyspana. Obudziłaś mnie właśnie. I tak, piję kawę.

– Zdziwiasz mnie. Jest poniedziałek, godzina trzynasta, a moja pracowita przyjaciółka, do tej pory niepotrafiąca sobie zrobić wolnego, dopiero wstała z łóżka i spokojnie popija kawę.

– Ludzie się zmieniają, Juli. Wystarczy, abyś spojrzała w lustro. Nie jesteś już bluszczem...

– Mogłabyś przynajmniej spróbować udawać, że nigdy nim nie byłam. Dzięki!

– Mam cię okłamywać? Było, minęło. Daj pożyć, dziewczyno.

Faktycznie, chyba nazbyt rozemocjonowała się tą sytuacją. Dobrze, że zadzwoniła do przyjaciółki. Już sam głos Eli wpływał na nią kojąco, a z tym, co mówiła, trudno się było nie zgodzić. Podniosła poduszkę z podłogi, ułożyła ją na łóżku, wygładzając wierzch. Chciała być spokojna, optymistyczna i pozbawiona zakorzenionych w jej wnętrzu chwastów przeszłości. Westchnęła i wreszcie przyznała Eli rację.

– Dlaczego właściwie jesteś w domu? – zapytała ponownie.

Odpowiedziało jej milczenie, w którym można było wyczuć szczyptę uśmiechu.

– Uśmiechasz się. Czuję to! Opowiadaj.

– Spotkaliśmy się wczoraj. Wiesz, niby zwykła kolacja. Celowo wzięłam sobie dzisiaj wolne... Późno wróciłam.

– Ale jak było? Coś było?

Ela cmoknęła, westchnęła. Kilka razy próbowała zacząć zdanie, lecz jakoś jej się nie udawało.

– Ela, co się dzieje? Mów, bo nie wytrzymam.

– Na początku było sztywno. Przyjechał po mnie i jak zobaczył twoje dzieci, to się trochę zdziwił. Musiałam mu wytłumaczyć, że jestem tymczasową nianią dwojga wyrosniętych pociech.

– Biorąc pod uwagę, że sam ma trójkę dzieci rozsianych po świecie, to chyba nic nie powinno go dziwić, nie uważasz?

Roześmiały się serdecznie. Piękne w ich przyjaźni było to, że potrafiły płynnie ślizgać się po wszystkich życiowych tematach.

– Później pojechaliśmy do jakiejś tajskiej knajpy. Sam wybrał miejsce, bo ja

zachowywałam się jak poparzona. Nie wiem dlaczego, ale bardzo mnie onieśmielał. Jest taki przystojny, ma szelmowski uśmiech i urocze zmarszczki. Swoją drogą, to niesprawiedliwe, że faceci ze zmarszczkami wyglądają seksownie, a my, kobiety, zwalczamy je niczym najbardziej wredne szkodniki.

– To akurat fakt. No, ale mów, co dalej!

– Zjedliśmy coś, czego nazwy nie potrafię ci teraz powtórzyć, ale nawet mi smakowało. Zresztą ja nie jestem przecież wymagająca.

– Akurat!

– No, może trochę. Ale to naprawdę mi smakowało. Rozmowa kleiła się, i to nawet bardzo. Tłumaczył mi wiele spraw. Okazał się fajnym i dojrzałym facetem. To, co mówił, kompletnie nie pasowało do wizerunku gościa posiadającego trójkę dzieci i to każde z inną dziewczyną.

Pierwsze, co przyszło Julicie na myśl, to że ten cały Łukaszek musiał mieć niezłe gadane, skoro udało mu się zawrócić Eli w głowie. To jak mówiła, jak opowiadała, co chwilę się zawieszając, nie świadczyło o niczym innym, jak tylko o tym, że naprawdę jej się podobał. Ton jej głosu brzmiał nad wyraz uroczo, ale też wprowadzał Julitę w stan zaniepokojenia. Oczywiście, że całą sobą pragnęła, by jej przyjaciółka była szczęśliwa, lecz w kwestii związków to ona była ogniwem posiadającym nieco większe doświadczenie, a to podpowiadało jej nic innego, jak typowy damsko-męski rollercoaster.

– Nie cieszysz się? Mówię ci, że było fajnie. Facet okazał się naprawdę miły, więc może... – Przerwała, dając Julicie czas na zastanowienie.

– Oczywiście, że się cieszę.

– Nie brzmisz jak ktoś, kto cieszy się ze szczęścia bliźniego.

– Och, bo takie tam głupoty przyszły mi do głowy. Zupełnie z tobą niezwiązane – próbowała kłamać.

Ela od razu wyczuła fałsz. Zbyt długo się znały, aby dało się jej wcisnąć ciemnotę.

– Wiem, co sobie myślisz i pewnie masz rację, ale...

– Zaraz, zaraz, spokojnie... – tym razem przerwała Julita. – Może i coś tam sobie myślę, ale tak naprawdę wcale nie muszę mieć racji, to po pierwsze, a po drugie, to wciąż uważam, że lepiej jest zaryzykować, coś przeżyć, nawet jeśli miałyby się potem tego żałować, niż pluć sobie w brodę, że się nawet nie spróbowało. Nawet gdyby ten cały Łukasz okazał się zwykłym lowelasem, to masz moje błogosławieństwo. Ciesz się i żyj chwilą. Życie trwa zbyt krótko, aby się nad nim roztkliwiać.

– Kim? Lowelasem? Co to za określenie?

– Ach... kiedyś podsłuchałam od dzieciaków. Chyba od Kamili. – Roześmiały się. Po otrzymanym od przyjaciółki błogosławieństwie Elżbiecie kompletnie

rozwiązał się język. Opowiedziała o tym, jak to zaaferowana urokiem Łukasza, postanowiła na chwilę go opuścić w celu chwilowego ochłonięcia i przysłowiowego przypudrowania noska. Wstała więc od stołu i ruszyła w stronę łazienki. Załatwiwszy bardziej intymne sprawy, wyciągnęła z torebki wściekle różową pomadkę i pomalowała sobie usta. Patrząc na odbicie w lustrze, była naprawdę zadowolona. Pomyślała, że niewiele potrzeba kobiecie, aby nabrała większej pewności siebie. Zadowolona, wróciła na miejsce. Łukasz, jak przystało na prawdziwego dżentelmena, podał jej płaszcz, który zarzuciła na ramiona, po czym wyszli z knajpki. Wiatr rozwiewał jej świeżo umyte i wymodelowane włosy, roznosząc dookoła zapach uwodzicielskich perfum, którymi je spryskała. Wiedziała, że na niego działają.

Kiedy wsiedli do samochodu, przyglądał jej się badawczo, a ona czuła się pięknie i kobieco. Po chwili jednak odniosła wrażenie, że wgapia się w nią dosyć natarczywie, więc zaniepokojona zapytała, czy wszystko jest w porządku. Kiedy usłyszała odpowiedź, od razu pożałowała, że w ogóle otworzyła buzię: „Wiesz, normalnie bym ci tego nie powiedział, ale odniosłem wrażenie, że jesteś perfekcjonistką...”. Zrobiło jej się gorąco. Nerwowo rekonstruowała w myślach przebieg całego wieczoru, doszukując się swoistego faux pas. Usilne starania w tym zakresie spełzły na niczym. Patrzyła na niego w niemym oczekiwaniu, aż wreszcie wydusi z siebie to, co ma do powiedzenia. „Twoja szminka...” – zaczął niepewnie. Nadal nie wiedziała, cóż takiego ma na myśli. Wreszcie wyzwolił ją z objęć niepewności: „Wiatr, rozwiewając twoje włosy, otarł nimi o usta, a one... – Mówiąc to, założył kosmyk za jej ucho. – Masz na policzku różową szramę – zakończył wypowiedź, okraszając ją szelmowskim, obłudnie seksownym uśmiechem”.

Opowiadanie wywołało u Julity salwy śmiechu. Położyła się na łóżku i wierzgała nogami jak mała dziewczynka, rozbawiona do łez perypetiami bohaterów ulubionej kreskówki. Chichotała tak głośno, że Eli trudno było się przez ów chichot przebić.

– Na bank się w tobie zakochał – stwierdziła, kiedy już się nieco uspokoiła.
– Tak, jasne – odparła Ela, usiłując powstrzymać śmiech.
– Śmieję się, przecież to zabawne. Jesteś urocza. Masz prawie czterdzieści lat, a jest w tobie tyle niewinności. Musiał się zakochać, a w najgorszym wypadku przynajmniej zauroczyć. W każdym razie ja bym się w tobie zakochała.

Kawa w kubku Eli zdążyła już prawie ostygnąć, co zachęciło ją do zaparzenia nowej. Usiadła w fotelu, chwyciła kota i zaczęła go głaskać. Historia ze szminką faktycznie była zabawna, a jej przyjemnym skutkiem było to, że Łukasz, używając swojej chusteczki, zmył z jej policzka obiekt zawstydzenia.

– Dobrze, że użył chusteczki. Pamiętasz, jak byliśmy małe, nasze matki zawsze zmywały brud z naszych polików, używając do tego własnej śliny i kciuka. To było

okropne. Docień chłopca i bądź wdzięczna, że zachował się bardziej cywilizowanie.

Łukasz bezsprzecznie miał klasę, a fakt, że nosił przy sobie chusteczki, nie był jedynym, który umiejscawiał go na półce mężczyzn godnych uwagi. Każde kolejne spotkanie Eli z nim udowodniało, że czasem pozory mylą, a mężczyzna ma do zaoferowania nieco więcej niż tylko jurność, która początkowo spędzała Julicie, obawiającej się o los przyjaciółki, sen z powiek.

Metamorfoza bluszczu trwała. Julita zaparła się po raz któryś z kolei. Średnio co kilka dni, w chwilach słabości, dopadało ją zwątpienie. Popłakiwała, ale za każdym razem ocierała łzy, po to, aby wstać i iść naprzód. Bluszczem była przecież już tylko we własnej głowie, terażniejszość pokazywała czarno na białym, że nie jest już tą samą kobietą, co dawniej. Była w Niemczech, obcym kraju, do którego kiedyś nie miałaby odwagi pojechać. Dziś to wszystko się działo, pokazując, że niemożliwe nie istnieje i dopóki bije serce, wszystko może się zdarzyć.

Ela przeżywała okres zauroczenia – myślała tylko o Łukaszu, a wszystko inne zeszło na dalszy plan. Oczywiście dbała jako tako o dom, pomagała jej w tym Kamila, lecz kompletnie rozjechały jej się do tej pory zacieśnione relacje z Marcinem. W zasadzie tylko się mijali. Dostrzegła jedynie tyle, że chłopak wychodził z domu rano i wracał wieczorem. W uszy wciśnięte miał słuchawki, więc nie miała szansy zamienić z nim choćby kilku zdań. Aby uspokoić swoje sumienie, czasami zagadnęła do niego przed śniadaniem, o ile zdążyła go złapać. Odpowiadał zwykle, że wszystko w porządku. Tyle że jakby rzadziej się uśmiechał. Kamila też zaczęła tracić kontakt z bratem i coraz częściej zastanawiała się, czy powiedzieć matce o tym wszystkim, co wiedziała. Z jednej strony coś jej podpowiadało, że powinna, a z drugiej nie chciała jej denerwować. Skutki takiej rozmowy były łatwe do przewidzenia – zapewne zaraz by się spakowała i była z powrotem, a nie o to przecież chodziło. Matce też należało się coś od życia. Kamila miała nadzieję, że trudny temat jakoś sam się rozwiąże. W życiu by nie przewidziała tego, co niebawem miało nastąpić.

9. Julita

Znów piszę pamiętnik. Przelewam na papier wszystkie radości i smutki dnia codziennego. Już nie czuję się z tego powodu winna. Skoro mi pomaga, dlaczego miałabym się tego wstydzić? Czasami mam wrażenie, że jestem jedną wielką chodzącą emocją. Bywam spokojna i zadowolona z życia, które aktualnie wiodę, ale bywam też rozgoryczona i przytłoczona życiem, które mi umknęło. Zaczęłam sobie tłumaczyć, że to wszystko było po coś. Musiałam doświadczyć emocjonalnego upodlenia ze strony człowieka potencjalnie mi najbliższego, abym teraz mogła zacząć podnosić się z kolan i wspinać na szczyt własnych marzeń. Ja, Julita Snarska, chcę wierzyć, że wszystko będzie dobrze. Poradzę sobie i przysięgam, że uczynię wszystko, aby swoim pobytem na tym świecie wywoływać uśmiech na ludzkich twarzach.

Cieszę się, że mogę tutaj być. Praca, którą wykonuję, nie należy do łatwych. Czasami wszystko mnie boli od podnoszenia Mareike. Ostatnio tak bardzo ścisnęła moje ramię, że mam na nim siniaka. Bardzo bolało, ale przecież nie zrobiła tego specjalnie. Przepraszała, a poza tym przecież oni mi za to płacą. Muszę się starać, chcę się starać, by jesień życia tych ludzi była jak najbardziej kolorowa. Dziś upiekę im kurczaka z czosnkiem. Będzie pysznie. Chwałą moją kuchnię jak nikt inny do tej pory. No, może z wyjątkiem małego Jacusia... ale jego już nie ma w moim życiu. Myślę ciepło o rodzinie Gerarda. Brakuje mi ich, szczególnie Marysi, którą uznawałam za przyjaciółkę.

Wiem, że skaczę po wątkach, ale od tego chyba jest pamiętnik, prawda? Aby przelewać na papier wszystkie emocjonalne rozterki i próbować jakoś zapanować nad chaosem myśli.

Tęsknię za dziećmi. Na święta wielkanocne chciałabym im zrobić niespodziankę i pojechać do Polski. Jeszcze dziś spróbuję to wszystko zaplanować.

10. Niespodzianka

Babcia Władzia zawsze powtarzała: „Człowiek planuje, a Bóg krzyżuje” albo: „Człowiek planował, że sobie pierdnie, a wyszła nieco grubsza sprawa” czy też: „Powiedz Bogu o swoich planach, a się z ciebie uśmieje”. Oj, pocziwa to była staruszka i z pewnością pragnęła dla swojej wnuczki wszystkiego, co najlepsze. Dobro ma jednak to do siebie, że każdy rozumie je na swój sposób. Julita, kiedy myślała o planach, przychodziło jej do głowy jedno zdanie: „Spontany są lepsze niż plany”. Jeszcze niedawno nie podejrzewałaby siebie o taką frywolność, ale dziś w stosunku do własnych myśli była odważna.

Od samego rana chodziła wyraźnie podekscytowana powrotem do Polski. Cieszyła się, że wyściska dzieci, napije się kawy z Elą i zaopatrzy się w księgarni w nowe książki. Wszystko, co ze sobą zabrała, pochłonęła podczas długich zimowych wieczorów, a jakoś nie miała przekonania do czytania książek za pomocą przeznaczonych do tego elektronicznych urządzeń. Książka musiała pachnieć papierem. Uwielbiała czuć jej ciężar w rękach i słuchać szelestu przewracanych palcami kartek.

Gdyby tylko mogła, już zaczęłaby pakować walizki. Lubiła swoją pracę, a można było nawet powiedzieć, że pokochała ludzi, którymi się opiekowała. Mareike stała się jej powierniczką i przegadały ze sobą wiele godzin, lecz na myśl o Polsce robiło jej się ciepło na sercu. Pragnęła napić się kawy w kawiarni, w której była na pierwszej randce... ze sobą. Cieszyła się na zakupy, w trakcie których zamierzała puścić w obieg znaczną część zarobionych przez siebie euro. Wizualizowała sobie siebie, biegającą między sklepami i spełniającą zachcianki Kamili. Kiedyś nawet nie śmiała marzyć o takim wypadzie, a dziś wszystko wydawało się takie realne i na wyciągnięcie ręki.

Z zamyślenia wyrwał ją telefon.

– Witaj, Julitko. Jak sobie radzisz? – Rozalia przywitała ją jak zawsze tym samym pytaniem.

Julita również odpowiedziała tak samo, jak zwykle – chwając pracę i nie narzekając na jej trudy. Zawsze taka była. Nawet jak jej się coś nie podobało, potrafiła to ukryć. Oczywiście, że znalazłoby się kilka spraw, na które mogłaby poposioczyć, ale co by to dało? Nie tak dawno obiecała sobie, że resztę podarowanego jej życia spędzi na budowaniu pozytywnej energii. Pilnowała, aby danego sobie słowa dotrzymać.

– Zarezerwowałam ci busa, tak jak chciałaś. Będiesz w Polsce na samiutkie święta wielkanocne. Powiedz mi, proszę, czy masz jakieś specjalne życzenia? Mam może kogoś poinformować?

– Nie! – Julita krzyknęła jak poparzona. Gwałtowna reakcja nie była zbyt

adekwatna do sytuacji. Rozalia aż podskoczyła na swoim fotelu, co dało się wyczuć nawet przez słuchawkę. – Przepraszam, że tak wypaliłam, ale, wiesz... zamierzam zrobić mojej rodzinie niespodziankę. Jestem ci wdzięczna, że zarezerwowałeś mi przejazd na Wielki Piątek.

– Kosztowało mnie to trochę zachodu, ale czego się nie robi dla dobrych pracowników.

Usłyszawszy te słowa, Julita poczerwieniała. Wciąż miała problem z przyjmowaniem komplementów.

– Bardzo ci dziękuję. To dla mnie wiele znaczy.

– Och, już sobie nie dziękujmy. Bus podjedzie po ciebie wieczorem i jak wszystko dobrze pójdzie, będziesz w domu w Wielką Sobotę.

Promienny uśmiech rozlał się na twarzy Julity.

– Przygotuję wszystko do święconki i pójdziemy z Kamilą z koszyczkiem. Ela wspominała, że będzie w pracy. Zaplanowano jej dyżur, więc nie będzie miała do tego głowy. Już widzę jej radość, gdy mnie zobaczy.

– Ja nie lubię niespodzianek. Chyba nie byłoby mnie stać na taką spontaniczność.

– Nie lubisz? – Julita się zdziwiła. – Przecież to miłe, kiedy ktoś robi dla ciebie coś, czego byś się w życiu nie spodziewała.

Rozalia cmoknęła kilka razy, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Nie przekonasz mnie. Sama wiem, co jest dla mnie najlepsze. Kocham rutynę i przewidywalność. Jak ktoś zaburza mi mój plan, od razu staję się nerwowa. Próbowalam z tym walczyć, ale, wiesz, na starość to już trudno o zmianę przyzwyczajzeń. Wolałam siebie zaakceptować. – Roześmiała się serdecznie.

Julita wysłuchiwała Rozalii, ale i tak zamierzała zrobić swoje. Do wyjazdu pozostał tydzień. Postanowiła spędzić go na przyozdabianiu domu państwa Wittów, wprowadzając do niego polskie wielkanocne tradycje. Rozpisała sobie na kartce, co w jaki dzień będzie robić. Mimo że święta zamierzała spędzić daleko od staruszków, zależało jej, by w ich trakcie czuć było w domu jej obecność. Każdego dnia budzili się z wypiekami na twarzach, w oczekiwaniu, co też ich polska opiekunka wymyśliła. Z wielką ochotą angażowali się w prace plastyczne, z których największą frajdę przyniosło im przyozdabianie styropianowych jaj. Bawili się jak dzieci, śmiejąc się i żartobliwie walcząc między sobą o najbardziej błyszczące ozdoby. Kiedy się na nich patrzyło, nasuwał się tylko jeden wniosek – kiedy człowiek ma jakieś zajęcie, całkiem inaczej funkcjonuje, bo po prostu nie ma czasu na użalanie się nad sobą.

Skupiona na pisankach Julita czuła w sercu spokój. Uśmiechała się pod nosem i kompletnie nie przeczuwała, że życie szykuje dla niej inną, kompletnie niepożądaną niespodziankę. Gdyby tylko wiedziała... No, ale gdyby człowiek wiedział, że się

przewróci, toby usiadł.

– Powiedz mi, jak będzie? – Marcin ledwie wydusił z siebie pytanie.

– Jak będzie, jak będzie! A co ja wróżką jestem?

Słowa Tomasza niczym pociski celowały w sam środek serca młodego mężczyzny. Puls przyspieszył mu gwałtownie, smagając nabuzowane wewnątrz cierpkimi biczami. Nie mógł już znieść tej niepewności. Dla niego wszystko było proste – jak się kogoś kocha, walczy się o tę miłość, jest się w stanie wiele dla niej poświęcić. Najwyraźniej Tomasz miał odmienne zdanie.

– Co ty najlepszego narobiłeś? Co ci strzeliło do głowy, aby dzwonić do mojej pracy? Czy ty myślisz, że ja tam składam długopisy i nikt mnie nie zna? Chłopie! Ja zajmuję poważne urzędnicze stanowisko! – Tomasz wrzeszczał, przechadzając się po pokoju w tę i nazad.

Marcin przyglądał mu się z nadzieją w oczach, wierząc, że jeszcze nie wszystko stracone.

– Przepraszam, nie chciałem zrobić ci problemów. Nie odbierałeś ode mnie telefonu, a ja... ja tęskniłem.

– Tęskniłem, tęskniłem! Było, minęło, rozumiesz? Jak mam ci to inaczej wytłumaczyć?

– Mówiłeś, że mnie kochasz.

– Różne rzeczy mówię.

Nastała chwila ciszy. Marcin siedział na taborecie i obejmował dłońmi swoją głowę. Jego szczupłe palce zatopiły się w gęstych, dawno nieobcinanych włosach. Zapuszczał je na prośbę Tomasza.

– Ale to ty, na miłość boską, przekonywałeś mnie, że to wszystko ma sens! – Z trudem panował nad emocjami. – Już zapomniałeś, jaki był nasz początek? Chodziłeś za mną, wydzwaniałeś. Tłumaczyłeś, że ludzie są coraz bardziej tolerancyjni i że damy radę. Kiedy wreszcie ci uwierzyłem i postawiłem na głowie cały swój świat, ty tak po prostu zmieniasz zdanie? Co to, kurwa, ma być?

Tomasz po raz kolejny odrzucił w tył przydługą rudą grzywkę. Zawsze tak robił, kiedy się denerwował.

– Przestań machać tą głową i mi wreszcie odpowiedz!

– Powiedziałem ci już, ale widzę, że do ciebie nie dociera, więc po raz setny ci powtarzam, że nic już między nami nie będzie. Nie ma nas, rozumiesz!? Poza tym bardzo cię proszę, Marcinie, nie używaj w mojej obecności słów na K, dobrze wiesz, jak tego nie znośzę.

– Mam w dupie to, czego ty nie znosisz. Dałem się skopać staremu, abyśmy

wreszcie mogli być razem, i co? Nawet mnie w szpitalu nie odwiedziłeś.

– Powtarzałem ci już, że prezydent miał w tym czasie kampanię. Jestem jego rzecznikiem! Potrzebował mnie. Ile razy mam ci tłumaczyć, że jestem urzędnikiem państwowym. Czy ty wiesz, co oznacza pełnienie takiej funkcji? – Ponownie odrzucił rudą grzywkę w tył.

Marcin wstał z taboretu i skierował swoje kroki w stronę okna. Oparł dłonie o parapet i ciężko oddychał. Szukał w głowie słów, które mogłyby zatrzymać przy nim miłość jego życia.

– Naprawdę będzie lepiej, jak już sobie pójdziesz.

– Proszę cię! – Głos Marcina brzmiał wręcz błagalnie. – Proszę cię, przemyśl to jeszcze. Nie mów, że już nic nie da się zrobić. Między nami było coś cudownego, nie zaprzeczysz przecież. Spędziliśmy razem tyle wspaniałych chwil.

Tomasz znów odrzucił rudą grzywkę w tył. Nerwowo mrugał, poprawiając co chwilę swoje markowe okulary. Marcinowi przypomniały się chwile spędzone przy ich wybieraniu. Uśmiechnął się smutno, nie spuszczać oczu z ukochanego.

– Marcinie, powtórzę ponownie... Chyba będzie lepiej, jak już pójdziesz. Z nami koniec. Jestem rzecznikiem prasowym prezydenta miasta – powtarzał to jak mantrę. – Dobrze wiesz, że gdyby nasz związek wyszedł na jaw, mógłbym stracić pracę. Dzwoniąc do urzędu, zachowałeś się skrajnie nieodpowiedzialnie. Nie mogę pozwolić, aby takie sytuacje w przyszłości się powtórzyły. Ludzie plotkują za moimi plecami, niepotrzebny mi taki rozgłos. Proszę, abyś opuścił moje mieszkanie i nigdy więcej się tu nie pojawiał.

– Naprawdę tego właśnie pragniesz?

– Nie inaczej.

– Mówiłeś, że mnie kochasz! – Marcin powtarzał uparcie to jedno zdanie.

– Kochałem, ale już nie Kocham. Z nami koniec. – Tomasz podszedł do drzwi, otworzył je, wskazując Marcinowi drogę wyjścia.

Chłopak silił się, aby ukryć napływające do oczu łzy. Założył buty i wyszedł, próbując nie patrzeć w stronę Tomasza. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, tamten mógł wreszcie ściągnąć maskę obojętności. Był rozbity tym, co się przed momentem wydarzyło. „Kochać to nie znaczy zawsze być razem” – dopiero teraz zrozumiał sens słów swojej ulubionej piosenki. Nie mógł nic zrobić. Przynajmniej tak mu się wydawało. Ktoś inny zdecydował o końcu jego związku, nie pozwalając na wyjawienie tajemnicy.

Doczekała się upragnionego dnia wyjazdu. Walizkę miała już spakowaną od kilku dni. Kierowca miał przyjechać o piątej nad ranem. Nastawiła budzik na czwartą, ale

i tak wstała, zanim zdążył zadzwonić. Podekscytowana powrotem do domu, nie mogła zmrużyć oka. Krysia – opiekunka, która przyjechała ją zastępować na czas pobytu w Polsce – przygotowała jej na drogę pyszne kanapki. Dostała też herbatę w termosie.

– Bardzo ci dziękuję. Jesteś dla mnie taka miła, choć w zasadzie się nie znamy.

– Nie ma za co. Całe życie opiekowałam się ludźmi. Chyba już taka jestem. –

Kobieta uśmiechnęła się nieśmiało.

– Gdybyś potrzebowała pomocy...

– Wiem, wiem. Mam twój numer i z pewnością będę telefonować.

– Nie odbieraj tego jako pouczenia, po prostu... ja bardzo zżyłam się z tymi ludźmi. Wiem, jakie mają potrzeby, wiem, jak reagować na ich gorsze chwile.

Krysia uśmiechnęła się ciepło. Była wysoką, postawną kobietą. Julita czuła, że zostawia państwa Wittów w dobrych rękach, ale mimo to się denerwowała.

– Absolutnie tego tak nie odbieram. To dobrze o tobie świadczy. W razie potrzeby będę się odzywać – uspokoila Julitę.

– Widzisz... to moja pierwsza poważna praca. Czuję się odpowiedzialna za tych ludzi. Spędziłam z nimi tylko dwa miesiące, a mam wrażenie, jakbym znała ich całe życie. Jest mi dobrze w tym domu i z przyjemnością tu wrócę. Co nie oznacza, że nie cieszę się na wyjazd do Polski. Cieszę się, i to bardzo. Tęsknię za dziećmiakami.

– Och, gdyby tak można było się sklonować – zażartowała Krysia.

Kobiety zaczęły się śmiać. Cudowny nastrój przerwał dźwięk nadchodzącego SMS-a. Julita sięgnęła do kieszeni kurtki, aby go odczytać.

– To od kierowcy. Będzie za pięć minut. Muszę pędzić. Uściskaj, proszę, jeszcze raz Mareike i Haralda. Wczoraj zęgnalam się z nimi kilkanaście razy, ale jeszcze jeden uścisk nie zaszkodzi.

– Uściskam na pewno. Leć już. – Krysia zerknęła w stronę okna.

Damian na widok Julity wysiadł z busa, aby pomóc zapakować do bagażnika dużą walizkę. Oddała mu ją, uśmiechając się przez łzy.

– Płaczesz? – zapytał. – To chyba nie było tak źle, prawda? Skoro żal wyjeżdżać... Widzisz, a tak się martwiłaś.

– Było bardzo dobrze. Z wielką przyjemnością tutaj wrócę. Ale teraz kierunek Polska.

– No, to jedziemy.

– No, to jedziemy – powtórzyła, machając stojącej w oknie Krysi.

11. Ostatni wdech...

Nie pamiętał, jakim cudem udało mu się dotrzeć do domu. „Do domu? – powtórzył w myślach. – Jakiego domu? Ja nie mam domu...”.

– Cześć, brat! Co tam? Zjesz coś? Zrobiłam sałatkę jarzynową. Wiem, wiem, powinnam poczekać do świąt, ale tak bardzo mi się jej chciało, że nie mogłam wytrzymać. – Kamila zajadała, rozplływając się nad smakiem. – Prawie taka, jaką robi mama, tyle że ona chyba dodaje jabłko. – Zmrużyła oczy, gadając sama do siebie.

Marcin zdjął z siebie szarą bluzę, powiesił ją na wieszaku i bez słowa ruszył w kierunku pokoju.

– Ej, buty ściągnij! Ktoś tu zaiwaniał od rana, żeby czysto było.

– Mówiłaś coś? – Spojrzał w stronę siostry niewidzącym wzrokiem.

– No raczej!

– Możesz powtórzyć?

– A ty co? Piłeś?

Nie pił, ale zamierzał to zrobić. W plecaku miał dwie butelki wina marki wino. Tylko na takie było go stać. Nie podzielił się jednak tą wiadomością z siostrą, jeszcze zaczęłyby zadawać dodatkowe pytania.

– Pytałam, czy nałożyć ci sałatki i prosiłam, abyś zdjął buty, bo sprzątałam.

Marcin przeprosił, zdjął zabłocone obuwie i podziękował za jedzenie.

– Jak chcesz, twoja strata – odparła i wróciła do konsumpcji.

– Idę do siebie.

– Wszystko OK? Nie wyglądasz dobrze. Coś nie tak na uczelni? Słuchaj, ja wiem, że przeżywasz to rozstanie z Tomaszem. Mnie nie oszukasz. Może jednak pogadamy, co? – próbowała wciągnąć go w rozmowę.

– Wszystko OK – powtórzył.

Coś jej podpowiadało, że będą z tego problemy. Gdyby tylko zaufała intuicji... gdyby...

Usiadł przy biurku, wyciągnął z szuflady kartkę i zaczął pisać.

Za chwilę to się stanie. Postanowiłem umrzeć. Postanowiłem dać sobie jeszcze jedną, ostatnią szansę, ale niestety... odeszła bezpowrotnie. To nie jest tak, że nie próbowałem. W zasadzie całe życie próbuję walczyć z poczuciem beznadziei.

Czy się boję? Jasne... Tylko idioci nie czują lęku przed śmiercią. Babcia zawsze mówiła, że nie należy się bać. Moja matka też to powtarzała, ale czy sama żyje według tej zasady? No... może teraz próbuje. Kiedyś na pewno nie.

Ja już nie mam ani siły, ani ochoty próbować.

Pierwszy i ostatni raz będę umierał. Pierwszy raz zrobię coś, co być może

wywoła w moim ojcu jakieś uczucia. Kimże jestem?

Moje serce jest spokojne, kiedy piszę te słowa. Jestem pogodzony z tym, że zostało mi może kilka godzin życia. Ostatnie pieniądze wydałem na wino. Jak umierać, to w przyjemnych okolicznościach. Myślę, że nikt nie chciałby żegnać się z tym światem na smutno. Dlatego próbuję się do siebie uśmiechnąć. Patrzę na nóż. Już jakiś czas temu przyniosłem go do pokoju. Matka go szukała. Nie znalazła, kupiła nowy. Ja już wtedy miałem plan.

Piję wino z butelki. Robi się mi przyjemnie błogo. Może powinienem się pomodlić za swoją duszę? Tylko czy Bóg słucha samobójców? Ilu jest ludzi myślących o śmierci i próbujących wtedy rozmawiać z Bogiem? Pieprzone statystyki! Od momentu urodzenia jesteśmy tylko nic nieznaczącą liczbą, którą trzeba do czegoś przyporządkować. Ja dziś, już za chwilę, za moment, zasile statystyki samobójców. Tych, którym się udało przez moment skupić na sobie uwagę świata.

Któż traktuje nasze życie poważnie? No, może nasze matki. Tylko jej mi szkoda, ale... nie można przecież wszystkich zadowolić.

Wypiłem już prawie całe wino. Może powinienem położyć się do wanny? Lubię ciepłe kąpiele. Nie... nie zrobię tego. Po co mają mnie później oglądać nago.

Pierwsza żyła... trach... nic nie boli... tylko tryska przeokropnie. Już nie mogę nawet pisać. Zatem pozostają mi myśli...

To nie Twoja wina, mamo.

Tato, wybacz, że nie jestem tym, kim chciałbyś mnie widzieć.

Siostro... żyj dobrze. Po prostu. Tak jak dotychczas.

Serce wali mi jak oszalałe. Może jednak powinienem żyć? Zamykam oczy. Już za późno na takie rozważania. Umieram.

– Jesteśmy na miejscu!

Julita otworzyła oczy. Na widok domu Eli serce zabiło jej szybciej. Od momentu przebudzenia do zyskania gotowości do działania człowiek zwykle potrzebuje chwili łagodnego przejścia, jej to nie było potrzebne. Myśl, że za chwilę uściska swoich bliskich, dodawała jej adrenaliny. Po wyjściu z busa miała ochotę zacząć całować polską ziemię, niczym papież. Uśmiechała się do siebie, planując w głowie, co dobrego przygotuje do jedzenia.

– Pomogę z walizką – zaproponował Damian.

Tym razem była bardziej rozmowna podczas podróży, więc miło spędzili razem czas.

– Dziękuję, nie trzeba. Tyle godzin siedziałam, że z przyjemnością samodzielnie

zataszczę ją do domu. Człowiek musi się ruszać, używać mięśni. Po to przecież je mamy. – Roześmiała się.

– To prawda!

Julita poderwała walizkę, ważącą chyba z pół tony.

– Może chociaż przed furtkę pomogę zanieść?

– Nie trzeba, dziękuję. Zaraz mój synek mi pomoże. – Śmiała się, skrycie oczekując, że Marcin usłyszy jej nawoływania.

Okna jego pokoju wychodziły właśnie na ulicę.

Czy normalne jest, że w chwili śmierci słyszymy własną matkę? Jej dźwięczący śmiech rozbija się o moje uszy. Nie chciałem odejść bez pożegnania. Bóg chyba słucha samobójców, bo zesłał mi ją w wyobraźni. Dziękuję, jestem szczęściarzem. Chociaż raz ten z góry mnie wysłuchał.

– Kamila! Marcin! Ela! To ja, wróciłam. Niespodzianka! – Julita krzyczała od progu wesołym tonem.

Uśmiech nie schodził jej z twarzy. Nie czuła zmęczenia, wprost przeciwnie, gdyby miała do czegoś porównać swój stan, nazwałaby go poporodową euforią. Kiedy urodziła Marcina, nagle wstąpiły w nią niewyobrażalne pokłady energii, pozwalające funkcjonować na najwyższych obrotach, bez wiecznie towarzyszącego uczucia znużenia. Natura cudownie to wymyśliła, dając kobiecie siłę do opieki nad własnym dzieckiem.

Dom był cichy. Nie zdradzał obecności w nim jakiegokolwiek człowieka. Psy podbiegły na przywitanie, a koty leniwie przeciągały się na kanapach. „Taki to pożyje” – pomyślała, patrząc na Sralucha.

W korytarzu potknęła się o buty Marcina. Schyliła się, aby je odstawić na półkę.

– Marcin! – krzyknęła. Odpowiedziała jej cisza. – Dziwne... Buty stoją, a jego nie ma? – powiedziała do siebie.

Po podróży pilnie musiała skorzystać z toalety. Celowo nie prosiła kierowcy o przystanki, aby nie wydłużać drogi. Jeszcze nie wiedziała, że te zaoszczędzone minuty wkrótce staną się błogosławieństwem.

Spuściła wodę, umyła ręce i postanowiła zajrzeć do pokoju syna. Nigdy wcześniej po przyjściu do domu nie kierowała swoich kroków do jego pokoju. Może dlatego, że to ona była tą, która zawsze czekała? Czasami niewytłumaczalna siła pcha nas w kierunku sytuacji, której powinniśmy stać się uczestnikiem. Planowała ten przyjazd od dawna. Chciała wszystkim zrobić niespodziankę. Czyżby już wtedy bezlitosny zegar odliczał ostatnie tchnienia życia jej pierworodnego? Siły wszechświata

potajemnie splatały się ze sobą, aby schwytać ją za dłonie i poprowadzić do dziecka, które właśnie w tym jednym jedynym momencie życia potrzebowało jej najbardziej na świecie. Bose stopy bezszelestnie mknęły po drewnianej podłodze. Przez chwilę zachwyciła się jej nieskazitelną czystością, najwyraźniej ktoś posprzątał. Jednak życie tego domu potrafiło toczyć się bez niej. Czy aby na pewno?

Nacisnęła klamkę i zamarła.

– Boże święty, Marcin! Marcin!!! Coś ty, dzieciaku, zrobił?!

– Mama? Nic nie rób. Wyjdź stąd. Zostaw mnie.

Szarpany smak ostatnich oddechów, przeplatany smakiem kapiących na moją twarz łez własnej matki. Czy aby na pewno tak chciałem odchodzić?

Życia nie da się zaplanować. Śmierci tym bardziej.

Przeraźliwy hałas rozległ się po okolicy. Wybiegła z domu i krzyczała wniebogłosy. Słowa, których używała, opuszczały jej wnętrze niczym pociski karabinu.

– Pani Julito, co się stało? – zapytał sąsiad.

– Mój syn! Mój syn, mój syn... – powtarzała, wskazując palcem drzwi otwartego domu.

Była cała we krwi. Sąsiad rzucił się jej na pomoc, myśląc, że doznała krzywdy z rąk własnego dziecka.

– Co on pani zrobił?

Rozłożyła bezradnie ręce. Łzy kaskadami spływały po jej policzkach.

– Niech mu pan pomoże. Błagam...

Reszta potoczyła się bardzo szybko. W ciągu kilkunastu minut w domu Elżbiety pojawiło się pogotowie i policja. Kiedy ratownicy medyczni wykonywali swoją pracę, ktoś szarpnął ramię Julity i nakazał jej opuścić dom. Ktoś inny okrył ją kocem i nie pozwalał ruszać się z miejsca.

– Nie powinna pani na to patrzeć – powiedział głos, którego nigdy wcześniej nie słyszała.

Między palcami jej prawej dłoni wylądował papieros. Zaciągała się łapczywie dymem, wierząc, że to tylko sen. Chciała się obudzić i tak jak zwykle zacząć dzień od filiżanki kawy. Dlaczego los tak bardzo ją ukarał?

– Tracimy go. – Usłyszała.

Nie mogła na to pozwolić. Gotowa walczyć do upadłego o swoje dziecko, o jego oddech, o ruch warg szepczących „mamo”. Oddałaby życie, aby jeszcze raz usłyszeć to słowo. Lecz te usta milczały. Róż ładnie zarysowanych warg, które znała od chwili ich narodzin, zastąpił kolor dojrzałej śliwki. Oczy były zamknięte. Ktoś ją szarpał,

krzycząc, aby nie przeszkadzała. Ogromne męskie ręce chwyciły za ramiona.

– Wstrzyknąć jej coś szybko, bo przeszkadza – nakazał mężczyzna w białym kitlu.

Wrywała się. Nie chciała. Nie pozwoliła. Zaczęła przeproszać, że już nie będzie, tylko niech pomogą jej dziecku. Uklękała na schodach, złożyła ręce do modlitwy i szeptała w kółko to samo:

– Proszę, ocal moje dziecko. Proszę, ocal go... Weź mnie, a jemu wybaczyć i ocal go, proszę. Nie wiedział, co czyni.

Jej ciało zespoliło się z chłodem zimnej posadzki. Ktoś położył ciepłą dłoń na jej karku. Nie chciała wstawać, bo oznaczałoby to konieczność rozchylenia zlepionych łzami powiek. Jeśli jej dziecko zamknęło swoje oczy na zawsze, to ona także chciała nigdy więcej już nic nie zobaczyć.

– Julitko, wstań. Wstań, kochanie. – Usłyszała głos przyjaciółki.

Jeszcze pół godziny temu świat wyglądał zupełnie inaczej. Ileż to razy w życiu słyszała, że codzienność może zmienić się w jednej chwili. Wielokrotnie roztkliwiała się nad sobą, rozkładając na czynniki pierwsze całe swoje życie, analizując jego każdy fragment. Wszystkie wydarzenia, które do tej chwili przeżyła, były blade przy wydarzeniach, które rozegrały się w ostatnich kilkadziesiąt minutach. „Nigdy nie jest tak źle, aby nie mogło być gorzej?” – zadała sobie w myślach pytanie.

– Kiedy się rozwodziłam, myślałam, że mój świat rozpadł się na kawałki. Jakaż ja byłam głupia! Ela, powiedz mi, że to nie wydarzyło się naprawdę. Powiedz, że ja jeszcze jadę i upiększam w wyobraźni chwilę spotkania z wami.

Ela płakała. Nie chciała się rozkleić, ale to było silniejsze od niej. Każdy z nas ma zapisany w gwiazdach swój los. Mówi się, że wszystko zależy od nas, ale czy na pewno? Można sobie wszystko planować, ale los często rządzi się swoimi prawami.

– Wstań, kochanie. Wejdźmy do domu. – Chwyciła Julitę za ramię, próbując ją unieść. Wrogim wyrazem twarzy dała znać gapiącym się wścibskim sąsiadom, że pora zakończyć przedstawienie.

Julita podniosła się powoli. Jej ubranie ociekało krwią, a potargane włosy zwisały smętnie, odbierając jej twarzy subtelność. Zmarszczki uwydatniły się, dodając jej lat. Wszystko ją bolało. Nawet oddech. Misternie budowany spokój legł w gruzach. Była jak ruina ludzkiego ciała, rozpadająca się z sekundy na sekundę z coraz większym impetem. Chcąc wyzbyć się uczucia bezsilności, zacisnęła pięści, używając do tego całej swojej siły. Nie pomogło. Miała wrażenie, że nic ani nikt nie jest w stanie jej pomóc. Była wyczerpana.

Ela zaprowadziła przyjaciółkę do salonu i posadziła na kanapie.

– Może się połóżysz? Przykryję cię kocem. Zaparzę herbatę – zaproponowała, nie wiedząc, jak ma się zachować.

Julita cały czas płakała.

– Gdzie Kamila?

– Nie mam pojęcia. Zatelefonuję i zapytam. – Ela chwyciła za komórkę.

Dziewczyna odebrała po kilku sygnałach. Elżbieta użyła wszystkich swoich sił, aby nie dać po sobie poznać, co takiego wydarzyło się przed chwilą. Po wymianie kilku uprzejmości poprosiła nastolatkę, aby w drodze powrotnej do domu zahaczyła o sklep spożywczy i kupiła kilka niezbędnych produktów. Obiecała wysłać listę SMS-em.

– Załatwiłam nam jakąś godzinę gratis. Kamila powinna wrócić około osiemnastej.

– Musimy posprzątać, aby tego nie zobaczyła. Ja się tym zajmę, Elu. Strasznie, ale to strasznie cię za to przepraszam. Jest mi tak wstyd... – Rozszlochała się jeszcze głośniej.

Ela tuliła przyjaciółkę do piersi i głaskała jej włosy. Płakały obie.

– Dlaczego on to zrobił? Dlaczego on mi to zrobił?

– Ciii... Spokojnie, kochanie. Uspokój się. Oddychaj. Nic nie mów, tylko oddychaj.

– Dlaczego on mi to zrobił? – To pytanie padło już chyba po raz setny, ale obie nie znały na nie odpowiedzi.

– On nie zrobił tego tobie, tylko sobie. Postaraj się uspokoić. Połóż się, proszę, i poleż chwilę, a ja zadzwonię do szpitala i zapytam o jego stan.

– Ale mój syn żyje?

– Oczywiście, że żyje. Przyjechałaś w odpowiedniej chwili. W takich sytuacjach liczy się każda sekunda. – Miała nadzieję, że się nie myli. Nie była pewna, czy Marcin został odratowany. Ze wszystkich sił pragnęła chociaż na chwilę zaoszczędzić Julicie cierpienia, dlatego też nie zawahała się ani na moment, kiedy przyszło jej uchylić się od prawdy.

Poszła do kuchni, szybko zrobiła herbatę i dosypała do niej środek uspokajający. Nie sądziła, że kiedykolwiek będzie zmuszona użyć podstępów w stosunku do osoby dorosłej. Musiała jednak zrobić coś, dzięki czemu zyska na czasie, aby posprzątać pokój Marcina. Starła się myśleć racjonalnie, chociaż przychodziło jej to z trudem. Julita upiła kilka łyków i odstawiła szklankę na stół.

– Dziwna ta herbata.

– Pij, proszę.

– Nie chcę.

– Wypij, bo się jeszcze rozchorujesz – powiedziała, chyba trochę zbyt natarczywie, co momentalnie wzbudziło podejrzenia.

– Dosypałaś mi czegoś?

Ela poczerwieniała. Nie umiała okłamać kogoś, za kogo gotowa była oddać życie.

– Chciałam pomóc i... Jesteś padnięta, kilka godzin snu dobrze by ci zrobiło.

Julita przewróciła przekrwionymi od płaczu oczami. Głowę rozsadał jej tępy, trudny do zniesienia ból. Elżbiecie zrobiło się gorąco. Spodziewała się reprimendy. Zdążyła spuścić głowę w geście przeprosin.

– Elu... – zaczęła prawie szeptem. – Pomożesz, jak zadzwonisz do szpitala i zapytasz, kiedy możemy tam pojechać i...

– Oczywiście, zaraz zadzwonię. – Gdyby tylko mogła zamerdałaby ogonem, którego nie miała, byle tylko pomóc przyjaciółce. – Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić?

Julita milczała przez dłuższą chwilę. Nie umiała wyrazić słowami kolejnej prośby. Czy nie wymagała od Eli zbyt dużo? Gdyby nie ta przyjaźń...

– Posprzątam razem? – wycedziła, ledwo słyszalnie.

– Oczywiście, że tak. Oczywiście. Jestem przy tobie. Mogę to zrobić sama, jeśli chcesz... Tak po prawdzie, to taki miałam plan, lecz...

– Nie dałam się oszukać, co?

– No, nie dałaś...

– Nie powinnaś mnie w tym wyręczać. Wystarczy, że będziesz i zrobimy to razem, bo... ja się boję iść w tamtym kierunku, ale jeszcze bardziej się boję, że Kamila to zobaczy.

– Dlatego musimy się pośpieszyć.

Wyobraźnia podsunęła jej obraz narodzin syna. Wróciła myślami do chwili, kiedy wręczono jej małe, otulone w tetrową pieluchę wrzeszczące zawiniątko.

Naburmuszona pielęgniarzka rzuciła tylko, że chyba będzie śpiewakiem, bo drze się najgłośniejszemu na całym oddziale. Radość, jaką przeżywała, trzymając przy sercu własne dziecko, przyćmiła złośliwości pracownicy szpitala. Wtedy jedyne, o czym myślała, to że jej syn będzie żył długo i szczęśliwie. Był przecież owocem miłości do Gerarda. Czy gdyby znała zakręty życia, z którymi przyjdzie jej się zmierzyć, postępowałyby inaczej? Wychowywałyby inaczej? Gdyby ktoś podpowiedział, jakie zagrożenia czyhają na drodze rodzicielstwa, czy zdołałaby się na nie przygotować? Istnieje tylko jedna szkoła, która uczy, jak postępować w takich sytuacjach. Jest nią szkoła życia. Każdy, bez wyjątku, musi sam zmierzyć się z jej lekcjami. Nikt, choćby nie wiadomo jak bliskim byłby naszym przyjacielem, nie jest w stanie odrobić „domowych prac” nam zadanych.

Metaliczny smak krwi odczuwała całym swoim ciałem. Wszechobecna czerwień przeżerała jej wciąż zaszklone oczy. Krew była wszędzie tylko nie tam, gdzie być

powinna. Żadne siły nie zdołały cofnąć jej do pulsujących żył ukochanego dziecka. Takie właśnie jest życie. Piękne, lecz kruche jak filiżanka z porcelany. Nie wiedzieć czemu przypomniał jej się fragment wiersza jej ukochanej Szymborskiej:

*Czemu ty się, zła godzino,
z niepotrzebnym mieszasz lękiem?
Jesteś – a więc musisz minąć.
Miniesz – a więc to jest piękne.*

Chociaż skojarzenie tej chwili z jakimkolwiek przejawem piękna wydawało się absurdem, to... Julita wmawiała sobie, że... nic nie dzieje się przypadkiem i że jeszcze kiedyś nadejdą dla nich dobre dni. Tylko to trzymało ją przy życiu. I ta myśl, że obiecała się nie poddawać. Nigdy! Nie jest sztuką dotrzymywać danego sobie słowa, gdy wszystko idzie dobrze. Los ją sprawdzał, obiecała sobie, że sprosta temu zadaniu.

– Nie martw się, Ela. Dam radę... – szepnęła.

12. Przebudzenie

Wielkanocne jajka – symbol rodzącego się życia. „Wesołego alleluja”, bukszpan i zajaczek. Święta były, ale jakby ich nie było. Minął już tydzień, a Julita nie zdołała nawet rozpakować walizki. Wyciągnęła z niej tylko to, co niezbędne. Codziennie sprzątała pokój Marcina. Dawno już niewidoczne były ślady krwi, ale zachowywała się tak, jakby chciała zmyć stamtąd całe cierpienie i wspomnienie tragicznych wydarzeń. Po kilku dniach przestała płakać, ale była jakby nieobecna, snuła się po domu, zamyślona. Kamila co chwilę się do niej przytulała, przygotowywała gorące napoje i podstawiała pod nos ciastka. Była niemal jak cień matki.

– Wszystko trzeba przeżyć, córeczko. – Starła się ją pocieszać, choć tak naprawdę sama potrzebowała pocieszenia.

– Tak, wiem, mamuś. Przypomina mi się taki cytat, tego księdza poety: *W życiu jest najlepiej, kiedy jest nam dobrze i źle. Kiedy jest nam tylko dobrze – to niedobrze...*

Julita od razu przypomniała sobie inny wiersz księdza Jana Twardowskiego. Pomyślała, że doskonale pasuje do sytuacji:

*Nie płacz w liście
nie pisz że los ciebie kopnął
nie ma sytuacji na ziemi bez wyjścia
kiedy Bóg drzwi zamyka – to otwiera okno
odetchnij popatrz
spadają z obłoków
małe wielkie nieszczęścia potrzebne do szczęścia
a od zwykłych rzeczy naucz się spokoju
i zapomnij że jesteś gdy mówisz że kochasz*

Siedział na łóżku, tępo wpatrując się w okratowane okna. Przeguby jego dłoni „zdobiły” szwy. Na nocnej szafce stała metalowa tacka, na której leżała kanapka z masłem, żółtym serem i wyschniętym pomidorem.

– Będiesz to jadł? – zapytał męski głos z sąsiedniego łóżka.

Nic nie odpowiedział. Po policzku spłynęła powoli jedna łza, za nią kolejna, a za kolejną jeszcze kilka. Dawno nie wylał ich tyłu.

– To ja zjem, po co ma się zepsuć.

Minęły dwa tygodnie od dnia, w którym postanowił umrzeć. Może niepotrzebnie powiedział Bogu o swoich planach, a ten postanowił się z niego uśmieć? Śmierć

zagrała mu na nosie. Jak miał teraz wstać i postawić kolejny krok? „Dlaczego mi to zrobiłeś, dzieciaku?” – dudniło mu w uszach. Nie mógł znieść głosu własnego wyobrażenia. Tylko płakał. Płakał z otwartymi i zamkniętymi oczami, chociaż wydawało mu się to niemożliwe. Nic nie było w stanie powstrzymać cisnących się spod powiek łez.

– Snarski?

Nie odwrócił głowy. Pragnął spać – w trakcie snu nie myślał.

– Snarski Marcin, do pana mówię. – Pulchna pielęgniarka delikatnie szturchnęła jego ramię.

Spojrzał na nią, wciąż milczał.

– Niech pan wstanie i idzie do pokoju odwiedzin. Doktor Galinowicz na pana czeka.

– Niech wejdzie tutaj – burknął.

Pielęgniarka beznamiętnym tonem stwierdziła, że pobyt na oddziale psychiatrycznym nie jest kolonią w Zakopanem i nikt tu nie ma prawa przynosić na oddział pomarańczy. Starła się być miła, chociaż przychodziło jej to z trudem.

– Pan wstanie i idzie do niej. Uszanuje, że ktoś chce odwiedzać. No już, już. Taki młody fajny chłopak. Z życiem, z życiem – poganiała go.

Spuścił obie nogi z łóżka. Zanim wsunął je w szpitalne kapcie, przyjrzał się swoim bosym stopom. Poruszył palcami u nóg. Wciąż żył, i to nie było złudzenie. Idąc w kierunku drzwi, mimo woli zerknął na sąsiada. Starszy mężczyzna przegryzał kanapkę, wyraźnie z siebie zadowolony. Nie wyglądał na wariata ani na niedosłego samobójcę. Chociaż czy to w ogóle można jakoś zauważyć? Dookoła pełno jest ludzi z problemami. Nikt nie pisze sobie na czole komunikatu: „Jutro umieram” czy też „Wczoraj miałem umrzeć, ale mi nie wyszło”. Głowa pękała mu od nadmiaru myśli.

Pielęgniarka wpuściła go do pokoju odwiedzin. Ela zerwała się na równe nogi i podeszła, aby go przywitać. Bez słowa przytuliła chłopaka, w głębi serca ciesząc się, że nareszcie, po tylu dniach jej próśb, zdecydował się na rozmowę. Siedzieli tak przez dłuższą chwilę, bojąc się zmęczenia słowami bezpiecznej ciszy.

– Co u mamy? Jak się czuje? – zapytał.

Nie wiedziała, co mu odpowiedzieć.

– Jakoś leci, powoli do przodu – wybrnęła dyplomatycznie.

Spuścił głowę i zaczął skubać skórki przy paznokciach.

– Nie chce do mnie przyjść, prawda?

– Nie chce – odparła. – Ale przyjdzie, daj jej trochę czasu. Wiesz... jest teraz... – Zawahała się, szukając w głowie odpowiednich słów.

– Spoko, nie wysilaj się. Rozumiem.

Otarł łzy o rękaw szpitalnej piżamy. Poprosił Elę o chusteczkę i wydmuchał nos. Kobieta wpatrywała się w świeże ślady po ostrzu kuchennego noża. Odwróciła wzrok. Zauważył jej zmieszanie.

– Powiedz matce, że jest OK.

Zacisnęła usta, na które chwilowo cisnęły jej się głównie przekleństwa: „Jak to, kurwa, jest OK, skoro ty tu jesteś?”. Miała ochotę mu wygarnąć, wykrzyczeć, jakim jest egoistą. Zdawała sobie jednak sprawę, że nic to nie zmieni w jego postępowaniu, a wręcz może zaszkodzić. Zacisnęła więc zęby, westchnęła głośno i odparła, że przekaże wiadomość.

Rozmowa się nie kleiła. Ona nie umiała pytać, a on niepytany nie umiał o tym mówić. Wszystko było jeszcze takie świeże. Rany bolały, jakby ktoś nieustannie posypywał je solą.

– Wiesz, Marcin, ja nie przyszedłam tutaj dociekać powodów czy prawić ci morały. Jestem zszokowana tym, co się stało, bo... znam cię od dziecka i nigdy nie podejrzewałam, że jesteś do tego zdolny.

– Znamy siebie na tyle, na ile nas sprawdzono.

– Szymborska.

– Życie...

– No tak... życie...

– Widzisz, Ela, ja też kiedyś bym nie podejrzewał, że jestem w stanie to zrobić. Powiem więcej – gdyby ktoś mi zasugerował, że targnę się na własne życie, pewnie bym go wyśmiał. Ale ludzie się zmieniają. Inni ludzie nas zmieniają. Zmieniają nas sytuacje, których doświadczyliśmy i po których już nigdy nie będziemy tacy sami – rzekł nieco filozoficznie, wywołując w Elżbiecie atak furii, tym razem niemożliwy do pokonania.

– Co ty pierdolisz, Marcin? Za kogo ty się uważasz? Za Boga? Myślisz, że będziesz decydował, kiedy zamierzasz żyć, a kiedy nie?

Siedząca w rogu sali pielęgniarka skarciła Elżbietę posępnym spojrzeniem. Marcin zgarbił się, przyjmując zamkniętą pozycję. Znowu milczeli przez jakieś dziesięć minut.

– Przepraszam... Tak jak powiedziałam wcześniej, nie zamierzam cię umoralniać. Chcę tylko, abyś wiedział, że jestem na ciebie zła za to, co zrobiłeś. Nie jestem twoją matką, ale kocham cię jak własnego syna i jesteś dla mnie bardzo ważny. Pani Jadziu, czy może pani mi przynieść szklankę wody?

– Pani doktor, przykro mi, ale ja muszę tu siedzieć z chorym.

– Na miłość boską, niechże pani wyjdzie. Od tego momentu nie jestem odwiedzającą, ale lekarzem i chcę porozmawiać z pacjentem.

- Ale pani nie ma dyżuru. Mogę przez to stracić pracę, pani Elu, pani zrozumie...
- Biorę to na siebie. Proszę nas zostawić samych.

Pielęgniarka niechętnie opuściła salę, oznajmiając, że poczeka pod drzwiami pięć minut, a potem wejdzie ponownie. Elżbieta uśmiechnęła się do niej wymuszonym grymasem twarzy.

- Dlaczego ją wyprosiłaś? Jest miła, chyba jako jedyna w tym całym wariatkowie.

– Coś ci powiem, Marcin. Coś, czego nigdy nikomu nie mówiłam. Wiem, że wydaje ci się, że nikt cię nie rozumie. Chcę ci powiedzieć, że jesteś w ogromnym błędzie. Ja cię rozumiem. Wiem, co to znaczy bać się własnego cienia i dookoła widzieć tylko zagrożenie.

– Ty? Przecież ty nie masz żadnych problemów. Zarabiasz ekstra kasę, masz wypasiony dom i pracę, którą uwielbiasz. Faceci za tobą szczają. Nawet kuce hodujesz. Kto w tych czasach hoduje kuce?

– No, widzisz... z boku zawsze wszystko wygląda inaczej. A co powiesz na to, że ja kiedyś też miałam ochotę ze sobą skończyć?

Chłopak otworzył szerzej oczy.

- Nie żartuję. Widzisz... ja...

Nie wiedziała, jak wyznaczyć ból, który nieustannie w sobie nosiła. Nie pomagał jej. Wpatrywał się w twarz kogoś, kogo dotąd uważał za ikonę spokoju, zdrowia i tętniącego życiem optymizmu. Podrapała się po głowie i zmroziła wzrokiem panią Jadzię, próbującą wejść do sali, w której toczyła się ta trudna rozmowa.

- Wiesz, że niedługo mam urodziny?
- Rycząca czterdziestka – zażartował.
- Tak... rycząca... chyba z rozpacz.

Zmrużył oczy, jakby zastanawiał się, jak to skomentować.

– Przez wiele lat patrzyłam na ciebie tęsknym wzrokiem i zazdrościłam twojej matce, że ma takiego syna. Wiedziałam, że macie rodzinne problemy. Mama jest skryta, ale co nieco czasami mi opowiadała. Mimo to twierdzę, że cena, jaką zapłaciła za posiadanie dzieci, była tego warta. Wasz ojciec nie jest ideałem i sama się dziwię, że to mówię, ale... gdybym ja miała wybierać, jakie życie chcę wieść, wybrałabym scenariusz twojej matki. Przynajmniej miałabym dzieci... Widzisz, jaka to ironia losu? Zawsze pragniemy tego, czego akurat nie możemy mieć.

Spuściła głowę. Marcin wziął wdech, jakby chciał coś powiedzieć, ale powstrzymała go:

- Nic nie mów, zanim nie wysłuchasz mnie do końca.

Wypuścił powietrze z płuc, spełniając jej prośbę.

- Pewnie chciałeś mi powiedzieć, że byłam zajęta robieniem kariery i w dupie mi

się przewracało od wymagań stawianych potencjalnym ojcom moich potencjalnych dzieci.

– Jesteś lesbą? – wyrwało się chłopakowi.

Elżbietę zmroziło.

– Sorry, Elka, ale wszyscy tak uważają.

– Nie, Marcin. Nie jestem lesbą, jak to określiłeś. Jestem dziewczą.

Teraz Marcina zmroziło. Skanował w głowie słownik znaczenia wyrazów i słowo „dziewica” nijak nie pasowało mu do Elżbiety.

– Kiedy byliśmy z twoją mamą małymi dziewczynkami, głęboko wierzyliśmy w to, co nam mówiono, w imię naszego dobra oczywiście. Miałyśmy wytrwać aż do ślubu. Twoja mama nie wytrzymała i zrobiła to wcześniej. Bojąc się Boga, wyszła za waszego ojca. Ja trzymałam do ślubu, który, jak wiesz, nigdy nie nastąpił. Później w mojej głowie powstały trudne do odwrócenia blokady. Dziś, mimo że spotykam się z mężczyznami, to jakoś nie potrafię tego zrobić. Trudno mi się przełamać.

– Jesteś zła na Boga? – zapytał powoli, cedząc każde słowo. Wpatrywał się w jej twarz, oczekując szczerej odpowiedzi.

– Nie jestem zła na Boga. Wcale nie jestem zła. Jeśli miałabym wobec kogoś kierować złość, wybrałabym siebie. Wiesz co? Bóg jest dobry i on chce dla nas jak najlepiej. Trochę późno to zrozumiałam. Boga trzeba szukać w sobie, a nie w słowach innych ludzi. Nie gniewaj się na niego za to, że doznałeś krzywdy. Może spróbuj wypracować z nim swój własny osobisty dialog. Tak jak ja próbuję. Dziś wiem, że ten mój lęk przed seksem był jakimś absurdem. Nie uważam, aby Stwórca wypędził mnie z grona swoich dzieci za pójście z facetem do łóżka. Zrozumiałam to o jakieś dwadzieścia lat za późno. Przez te całe śluby czystości zaczęło mi się przewracać pod sufitem, rozumiesz?

Marcin starał się pojąć, co do niego mówiła, lecz momentami miał wrażenie, że bierze udział w jakimś kiepskim skeczu.

– Człowiek potrzebuje doznań seksualnych, aby być zdrowym. Nie wiem, co to znaczy uprawiać seks, rozumiesz? Dlatego chciałam zrobić to samo co ty.

Na szczęście w porę trafiłam na odpowiednich lekarzy. Powinieneś się leczyć, Marcin. Wszystko można naprawić. Wiem, co mówię. Uwierz mi, proszę. –

Pogłaskała dłoń chłopaka.

Do sali weszła pani Jadzia i bez słowa rozsiadła się na stojącym nieopodal krześle. Marcin siedział ze spuszczoną głową. Nie spodziewał się, że usłyszy takie wyznanie z ust Elżbiety. Zawsze miał ją za kogoś innego...

– Będę się już zbierać. Przyjdę jutro, OK?

– OK.

Sapnęła głośno, chwyciła za torebkę i ruszyła w kierunku drzwi. Kiwnęła porozumiewawczo do Jadzi, dziękując jej za wyrozumiałość.

– Ela, poczekaj!

Zatrzymała się i odwróciła głowę w kierunku Marcina.

– Czy możesz powiedzieć mamie, że bardzo chciałbym ją zobaczyć?

– Jasne. Powtórzę jej.

– I jeszcze jedno...

– Tak?

– Wiesz, że ja wolę ten... no, wiesz... – Nie wiedział, jak ma wyrazić swoje myśli, aby towarzysząca im pielęgniarka nie zrozumiała, co ma do powiedzenia.

– Powiem tak: dla ciebie mógłbym zmienić zdanie i pomóc ci w rozwiązaniu twojego problemu.

Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa, po czym oboje wybuchli śmiechem. Pani Jadzia również się rozpromieniła – widok dołeczków w policzkach Marcina był jednym z piękniejszych, odkąd podjęła pracę na oddziale psychiatrii. Tak rzadko człowiek widywał tu radość.

*Nic dwa razy się nie zdarza
i nie zdarzy. Z tej przyczyny
zrodziłyśmy się bez wprawy
i pomrzemy bez rutyny.
Choćbyśmy uczniami byli
najlepszymi w szkole świata,
nie będziemy repetować
żadnej zimy ani lata.
Żaden dzień się nie powtórzy,
nie ma dwóch podobnych nocy,
dwóch tych samych pocałunków,
dwóch jednakich spojrzeń w oczy. [...]
Czemu ty się, zła godzino,
z niepotrzebnym mieszasz lękiem?
Jesteś – a więc musisz minąć.
Miniesz – a więc to jest piękne.*

Przypomniał sobie wiersz Szyborskiej. Kiedyś na prośbę Julity nauczył się go na pamięć. Recytował go na szkolnym konkursie i nie potrafił zrozumieć, dlaczego siedząca w pierwszym rzędzie matka co chwilę ocierała łzy. Potrzebował wielu lat, aby pojąć jej ówczesne wzruszenie. Dziś rozumiał wszystko. Słowa wyryte w pamięci

wdzierały się w niego całą swoją mocą. Zaczął żałować tego, co się wydarzyło. Wszystko w życiu mija, nawet ból i cierpienie. Naszym obowiązkiem jest się cieszyć tym, co mamy. Zatrzymał zmęczony wzrok na przegubach swoich dłoni. Blizny już zawsze miały mu przypominać o ulotności ludzkiego jestestwa.

Dużo łatwiej byłoby zwalić swój pokrętny los na barki rodziców, którym przecież też nie wyszło. Oskarżyć o swoje nieszczęście ludzi mających być z zasady oparciem. Lecz czy na pewno przyniosłoby mu to ulgę? Cały czas myślał o matce. Kiedy przyjechała z niespodzianką, od pierwszych postawionych w domu kroków brzmiała bardzo optymistycznie. Znając ją, całą walizkę miała wypakowaną prezentami... Teraz tak bardzo pragnął poczuć ciepło jej dłoni, ujrzeć światło promieniejącego uśmiechu, który zawsze i wszędzie, pomimo smutku, jaki w sobie nosiła, dodawał mu otuchy. Taka była jego matka. Kochał ją i żałował. Niestety, nie mógł jej tego powiedzieć. Mógł jedynie modlić się, aby mu wybaczyła. Tak też uczynił. Za radą Eli postanowił poszukać Boga w sobie.

Maj tego roku był ciepły, a ona siedziała pod kocem, sącząc gorące kakao. Było jej zimno. Na stopy wsunęła grube frotowe skarpety. Koty wylegiwały się na kanapie, swym spokojnym mruczeniem mącąc niespokojne myśli przepływające przez głowę kobiety.

– I jak? Fajna? Przeczytałaś? – zapytała Ela.

Julita spojrzała na nią pytającym wzrokiem, jakby nie wiedziała, o czym się do niej mówi.

– Pytam o książkę. – Wskazała na okładkę *Pieśni o poranku* Paulliny Simons. – To twoja ulubiona autorka, prawda?

– Prawda, prawda. Tyle że jakoś nie potrafię się skupić na treści. Chyba coś mnie rozkłada. Niedługo wracam do Niemiec. Powinnam być zdrowa, bo nie chcę zarazić państwa Wittów.

– Może cię przebadam?

Elżbieta była zatroskana.

– Nie, nie... nie trzeba. Bez przesady, od kataru jeszcze nikt nie umarł. – Wstała, naląła sobie szklankę wody i popiła nią białą tabletkę.

Ostatnio wyraźnie schudła. Wszystko na niej wisiało. Wracając do łóżka, zatrzymała się przy lustrze, z zaciekawieniem spoglądając na swoje odbicie.

– Schudłaś. – Elżbieta próbowała zagaić rozmowę, święcie wierząc, że takie słowa ucieszą każdą kobietę. Miała nadzieję, iż tym razem magia tego komplementu również zadziała. Nie pomyliła się. Twarz Julity rozjaśnił delikatny uśmiech. Pierwszy od TEGO pamiętnego dnia.

– Jedyne plus tej całej sytuacji – nie jestem już słońcem. Chociaż nadal świetnie wyglądam w plandecie od stara. Nie uważasz? – Okręciła się, prezentując gigantycznych rozmiarów oversize’ową sukienkę, pamiętającą czasy, kiedy jeszcze była żoną.

Elżbieta przyglądała się tej scenie z zaciekawieniem. Czyżby te prawie radosne pląsy zapowiadały nadchodzące polepszenie nastroju przyjaciółki? Postanowiła zaryzykować i pociągnąć wesoły temat dalej.

– Może wybierzemy się na zakupy? Powinnaś zacząć podkreślać swoje nowe kształty. Nie uważasz?

Czar prysł. Julita wróciła na kanapę i nakryła się kocem, aż po czubek nosa. Szturchnięty Sraluch postanowił zmienić miejscówkę, dotychczas uważaną za spokojną.

– Nigdzie nie idę. Jestem śpiąca.

– Śpisz całymi dniami. Zaczyna mnie to denerwować. Wstań i wróć do życia! Zobacz, jak pięknie świeci słońce. Ile można tak gnić na kanapie? – Elżbieta podeszła do przyjaciółki i zerwała z niej koc. – Wstawaj, i to już! Idziemy!

– Ile razy można wracać do życia? – zapytała z błagalnym wyrazem twarzy.

– Tyle, ile trzeba.

– Wiem, wiem. Nie martw się. Cały czas żyję i nie zamierzam się poddać, tylko... tak popłakać sobie musiałam. Ale brakuje mi już łez ...

13. Julita

Od kilkunastu lat cyklicznie, co jakiś czas, nie robię nic innego, jak właśnie się ogarniam. Kiedy już stałam się mistrzynią w ogarnianiu małżeńskiego bagna, okazało się, że muszę się z niego wydostać. „Muszę” to może za dużo powiedziane – mnie po prostu do tego zmuszono. Jak się potem okazało, wyszło mi to na dobre. Kiedy zaczęłam samodzielną pracę, wydawało mi się, iż złapałam wiatr w żagle i już teraz wszystko będzie dobrze. A jednak...

Czasami mam dość tego wstawania od nowa i od nowa. Czasami chciałabym się położyć i nie musieć wstawać. Czy ja zaczynam myśleć, że mogłabym postąpić tak jak mój syn? Nie, na pewno nie. Znów powinnam zmierzyć się z tym, co mnie spotkało. Wrócić do medytacji, śpiewania mantr i pozytywnego myślenia. Dzięki temu czułam się naprawdę dobrze.

Jakoś tak się złożyło, że nieoczekiwanie schudłam. Życie zafundowało mi genialną dietę cud. Łyk śmierci, którego smaku nie zapomnę nigdy, podziałał na moją figurę zbawiennie. Jestem wdzięczna. Szukam dobrych stron w tym, co mnie spotkało. Tylko że teraz to jest takie trudne, chyba najtrudniejsze... lecz nie niemożliwe. Tego się trzymam.

Może powinnam odwiedzić Marcina? Boję się widoku jego twarzy. Tak bardzo za nim tęsknię, a jednocześnie tak mocno się go boję... Mówi się, że jak się czegoś boimy, to powinniśmy to zrobić. Boję się spojrzeć w oczy własnemu dziecku, czyli... czyli powinnam tam iść.

14. Włóż wygodne buty – masz do przejścia całe życie

- Juli, szukam cię po całym domu, a ty tu się skryłaś. Co robisz? Czy ja nie mówiłam, że idziemy na zakupy?
- Mówiłaś, mówiłaś. Tylko na chwilę usiadłam, aby zapisać w pamiętniku kilka myśli.
- Zapisłaś?
- Zapisałam.
- To wstawaj szybciotko, ubieraj się i idziemy. Trzeba puścić trochę tych twoich euro. Rozumiem, że dziś ty stawiasz?
- Oczywiście. Po zakupach zapraszam cię na kawę. – Uśmiechnęła się. Myśl, że ma pieniądze, sprawiała jej przyjemność. Zaproszenie Eli na kawę i zapłacenie za nią było tym, o czym od dawna skrycie marzyła.
- Z ciastkiem! – Ela podniosła palec w górę, nadając powagi złożonej przez przyjaciółkę obietnicy.
- Z ciastkiem. Schudłam, to mogę teraz trochę słodko pogrzezzyć... Wiesz co, Elu? Kupię sobie nowe buty.
- Nowe buty?
- Tak, nowe buty. Muszą być wygodne. Przecież mam do przejścia całe życie.
- Nie poznaję cię. Jeszcze niedawno nie mogłam cię zwlec z kanapy, a teraz wręcz tryskasz energią. Skąd masz w sobie tyle siły?
- Z wyboru, moja droga. Zawsze mamy wybór. Możemy tkwić w czarnej dupie całe życie albo możemy zadbać, by wystawała nam z niej chociaż głowa. Ja wybieram to drugie.

Popołudnie minęło w przyjaznej atmosferze. Oprócz butów kupiły kilka odlotowych bluzek, podkreślających nową, „wypracowaną” przez przykre doświadczenia figurę Juli. Udało im się upolować fajne dzinsy z wysokim stanem, podkreślające jej o wiele smuklejszą niż dotychczas talię i aby nadać wszystkiemu szyku oraz klasy, odwiedziły jeszcze pobliską perfumeryę, gdzie poszły na całość, wydając fortunę na zapachy, o których marzyły całe życie, a których nigdy nie miały odwagi kupić. Błądząca między półkami Julita wyglądała, jakby czerpała chwile pełnymi garściami. Nauczona doświadczeniami zesłanymi na jej barki, nie zastanawiała się, co będzie jutro. Owo jutro mogło przecież nigdy nie nadejść. Dziś chciała się cieszyć tym, co miała. A miała najlepszą figurę od czasów liceum, miała swoje ciężko zarobione pieniądze i miała przyjaźń. To całkiem sporo...

– Jedyne, na co mamy wpływ, to chyba tylko nasze myśli, nie uważasz? – powiedziała Juli, przegryzając ciastko oreo i popijając je kawą z mlekiem i cukrem.

Ela podniosła głowę znad swojej szarlotki.

– Pomyślałam, że w tym całym bałaganie codzienności jedyne, nad czym mogę zapanować, to moje myśli. Wszystko inne jest zmienne. Nie masz takiego wrażenia?

– Oczywiście, że mam. Już dawno ci o tym mówiłam – odparła Ela.

– Pójdę do niego.

– Mówisz o Marcinie?

– Oczywiście. O kim innym miałabym mówić?

– Myślę, że to doskonały pomysł. Ucieszy się – odparła, poklepując dłoń Julity. – On bardzo na ciebie czeka. Już pora, abyście sobie wybaczyli.

– I zaczęli od nowa?

– Tak! Zaczęli od nowa.

– Tyle razy, ile będzie trzeba.

– Dokładnie.

„Upadki są dobre – pomyślała Julita. – Kiedy już sięgniemy dna, nie możemy upaść niżej. Stamtąd wiedzie tylko jedna droga – ku górze”.

15. Odwiedziny

Nigdy w życiu nie kupiła sobie tyle ubrań w jednym dniu. Zrobiła też prezenty dla kobiet, które kochała. Eli zafundowała bransoletkę ze specjalnie grawerowaną na miejscu dedykacją, a Kamili zegarek, o jakim dotychczas dziewczyna mogła tylko pomarzyć. Marcinowi nie kupiła nic. Nie miała pomysłu na to, co mogłaby mu dać. Na początku myślała o książkach poruszających tematykę pozytywnego myślenia, ale później zmieniła zdanie, podejmując decyzję, że po prostu zanieś mu pomarańcze. Tak będzie najprościej. Wszyscy wszystkim noszą do szpitala pomarańcze, więc nie zamierzała się w tej kwestii wyróżniać.

Był poniedziałek, czyli dzień, w którym osiemdziesiąt procent społeczeństwa zaczyna wszystko od nowa. Od poniedziałku zamierzamy przejść na dietę, więcej się ruszać albo w końcu zacząć się uczyć języków obcych. Dla Julity poniedziałek był dniem, w którym miała zamiar zacząć budować na nowo dobre relacje z synem. Zupełnie nie wiedziała, jak się do tego zabrać. Jej kochany Marcinek... dobry, wrażliwy, czuły, zdolny i mądry. Jak to się stało, że tak bardzo się pogubił? Dlaczego nie zauważyła znaków ostrzegawczych, które jej wysyłał?

Piła kawę, wpatrując się w trawę muskaną promieniami wiosennego słońca. Z każdym kolejnym łykiem uświadamiała sobie, że syn wysyłał tych sygnałów dużo. Począwszy od kiepskiego nastroju, a skończywszy na totalnym braku rozmowy. Przypomniła sobie dni, w których myślała, że powinna poszukać z nim kontaktu, ale jakoś tak... zawsze nie było czasu. Ludzie często nie mają czasu na sprawy ważne. Zajmują się tymi pilnymi, które dla odmiany wcale ważne nie są. Nie różniła się niczym od innych. Była tylko człowiekiem – błądzącym, czasami zagubionym.

Wzięła głęboki wdech nosem i wydechając powietrze ustami, wypowiedziała słowa: „Uwalniam się od dręczących mnie myśli”. To proste ćwiczenie miało zbawienny wpływ na życie. Czuła całą sobą jego terapeutyczne działanie, dlatego też nie wahała się, by wykonywać je kilkakrotnie w ciągu dnia. Wstawiła do zmywarki filiżankę po wypitej kawie. Zegar cicho tykał, wprowadzając delikatny zamęt w ciszy domu Elżbiety.

– Boże, ile ja mam szczęścia, że mam taką przyjaciółkę – powiedziała na głos.

Ruszyła pod prysznic, skupiając się na tym, co w jej życiu dobre. Wylała na dłoń odrobinę płynu i zaczęła się myć. Pod skórą można było wyczuć wystające kości biodrowe. Uśmiechnęła się do siebie. „Czas zmierzyć się z tym, co nieuniknione” – pomyślała.

Godzinę później przyodziana w nowe buty i dodające optymizmu jasne ubrania stała przed szpitalem, w którym kiedyś urodziła własnego syna. Dziś miała wrażenie,

że nie ona, lecz siły wyższe zadziałały, aby jej pierworodny po tylu latach jakby narodził się na nowo. Pomimo że kilka tygodni temu nie chciał żyć, wierzyła, iż nadejdą jeszcze dni, kiedy wszyscy spojrzą na to wydarzenie z dystansem.

Wyciągnęła lusterko i przeczytała to, co miał jej do powiedzenia Budda. Jej myśli były czyste i miała poczucie, że od teraz tworzyła swoją przyszłość, chociaż nogi jej się trzęsły, a ręce kurczowo ścisnęły siatkę wypełnioną dorodnymi pomarańczami.

Podeszła do okienka, za którego szybą siedziała starsza i wyraźnie zmęczona swoją pracą kobieta. Burknęła coś, że aktualnie ma przerwę i że będzie dostępna za dziesięć minut, kiedy skończy jeść (choć wcale nie jadła).

– Przyszłam do syna, czy mogłaby pani go poprosić?

Recepcjonistka, nie zważając na prośbę, z impetem zatrzęsła dzielące je okienko. Kiedyś Julita odebrałaby takie zachowanie jako znak mówiący, że powinna zrezygnować. Dziś nie chciała tego robić. Matki nigdy nie rezygnują.

– Przerwę mam. Jeszcze dziesięć minut – fuknęła recepcjonistka, wciskając w swoje wąskie usta wielką bułkę z wątpliwej jakości wędliną, której zapach drażnił nozdrza.

Julita usiadła na stojącej w pobliżu ławce. Minęło tyle lat, od kiedy rodziła w tym szpitalu syna, a miała wrażenie, że nic się nie zmieniło. Nie chciała się negatywnie nastrajać. Zaczęła nawet bronić w myślach niemłą recepcjonistkę, wyobrażając sobie, że pewnie niewiele zarabia albo może pokłóciła się z mężem. Często pozory mylą i nic nie jest takim, jak nam się wydaje. Dlatego nie można niczego brać do siebie.

Po dziesięciu minutach coś zaskrzypiało. Kobieta, przełykając ostatni kęs bułki, skinieniem dłoni przywołała ją z powrotem.

– Teraz mogę gadać. Jak człowiek głodny, to zły. – Siliła się na uprzejmość, lecz nijak jej się to nie udawało.

Julita poprawiła włosy, przeglądając się w dzielącej je szybie. Czyniła to zawsze, gdy się denerwowała.

– Przyszłam do syna. Leży na psychiatrii. Chciałabym go odwiedzić i podobno trzeba to wcześniej u pani zgłosić.

Starsza kobieta zmarszczyła czoło, a kąciki jej ust uniosły się w złośliwym uśmiechu.

– A to trzeba było tak od razu. To na piąte niech pani jedzie. Windą do góry. Po prawej stronie zapyta, to go zawołają.

Wdech, wydech, wdech, wydech, wdech... „Nic dziwnego, że ludzie wariują, skoro spotykają na swojej drodze tak nieuprzejmych przedstawicieli własnego gatunku” – rozbawiła ją jej własna myśl.

– Nie mogła pani tak od razu? Niepotrzebnie tu czekałam.

– Mogła, nie mogła, a pytała? Prosiła tylko nie wiadomo o co. Miałam się domyślać? A co mi za wróżenie z oczu płacą? – odparła nad wyraz błyskotliwie, bo jak by nie spojrzeć, miała rację.

Julita zamarła.

– Niech się pani tak nie denerwuje, tylko idzie.

– Taki mam zamiar. Dziękuję za radę. – Zdecydowanym krokiem ruszyła w kierunku windy.

– Nerwowe to wszystko dzisiaj, jak nie wiem co.

– Słucham? Mówiła coś pani do mnie?

– Ja? Nie. Do siebie mówiłam. Chyba można, co?

– Można! Jasne, że można.

Julita wcisnęła guzik przywołujący windę. „Całe życie z wariatami” – dotarło jeszcze do jej uszu. Uśmiechnęła się do siebie i pomyślała, że jest w tym trochę prawdy.

Na piątym piętrze poszło o wiele prościej. Młoda, będąca mniej więcej w wieku jej syna dziewczyna uśmiechnęła się do niej zachęcająco, słodkim głosem zadając pytanie, czy może w czymś pomóc. Julitę na chwilę zamurowało. Nie mogła oderwać wzroku od kruczoczarnych loków. Rozmarzyła się, wyobrażając sobie, że ktoś taki idealnie nadawałby się na jej synową. Dziewczyna powtórzyła pytanie jeszcze dwa razy, zanim uzyskała odpowiedź.

– Przepraszam. Zamyśliłam się.

– Nic nie szkodzi.

– Szukam Marcina Snarskiego.

– Kim pani jest dla pacjenta?

– Jestem jego mamą – wyszeptła. Nie wiedzieć czemu chciała przy tej młodej osobie wypaść zadowolająco. – Mam nadzieję, że dobrze trafiłam?

Dziewczyna uśmiechnęła się, ukazując swoje piękne równe zęby.

– Jak najbardziej. Proszę wejść do sali za panią. Przez te przeszkolone drzwi, o tam. – Wskazała dłonią. – Za chwilę zawołam pani syna.

– Dziękuję.

– Ależ nie ma za co, to przecież moja praca – powiedziała dziewczyna i uniosła się z krzesła.

Do piersi miała przyczepioną plakietkę, na której napisane było „Wioletta – praktykantka”. „Piękne imię – pomyślała Julita. – Wioletta i Marcin...”. Idąc za wskazówkami uroczej Wioletty, udała się do sali odwiedzin. Ściskając pomarańcze, zastanawiała się, cóż powie synowi. Kiedy za plecami usłyszała otwierające się drzwi i do sali wszedł Marcin w asyście pielęgniarki, po prostu zerwała się na równe nogi,

nie zważając na ściszaną w dłoniach siatkę z pomarańczami. Zaprażyła przytulić syna i tylko to się teraz liczyło. Rzuciła się na chłopaka, uwieszając się na jego szyi. Przywarli do siebie, tonąc w silnym uścisku. Oboje płakali. Pielęgniarka widziała takich scen całkiem sporo, a mimo to zawsze tak samo się wzruszała. Dodawały jej wiary, iż praca, którą wykonuje, ma sens i czasami nawet przynosi dobro.

– Upadły ci pomarańcze – szepnął Marcin, nie wypuszczając matki z ramion.

Kobieta wyswobodziła się z uścisku i rozejrzała dookoła. Owoce zdobyły teraz szarą podłogę, dodając temu smutnemu miejscu egzotycznego powiewu życia. Schyliła się, aby je pozbiierać. Syn zrobił to samo. Tylko pielęgniarka siedziała na krześle, próbując wtopić się w tło i udając nieobecna. W pewnym momencie dłonie matki i syna spotkały się, próbując dosięgnąć ostatnią, znajdującą się pod krzesłem pomarańczę. Wtedy oczom Julity ukazały się ślady będące „pamiątką” tamtego dnia, mające już na zawsze pokrywać nadgarstki jej ukochanego syna. Jak poparzona cofnęła rękę, zakrywając usta. Próbowała ukryć drżącą brodę, lecz nie było to takie proste.

– Usiądź, mamó – poprosił, zauważywszy jej zmieszanie.

Po chwili siedzieli, wpatrując się w dzielący ich stół, na którym leżały tylko pomarańcze. Rozmowa się nie kleiła. Julita chciała zapytać syna, jak się czuje, ale brakowało jej odwagi. Zupełnie jak jemu, mającemu w głowie identyczne pytanie.

– Ciepło na dworze? – zapytał w końcu.

– Ciepło, ciepło. Jak to w maju.

Rozmowa o pogodzie była tym, co ratowało z opresji niejednego człowieka tysiące razy w trakcie jego życia. Przez chwilę milczeli, wpatrując się w owoce.

– Skąd wzięłaś pomarańcze w maju? – zapytał.

– Kupiłam w warzywniaku za rogiem. Też byłam zdziwiona, że są dostępne, przecież to nie sezon na cytrusy. Ekspedientka powiedziała, że to jakaś sycylijska odmiana. Podobno są pysze, słodkie... Kiedy byłeś dzieckiem, bardzo lubiłeś pomarańcze. Pamiętasz? W czasach, gdy żyła jeszcze moja babcia, a twoja prababcia, obierałyśmy je dla ciebie. Siedziałeś pod kocem, oglądałeś kreskówki z kaset wideo i zaśmiewałeś się do rozpuku.

– Pamiętam. Uwielbiałem Toma i Jerry’ego.

– I Scooby Doo – dodała.

– I Scooby Doo – powtórzył.

Znów utkwili wzrok w pomarańczach, podczas gdy wszystkie zastępcze tematy się wyczerpały. Powinni porozmawiać teraz o czymś ważnym, ale skoro życie składa się z pozoru nic nieznaczących chwil wnoszących w nie radość, to być może właśnie ta chwila była jedną z nich. Może należało się cieszyć samym faktem, że jest, a nie

próbować ją upiększać wyszukаныmi słowami i zachowaniem na miarę najlepszych aktorów. Może grając swoje życiowe role, zagubili gdzieś po drodze autentyczność?

Ułożył dłoń na stole i zaczął bębnić w niego palcami. Zwróciła uwagę na palec wskazujący jego prawej dłoni. Wzruszył ją ten widok.

– Ten paznokieć... – zaczęła.

Przestał bębnić. Skierował wzrok na obiekt jej zainteresowania.

– Ach tak. – Zamyślił się na moment. – Bawiliśmy się z Kamilą w pociąg. Łóżko polowe odwrócone było do góry nogami. Byłem maszynistą. Pociąg sunął, dopóki Kamila nie zaciągnęła wirtualnego ręcznego hamulca.

– Którym to była noga owego polowego łóżka.

– Skąd mogła wiedzieć, że wsadziłem tam palec?

– Rety, ile krwi się polało. – Julita złapała się za głowę. – Myślałam, że stracisz ten palec! Na szczęście nic poważniejszego się nie stało. Chirurg chciał zerwać paznokieć, ale się nie zgodziłam. Nie chciałam, abyś cierpiał jeszcze bardziej. Może gdyby go wyrwał, on jakoś odrósłby na nowo? Sama nie wiem... Pewnie dlatego do dziś masz bliznę.

– To nieistotne. – Machnął ręką. – Mimo wszystko jestem ci wdzięczny, że wtedy wzięłaś winę na siebie. Ojciec zabiłby Kamilę. Jeszcze wtedy mnie kochał. – Uciekł wzrokiem w bok.

Ich rozmowa składała się ze urwanych zdań, których przecinkami były przerwy na zamyślenie. Nie płynęła płynnie i wartko, jak akcja najlepszej powieści kryminalnej. Wręcz przeciwnie, ciągnęła się jak nudna, przewidywalna obyczajówka.

– Jestem pewna, że ojciec cię kocha. Czasami sobie myślę, że on kocha nas wszystkich, tylko się pogubił. Może kryzys wieku średniego? Sama nie wiem... Spędziłam z waszym ojcem całe swoje dorosłe życie, a tak naprawdę go nie znam. Myślę, że to nie jest zły człowiek. Wiem, wiem... Zaraz mnie zganisz, że po tym wszystkim ciągle go bronię, ale... ja tak naprawdę myślę. Mój były mąż podszyty jest niewiarygodną ilością gniewu, któremu pozwolił rozgościć się w swoim umyśle.

Marcin słuchał matki z zainteresowaniem. Nigdy nie rozmawiali o ojcu. Teraz, w szpitalu, często o nim myślał. Psychiatra zalecił nawet terapię, która miałaby wyzwolić go ze szponów dzieciństwa przeszytego strachem.

– Kiedy byłem mały, bałem się ojca. Zresztą do dziś się go boję. W sumie to nie wiem, jakie mam wobec niego uczucia. Doktor twierdzi, że powinienem nad tym popracować.

– Zgodzisz się na terapię?

– Jeszcze nie wiem. Myślisz, że powinienem?

– Nieważne, co ja myślę. Jeśli się na nią zdecydujesz, to zrób to ze względu na

siebie, nie na mnie. Ale jeśli bardzo chcesz wiedzieć, co myślę, to tak, uważam, że powinienes. Może to zbyt egoistyczne, ale... – Skryła twarz w dłoniach.

– Ale co?

Zrobiło jej się gorąco. Zaczęła wachlować dłonią przed własną twarzą, próbując powstrzymać napływające do oczu łzy.

– Ale co? Powiesz wreszcie?

– To ty powinienes pochować mnie, nie ja ciebie – wydusiła łamiącym się głosem.

Wstał z krzesła i podszedł do matki. Przytulił jej głowę i głaskał po włosach. Brakowało jej dotyku własnego syna. Kiedy kobieta rodzi dziecko, nie rozstaje się z nim nawet na krok. W miarę upływu czasu potrzeba kontaktu fizycznego maleje. Ludzie nie pielęgnują jej w sobie, wręcz przeciwnie – zaczynają się jej wstydzic. Niepotrzebnie, bo czasem w ten sposób można przekazać więcej niż słowami.

Marcin wrócił na miejsce, gdy poczuł, że matka się uspokoiła.

– Może nie byłam najlepszą matką, ale zawsze bardzo się starałam. Gdybym tak mogła kupić w sklepie podręcznik, w którym bym wyczytała, jak ustrzec się błędów.

– Och, mamoo... – westchnął. – Podręczników jest całe mnóstwo, ale ty ich nie potrzebujesz. Byłaś i jesteś cudowna. To, co się stało, nie jest twoją winą. Ale... ojciec mógłby poczytać. – Mrugnął do niej, próbując rozluźnić atmosferę.

Takiego Marcina wychowała. Takim go miała w swoim sercu.

– Nie wymagaj od ojca zbyt wiele.

Pomyślał, że to niesprawiedliwe, bo od ludzi, którzy mają „wywalone” na wszystko, świat oczekuje mniej. Coś, co dobremu człowiekowi nigdy nie usłoby na sucho, temu złemu puszczane jest płazem, i to bez mrugnięcia okiem. Ojciec się nimi nigdy nie zajmował, dlatego nikt od niego tego nie oczekiwał. Matka najdrobniejszy błąd potrafiła wytykać sobie całymi godzinami. Ba, nawet i latami. Była niczym ten Zgredek, przesympatyczny skrzat z kultowej serii o Harrym Potterze. Za każdym razem, kiedy sprzeciwiał się woli swojego państwa, pomagając Harry’emu, wymierzał sobie karę: „Zły Zgredek, niedobry Zgredek, Zgredek musi sam wymierzyć sobie karę”. Zupełnie jak Julita. Zła Julita, niedobra Julita, Julita musi wymierzyć sobie karę. Poczucie winy działało na matkę jak trucizna. Odbierało chęć do działania i przesywało bólem wszystko, co dotychczas dobrego uczyniła, pokrywając owo dobro ciemnymi barwami. Widząc ją taką, cierpiał.

Kiedy próbował się zabić, postępował czysto egoistycznie. Myślał tylko o sobie. Chciał sobie ulżyć za wszelką cenę. Nikt jeszcze nie wymyślił złotej pigułki na złamane serce – a szkoda.

– Gniew, przemoc i agresja twojego ojca są dowodem na to, iż jest on przewrażliwiony, rozczarowany i czuje lęk. Wiesz, synku, jest takie duńskie

przysłowie „Małe psy szczekają, duże nie muszą”. Kiedy to zrozumiesz, będzie ci łatwiej. W teorii jestem mądra, a nad praktyką wciąż muszę pracować. Ale pracuję. Staram się. Chociaż czasami miałabym ochotę rzucić wszystko i zniknąć... tak jak ty... Ale wiem, że to rozwiązanie dla słabych. My nie jesteśmy słabymi ludźmi. Zapamiętaj to sobie na zawsze. Ani ja nie jestem słaba, ani ty, ani Kamila.

Było mu wstyd. Chciał zapaść się pod ziemię. Kiedyś wielokrotnie był zły na mamę, że pozwalała tak sobą pomiatać. Ogarnęły go wspomnienia chwil codziennych życia rodzinnego, kiedy to poniewierana, przestawiana z kąta w kąt i obśmiewana, nie traciła nigdy pogody ducha. Kiedy upadała, to tylko po to, aby wstać z kolan i iść do przodu. Mimo przeciwności losu. Taka była jego matka. Taka była Julita Snarska. Chociaż wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że jest niczym innym jak zwykłym bluszczem uwieszonym na szyi mężczyzny, którego uważała za swojego pana i władcę, jakże bardzo się mylił. Prawdziwą wolność człowiek nosi w sercu. Nikt nie jest w stanie jej zniszczyć, jeśli mu na to nie pozwolimy. Ojciec wieloletnią tresurą matki nie zdołał tego uczynić. Julita była silna.

– Mamo, pamiętasz, jak kiedyś gotowałeś mi zupę ogórkową? Kiedy byłem smutny, ta zupa zawsze pojawiała się na stole.

– Oczywiście, że pamiętam. Poprawiałam ci nią humor. – Julita otarła łzy, rozpromieniając się na to wspomnienie.

– Kiedyś wszystko było dużo łatwiejsze. – Zakrył twarz dłońmi, przyklejając nadgarstki do klatki piersiowej. Nie chciał, aby na nie patrzyła.

Wzruszyli się. Dali upust emocjom, pozwalając łzom płynąć po policzkach.

– Mamo, obiecuję pójść na terapię. Zrobię porządek ze swoim życiem – rzekł na tyle przekonująco, że poczuła ulgę.

Nie powiedziała nic. Przyglądała się własnemu dziecku. Chciała, by jego oczy, wyrażające obietnicę, nigdy nie przestały porażać swym blaskiem jej matczyne serce. Jak każda matka kochająca swoje dziecko, bo tej miłości nie da się porównać z żadną inną.

Każdą komórką swojego ciała czuła to, co chciał jej przekazać. Dobrze wiedziała, iż finał tej historii nie miał swojego początku kilka miesięcy temu. Psychiczne zdrowie Marcina nadszarpywane było przez lata. Zawsze wydawało się jej, iż to córka jest bardziej wrażliwa i to jej poświęcała sporo czasu, myśląc, że zawsze uśmiechnięty Marcin jakoś sobie poradzi. Popełniła ten sam błąd, który popełnia większość matek – skupiała się na dziecku z pozoru słabszym. Gdyby mogła cofnąć czas, zrobiłaby wszystko, by tego uniknąć.

Prosto od syna skierowała swoje kroki do szpitalnianej łazienki. Odkręciła kran,

złożyła dłonie, czyniąc z nich maleńką miseczkę, którą podsunęła pod strumień zimnej wody. Energicznymi ruchami zmoczyła twarz. Potrzebowała ochłodzenia. Następnie spojrzała w lustro, tak jak zwykły w nie patrzeć bohaterki smutnych romansów, które kiedyś pasjami oglądała. Podstępna wyobraźnia podsuwała jej obraz blizn na nadgarstkach syna. Przypomniła sobie jego pierwsze kroki i chwile, gdy za te właśnie ręce go podtrzymywała. Miała marzenie, by mądrze wprowadzić go w dorosłość. Gdzie popełniła błąd? Gdzie popełnili błąd? Przecież to dziecko miało też ojca. No właśnie, czy Gerard wiedział, że ich syn targnął się na swoje życie? Do tej chwili nie miała nawet głowy, aby go o tym poinformować. Z Kamilą nie miał kontaktu, więc od niej na pewno się tego nie dowiedział. Ela szczerze nie cierpiała jej byłego męża, więc nie podejrzewała jej o taką „uprzejmość” w stosunku do niego. Osuszyła szybko twarz papierowym ręcznikiem i wyszła z łazienki. Otworzyła torebkę, by poszukać telefonu. Zawsze miała z tym problem. Kiedy dzwonił, w popłochu obiecywała sobie, że będzie wkładać go w wewnętrzną małą kieszonkę, ale później jakoś o tej obietnicy zapominała. Kucnęła i plądrowała torbę, zaczynając się niecierpliwić. „Czyżby to był jakiś znak? – pomyślała. – Może nie powinnam do niego telefonować?”. Starła się być wrażliwa na takie znaki. Zbyt wiele ich zlekceważyła w przeszłości.

– Dzień dobry. – Usłyszała nad głową jakiś przyjemnie brzmiący męski głos.

Podniosła głowę, po czym bez słowa ją opuściła i dalej grzebała w torebce. Była przekonana, że to nie do niej skierowane było pozdrowienie nieznanego.

– Dzień dobry – powiedział ponownie.

Uniosła głowę raz jeszcze. Młody mężczyzna przyglądał się jej. Wyglądał na zmieszanego.

– O, jest! – powiedziała, raczej do siebie, zadowolona, że wreszcie udało jej się znaleźć telefon. Zasunęła suwak torebki i wstała. – Czy my się znamy? – zapytała, mrużąc oczy.

– Tak – odparł szybko. – To znaczy nie, to znaczy tak – motał się.

– To tak czy nie? – Zastanawiała się, czy młody mężczyzna nie jest przypadkiem osobą publiczną, którą mogłaby znać z telewizji.

– Nie wiem, czy mnie pani zna, ale ja znam panią – powiedział, prawie szepcząc.

– Naprawdę? – zdziwiła się.

Od razu pomyślała, że nie wygląda dziś najlepiej. Skarciła siebie samą za tę myśl. Już chciała się do niego uśmiechnąć, ale to, co powiedział, odebrało jej chęć na jakiegokolwiek życzliwości.

– To ja jestem Tomasz.

Stał przed nią mężczyzna mogący budzić zaufanie. Czarny, idealnie skrojony

garnitur, przyjemny i nienachalny zapach perfum, elegancko przystryżone włosy... Mógłby budzić to zaufanie, gdyby... to właśnie przez niego jej syn nie zamierzał się zabić. Nie wiedziała, jak się zachować. Postanowiła więc, gdzie przysłowiowy pieprz rośnie. Bez słowa zaczęła zbiegać po schodach, darując sobie czekanie na windę.

– Proszę pani, proszę pani! Proszę zaczekać! – Gonił ją, nie przestając wołać.

Zatrzymała się nagle. Wiedziała, że za nią stoi. Mógłby przysiąc, że czuje na karku jego oddech. Zaskoczyła ją obecność partnera syna. Broniła się przed wyobrażeniem ich sobie razem. Odwróciła się powoli i spojrzała Tomaszowi głęboko w oczy.

– Wiem, kim jesteś – wyszeptwała.

Spuścił głowę. Splótł dłonie z przodu i przypatrując się im, zataczał kciukami małe kółka.

– Byłem partnerem Marcinka.

– Marcina – poprawiła go. – Tylko ja mam prawo tak mówić do mojego syna – syknęła, ostro i zdecydowanie głośniej.

– Przepraszam.

– Już wiem, skąd cię znam. Jesteś rzecznikiem prasowym prezydenta. Widziałam cię w telewizji lokalnej – powiedziała, nie spuszczając go z oka.

Miała chęć mu dogadać, powiedzieć coś obraźliwego, co by go zabolalo. Zdała sobie jednak sprawę, że nie zna słów, które w tej sytuacji przyniosłyby ulgę. Jeszcze przed chwilą tłumaczyła synowi, że gniew zawsze jest podszyty lękiem i... nie chciała być jak ten pies z duńskiego powiedzenia. Ostatnie, czego pragnęła, było głośne ujadanie. Postanowiła milczeć i zmusić tym samym pana w garniturze do mówienia.

– Tak, to prawda. To ja jestem tym rzecznikiem. Nie mam pojęcia, ile pani o mnie wie... Ja chciałbym... Bo ja właśnie idę do Marcinka, to znaczy do Marcina... No nie mogę! – Machnął ręką na znak zniecierpliwienia.

Przyglądała mu się bez słowa. Stali między piętami szpitala, którego odgłosy nie nastrojały optymistycznie. Ktoś tam stękał, ktoś narzekał. Nie ułatwiała mu sytuacji. Szczerze powiedziawszy, nie robiła tego celowo, jakoś tak po prostu wyszło, że przyjęła postawę wyczekującą.

– Czy ja mógłbym zaprosić panią na herbatę? – ośmielił się.

– Zdaje się, że nie planowałaś tego. – Nie ułatwiała mu.

– Nie planowałem, to prawda, ale... proszę pani, trudno mi o tym rozmawiać w korytarzu. Bardzo panią proszę. Wiem, że nie powinienem po tym, co się stało, ale... pani musi o tym wiedzieć. Ja nie miałem wyjścia, przyciśnięto mnie do muru. Nie mogłem postąpić inaczej. Proszę pani, ja spłacam kredyt, pomagam chorej matce.

Gdyby to wszystko wyszło na jaw, ja mógłbym...

– Chwila, chwila! – Przerwała mu, czując, że jeszcze moment, a Tomasz się rozplącze. – Jak sam pan zauważył, zresztą słusznie, nie powinien mnie pan o nic prosić. Mój syn niewiele o panu opowiadał i... po tym, co się stało, ja też wyciągnęłam pewne wnioski. – Zamilkła na chwilę.

Nie wiedział, co kobieta chce powiedzieć. Serce waliło mu jak oszalałe. Jedyne, co ciągle dudniło w głowie, to przerażenie, połączone z błagalną prośbą o wysłuchanie. Bał się, że matka Marcina nie da mu tej szansy.

– Widzi pan, kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamień. Jestem zła, to prawda. Można powiedzieć, że jestem rozgoryczona, ale... uciekanie też nic nie zmieni.

Odetchnął z ulgą.

– Da się pani zaprosić na herbatę? – ośmielił się spróbować raz jeszcze.

– Dziś nie mam czasu, jestem zajęta.

Skłamała. Po prostu tego dnia nie miała już siły na kolejny emocjonalny rollercoaster. zaproponowała tajemniczo, że go odnajdzie. Ucieszył się bardzo, przywdziewając na twarz nieśmiały uśmiech.

– Dziękuję pani. Dziękuję, dziękuję, dziękuję – powtarzał wielokrotnie do jej pleców.

Powoli schodziła, ciągle słysząc słowo, które natrętnie wypowiadał.

– Nie dziękuj. Przecież jeszcze nic nie zrobiłam – rzuciła.

– Marcin wiele o pani opowiadał. Wiem, że kocha go pani jak nikt inny. Nie to, co ten Gerard. Dziękuję! Proszę się nie martwić, ja już nic złego nie zrobię. Obiecuję. – Uniósł dwa palce i zmarszczył czoło.

„Nie to, co ten Gerard?” – powtórzyła w myślach i zwolniła kroku. Po chwili zatrzymała się zupełnie.

– Dlaczego wspominasz mojego byłego męża? – Odwróciła się.

– Właśnie dlatego tak bardzo zależy mi na spotkaniu z panią.

Zamyśliła się. Była już pewna, że tego dnia nie wykona telefonu do byłego męża.

– OK. Odezwę się.

– Będę czekał.

– Nie zrób nic głupiego.

– Obiecuję.

– To już drugi raz dzisiaj... Do widzenia.

– Do widzenia. Czekaam na kontakt z pani strony.

16. Wiara w drugiego człowieka

Nie potrafiła przestać myśleć o tym, co powiedział ten młody mężczyzna. Wyglądał naprawdę na zatroskanego i przejętego. Cóż takiego wydarzyło się między nim a Marcinem, że postanowili zerwać? Była pewna, że się z nim spotka. Zbyt długo uciekała przed rzeczywistością, myśląc, że skoro nie poświęca uwagi trudnym sprawom, one w jakiś magiczny sposób nagle staną się proste. Głupio postąpiła, lekceważąc miłość syna do innego mężczyzny i myśląc, że szybko zostanie ona zastąpiona uczuciem do kobiety. Było jej wstyd. Poczula się niczym ta Dulka z opowieści Gabrieli Zapolskiej. Na wierzchu wszystko miała niby uporządkowane, w środku... szkoda gadać. Poza tym była bardzo ciekawa, czegoż chciał od niej ten chłopak.

– Kochanie, czy ty znałaś tego Tomasza? To znaczy... czy go znasz? – zapytała ni z tego, ni z owego Kamilę.

Dziewczyna właśnie przygotowywała sobie śniadanie. Nasypała do miseczki gotową mieszankę musli i zalała ją kokosowym mlekiem. Usiadła naprzeciwko matki i zaczęła jeść. Julita powtórzyła pytanie. Kamila westchnęła, dając wyraźnie znać, że rozmowa o Tomaszu jest ostatnią rzeczą, na którą miałaby ochotę w ten przepiękny majowy poranek.

– Jakie to ma znaczenie? Przecież nie są już razem – bąknęła między jedną a drugą wsuniętą w usta łyżką.

Wisielczy nastrój nastolatki unosił się w powietrzu. Julita starała się ważyć słowa.

– Wczoraj go spotkałam.

– Kogo?

– No, tego Tomasza. Jak wracałam od Marcina. Szedł do niego.

Kamila odłożyła łyżkę na stół i przestała jeść. Była zdenerwowana.

– Po co on tam? Mało namieszal?

W gruncie rzeczy miała rację, Julita jednak starała się nie oceniać chłopaka, chociaż wygodniej byłoby postawić na nim krzyżyk.

– Prosił mnie o spotkanie. Może powinnam z nim porozmawiać... – powiedziała niepewnie, przyjmując postawę wyczekującą.

Córka miała wiele jej cech. Ciągnięta za język, niewiele mówiła. Trzeba było na nią sposobu, aby wydusiła z siebie cokolwiek.

– Myślisz, że powinnam iść?

– Jak chcesz.

Kamila wróciła do jedzenia. Wyglądało na to, że dziewczyna niewiele jej pomoże. Postanowiła więc spróbować czegoś innego.

– Może się wybierzemy do jakiegoś centrum handlowego? Co ty na to, kochanie?

Chciałabym ci sprawić przyjemność. Po raz pierwszy w życiu mogę cię zabrać na prawdziwe zakupowe szaleństwo – zmieniła temat.

Kamila skończyła jeść. Wstała od stołu i z politowaniem spojrzała na matkę.

– Mamo... Czy ty naprawdę myślisz, że jak zaproponujesz mi zakupy, to rozwiąże mi się język? Wyglądam na aż tak naiwną?

Julita próbowała ukryć swoje zmieszanie.

– Szczerze powiedziawszy, to trochę tak myślałam – przyznała się, oblewając rumieńcem.

– Przynajmniej jesteś uczciwa i nie brniesz dalej w tę ściemę. – Dziewczyna zaczęła kroić sobie sałatkę. Chciała ją zjeść w porze lunchu. – Jeśli chcesz wiedzieć, to tak, znałam Tomasza i powiem ci, że jestem zszokowana tym, co się wydarzyło. To on łąził za naszym Marcinem. Nie dawał mu spokoju. Bywaliśmy u niego oboje, zapraszał nas. Gotował te swoje kolacyjki, rozpieszczał kulinarnie. Wymyślał te wszystkie ceregiele, nadskakiwał, starał się. Wierzyłam mu i sama namawiałam Marcina na to, aby dał mu szansę.

– Jezus Maria, dziecko! Namawiałaś brata na związek homoseksualny? – wyrwało się Julicie, może zbyt odważnie.

– Może nie namawiałam, ale nie widziałam w tym nic złego. Skoro ludzie się lubią, szanują, to dlaczego nie? Kto daje nam prawo do oceniania?

– Jesteś za dojrzała jak na swój wiek.

– Taka wada dzieci z patologicznych domów.

Julita poczerwieniała. Dom, w którym wychowywała swoje własne dzieci, przez nie same postrzegany był jako patologiczny. Jakże często tworzymy coś, co wydaje nam się normalne, podczas gdy ktoś z boku ocenia to zupełnie inaczej. Chciała pociągnąć temat owej patologii, ale po chwili zmieniła zdanie w obawie, że usłyszy argumenty, na które nie była gotowa.

– To jak, pójdziemy na te zakupy? Znajdziesz dla mnie czas, córcia? Chciałabym z tobą porozmawiać. Chciałabym wiedzieć, co u ciebie. Zbyt skupiałam się na swoim cierpieniu, a przecież ty zapewne też to wszystko przeżywasz. Babski wypad dobrze by nam zrobił – próbowała przekonać córkę.

Kamila zamknęła pojemnik z gotową sałatką i wrzuciła go do torby.

– Kończę o piętnastej. Przyjdiesz pod szkołę?

– Jasne. Dziękuję, córeczko. Kocham cię, pamiętasz o tym?

– Pamiętam. Jesteśmy umówione.

– Pa.

– Pa.

Punktualnie o piętnastej zjawiła się przed budynkiem szkoły. Kamila wyszła kwadrans później. Przywitała się z matką, na co ta ucieszyła się po stokroć. Zawsze obawiała się, że nie przeżyje momentu, w którym jej własne dzieci zaczną się jej wstydzić, co na szczęście nigdy się nie przydarzyło. W powietrzu czuć było zbliżające się wakacje, a pogoda sprzyjała, by na ulicach coraz częściej można było spotkać przytulające się młode pary. Julita przypomniała sobie czas, kiedy to sama była nastolatką i szaleńczo kochała pewnego młodzieńca. Dziś na myśl o Michale czuła dziwne łaskotanie w żołądku. Broniła się przed tym uczuciem, wiedząc, że i tak nic z tego nie będzie.

W towarzystwie córki spędziła kilka godzin. Najpierw szalały w sklepach, a później poszły wypić ulubioną kawę i zjeść pyszne ciastko.

– Dziękuję, mam. Ta torebka jest przepiękna. – Kamila zachwyciła się swoim nowym nabytkiem w kolorze starego złota.

– Cieszę się, że mogłam sprawić ci przyjemność. Ostatnio cię zaniedbywałam i bardzo za to przepraszam.

Dziewczyna przez moment udawała nadąsaną, po to, by po chwili rzucić się matce na szyję.

– Jesteś wspaniała. Bardzo mi ciebie brakuje, ale widzę, jak odżyłaś w tej pracy.

Julita się rozpromieniła. To popołudnie było im obu bardzo potrzebne, by wyrwać się z zakłętego kręgu analizowania traumatycznych wydarzeń ostatnich tygodni.

– Wydałaś na mnie fortunę. Dziękuję ci. – Przytuliła do piersi dzinsową markową katanę, o jakiej jeszcze rok temu skrycie marzyła. – Szkoda, że Marcina z nami nie ma – wyrwało jej się spontanicznie.

Julita nieco posmutniała. Na widok wyrazu twarzy matki Kamili zrobiło się głupio. Pożałowała natychmiast, że nie ugryzła się w język.

– To prawda, szkoda.

Błogi nastrój zakupów ulotnił się w jednej chwili.

– Córcia, nie smućmy się. – Julita próbowała ratować sytuację. – Postarajmy się być tu i teraz. To wszystko bardzo mną wstrząsnęło. Jest mi ciężko, ale wiem, że ty także to przeżywasz.

Obie milczały przez kilka minut, skupiając uwagę na kawie, ciastku i własnych myślach.

– Chcę, abyś wiedziała, że możesz do mnie przyjść z każdym problemem. Nigdy cię nie wyśmieję ani nie będę oceniać. – Julita przerwała ciszę.

Chciała dodać o wiele więcej, ale nie zdołała. Obawiała się powiedzieć o słowo za dużo. Czasami chciałyby ponarzekać, zwalić na Gerarda chociaż część odpowiedzialności za to, co się stało, lecz miała świadomość, iż opowiadanie o tym

Kamili sprawi, że dziewczyna będzie się czuła jeszcze gorzej. Nie mogła jej tego zrobić. To była przede wszystkim jej córka i nie wolno jej było rozmawiać z nią jak z przyjaciółką. Bała się o psychikę dziewczyny, która w swoim życiu i tak zbyt wiele widziała.

– Mamo, wiesz... bo ja sobie co nieco przemyślałam. – Kamila odłożyła zakupy do toreb.

– Córcia, jeśli nie chcesz, to nic nie mów. Naprawdę nie po to zabrałam cię na zakupy, aby wyciągnąć na zwierzenia. Przyznaję, w pierwszej chwili miałam taki plan, ale teraz cieszę się, że po prostu spędzamy razem czas.

Prawdę mówiąc, po cichu liczyła, iż Kamila zechce jednak co nieco jej opowiedzieć. Ech, to bycie rodzicem... Człowiek cały czas musi uważać, aby wyjść z twarzą w rozmowach z własnymi dziećmi. O ile łatwiej i wygodniej byłoby zatkać uszy na wszystko, bez konsekwencji udawać, że wszystko jest w porządku. Lecz udawanie było ostatnim, na czym Julicie zależało. Wręcz przeciwnie, pragnęła zrozumieć, co takiego się wydarzyło, że jej syn posunął się do takiego czynu. Tylko w ten sposób mogła mu pomóc.

– Mamo, wiesz... myślę, że może powinnaś się spotkać z Tomaszem. Szczerze, to do mnie też ostatnio pisał SMS-y z prośbami o spotkanie, ale nie odpisywałam. Jestem... a w zasadzie byłam na niego zła. Obwiniałam go o to, co się stało.

– To chyba naturalne. Ja też byłam na niego zła.

Julita zastanawiała się, czy powiedzieć Kamili o tym, że przy ostatnim spotkaniu Tomasz bąknął coś o Gerardzie. Ostatecznie postanowiła to przemilczeć.

Przynajmniej do momentu, kiedy nie dowie się czegoś więcej.

– Nie umiem zrozumieć, co takiego się stało. Tomasz to przedobry człowiek. Nawet mnie kupił swoją dobrocią. Nie skrzywdziłyby nawet muchy. Chociaż... co ja tam wiem o życiu. Za kratkami podobno siedzą sami dobrzy ludzie, prawda?

Julitę zmroziło.

– Skąd takie skojarzenie?

– Sama nie wiem. Sporo kryminałów czytam ostatnio, wyobraźnia pracuje.

W każdym razie zastanawiam się, co takiego się stało, że oni ze sobą zerwali.

– Wiesz, Kamilko, czasami ludzie przestają się kochać. Przestają się dogadywać i wtedy lepiej jest się rozstać. – Mówiła tak, jakby sama znała się na związkach. Prawda była taka, że wiedziała o nich tyle, co przysłowiowa świnia o gwiazdach. Uśmiechnęła się do siebie na myśl o tym porównaniu.

– Z czego się śmiejesz? – zapytała Kamila.

– Uśmiecham się. Nie zauważyłam nawet, kiedy wyrosła mi taka piękna i mądra córka. Powinnyśmy częściej się razem wybierać na takie wypadki. Obiecuję, że będę

dbała, abyśmy nie zapomniały, co w życiu ważne. Wiesz, boję się, że stracę z tobą kontakt. Wydawało mi się, że jestem z Marcinem blisko, że on wszystko mi mówi. Jak widać... myliłam się. Nie chcę, żeby z tobą było podobnie.

– Mnie też się tak wydawało, mamó. Jestem przekonana, że za wszystkim stoi ktoś trzeci. Tylko nie wiem kto...

Julita się zamyśliła.

– Myślisz, że ich związek rozpadł się, bo Tomasz się zakochał w kimś innym?

– To jedyne wytłumaczenie. Ty ich nigdy nie widziałaś razem, a ja tak. Mówię ci, tak zgodnej pary nie widziałam w życiu. Odnosili się do siebie z szacunkiem, jakiego w twoim związku z tatą nie było nigdy. Zapatrzeni byli w siebie jak dwa gołąbki.

Julicie zrzędała mina. Dotarło do niej ostatecznie, że starania, by dzieci nie zauważyły jej małżeńskich problemów, spełzły na niczym. Oparła łokcie na stole, wspierając na nich brodę. Wpatrywała się w córkę. Wszystko wskazywało na to, że dziewczyna wiedziała o swoim bracie o wiele więcej niż jego matka. Przez głowę przemknęły jej chwile, gdy Marcin proponował, że przyprowadzi Tomasza, by mogła go poznać. Wtedy nie chciała o tym słyszeć, dzisiaj oddałaby wszystko, aby móc cofnąć czas. Niestety, za żadne pieniądze świata nie można było tego zrobić. Szanse, które daje nam los, są jednorazowe i często mijają bezpowrotnie. Jedyne, co mogła zrobić teraz, to zastanowić się, jak pomóc synowi. Aby to zrobić, musiała poznać okoliczności, które doprowadziły do sytuacji, że postanowił odebrać sobie życie. Jedynym na to sposobem było spotkanie z Tomaszem.

– Bardzo cię kocham, córeczko.

– Już mi to mówiłaś rano.

– Wiem. Powinnam to mówić częściej. To jest takie ważne... Nie chcę się teraz tłumaczyć, że byłam zajęta, że miałam sporo na głowie, że może zbyt mocno byłam skupiona na waszym ojcu. Jesteście moimi dziećmi i to wy jesteście dla mnie najważniejsi. Oboje jesteście moimi spełnionymi marzeniami o rodzinie. Wy i tylko wy nią jesteście.

– Mamó, przestań, przecież wiem. – Kamila próbowała ukryć wzruszenie.

Julita nigdy nie była zbyt wylewna. Zawsze skupiona na tym, aby zaspokoić ich wszystkie fizyczne potrzeby, zapominała, że to, co naprawdę w życiu ważne, nigdy nie jest pilne. Gorący obiad na stole, uprane i wyprasowane ubrania, odkurzony dom i kiszzone ogórki w piwnicy nie zastąpią nigdy prawdziwego zainteresowania. Cóż z tego, że uchodziła za perfekcyjną panią domu. Gerard miał to gdzieś i zawsze w czymś dopatrywał się skazy. Był mistrzem w wynajdywaniu problemów. Julita ciągle obmyślała nowe sposoby, aby zapobiegać ich powstawaniu. Co jej to wszystko dało? Owszem, mogłaby teraz się obwiniać, ale po co? Zbyt wiele czasu zmarnowała na

życie w lęku. Podświadomie przekazywała go własnym dzieciom i to bolało ją najbardziej. Chciała zmiany i aby jej dokonać, zaczęła od siebie.

– Kamilko, jest mi wstyd, że miałaś takie dzieciństwo. Gdybym mogła... – Rozpląkała się, nie mogąc skończyć zdania. Przełknęła ślinę, pośpiesznie wytarła łzy w rękaw.

– Mamo, nie płacz.

– Przepraszam. Już nie płaczę, kochanie. Za dużo moich łez widziałas w swoim życiu. Dziecko moje, czy ty mi kiedyś to wszystko wybaczysz? Powinnam odejść od ojca już dawno temu.

– Lepiej późno niż wcale – zauważyła dziewczyna.

Julita uśmiechnęła się przez łzy.

– Słuszna uwaga!

Kiedy rozwodziła się ze swoim mężem, wierzyła, że nadejdzie taki dzień, w którym zrozumie on, jak wielki popełnił błąd. Nie wiedziała tylko, że wtedy jego żal nie będzie już miał dla niej znaczenia.

Elżbieta zrobiła kolację. Wegańskie danie, przygotowane ze składników, o których pochodzeniu Julita nie miała zielonego pojęcia, smakowało przepysznie. Kobiety siedziały we trzy, ciesząc się swoim towarzystwem. Elżbieta z pełnymi ustami opowiadała o przeczytanym niedawno artykule, w którym amerykański psycholog tłumaczył, że szczęśliwi ludzie to tacy, którzy podjęli decyzję, że tacy właśnie będą. Polecał, aby każdego poranka, zanim jeszcze otworzymy oczy, podejmować decyzję, że dziś będziemy szczęśliwi.

– Mówię wam, dziewczyny, odkąd przeczytałam te słowa, każdego dnia, zanim jeszcze otworzę oczy, wmawiam sobie, że będę dziś szczęśliwa. I tak codziennie, codziennie, codziennie...

Kamila przyglądała się ciotce, przeżuując dokładnie to, co miała na widelcu.

– I co? Wmówiłaś sobie, że jest OK i tak właśnie jest? – zapytała po chwili.

– No tak – potwierdziła Ela.

– A to nie jest tak, że po prostu się zabujałaś i jesteś szczęśliwa? Jak tam ten twój Łukasz? – Julita postanowiła wyciągnąć przyjaciółkę na zwierzenia.

Elżbieta przewróciła oczami. Ewidentnie nie chciała zdradzać w obecności Kamili szczegółów swego pożycia z płcią przeciwną. Dziewczyna w mig zrozumiała aluzję.

– Dajcie tylko zjeść w spokoju. Zaraz spadam malować – burknęła, udając obrażony ton.

– Nie spiesz się, córcia, przecież nikt cię nie wygania.

– Dobra, dobra. Na sam widok oczu ciotki dostaję wrzodów. Przysięgam. –

Położyła dłoń na wysokości serca, oddając szczególną powagę tego, co powiedziała.

Wszystkie trzy wybuchły śmiechem. Julita zamyśliła się nad swoim życiem i nad tym, co powiedziała Elżbieta. Bez czytania słów amerykańskich psychologów wiedziała, że szczęście człowieka jest decyzją. Analizując na prędko swoje małżeństwo, doszła do wniosku, że w jego trakcie w zasadzie była szczęśliwa. Umiała bezbłędnie sobie wmówić, że wszystko gra. Pograżona w myślach, nie zauważyła nawet, kiedy pochłonęła wszystko, co miała na talerzu.

– Halo, tu ziemia. – Ela machała jej przed nosem drewnianą kuchenną łąpatką. – Najadłaś się? Czy chcesz dokładkę?

Julita, gładząc się po pełnym brzuchu, grzecznie podziękowała. Kamila zgodnie z umową opuściła jadalnię i poszła do siebie.

– Świetnie ją wychowałeś.

– Nie chwał dnia przed zachodem słońca. Wydawało mi się, że Marcina też wychowałam dobrze, a tu, widzisz... Niczego nie można być pewnym w tym naszym życiu.

– Oj, przestań! Marcina też świetnie wychowałeś, tylko się trochę chłopak pogubił. Odnajdzie się, zobaczysz. Wszystko będzie dobrze. Wiem, że to taki wyświechtany frazes, ale działa. Przecież wiesz.

Julita zaczęła sprzątać. Miały taką niepisaną umowę – ta, która gotowała, nie musiała martwić się sprzątaniem, i odwrotnie. Ich relacja była idealna. Nie kłóciły się, a jeśli już, to rzadko. Raczej wymieniały opinie, doradzały sobie, wzajemnie się wspierały. Szkoda, że tworzenie takich związków z mężczyznami jakoś im nie wychodziło.

– To opowiadaj, jak z tym Łukaszem. Będzie z tej mąki jakiś chleb?

Elżbieta poczerwieniała jak mała dziewczynka.

– Sama nie wiem...

– Jak to nie wiesz? Kto ma wiedzieć, jak nie ty?

Kobieta nabrała powietrza w płuca, zastanawiając się, jak ubrać w słowa to, co chodziło jej po głowie. Niby wiedziała, że przed Julitą nie musi udawać, ale zawsze jak wchodziły na „te tematy”, było jej jakoś dziwnie. Związki były jedyną sferą jej życia, która nie rozwinęła się na tyle, by swobodnie o niej mówić. W zasadzie nie rozwinęła się wcale.

– Dziś, kiedy byłam z Kamilą na zakupach, poszłyśmy na kawę i wiesz, co jej powiedziałam?

– Co?

– Że może na mnie liczyć w każdej sytuacji.

– To żadna nowość.

– Chcę ci powiedzieć to samo, Ela. Możesz na mnie liczyć w każdej sytuacji. Przez wiele, wiele lat to ja częściej smarkałam w twój rękaw. Nie musiałaś mnie pytać o nic. Sama wiedziałaś, kiedy coś było nie tak. Szczęściem raczej rzadko przychodziłam się dzielić, a mimo to nasza przyjaźń trwa już tak długo... Po tym wszystkim, co się wydarzyło, doszłam do wniosku, że zbyt wiele uwagi poświęcałam na rzeczy błahie i nieistotne. To przecież relacje z ludźmi są ważniejsze niż świeżo utłuczony kotlet schabowy. Przepraszam cię za to, kochana.

Elżbieta przytuliła przyjaciółkę. Było jej bardzo miło. Po raz kolejny w życiu poczuła bratnią duszę w osobie, którą ścisła. Gdy wyswobodziła się z objęć, oczy jej błyszczały.

– Po tym, jak Marcin trafił do szpitala, nie chciałam ci zawracać głowy swoim szczęściem.

Widok podekscytowanej przyjaciółki wprowadził Julitę w stan niezwykłego spokoju.

– Zakochałaś się – stwierdziła, wstawiając wodę na herbatę.

Ela kiwnęła głową.

– Był seks? – bez pardonowo i z zaskoczenia wyskoczyła z pytaniem.

– Juli!

– No co?

– Dobrze wiesz, że gdyby był, wiedziałabyś o tym pierwsza.

– No, mam nadzieję. Uspokoilaś mnie. To, że wyglądam na zbyt mocno zaangażowaną tylko w swoje sprawy, nie oznacza, że nie interesują mnie twoje. Kiedy to się stanie, masz zadzwonić, chociażby w środku nocy. Zrozumiano? – Pogroziła przyjaciółce palcem.

Julita zaparzyła herbatę i wkroiła do niej plasterki cytryny. Wieczór był ciepły – jak to w maju. Usiadły na tarasie, przysłuchując się odgłosom okolicy. Dom, w którym mieszkała Ela, był doskonałym miejscem, aby w nim wypoczywać. Gdyby tylko nie kojarzył się Julicie z kałużami krwi jej ukochanego syna, byłoby idealnie. Nie chciała dziś do tego wracać, postanowiła skupić się na przyjaciółce. Roztrząsanie własnego życia nie działało na nią kojąco. Wolała przekierować uwagę na innych. Kiedy robiła coś dla kogoś, jej poczucie własnej wartości od razu szybowało w górę, czyniąc z małych, drobnych gestów fantastyczną terapię.

– Boję się – powiedziała Ela, podciągając kolana pod brodę.

W pierwszym odruchu Julita chciała powiedzieć, że nie ma czego, lecz pospiesznie wróciła myślami do chwil, kiedy to ona traciła dziewictwo z Gerardem. Też się bała, i to jak. Była w o tyle lepszej sytuacji, że z racji wieku posiadała o wiele mniejszą świadomość tego, co się dzieje. Nie wiedziała, co może czuć czterdziestoletnia kobieta będąca dziewicą. Mogła sobie to jedynie wyobrazić.

– Wiesz... – zaczęła, po czym zatrzymała się, by ułożyć w głowie zdania, które w jakikolwiek sposób nie zranią Eli. – Mogłabym powiedzieć, że wszystko rozumiem, ale... ja tak naprawdę nie mam zielonego pojęcia, co ty czujesz. Myślę jednak, że jedynym sposobem, aby sobie z tym lękiem poradzić, jest przejście na jego drugą stronę.

Elżbieta nerwowo zaciskała ramiona na podciągniętych kolanach. Kołysała się w przód i w tył.

– Co masz na myśli?

– Powinnaś to zrobić. Po prostu. Może to złe porównanie, ale gdy jechałam do Niemiec, byłam pełna obaw, dosłownie o wszystko. Wiesz, jaką stoczyłam w sobie walkę, aby podjąć się czegoś, czego nigdy nie robiłam? Nie dość, że przez całe życie nie pracowałam zawodowo, to jeszcze pierwszą poważną pracę znalazłam za granicą.

Elżbieta niepewnie pokiwała głową, nie wiedząc dokładnie, co sytuacja Julity ma wspólnego z utratą dziewictwa.

– Usiłuję ci powiedzieć, że nie taki diabeł straszny, jak go malują. Jak nie spróbujesz, to nigdy nie będziesz tego wiedziała. Sama skazujesz siebie na życie w poczuciu wielkiej niewiadomej. Musisz się zastanowić, co jest gorsze – ciągle zastanawianie się, jak by to mogło być czy... zdobycie się na odwagę i zrobienie tego.

Ela słuchała w skupieniu, by nie umknęło jej żadne słowo.

– Jestem ostatnią osobą mogącą udzielać ci rad. Jak to się mówi, w dupie byłam i gównem widziałam, a ze swojego życia zrobiłam taki cyrk, że nie powstydzilyby się go największe areny świata. Ale obie wiemy, że wszystko, czego doświadczyłyśmy, stało się dlatego, że nasza przeszłość była taka, jaka była.

– Myślisz, że wciąż mamy prawo zwalać nasze niepowodzenia na wpajane zasady? – wtrąciła Ela dość nieśmiało.

Julita podrapała się po głowie, po czym energicznie zaczęła odpędzać natrętą muchę, latającą w pobliżu jej nosa.

– Myślę, że nie mamy prawa. Same jesteśmy odpowiedzialne za nasze dorosłe życie i nie kto inny jak właśnie my mogłyśmy pokierować nim w inny, bardziej pozytywny dla nas w skutkach sposób.

– No właśnie... – Ela upiła łyk herbaty, która zdążyła na tyle ostygnąć, że przestała parzyć w język.

– Prawda jest taka, że istnieje spora szansa, że zawsze będziemy przesiąknięte zasadami wpajanymi nam przez babcię. We mnie będzie ta dziewczyna, która wciąż się wstydzi, że zrobiła coś złego, i przez całe życie będzie się starała odkupić winy, a w tobie... będzie ciągle to poczucie straty czasu, który mogłaś poświęcić na zrobienie wielu rzeczy, których nie zrobiłaś. Nie wiem, czy istnieje dobre

rozwiązanie. Myślę sobie tylko, że rozpamiętywanie przeszłości nie przyniesie nam obu nic dobrego. To, co się wydarzyło, już się nie odstanie. Możemy się tylko postarać wpłynąć na przyszłość, nie bać się jej.

Zamyśliły się obie nad własnym losem. Ciągłe powracały do zdarzeń, które miały miejsce kiedyś. Obie kochały Boga, obie w niego wierzyły i obie w imię tej miłości poświęciły coś z własnego życia. Czy aby na pewno Bóg wymagał od nich aż takich wyrzeczeń? Skoro jest miłosierny i wszystko wybacza, to powinien przecież patrzeć na nie łaskawym okiem. Gdyby tak można było napisać do niego list, wiedząc, że otrzyma się odpowiedź w tej samej formie, obydwie zabrałyby się do pisania teraz, zaraz i już – tak jak stały. Duchowość ma jednak to do siebie, że nie jest jasna i oczywista. Nie rządzi nią intelekt, wręcz przeciwnie – trzeba kierować się sercem.

– Powinnam więcej medytować. Otworzyć się na zmianę – powiedziała Ela.

– Ja również.

Przez dłuższą chwilę siedziały pogrążone we własnych myślach. Problem roztrząsania przeszłości był w nich na tyle głęboko zakorzeniony, że trudno było zacząć postępować w inny sposób. Zmiany są trudne, lecz możliwe i konieczne.

– Powiedz mi lepiej, jak było u Marcina. Nie chciałam ciągnąć cię za język, bo myślałam, że sama wreszcie wyjdiesz z inicjatywą, ale, jak widać, trudno ci się domyślić, że umieram z ciekawości.

Julita uśmiechnęła się smutno. To prawda, nie chciała opowiadać. Nie dlatego, że miała coś do ukrycia, ale dlatego, że wszystko było jeszcze takie świeże i nie bardzo potrafiła nazwać emocje, które nią targały.

– Dobra, dobra, już o nic nie pytam. Będziesz chciała, to sama mi opowiesz. Pamiętaj tylko, że jestem i zawsze chętnie cię wysłucham. – Mrugnęła zawadiacko, chociaż zrobiła to wbrew sobie samej. Oczywiście, że wolałaby wszystko wiedzieć. Tyle że jeśli Julita nie chciała mówić, żadne siły nie były w stanie wyciągnąć z niej nawet jednego słowa zwierzeń.

– Kiedy wyszłam od Marcina, spotkałam Tomasza.

Nerwowo przeczesła dłonią włosy. Wzięła głęboki wdech, licząc w myślach do pięciu. Wskoczyła w tryb ważenia słów. Nie była jeszcze gotowa, by analizować wszystko, bo przeczuwała, że prawda okaże się dla niej bolesna. Nastąpiła cisza. Ela przyglądała się przyjaciółce, próbując dopasować w pamięci imię do osoby.

– Tego Tomasza? – wypaliła po chwili.

– Dokładnie tego.

– No, no... Odważnie, że postanowił się tam pojawić. Nie wiesz, czego chciał? Domyślam się, że go stamtąd pogoniłaś? – Spojrzała pytająco.

Julita milczała, dając przyjaciółce do zrozumienia, że niczego takiego nie

uczyniła.

– Juli! Nie pogoniłaś go? Przecież to przez niego to wszystko! Pozwoliłaś mu iść do Marcina? Nie wierzę...

– Wiesz... – Zamyśliła się, po czym wyznała: – W pierwszej chwili miałam ochotę mu wygarnąć i wysłać do wszystkich diabłów, ale potem coś mnie tknęło i go wysłuchałam.

Elżbieta nie dowierzała. Rozchyliła usta w bezwiednym wyrazie zdziwienia.

– Myślę, że to nie jest wszystko tak, jak się nam wydaje.

– A co tu się ma wydawać? Zawrócił Marcinowi w głowie, wmówił głupoty o związku, po czym zostawił, zwiewając przed odpowiedzialnością, i tyle. – Ela okrasiała swoją wypowiedź niezadowoloną miną.

– Postanowiłam się z nim spotkać.

– Co?!

– To, co słyszałaś. Poprosił mnie o spotkanie. Zadzwońię do niego i umówię się z nim jeszcze dziś.

Elżbieta westchnęła z rezygnacją.

– Jak uważasz. Na twoim miejscu byłabym bardziej ostrożna. Przez tego chłopaka twój syn leży w szpitalu. Mogłabyś najpierw zapytać Marcina, jak skończyły się te całe odwiedziny.

Tym razem Julita westchnęła. Próbowwała się opanować. Wiedziała, że wymiana zdań z Elą nie przyniesie nic dobrego, jeśli pozwoli, aby pokierowały nią nerwy. Pragnęła, aby przyjaciółka zrozumiała jej postępowanie, w związku z czym ze wszystkich sił starała się zachować spokój.

– Elu... – zaczęła przyciszonym tonem. – Wiesz... jeśli ktokolwiek jest tu czemukolwiek winny, to jestem to ja.

– Znów zaczynasz? Teraz będziesz się obwiniać o całe zło tego świata? – zapytała podniesionym tonem.

– Nie będę, kochana, nie mam takiego zamiaru. Po prostu trzeba spojrzeć prawdzie w oczy i oceniać fakty, jakimi one są, a nie takimi, jakimi chcemy je widzieć. Przez całe życie wydawało mi się, że dobrze zajmuję się domem i dziećmi, a tak naprawdę zajmowałam się dbaniem o pozory, aby ten nasz dom na zewnątrz był postrzegany tak, by nikt nic nie mógł mi zarzucić. Nawet jak nie potrafiłam zrozumieć tego związku, to przynajmniej powinnam spróbować go zaakceptować. Wiesz, o czym mówię? – Z nadzieją spojrzała na przyjaciółkę.

Elżbieta chwyciła za ścierkę i nerwowo zaczęła przecierać blat.

– Powiedz coś, proszę...

– Co mam powiedzieć? Nie mam pojęcia o rodzicielstwie – rzekła, już nieco

ciszej, siląc się na opanowanie.

Po sielskiej atmosferze rozmowy, jaka toczyła się między nimi jeszcze kilka minut wcześniej, zostało tylko wspomnienie.

– Marcin wielokrotnie prosił, abym poznała tego całego Tomasza. Nie chciałam spełnić prośby syna. Zabrakło mi wyrozumiałości, którą potrafiła okazać Kamila. Rozumiesz? Jest mi wstyd za swoje ograniczenia... Popełniłam błąd, przyznaję... – Rozłożyła ręce w geście bezradności. –... ale chcę go naprawić.

Ela otworzyła szerzej oczy, zastygając w bezruchu nad wytartym do połowy stołem.

– To Kamila wiedziała, że Marcin jest gejem?

– Wiedziała.

– I co?

– Co i co? No nic! Zaakceptowała to. Nie wiem... Może młodym ludziom jest łatwiej. – Julita oparła łokcie na stole, skrywając w otwartych dłoniach poczerwieniałą twarz. – Nie chcę być taka jak babcia. Mimo całej miłości do niej nie chcę taka być. Nie chcę być hipokrytką.

– Hipokrytką?

– Pomyśl tylko, Elu. Obwiniamy babcię o to, że wychowały nas w poszanowaniu dla własnych poglądów. Mamy dziś o to do nich żal, a same co czynimy? Czyż ja nie postępowałam identycznie? Dlaczego tak trudno mi było otworzyć umysł na nowe, na to, czego nie znam. Przecież nie musiałam tego pochwalać, ale dla dobra swojego syna powinnam spróbować zrozumieć... Mogłam go stracić. Nigdy bym sobie tego nie wybaczyła... Nawet nie umiem tego głośno powiedzieć, nie może mi to przejść przez gardło... Zmiana zawsze zależy od nas. Tylko od nas może się zacząć. Dlatego chcę wszystko naprawić. Wiem, że teraz mi się uda, dlatego że myślę inaczej. Moje dalsze życie będzie odbiciem moich teraźniejszych myśli. Rozumiesz?

Elżbieta skończyła wycierać stół, po czym opadła z impetem na stojące w pobliżu krzesło. Nagle jakby doznała olśnienia. Zrobiło jej się wstyd. Przymknęła na chwilę powieki i wciągnęła przez nos powietrze, czyniąc to niezwykle głośno, jakby chciała zagłuszyć własne myśli. Po chwili położyła dłoń na plecach przyjaciółki.

– Nie myślałam o tym w ten sposób... ale masz rację. Budda.

– No właśnie, Budda.

– Cytat z lusterka.

Julita odetchnęła z ulgą. Zdanie Elżbiety było dla niej niezwykle ważne. Jeszcze tego samego wieczoru postanowiła zatelefonować do Tomasza i umówić się z nim na spotkanie. Prawdę powiedziawszy, po raz pierwszy, odkąd o nim usłyszała, była ciekawa tego, co ma jej do powiedzenia. Chciała wierzyć, że jej syn nie ulokował

uczucie w kimś niewartym uwagi. Trudno jest jednak wierzyć w drugiego człowieka, nie oceniając go pochopnie. Chciała przełamać stereotypy i żyć w zgodzie ze sobą. Po raz pierwszy w życiu poczuła niewyobrażalną siłę. Wiedziała, że wszystko jest do przejścia. Ludzka dusza jest niezniszczalna.

17. Przepraszam, nie chciałem...

Marcin leżał i od kilku godzin wpatrywał się w sufit. Lekarz celowo przeniósł go do jednoosobowej sali, by nic nie zagłuszało myśli kłębiących się w jego głowie. Skakały niczym rozbisurmanione małpy, nie pozwalając o sobie zapomnieć. Marzył o tym, by zasnąć, by choć na chwilę przestać myśleć o odwiedzinach Tomasza.

Ludziom wydaje się, że mówiąc „przepraszam”, działają tak, jakby przyklejali plaster na ranę osoby, którą skrzywdzili swoim postępowaniem. Szkoda, że to tak nie działa: „przepraszam” i po wszystkim, „przepraszam” i znów jest dobrze, „przepraszam” i zapominamy. Tylko dzieci mają wyjątkową zdolność do zapominania w mig przykrości, jakie zostały im wyrządzone. Marcin znów chciał być dzieckiem, wtedy wszystko było takie proste. Kiedy uderzył się w kolano, matka biegła jak szalona, nachylała się i całowała je kilkanaście razy, uśmiechając się. „Buziaczki uzdrawiaczki” zawsze działały kojąco. Oddałby wiele za lek mający w sobie moc matczynych całusów z dzieciństwa. Cóż miał teraz zrobić z wiedzą, którą posiadał? Cóż by zrobił na miejscu Tomasza? Nie potrafił odpowiedzieć sobie na te pytania jednoznacznie. Podobno życie jest proste, kiedy przestajemy je komplikować. Na to, co się wydarzyło, nie miał żadnego wpływu. Miał jedynie wpływ na to, co o tym myślał.

Skronie pulsowały mu nerwowo. Czuł gniew za wszystko, czego doświadczył i co spowodowane było czynami i słowami osoby, która powinna go chronić. Czy taki gniew jest możliwy do przepracowania i do pogodzenia się z nim? Psycholog obiecał, że tak, lecz teraz Marcin nie potrafił mu uwierzyć. Chciał walczyć o siebie dla matki, a powinien chcieć walczyć o siebie dla... siebie. To zasadnicza różnica. Jeśli robimy coś dla kogoś, uzależniamy swoje poczucie szczęścia od tej właśnie osoby. Przypomniawszy sobie słowa Ericha Fromma, które padły na jednym z wykładów z psychologii: „Szczęście nie jest ani dziełem przypadku, ani darem bogów, szczęście to coś, co każdy z nas musi wypracować dla samego siebie”.

„Przepraszam, nie chciałem...” – te słowa wciąż dudniły mu w głowie. Podczas wizyty Tomasz powtórzył je niezliczoną liczbę razy i dziękował za możliwość powiedzenia ich Marcinowi, bo przecież tak niewiele brakowało, a mógłby mieć jedynie możliwość wykrzyczenia ich na cmentarzu. Marcin tymczasem myślał i myślał. Od myślenia bolało go wszystko. Miał wrażenie, że łącznie z końcówkami włosów i paznokci. Serce mu krwawiło, szukając pocieszenia w intelekcie. Chciał umieć to wszystko wytłumaczyć i to był jego największy problem. Czasami życie trzeba puścić, pozwolić mu płynąć własnym nurtem, czerpać powietrze, próbując utrzymać się na jego fali. Po policzkach spływały mu łzy. Każda z nich oznaczała coś innego – jedna była pełna gniewu, inna rozgoryczenia, a jeszcze inna wiary. Spływały

też takie, które chciały być przebaczeniem. Nie ocierał ich pospiesznie, tak jak kiedyś. Nie czuł wstydu, kiedy płynęły. Pierwszy raz pozwolił sobie na słabość bez obaw, że zostanie ona wyśmiana przez ojca. Jakże wiele było w nim zadr, które, tłumione przez lata, skumulowały się przed świętami Wielkiejnocy...

Płakał. Płakał rzewnymi łzami. Marzył tylko o tym, aby nie chcieć wszystkiego rozumieć. Choćby stanął na rzęsach, nie był w stanie zmienić postawy własnego ojca i dotarło to do niego w chwili, kiedy przed kilkoma godzinami Tomasz wyznawał mu prawdę. Tylko czy owo „przepraszam, nie chciałem” wystarczy? Był zły. Miał wrażenie, że Tomasz, używając tych słów, zrzucił na niego ciężar winy. Czy chciał oczyścić sumienie? Poczuci się moralnym zwycięzcą? Nie mógł wiedzieć, co działo się w głowie człowieka, którego kochał. Wiedział tylko, co dzieje się w jego własnej głowie i nie mógł sobie z tym poradzić.

Tak minął mu cały dzień. Na wieczornym obchodzie poprosił lekarza o pigułki nasenne. Chciał spać. Tylko wtedy jego mózg pozwalał mu od siebie odpocząć.

– Już pora, abyś przestał łykać leki – powiedział szpakowaty lekarz w białym kitlu.

Patrzył na pacjenta zafrasowanym wzrokiem. Imponował chłopakowi swoją postawą – pomimo wielu lat w zawodzie nie popadł w rutynę. Marcin przekreślił się na prawy bok, aby lepiej go widzieć. Przyglądał się twarzy człowieka próbującego wyciągać ludzi z emocjonalnych dolin. Ciekawe, ile razy mu się to udało, a ile nie...

– Chciałbym zasnąć i nie myśleć – powiedział, licząc, że jego prośba zostanie spełniona.

– Dobrze wiem, że myślenie potrafi tak skutecznie zatruć umysł, że myślimy o tym, by zasnąć i już nigdy się nie obudzić...

Czyżby ten facet czytał w jego myślach? Nic dziwnego, lata praktyki, takich wariatów jak Marcin było tu przecież na pęczki. Popaprańców próbujących jednym krótkim cięciem zlikwidować swoje problemy. Nieudaczników, którym nawet to się nie udało. Bombardował się w myślach inwektywami.

– Bądźże dla siebie łaskawszy, chłopaku – powiedział lekarz.

– Pan jest jakimś jasnowidzem?

Doktor uśmiechnął się.

– Masz wrażenie, że czytam w twoich myślach?

– Dokładnie tak...

Mężczyzna odchrząknął. Skończył właśnie coś bazgrolić w karcie pacjenta.

– Nie można żyć w ciągłym znieczuleniu. Bardzo długo podawaliśmy ci leki, młody człowieku. Coś mi mówi, że jesteś gotowy, by popracować nad sobą. Sam fakt, że zadajesz sobie trud, by myśleć, jest dobrym proroctwem.

Marcin zmrużył oczy. Miał ochotę powiedzieć lekarzowi, że pieprzy głupoty. Przecież to właśnie przez natrętne myśli trafił na to szpitalne łóżko. Chciał się od nich uwolnić. Dlatego to wszystko się zadziało. Czy lekarzowi tak trudno było to zrozumieć?

– Nie masz wpływu na to, co uczyni ojciec, matka, siostra, kochanka...

– Raczej kochanek – wyrwało się chłopakowi.

Lekarz nie okazał zdziwienia. Nie obruszył się ani nie próbował oceniać.

– Nawet i kochanek – przyznał, patrząc mu głęboko w oczy.

To spojrzenie hipnotyzowało. Marcin odniósł wrażenie, że mężczyzna wnika w głąb jego duszy, docierając do najskrytszych jej zakamarków, i to, co w niej widzi, nie robi na nim najmniejszego wrażenia.

– Nie mierzi pana, że jestem gejem? – rzucił zaczepnie.

Lekarz uniósł brwi. Wyglądał na zdziwionego.

– Mnie ma mierzić?

– Pana, a kogo? Widzi pan tu jeszcze kogoś, komu mógłbym zadać to pytanie?

Spod kołdry wystawała dłoń Marcina. Lekarz położył na niej swoją pomarszczoną rękę i przytrzymał ją na tyle długo, że dało się wyczuć ciepło wytwarzane przez jego ciało.

– Młody człowieku, nie ma takiej rzeczy, która jest w stanie mnie zmierzić. Nic, co ludzkie, nie jest mi obce i jestem ostatnią osobą mającą prawo do oceniania ludzi takich jak ty. Coś ci powiem...

Marcin znieruchomiał. Rozbudzona ciekawość rozszerzyła jego źrenice. Chłonał każde słowo, bo w jakiś przedziwny sposób dawały mu one znieczulenie, które dotąd zyskiwał tylko dzięki łykaniu pigułek.

– To ciebie mierzi to, kim jesteś. Nie lubisz siebie i nie akceptujesz. Ktoś bardzo cię skrzywdził... Ktoś, na kogo zdaniu i aprobachie najbardziej ci zależało. Wyobrażenie o sobie samym ulepiłeś ze słów tej osoby i próbując go doścignąć, napotkałeś na wewnętrzny opór. Mam rację?

Marcin milczał. Oddech znacznie mu przyspieszył.

– Nie musisz mi odpowiadać. Odpowiedz sobie. Zadaj sobie pytania i próbuj zaakceptować odpowiedzi. To twoja droga do uzdrowienia, chłopcze. Nie pigułki, a już na pewno nie ostrze kuchennego noża matki.

Zdjął dłoń z dłoni Marcina, uśmiechnął się blado i wyszedł. Rozbismurmanione myśli wciąż skakały po głowie młodego mężczyzny, męcząc ją na tyle skutecznie, że zasnął. Ostatnia, jaką udało mu się zapamiętać, była ta, że jutro też jest dzień. Uznał ją za niezwykle optymistyczną i odpłynął, czując względny spokój. Nie pogodził się jeszcze z tym, co powiedział mu Tomasz, ale był na dobrej drodze, aby chociaż

spróbować.

Kilka razy chwyciła telefon, z zamiarem skontaktowania się z Tomaszem. Niby chciała wszystko wyjaśnić, a jednak czuła lęk. Przez godzinę przyglądała się swoim myślom i emocjom, poddając się swego rodzaju medytacji. Obserwowała wszystko, co się w niej dzieje, próbując dostrzec cud uważności, o którym pisały wszystkie przeczytane przez nią ostatnio podręczniki medytacji. Gdyby ktoś popatrzył na nią z boku, powiedziałby, że ma podobny problem do tego, który ma jej syn. Oboje toczyli walkę pomiędzy intelektem a sercem. Dawna Julita wyciągnęłaby kartkę, na której zapisałaby argumenty za i przeciw spotkaniu z byłym partnerem syna. Nowa Julita uczyła się ufać sercu i intuicji, a ta podpowiadała jej, że owo spotkanie przyniesie coś dobrego.

Ostatecznie postanowiła zaufać swojemu przeczuciu. Wybrała numer i przyłożyła swój smartfon do ucha. Chłopak odebrał po czwartym sygnale. Jego głos był zziębnięty. Pewnie biegł do dzwoniącego aparatu, co oznaczało, że czekał. Umówili się na szesnastą, jeszcze tego samego dnia, w kawiarni niedaleko szpitala. Kiedy przerwała połączenie, poczuła wyraźną ulgę. Była dwunasta, a ona wciąż chodziła w piżamie. Usiadła z kubkiem kawy na tarasie. Po chwili obsiadły ją zwierzęta. Chłonęła chwilę, delektując się smakiem. Ciepłe wiosenne powietrze w połączeniu z gorącym płynem rozgrzało jej ciało tak bardzo, że zdjęła z siebie lekki szlafrok i siedziała w samej piżamie. Podkurczyła nogi i starała się nie myśleć, co było niezwykle trudne. Przekierowała uwagę na oddech. Zamknęła oczy.

– Mo-je ser-ce jest spo-koj-ne – przesyłabizowała na wdechu. – Mo-je ser-ce jest spo-koj-ne – przesyłabizowała na wydechu.

Powtórzyła tę prostą medytację jeszcze kilkanaście razy, aż poczuła przyjemne rozluźnienie w całym ciele. Uśmiechnęła się do siebie ochoczo i z wdziękiem nastolatki. Jej życie wcale nie było proste, mimo to starała się odszukać w nim radość.

Zadzwonił telefon.

– To ty – powiedziała z ulgą do słuchawki.

– No ja, ja. Sądząc po twoim głosie, spodziewałaś się raczej telefonu od komornika. – Rozalia roześmiała się dźwięcznie, momentalnie zarażając Julitę swym wesołym nastrojem. – Telefonuję, ponieważ chciałam potwierdzić termin twojego wyjazdu. Państwo Witt się za tobą stęsknili.

Julita wstała z fotela i zaczęła chodzić po ogrodzie. Trawa muskała jej białe stopy, których paznokcie wołały o pomstę do nieba. Powinna się zająć swoją „elewacją” przynajmniej w połowie tak pieszczotliwie, jak ostatnimi czasy zajmowała się swoim wnętrzem.

– Halo! Jesteś tam?

– Jestem, jestem. Po prostu się zamyśliłam.

W słuchawce nastąpiła cisza. Rozalia najwyraźniej się zmieszala.

– Wiesz, Julita... – zaczęła w końcu. – Nie odzywałam się tak długo, bo nie wiedziałam, co ci powiedzieć. Słyszałam, co się wydarzyło i... bardzo ci współczuję. Jeślibyś czegoś potrzebowała, to po prostu się odezwij. Nie chcę być nachalna i narzucać się ze swoją chęcią pomocy.

Skąd ona wiedziała, co się wydarzyło? Zresztą nieważne. Julita machnęła ręką, jakby Rozalia mogła ją zobaczyć.

– Nie przejmuj się niczym. Sytuacja jest opanowana, a ja jakoś się zbieram do kupy. Pomogłaś mi bardziej, niż jesteś to sobie w stanie wyobrazić. Tak że nie miej wyrzutów sumienia.

Mogłaby przysiąc, że po drugiej stronie jej rozmówczyni odetchnęła z ulgą.

– To na kiedy zaplanowałaś mój powrót?

– Pierwszego czerwca?

– Och, ale to jest Dzień Dziecka. Może chociaż drugiego? – próbowała negocjować.

– Myślę, że ten jeden dzień nie zrobi różnicy. Jeszcze dziś wszystko załatwię, dobrze?

Tak łatwo poszło, że Julita pożałowała, że nie wynegocjowała sobie chociaż jednego tygodnia. Nie chciała jednak przeciągać struny, wpisała więc datę wyjazdu do kalendarza.

– Słuchaj, a może byśmy wypili razem kawę? – zaproponowała Rozalia.

– Oczywiście, powiedz tylko gdzie i kiedy. Mam jeszcze prawie miesiąc.

Co prawda ogarniam swoje życie osobiste, ale spotkanie z tobą bardzo dobrze mi zrobi. Patrzenie na twoją uśmiechniętą twarz zawsze działa na mnie kojąco – rzuciła komplement, wiedząc, że rozmówczyni jest na nie łasa.

Ponownie usłyszała dźwięczny śmiech.

– Jesteś przemiła. Bardzo ci dziękuję. – Można było wyczuć rumieniec Rozalii. Usłyszała w słuchawce trzaśnięcie drzwiami, dobiegające z oddali.

– Uważaj na przeciąg – powiedziała kobieta.

– Słucham? Jaki przeciąg?

– Och, przepraszam, Julitko, to nie do ciebie. Mój Michaś właśnie przyszedł. Muszę kończyć. Umówiliśmy się na obiad. Zadzwoń później, to ustalimy szczegóły naszego spotkania, dobrze?

– Dobrze. Nie ma najmniejszego problemu. To pa.

– Poczekaj, poczekaj... – Rozalia przywołała ją w ostatniej chwili.

– Tak?

– Masz pozdrowienia od Michasia.

„No jeszcze czego!” – pomyślała Julita, walcząca aktualnie z kłującym jej serce uczuciem zazdrości.

– Dziękuję bardzo. Również go pozdrów – odrzekła, chociaż tak naprawdę miała ochotę powiedzieć, że zrobiłaby wszystko, by ów Michaś to właśnie z nią umówił się na ten obiad.

Niestety, zmuszona była zadowolić się spotkaniem z Tomaszem. Co z tego, że był młody i przystojny, skoro nie gustował w kobietach i na dodatek był obiektem westchnień jej własnego syna. Życie nie zawsze jest sprawiedliwe. Westchnęła i opadła na trawę, tak jak stała, zachwycając się tym, jaka cudowna jest natura, i zastanawiając się, dlaczego tak rzadko korzysta z jej dobrodziejstw. Zamknęła ponownie oczy i przywołała w myślach wspomnienia. Widziała nastoletnią siebie, bez żadnych obciążeń w postaci obowiązków. Widziała Michała i pierwsze zachwyty nad jego osobą. Bezwiednie zaczęła nucić piosenkę Trubadurów:

Cóż wiemy o miłości, mając szesnaście lat?

Nic albo prawie nic.

Nie wiedzieć nic najprościej.

Serce – najblijsza z kart,

A w oczach tylko ty.

Póki wierzymy w prawdę ust,

Póki kochamy, pytam znów:

Cóż wiemy o miłości,

Gdy już umyka z rąk?

Jeszcze wierzymy w nią.

Wycieczka do przeszłości okazała się niezwykle przyjemna. Poczula zapach piżma, obezwładniający jej ciało. Michał zawsze pachniał tak, że traciła władanie nad swoim ciałem. Otworzyła oczy, przywołując teraźniejszość. Uśmiechała się do wspomnienia, które musiało jej wystarczyć. Szanowała Rozalię, nigdy więc nie pozwoliłaby sobie na cokolwiek więcej niż tylko niemające pokrycia w rzeczywistości marzenia.

Kiedy się podniosła, doznała zderzenia z teraźniejszością. Początkowo wilgoć, którą poczuła na swoich pośladkach, przyporządkowała do rosy, którą otulone były źdźbła trawy. Jednakże kiedy postanowiła ową rosę ze swoich pośladków strzepnąć, brutalna rzeczywistość wystawiła na próbę jej poczucie dystansu do świata. Wątpliwie urokliwy zapach brązowej mazi przylepionej aktualnie do wnętrza jej dłoni w niczym nie przypominał piżma z jej wyobraźni, w zamian za to o jej nogi ocierał

się Sraluch. Potrzebowała tyle czasu, aby zrozumieć sens nadania mu imienia, które nosił. Roześmiała się prawie tak samo radośnie, jak czyniła to Rozalia. Życie, które tliło się w jej wnętrzu, cały czas miało nadzieję na dobro.

Siedział odwrócony plecami do wejścia do kawiarni. W lustrze ustawionym naprzeciwko jego twarzy dostrzegła nerwowe ruchy i niepokój. Podeszła bliżej. Przeprosił za swoje zdenerwowanie, po czym wstał, by odsunąć jej krzesło.

– Jesteś dżentelmenem – powiedziała głośno, chociaż nie miała takiego planu. Ot, nie zdążyła w porę złapać myśli, pozwalając jej ujrzeć światło dzienne.

Zatrzymał się w połowie drogi do własnego krzesła, jakby zastanawiał się, czy to, co powiedziała, ma coś wspólnego z prawdą. W końcu usiadł.

– Napije się pani czegoś? Kawy, herbaty? Mają tu świetne ciasta. Pieką sami. Codziennie jest inne. Zdążyłem się zorientować, że dziś serwują wyśmienitą tartę z białą czekoladą na serku mascarpone – wyrecytował, jakby podczas czekania na nią, nauczył się tego zdania na pamięć.

Jego zdenerwowanie intrygowało ją. Nie przywykła do tego, że mężczyźni w jej towarzystwie tracili głowę. Nawet jeśli tymi mężczyznami mieliby być geje. Przyglądała mu się chyba zbyt długo i zbyt natarczywie, bo zaczął powtarzać słowa, które przed chwilą padły już z jego ust, tylko w trochę innej kolejności. Odetchnęła, kiedy się pomylił. Oznaczało to, że nie jest perfekcjonistą. Nie znosiła perfekcjonistów.

Podświadomie oceniała tego chłopaka, chociaż wcale tego nie chciała. To było silniejsze od niej. Patrzyła na niego jak na kogoś, komu miałyby powierzyć własne dziecko. W tym uczuciu było sporo prawdy.

– Skoro tak polecasz, to skuszę się na kawałek. Chociaż biała czekolada i serek mascarpone w zestawieniu brzmią jak bomba kaloryczna, to mam nadzieję, że nie wybuchnie ona na moim tyłku – pozwoliła sobie na niekontrolowany żart.

Atmosfera przyjemnie się rozluźniła. Chuda kelnerka o niebotycznie długich nogach (najgrubszych w stawie kolanowym) przyjęła zamówienie.

– Życie nie jest sprawiedliwe – powiedziała Julita, odprowadzając ją wzrokiem.

– Słucham? – W chłopaku na nowo zagościł stres.

Julita uświadomiła sobie, że Tomasz nie podchwycił żartu i najwyraźniej odebrał jej uwagę jako przytyk do siebie.

– Mówię o tej dziewczynie. Pracuje w miejscu, gdzie jest wystawiona na wiele pokus i domyślam się, że czasem im ulega, a mimo to ma doskonałą figurę. Ech...

Tomasz głośno odetchnął. Wyraźnie mu ulżyło.

– Nie stresuj się tak – poprosiła. – Nie wiem, co o mnie słyszałeś, ale ja nie jestem

taka zła.

Gdyby tylko wiedziała, ile sprzecznych komunikatów usłyszał na temat jej osoby, nie siedziałaby taka wyluzowana. Sporo czasu zajęło mu poukładanie ich w głowie. Uporał się z tym i tylko dlatego mógł teraz siedzieć przed nią i próbować prowadzić w miarę spójną rozmowę. Na razie nie wychodziło mu to dobrze, ale się starał. Przez pierwszy kwadrans wymienili uwagi na temat pogody i wystroju lokalu. Opowiedział jej trochę o swojej pracy. Słuchała go z zainteresowaniem, co jakiś czas dopytując o coś. Po chwili spostrzegł, że rozmawia się z nią całkiem przyjemnie. Roztaczała dookoła siebie przyjemną aurę, do złudzenia podobną do tej, jaką miał jej syn. Kelnerka z gracją postawiła przed nimi parującą kawę z idealnie spienionym mlekiem oraz niebotycznych rozmiarów tartę. Wszystko było wyborne, a w dodatku w niezłej cenie. Pomyślała, że na pewno tam wróci.

– Chyba nie spotkaliśmy się tutaj, aby wymieniać uwagi o pogodzie, prawda, Tomaszu? – zaczęła, wkładając do ust kawałek ciasta.

Słodki smak rozszedł się po jej kubkach smakowych, łagodząc jeszcze bardziej jej nastrój.

– Przepraszam, oczywiście, że nie. Nie chcę zabierać pani czasu. Po prostu bardzo się denerwowałem tym spotkaniem, pani nastawieniem i w ogóle wszystkim – rzekł, zgodnie z prawdą, i upił łyk kawy.

– Niepotrzebnie.

– Może i niepotrzebnie, ale... jestem pani bardzo wdzięczny, że po tym wszystkim, co się wydarzyło, zechciała się ze mną spotkać. Nie wiem, czy w pani sytuacji stać by mnie było na taką otwartość.

Zdziwiła ją dojrzałość Tomasza. Dotychczas jej doświadczenia z mężczyznami były kompletnie inne. Chociaż... jakież ona miała doświadczenia z mężczyznami?

– Wszystko jest w porządku. Skoro już przeznaczyliśmy sobie ten czas, może nie kręcmy się w kółko jak pies za własnym ogonem, a porozmawiajmy szczerze, nazywając wszystko po imieniu, co? Jak myślisz? Zaoszczędzimy sobie w ten sposób niepotrzebne konwenanse.

Kiwnął głową na znak, że się z nią zgadza.

– Mam mówić tak prosto z mostu? – zdziwił się, rozkładając ręce.

Dostrzegła, że są bardzo zadbane. Dużo bardziej niż jej własne.

– Nie inaczej. Po prostu mów – poradziła odważnie. Chciała mieć już tę rozmowę za sobą.

Skrzyżował ramiona na klatce piersiowej i założył nogę na nogę. Zamknięta pozycja jego ciała zdradzała lęk, który odczuwał w jej obecności. Bał się jej reakcji, jednak wreszcie zdobył się na odwagę i zaczął mówić:

– Pani Julito, ja wciąż Kocham Marcina i, proszę mi uwierzyć, oddałbym wiele, aby on mi wybaczył i zechciał ze mną być.

Zmroziło ją. Nie spodziewała się takiego wyznania. Postanowiła milczeć, aby przypadkiem którymś ze swoich stwierdzeń nie zniechęcić go, by mówił dalej.

– Nie wiem, ile pani wie, tak że może opowiem od początku.

Ręce mu się trzęsły. Przestał pić kawę, a ciasto odsunął na bok.

– Kiedy poznałem Marcina, był bardzo zagubiony. Od razu wiedziałem, że jesteśmy sobie bliscy. Prawda jest taka, że to ja pomogłem mu nazwać po imieniu własną seksualność. Bronił się przed nią. Nie chciał wyrazić prawdy o sobie. Kamuflował ją i wypierał.

Nie była pewna, czy chce tego słuchać, czy poradzi sobie z prawdą. Za wszelką cenę postanowiła milczeć, by nie chlapać jakiejś głupoty. Chciała najpierw wysłuchać Tomasza, a potem wszystko przemyśleć, by wypowiedzieć się rozważnie. Zasznurowała w myślach usta, wlepiała w chłopaka wzrok i słuchała.

– Później mi zaufał. Otworzyliśmy się na siebie. Przychodził do mnie i często opowiadał o waszej rodzinie. Wiem, że nie było mu łatwo. Relacje, jakie miał z panią, bardzo pomagały mu w codzienności, ale pragnął przede wszystkim akceptacji ojca. Cierpiał z tego powodu. Zresztą co ja będę pani opowiadał, przecież pani to wszystko wie. – Zatopił palce w swoich włosach, schylając głowę. Mogłaby przysiąc, że zauważyła tam srebrną nitkę.

– Tego dnia, kiedy zerwaliśmy, byłem totalnie rozbity. Nie miałem wyjścia... zostałem postawiony pod ścianą. Nawet nie wie pani, ile kosztowało mnie bycie dla Marcina oschłym. Cały czas powtarzałem sobie w myślach, że robię to dla jego dobra. Próbowałem nas ochronić. W najgorszych koszmarach nie podejrzewałbym, że targnie się na własne życie. Gdybym wiedział, że to wszystko tak się potoczy, nigdy bym się na takie rozwiązanie nie zgodził. Nie miałem wyjścia... Rozumie mnie pani? Nie miałem wyjścia... – powtórzył ściszym, pełnym rezygnacji głosem.

Szczerze powiedziawszy, nie rozumiała, co miał na myśli. Najdelikatniej jak to możliwe próbowała zachęcić go do dalszego mówienia.

– Na co byś się nie zgodził?

Zaczął płakać, z trudem opanowując szloch. Wyglądał jak chłopiec, któremu ktoś odebrał w piaskownicy zabawkę.

– Pani mąż...

Podawała mu chusteczkę. Jej serce zaczęło bić szybciej, a ciało pokryła gęsia skórka. Tomasz wydmuchał nos i mówił dalej:

– Pewnego dnia pani mąż mnie odwiedził. To było w wakacje. Dokładnie pamiętam. Przyszedł i powiedział, że jak nie zostawię jego syna w spokoju, to zrobi

wszystko, aby mnie zniszczyć. Powiedział, że ośmieszy mnie publicznie, sprawi, że wyrzucą mnie z pracy. Początkowo miałem to gdzieś. Wciąż spotykałem się z Marcinem i nic mu nie powiedziałem o odwiedzinach jego ojca. Po miesiącu przyszedł ponownie i zagroził, że jeśli nie zostawię Marcina w spokoju, to dokończy swoje dzieło z wakacji i... – Rozpląkał się jeszcze bardziej i chwilę zajęło mu opanowanie się na tyle, by mógł mówić dalej. – Pani przecież wie, jak latem go załatwił.

– Tak, wiem. Nie sposób zapomnieć... – Uciekła wzrokiem w bok, próbując ukryć zdenerwowanie.

– Bałem się. Bałem się o niego, o siebie. Mój ojciec nie żyje, a moja matka była ciężko chora. Nie wie, że mam inną orientację seksualną. To by ją zabiło. Nawet nie chcę myśleć o tym, co by było... – przerwał w pół zdania.

– Pani mąż zagroził, że wszystko jej powie i że zrobi, co w jego mocy, abym stracił ciepłą urzędową posadkę. Naprawdę nie miałem wyjścia... Przepraszam. Jestem tchórzem. Pani ma mnie za tchórze, prawda?

Patrząc na niego, widziała przede wszystkim zagubionego człowieka. Wcześniej traktowała go w myślach jako rozpustnika, który wodził na pokuszenie jej syna. Teraz nie było dla niej już ważne, że jest homoseksualistą. Był po prostu człowiekiem pragnącym miłości – jak każdy z nas. Miał w sobie wrażliwość, lęk i taki szczególny rodzaj dobra, którego nie potrafiła nazwać.

– Co było dalej? – zapytała, trochę wbrew sobie, bo czuła, że życie w niewiedzy byłoby łatwiejsze.

Opowiedział jej o wszystkim. Wyrzekł się miłości w tak okrutny sposób. Tłumaczył, że nie miał wyjścia. Z jego ust wylewał się potok trudnych do wypowiedzenia wcześniej słów. Otworzył się przed nią, dając upust swoim uczuciom. Dowiedziała się wiele o relacji łączącej go z Marcinem. Im dłużej rozmawiali, tym bardziej go lubiła. Chciała mu pomóc. Wypili razem kawę, zjedli ciastko, a na koniec nawet go przytuliła. Tak jak kochająca matka przytula swoje dzieci. Poklepała go po plecach i szepnęła do ucha, że wszystko będzie dobrze. Dopiero wtedy poczuła ulgę.

– Powiedz mi jeszcze jedno... – Odsunęła się, aby móc zajrzeć w jego oczy. – Czy teraz, kiedy byłeś u Marcina, powiedziałeś mu o prawdziwych przyczynach zerwania?

Tomasz kiwnął głową. Pochwaliła go za odwagę i chęć naprawienia wszystkiego. Wymamrotał, że dziękuje Bogu, bo Marcin przeżył i może uda się to wszystko jakoś poskładać.

– Uda się – zapewniła. – Kiedy człowiek bardzo czegoś pragnie, to zawsze się udaje. Ja jestem tego żywym przykładem.

18. Julita

Podobno zawsze w życiu mamy wybór. Kiedy się śmiejemy – jesteśmy radością, kiedy płaczemy – jesteśmy łzą, kiedy pomagamy innym, jesteśmy dobrą energią. Spotkanie z Tomaszem wiele mi dało. Gdy od niego wracałam, przed oczami stanęło mi całe życie. Czy każdy z nas ma w swoim otoczeniu kogoś, kto ze wszystkich sił pragnie zawładnąć naszymi losami? Cóż kieruje takimi ludźmi i czy ja też jestem jednym z nich? Trudno jest stawiać sobie pytania, ale jeszcze trudniej jest na nie szczerze odpowiedzieć. Ja, Julita Snarska, też chciałam mieć wpływ na życie mojego dziecka. Oczywiście, że wolałam, aby miał normalny dom, normalną żonę, normalne dzieci. Tylko czy ta moja normalność oznaczałaby także szczęście mojego syna? Zdałam sobie sprawę, że tak samo, jak moja babcia chciałam ulepić jego życie z własnych przekonań. Zrobiło mi się wstyd, bo przecież najbardziej na świecie pragnęłam jego szczęścia.

Ten Tomasz wcale nie jest taki zły. Oczywiście, że wolałabym widzieć u boku Marcina kobietę, lecz wiem, że nigdy się to nie stanie. Mam więc wybór – zaakceptować taki stan rzeczy albo z nim walczyć. Walka zawsze rodzi opór, więc wybiorę to pierwsze.

Nie potrafię sobie wytłumaczyć, jakimi normami kierował się mój były mąż. Nasze mózgi skonstruowane są w taki sposób, że zawsze domagają się racjonalnego wytłumaczenia. Czasami mam tego dość i wolałabym nie myśleć. Łatwo jest oceniać, porównywać, narzucać coś innym, nieco trudniej jest się przyjrzeć własnemu życiu.

Siedzę, sunę długopisem po czystej kartce i widzę czarno na białym to, co siedzi wewnątrz mnie. Gdzieś tam, w głębi serca, wciąż jestem tą małą dziewczynką, która pragnie akceptacji babci. Kim bym dziś była, gdybym miała w sobie odwagę, którą ma mój syn? Zamiast być rozgoryczona jego odmienną orientacją seksualną, powinnam być dumna z tego, że nauczyłam go kochać. Na każdy problem można przecież spojrzeć z tej dobrej strony, poszukać w nim pozytywów. Zdolność do obdarzenia kogoś uczuciem jest przecież dobrem. Powinnam to wszystko zaakceptować, przestać kontrolować i na pewno nie myśleć o tym, co pomyślą inni ludzie. Przecież najważniejszy jest mój syn, to jego kocham i jego dobro jest dla mnie najważniejsze. Skoro wybrał takie życie, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko się z tym pogodzić.

A Gerard? Cóż... mam do niego żal. Moje serce przeszywa ból. Pragnę myśleć, że wszystko, co uczynił, zdarzyło się dlatego, że chciał dobrze. Tylko dla każdego dobro oznacza coś innego. Stąd te wszystkie problemy...

Przed chwilą odłożyłam długopis i skryłam twarz w dłoniach. Próbowałam skupić się na oddechu. Licząc do czterech, robiłam głęboki wdech. Wydychając powietrze,

staralam się policzyć do sześciu. Dziesięć wdechów i wydechów. Czułam, jak mój umysł się uspokajał. Za każdym razem, kiedy udaje mi się doświadczyć tego stanu, jestem o krok bliżej siebie samej. Coraz bardziej rozumiem swoje lęki, staram się je oswoić i akceptować. Nie wszystko w życiu musi być idealne, abym mogła być szczęśliwa.

Mogłabym iść do Gerarda i wykrzyknąć mu wszystko w twarz, ale co tak naprawdę by to zmieniło? Tylko zszargałabym swoje nerwy. Przeżyłam z tym człowiekiem tyle lat i nie zdołałam go zmienić, więc teraz tym bardziej mi się to nie uda. Chęć zmiany musi wypłynąć z niego samego. Teraz pragnę skupić ją na sobie i bliskich memu sercu osobach. Już nigdy Gerard nie przesłoni mi świata na tyle, abym w imię lojalności wobec niego zrezygnowała z siebie.

19. Dzień Dziecka

– T o niewiarygodne, jak ten czas leci. Niedawno przyjechałaś, a już musisz wracać. – Ela szorowała kuchenny zlew i wyrażała swoje niezadowolenie faktem, że przyjaciółka musi pracować.

Julita uśmiechnęła się ciepło. Myślała dokładnie tak samo. Chociaż nie chciało jej się wracać do Niemiec, to jednak tęskniła za starszym państwem. Lubiła z nimi być. Czowała się potrzebna i doceniana.

– Dwa miesiące szybko miną i zaraz będę z powrotem – powiedziała, odbierając pani doktor gąbkę nasączoną płynem do mycia kuchennej armatury.

– Potrafię umyć zlew.

– Wiem.

– To dlaczego zabierasz mi gąbkę?

– Bo parzysz najlepszą kawę na świecie. Jeśli mi ją przygotujesz, ja odwalę za ciebie czarną robotę.

Elżbieta się roześmiała. Tym oto dyplomatycznym wykrętem została wybawiona z opresji wykonania rzeczy, której kompletnie nie umiała robić. Zaparzyła więc kawę i postawiła parującą filiżankę na blacie kuchennego stołu. Julita wytarła ręce i usiadła.

– Jest przepyszna. Będzie mi jej brakowało – stwierdziła, upiwszy łyk.

Do kuchni weszła Kamila. Bez pytania chwyciła za filiżankę matki, identycznie reagując na jej zawartość. Patrząc na tę przepiękną dziewczynę, nie można było się nadziwić, że tak szybko urosła.

– Nie wiem, czy pamiętacie, ale dziś jest Dzień Dziecka. Tak tylko przypominam... – powiedziała śpiewnie Kamila i uciekła wzrokiem w bok, udając, że nie jest nim szczególnie zainteresowana.

Julita nie dała się zwieść tym pozornie nic nieznaczącym gestom.

– Dlatego zarządzam komisyjnie wielkie wyjście. Szykujecie się i idziemy do Marcina. Telefonowali do mnie ze szpitala. Lekarz prosił o rozmowę, mówił, że to pilne. Ela, wiesz coś? – Skierowała wzrok na przyjaciółkę, szukając w jej twarzy odpowiedzi.

Kobieta wykrzywiła usta i otworzyła szerzej oczy, okazując zdziwienie.

– Nic nie wiem, przysięgam.

– OK, nieważne. Dowiem się na miejscu. To jak, idziemy?

– Jestem za. Ciociunia, ubieraj się. – Kamila klepnęła Elę w plecy.

– Może zaczniesz mi już mówić po imieniu, co? Ta „ciociunia” jakoś mi nie leży.

– Jak wolisz. To zmykam się ubierać. Mamo, mogę jeszcze łyeczka? – Złożyła ręce jak do modlitwy, wbijając wzrok w filiżankę kawy.

Julita nie miała serca jej odmówić.

- To sobie wypiałam kawę – rzekła, oddając dziewczynie filiżankę.
- Zaparzę ci nową – zaoferowała Ela.
- Co ja bym bez ciebie zrobiła?
- Wiem jedno, jesteśmy od siebie zależne i musimy trzymać się razem. Ela miała rację. Rodzina zawsze była dla Julity najważniejsza.

Zanim zapakowały się do czarnego volvo Elżbiety, minęła jakaś godzina. Niby odwiedziny w szpitalu to nie sylwester, ale kobiety mają to do siebie, że lubią wyglądać przyzwoicie. Kamila, zapytana przez matkę, dla kogo się tak stroi, odpowiedziała, że oczywiście dla innych kobiet. Na co Ela odparła, że kobiet w psychiatryku jest zdecydowanie mniej. Julita zmroziła ją wzrokiem.

– W sensie, że wiesz, kobiety są silniejsze – próbowała się tłumaczyć.

– No, no, zwłaszcza takie jak ja. Nie wiem, co by się musiało stać, abym mogła sobie pozwolić na to, by najspokojniej w świecie zwariować. Nie mam na to czasu. Po prostu nie mam, i już. – Bezradnie rozłożyła ręce.

– Jedziemy wreszcie? Zbieracie się jak sójka za morze. Zaraz nas tu zima zastanie – niecierpliwiła się Ela.

Wreszcie udało im się wsiąść do auta. Po drodze wstąpiły do piekarni, po ciasto. Zdecydowały się na biszkopt z truskawkami i galaretką. Wyglądał obłędnie. Na sam jego widok ciekła ślinka.

Kiedy dotarły do szpitala, musiały trochę poczekać. Marcin akurat był na rozmowie z lekarzem. Rozsiadły się w poczekalni. Nie wiedzieć czemu Julita czuła niepokój. Spuściła wzrok, wbijając go w obrączkę, którą wciąż nosiła. Zaczęła nią kręcić.

– Nie powinnaś jej nosić – szepnęła Ela.

– Wiem, ale jakoś tak z przyzwyczajenia...

– To zmień to przyzwyczajenie.

– Po tylu latach jest trudno, ale masz rację. – Zdecydowanym ruchem zdjęła obrączkę i wrzuciła ją do portfela.

– Co z nią zrobisz? Teraz dla odmiany będziesz nosiła ją w portfelu? – Ela zmrużyła oczy, udając zdenerwowaną.

Julita uciekła wzrokiem w bok. Nie chciała się tłumaczyć, w związku z czym przemilczała uwagę. Zastanawiała się, co powinna zrobić z biżuterią, do której była tak przyzwyczajona. Przez chwilę pomyślała, że zachowa ją dla kogoś z dzieci, ale doszła do wniosku, że skoro jej szczęścia nie przyniosła, to na pewno nie przyniesie też szczęścia komuś innemu. Stwierdziła, że ją po prostu sprzeda.

Drzwi pokoju odwiedzin się otworzyły. Stała w nich brunetka z kręconymi

włosami. Julita pamiętała jej imię. Wioletta przywitała je jednocześnie, przeprasząc, że musiały tyle czekać. Wszystkie zerwały się na równe nogi, ściskając kurczowo swoje torebki. W rogu sali siedział Marcin. Na ich widok powoli wstał z krzesła i uśmiechnął się niepewnie. Świętowanie Dnia Dziecka w takim miejscu było nieco dziwnym pomysłem. Przez głowę przebiegły mu wspomnienia, gdy matka w tajemnicy przed ojcem tego czerwcowego dnia zawsze zabierała ich na lody. Uwielbiał czekoladowe. Zawsze prosił o trzy gałki, na co Julita niechętnie się zgadzała, okraszając swoją decyzję słowami: „Zanim zjesz, przecieknie ci wafelek”. Miała rację. Roztopiona maź koloru brązowego zawsze ściekała mu po rękach, które później oblizywał szybko, aby się nie denerwowała. Piękne to było wspomnienie. Dziś też poszedłby na lody. Zielień liści zdobiących czerwcowe drzewa aż raziła w oczy. Musiał się zadowolić podziwianiem ich przez szybę szpitala.

– Cieszę się, że jesteście. Myślałem, że poszłyście na lody – powiedział cicho, skupiając swój wzrok na Kamili.

Dziewczyna rzuciła mu się na szyję i przytuliła tak mocno, że czuł przyspieszone bicie jej serca.

– Bez ciebie? Nie ma mowy – odparła Julita z czułością. – Lodów nie dałoby się przynieść z wiadomych przyczyn, ale mamy biszkopt z galaretką. Wysyp truskawek tego roku jest niesamowity. Trzeba korzystać z darów natury. Co prawda lepsze by było ciasto upieczone w domu, ale jutro wyjeżdżam i nie chciałam spędzać czasu w kuchni. Wolałam zobaczyć ciebie...

– Mamo, mamo... – Marcin próbował wejść jej w słowo, lecz bezskutecznie.

– Obiecuję, że gdy tylko wrócę, a ty opuścisz już to miejsce... – Nie chciała używać słowa szpital. – ...to pójdziemy na pyszne lody i kupię ci tyle gałek, ile tylko będziesz chciał.

Uśmiechnął się. Najwyraźniej matka również wróciła w wyobraźni do swoich wspomnień.

– Najważniejsze, że jesteś – powiedział, gdy skończyła swój wywód. – To znaczy, że jesteście tu wszystkie. Znowu mnie odwiedzacie. Fizycznie, może wyglądam lepiej, ale emocjonalnie... – Przerwał i zamyślił się.

Ela wyciągnęła ciasto z kartonika. Pokroiła je plastikowym nożykiem i nałożyła na tekturowe tacki, które również kupiły w cukierni. Rozdała wszystkim plastikowe łyżeczki.

– Częstujcie się – zachęciła.

Każdy wziął po jednej porcji i zaczęli jeść.

– Długo tu jeszcze będziesz, bracie? – odważyła się zapytać Kamila.

– Tak długo, jak to będzie konieczne.

– I co potem? – Jako jedyna miała w sobie coś w rodzaju niezachwianej wiary, że etap, na którym obecnie znajduje się jej brat, jest jedynie etapem przejściowym. Wierzyła w to, że mógłby wyjść już teraz i dać sobie radę w rzeczywistości. Wierzyła jeszcze bardziej niż on sam.

– Potem? Hm... – Odchrząknął. – Chyba nie potrafię sam wam tego wyznaczyć.

– Odwagi, nam możesz powiedzieć wszystko – zachęcała go matka.

– Chyba jednak lepiej, jak porozmawiasz z lekarzem. Poprosiłem go, aby ci o czymś powiedział, mimo że nie ma takiego obowiązku, bo... jestem przecież pełnoletni – dodał ciszej.

– Jak wolisz – przytaknęła szybko, zanim Kamila i Ela zaczęły na niego napierać.

Zawsze starała się chronić syna. Często słyszała, że za bardzo go rozpieszcza. Nie umiała postępować inaczej. Był dla niej taki ważny... Gdyby tylko mogła ocalić go przed złem tego świata, zrobiłaby to z pewnością.

Dziewczyny tylko sapnęły.

– OK, koniec tego pochmurnego nastroju – powiedziała Ela. – Mamy Dzień Dziecka i nie przyszliśmy tu po to, aby roztrząsać to, co było, ale cieszyć się tym, co mamy. A mamy piękny czerwcowy dzień. Może pójde zapytać lekarza, czy Marcin może wyjść trochę na dwór? Co wy na to?

Oczy chłopaka rozpromieniły się. Przytaknął niemo. Możliwość wzięcia wdechu czerwcowego powietrza napawała go optymizmem. Ela, widząc jego reakcję, zniknęła za drzwiami. Po chwili wróciła i oznajmiła radosną nowinę – mogli wyjść pospacerować. Julita zerwała się, aby posprzątać.

– Julitko... – zaczęła Ela. – Doktor Antkowiak prosi cię o rozmowę. Porozmawiasz z nim i dołączysz do nas. – Uśmiechnęła się do przyjaciółki najserdeczniej jak tylko umiała. Pragnęła dodać jej otuchy.

Julita odpowiedziała uśmiechem.

– W takim razie za chwilę do was dołączę – rzekła.

Ścisnęła dłoń Marcina, obdarowała go pełnym miłości spojrzeniem i ruszyła w kierunku gabinetu psychiatry.

Drobiła kroki, ociągając się. Z jednej strony czuła się jak debiutujący maratończyk, chcący dowiedzieć się, jak smakuje meta, a z drugiej strony po prostu czuła niepokój przed tym, co usłyszy. Nie znała się na leczeniu ludzi nieradzących sobie z życiem. Mogła się jedynie domyślać, że jej syn został poddany wnikliwej analizie. Czuła, że wyniki tej analizy były tak jakby świadectwem, które wystawiono jej, jako matce. Po raz kolejny zmuszona była sama zmierzyć się z trudną sytuacją. Kiedy dzieci były małe, tylko ona chodziła na wywiadówki. Noga Gerarda nigdy nie

postała w szkole. Mawiał, że od wychowywania dzieci jest matka. Nie narzekała, że wóz zwany wychowaniem musi ciągnąć sama. Po prostu go ciągnęła i już. Nie zastanawiała się nad tym, że jej życie mogłoby wyglądać inaczej. Nie знаła tego „inaczej”... Czasami tylko było jej szkoda, że na wszelkiego rodzaju przedstawieniach zawsze siedzi sama. Zerkła wtedy na boki i z uczuciem kłującej zazdrości przyglądała się innym rodzicom, przeżywającym wspólnie popisy swoich pociech.

Marcin pięknie recytował. Kiedyś wyobrażała sobie, że jej syn zostanie aktorem. Polonistki mówiły, że ma talent. Kiedy w pierwszej klasie szkoły podstawowej wyrecytował jej wiersz Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, *Pokochałem ciebie*, płakała jak bóbr. Stał naprzeciwko niej, kiedy akurat obierała ziemniaki, i śpiewnym, melodyjnym głosem zaczął czarować:

*Pokochałem ciebie w noc błękitną,
w noc grającą, w noc bezkresną.
Jak od lamp, od serc było widno,
gdyś westchnęła, kiedym westchnęła.
Pokochałem ciebie i boso,
i w koronie, i o świcie, i nocą.
Jeśli tedy kiedyś mi powiesz:
Po coś, miły, tak bardzo pokochał?
Powiem: Spytaj się wiatru w dąbrowie,
czemu nagle upadnie z wysoka
i obleci całą dąbrowę,
szuka, szuka: gdzie jagody głogowe?*

Nóż prawie wypadł jej z rąk, taka była wzruszona. Przytuliła go mocno i zapytała, kto go tego nauczył. Odpowiedział, że babcia. Niesiona na fali radości, pochwaliła się tym Gerardowi. To był błąd. „Pobawiłbyś się w wojnę, jak prawdziwy mężczyzna, a nie jakieś dyrdymały o miłości opowiadasz!”. Próbowała bronić chłopca, stając na straży jego wrażliwości. „Wychowasz go na mięczaka” – usłyszała. Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale musiała zająć się chlapiącym w kącie dzieckiem. Dziś wiedziała, że już wtedy powinna zwiewać przed Gerardem, niestety, nie miała tej mądrości, co teraz. Wtedy, zakochana bez pamięci w mężu, swoim małym uczuciem próbowała oblepić szczelnie absolutnie każdy fragment jego życia. Prawie bezkrytycznie przyjmowała wszystko, co powiedział.

Teraz jej oczy wypatrzyły drzwi z numerem sto osiem. Położyła dłoń na klamce, lecz bała się ją nacisnąć. Czuła, jakby wchodziła do jaskini lwa. Próbując się uspokoić, wzięła głęboki wdech i powolutku wypuściła z płuc powietrze.

Rozmawiający przez telefon siwiejący lekarz uśmiechnął się zapraszająco, po czym gestem dłoni wskazał miejsce do siedzenia. Wierciła się przez moment, szukając dogodnej pozycji. Wreszcie wyprostowała plecy, jakby manifestując pewność siebie. Po chwili jednak znów się zgarbiła, dochodząc do wniosku, że samej siebie przecież nie oszuka. Bała się... Tak zwyczajnie, po ludzku bała się słów, które za moment miały zostać wypowiedziane.

– W czym mogę pomóc? – zapytał lekarz.

– Przepraszam bardzo, nawet się nie przedstawiłam. – Zmieszana podrapała się po głowie.

Siedział przed nią, opierając łokcie o blat swojego wielkiego biurka i wpatrując się w nią badawczo.

– Nazywam się Julita Snarska i jestem...

– Ach, pani Julita. To pani jest mamą naszego Marcina. – Rozpromienił się, rozsypując tym samym na jej sercu pyłek spokoju.

– Miło, że pamięta pan swoich pacjentów.

– No, Marcina nie sposób zapomnieć. Piekielnie inteligentny chłopak.

Teraz to ona się rozpromieniła. Założyła nogę na nogę, odprężając się nieco. Sympatyczny lekarz umiejętnie skracał dystans między nimi.

– Cieszę się, że mówi pan tak ładnie o moim synu.

– Widzi pani... niestety tak to już jest, że piekielnie inteligentni ludzie mają w życiu odrobinę pod górkę. Jeśli do tej inteligencji dodamy jeszcze wrażliwość, to robi nam się niebezpiecznie...

Spuściła głowę, mimowolnie garbiąc się jeszcze bardziej.

– Dobrze, że pani przyszła. Co prawda syn jest pełnoletni i nie mamy obowiązku informować pani o tym, co za chwilę powiem, ale... chłopak sam mnie o to poprosił. Wiem, że bardzo liczy się z pani zdaniem.

Uniosła głowę, zerkając na lekarza.

– Proszę mówić wprost. Nie ukrywam, że rozmowa z panem wiele mnie kosztuje. Denerwuję się bardzo. To trwanie w niewiedzy mnie wykańcza.

Była zaskoczona własną stanowczością.

– Wobec tego nie będę się silił na psychologiczne wstępy, chociaż... – Zamyślił się. – No nic, skoro chce pani wprost, to nie będę owijał w bawełnę...

Zaproponowałem pani synowi pomoc w umieszczeniu go na terapii w ośrodku monarowskim.

– W ośrodku monarowskim? – powtórzyła, zdziwiona.

– Dokładnie tak. Nie musiałem go zbyt długo namawiać. Chłopak chce sprostać temu wyzwaniu. Wypiszemy go z oddziału pod koniec czerwca i od lipca ma się

stawić w Ostrołęce.

– Zaraz, zaraz... czegoś tu nie rozumiem. – Pokręciła głową i przysunęła się nieco bliżej lekarza. – Przecież o ile mi wiadomo, to na tego typu terapię wysyła się ludzi uzależnionych, prawda? A mój syn jest przecież niedoszłym samobójcą. Czy wspólna terapia z narkomanami albo alkoholikami jest mu potrzebna? Nie jestem psychologiem ani psychiatrą, ale wydaje mi się to dziwne.

Lekarz milczał, nie spuszczał jej z oczu. Po chwili i ona umilkła. Trwali chwilę w ciszy, podczas której dotarło do niej to, czego nie wypowiedział. Kiedy zrozumiała, momentalnie poczuła, jakby coś rozdzierało od środka jej wnętrze.

– To niemożliwe... – powiedziała, prawie szeptem.

Kiwnął głową, potwierdzając myśl, która zagnieździła się w jej głowie. Przymknął przy tym oczy na ułamek sekundy.

– To niemożliwe...

– Niestety tak. W organizmie pani syna wykryliśmy obecność środków psychoaktywnych.

– Jakich środków? Czy pan ma na myśli...? – Nie mogło jej to przejść przez gardło.

– Jak ja mogłam tego nie zauważyć? – zapytała, trochę jego, trochę siebie.

Cóż mógł odpowiedzieć? Podobnych historii widział całe mnóstwo.

– Proszę się nie obwiniać – powiedział ciepło. Żał mu było siedzącej przed nim kobiety. Podczas studiów uczyli go, że nie powinien się w pracy angażować emocjonalnie. W teorii był świetny, gorzej z praktyką.

Chciała podziękować uśmiechem, ale nie udało się jej do niego zmusić. Skinęła tylko głową i bez słowa wyszła z gabinetu. Przez chwilę stała oparta o białą szpitalną ścianę. Wirujący dookoła świat nie miał znaczenia. Nie docierały do niej odgłosy rzeczywistości. Przebiegła w swojej głowie ultramaraton życia, szukając dla siebie ułaskawienia. Przecież zrobiła wszystko, aby wychować syna mądrze. Przynajmniej tak się jej wydawało. Kiedy już oswoiła się z jego homoseksualizmem, nagle wyszła na jaw prawda o uzależnieniu. Co on brał, u licha? Skąd to miał? Jej Marcin! Jej mały, mądry chłopiec... Potrząsnęła głową i ponownie zapukała do drzwi gabinetu Antkowiaka.

– Proszę wejść, pani Snarska.

„Jasnowidz jakiś czy co?” – zdziwiła się.

– To znów ja.

– Wiem.

– No tak.

– Proszę usiąść i pytać.

– Panie doktorze... – zaczęła niepewnie, zaciskając palce na trzymanej kurczowo torebce. – Co mój Marcin brał?

– Amfetaminę. Kiedy targnął się na swoje życie, był na tak zwanym zjeździe. Wtedy najczęściej pojawiają się myśli samobójcze. W przypadku pani syna myśli przerodziły się w czyny. A skąd to brał, to nie wiem. Nie znam żadnych dilerów. – Próbował być zabawny, ale średnio mu to wyszło.

Zakryła twarz dłońmi, zostawiając małe szczeliny między palcami, przez które widać było jej przerażone oczy.

– To, co teraz powiem, pewnie panią zdziwi, ale uważam, że dobrze się stało. Przysłowie stare jak świat mówi, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Proszę sobie wyobrazić, że to, co się wydarzyło, nigdy nie miało miejsca, a pani syn stopniowo zapada się w sobie. Amfetamina po jakimś czasie przestaje wystarczać. Wtedy uzależniony sięga po coś grubszego. Śmierć zagląda w oczy niepostrzeżenie. Rodzice rzadko dostrzegają cokolwiek. Zwłaszcza rodzice, którzy sami mają problemy z własnym życiem.

Opuściła ręce i rozchyliła usta ze zdziwienia.

– Przepraszam, zagalopowałem się. Wiem od Marcina, że jest pani rozwiedziona. Opowiadał mi trochę... Nie powinienem poruszać tego wątku. Chciałem jedynie podnieść panią na duchu.

– Nie wiem, czy cokolwiek jest mnie w stanie podnieść na duchu.

– Coś pani powiem, pani Snarska... – Zmarszczył czoło, najwyraźniej ważąc słowa.

Julita nadstawiła uszu. Pragnęła chłonąć każde jego słowo, byleby tylko niosły one rozgrzeszenie. Nie chciała się czuć winna.

– Najgorsze już za wami, teraz może być już tylko lepiej. Zwłaszcza że chłopak chce pracować. Proszę być dobrej myśli i nie robić mu już wyrzutów, to nie pomoże. Trzeba go wspierać, wspierać i wspierać.

Siedzieli jeszcze przez chwilę, do czasu, gdy ciszę przerwał dzwoniący telefon na jego biurku. Chwycił słuchawkę i poprosił rozmówcę, by chwilę poczekał.

– To ja już pójdę. – Wstała niepewnie, cały czas przetwarzając wiadomości, które usłyszała.

– Gdybym był potrzebny, oto moja wizytówka. Proszę.

„Wspierać, wspierać i wspierać” – powtórzyła w myślach. Podziękowała i wyszła.

Świejące słońce dawało jakby mniejsze światło i jakby mniej ogrzewało jej policzki swymi promieniami. Ela, Kamila i Marcin siedzieli na ławce i rozmawiali. Nie miała pojęcia o czym, ale sądząc po wyrazach ich twarzy, było to coś przyjemnego. Miała teraz ot tak podejść i zapytać syna „dlaczego”? Jakie to teraz

miało znaczenie? Była świadoma błędów, które popełniła, ale ile można do nich wracać? Ktoś mądry powiedział kiedyś, że tak długo, dopóki się sobie nie wybaczy. Idąc w kierunku trójki ludzi, których kochała nad życie, widziała tylko jego – swojego syna. Jej pierworodny, kochany, jedyny... Bez chwili wahania oddałaby za niego życie. Miała wrażenie, że wciąż są połączeni pępowiną. Może nigdy jej nie odcięła? A pewnie powinna.

Nie zauważyli, kiedy stanęła przed nimi. Rozmawiali o listopadowym Biegu Niepodległości, w którym Kamila chciała wystartować. Marcin żartował, że prędzej krety samoistnie opuszczą ogród Eli, niż jego siostrze uda się zdobyć medal za bieg na dystansie dziesięciu kilometrów.

– Jeszcze zobaczysz! – zarzekała się jej córka.

Gdyby nie miejsce, w którym przebywali, scena wyglądałaby jak kadr z sielankowej opowieści o zgodnej rodzinie.

– O, jesteś. – Ela pierwsza odwróciła się w jej stronę. Zauważywszy jej szkliste oczy, bez zadawania pytań objęła przyjaciółkę.

Marcin znieruchomiał. Przyglądająca się wszystkiemu Kamila była skonsternowana.

– Co się dzieje? Dlaczego macie takie miny?

Nikt jej nie odpowiedział.

Marcin wstał. Serce waliło mu tak bardzo, że miał wrażenie, iż za moment wyskoczy z piersi. Wbił w matkę smutny wzrok. Po policzku spłynęła mu łza.

– Przepraszam, mamó – wyszeptał.

Chciał ją przytulić, lecz nie odważył się zrobić kroku naprzód.

– Przepraszam, byłem idiotą. Kiedy pierwszy raz leżałem w szpitalu i pouczyłem cię, myślałem, że jestem silny. Tymczasem tak naprawdę nie miałem pojęcia, o czym mówię. Teraz wiem, że nigdy nie zyskam takiej siły, którą ty masz w sobie. Jesteś moim wzorem do naśladowania. Jesteś moją idolką.

Julita płakała, Elżbieta również. Kamila próbowała zachować twarz, choć i ona była wyraźnie wzruszona. Ciepły wiatr rozwiewał włosy chłopaka, co po raz kolejny przywołało wspomnienia chwil, gdy był małym chłopcem. Był taki śliczny, że wszyscy pytali ją, jak córeczka ma na imię. Cały czas widziała w nim to piękno i nadzwyczajną wrażliwość, za którą przyszło mu zapłacić tak wysoką cenę.

– Bałem się powiedzieć ci o tym wszystkim. Czułem, że pęknie ci serce, a wiem, że pękało już wielokrotnie. Nie miałaś szczęścia do mężczyzn w swoim życiu. Najpierw ojciec zgotował ci piekło na ziemi, a teraz ja. Nawet nie wiesz, jak jest mi wstyd... No, powiedz coś, proszę.

Broda jej drżała. Cóż miała powiedzieć?

– Jutro wyjeżdżam. Przyjadę na początku sierpnia i... – Zawahała się na moment.
– ...odwiedzę cię w Ostrołęce. Nie możemy zmienić przeszłości, synu, ale zrobimy wszystko, by już dziś zacząć budować naszą przyszłość.

Rzucił jej się na szyję i płakał jak małe dziecko. Szloch przenikał się ze słowami: „Mamo, och, mamo, jak dobrze, że cię mam”. Płakali wszyscy. Niecodzienny widok matki i syna obejmujących się z czułością wzruszył nawet stojącą za drzewem pielęgniarkę, ukradkiem palącą papierosa.

20. Julita

Nie było mi łatwo wyjeżdżać, ale wiedziałam, że pozwoli mi to na wszystko spojrzeć z dystansem. Czerwiec u państwa Wittów minął w mgnieniu oka. Lipiec rozpoczął się nadzieją na szybki powrót. Do spotkania z bliskimi został tylko miesiąc. Zaczynam powoli odliczać dni. Zrobiłam sobie taki specjalny kalendarz z ponumerowanymi kratkami. Codziennie w jednej maluję krzyżyk. Jest mi tu dobrze, mam spokój i ciszę. Każdy dzień wygląda tak samo: rano przygotowuję śniadanie, podaję leki, później poranna toaleta, spacer, obiad, a po obiedzie gramy w gry planszowe i czasami wychodzimy do ogrodu. Dwa razy w tygodniu jeździmy po zakupy. Czuję się tu potrzebna, ale piekielnie tęsknię. Chcę wracać do domu...

Staram się rozmawiać z Marcinem dwa razy w tygodniu. Bardzo trudno jest się dodzwonić do Monaru w Ostrołęce. Mają tylko jedną linię telefoniczną, a podopiecznych całe mnóstwo. Czasami wiszę na telefonie po dwie godziny. Bywa, że kiedy wreszcie jest wolny sygnał, to nikt nie odbiera. Wspinam się wtedy na wyżyny swojej cierpliwości. Czuję, że mój syn potrzebuje tych rozmów. Czy znów go niańczyę? Czy przelewam na niego emocje, którymi darzyłam jego ojca? Czy znów oblepiam kogoś swoim uczuciem? A może ja nie potrafię inaczej? Jestem bluszczem? Chyba powinnam się z tym pogodzić, zaakceptować swoją naturę i postarać się odpowiednio ją ukierunkować. Nie czuję, że się poświęcam. Moja rodzina jest dla mnie wszystkim. Kim bym była, gdyby nie oni? Teraz już nawet o tym nie myślę. Jestem, kim jestem.

Tutaj czas płynie inaczej. Mam go sporo na przemyślenia i na zastanowienie się nad swoimi tęsknotami. Zrobiłam ostatnio takie ćwiczenie, które polegało na zadawaniu sobie pytania: „Za czym tęsknisz?”. Na początku wydawało mi się to śmieszne, ale odpowiadałam wielokrotnie. Autor tego, nazwijmy to, eksperymentu obiecał, że po kilku minutach, gdy złączą nam się wyczerpywać pomysły na „tęsknoty”, sięgniemy do fundamentów naszej podświadomości i wygrzebiemy z nich to, co naprawdę nam leży na sercu. Zaczęłam więc odpowiadać...

Tęsknię za wiatrem, plażą, beztróskim czytaniem książek, brakiem konieczności sprzątnięcia, gotowania, planowania. Tęsknię za mamą – oj, tak, za nią tęsknię najmocniej. Tęsknię za dniami, kiedy razem z Elą plewiłyśmy ogródek. Dzieciństwo miało swój urok. Tęsknię za katechezami, na które zaprowadzały nas nasze babcie. Tęsknię za Kamilą, tęsknię za Elą. Tęsknię za wypadem do kina, bardzo dawno tam nie byłam. Tęsknię za Marysią i Jacusiem, teraz z przyjemnością przygotowałabym mu konfitury. Tęsknię nawet za Grzegorzem. Dobry z niego człowiek, szkoda, że Gerard nie wdał się w brata. Nawet za Gerardem tęsknię. Ciekawe, jak mu się wiedzie. Chociaż może nie, nie tęsknię za Gerardem... Bardziej tęsknię za

wyobrażeniem o Gerardzie. Tęsknię za takim Gerardem, jakim chciałabym go widzieć – dobrym, czułym, troskliwym, opiekuńczym, męskim.

To ćwiczenie naprawdę coś w sobie ma, bo zaczynam płakać. Nie mogę odpowiadać sobie dłużej na to pytanie. Wymieniłam już chyba wszystko. Oczywiście, kiedy dotarłam do Gerarda, coś tak mocno ukuło mnie w serce, że nie mogłam złapać tchu. Uświadomiłam sobie, że ja, Julita Snarska, tak naprawdę, dogłębnie i najbardziej... tęsknię za miłością. Chciałabym się zakochać. Tak bez lęku, prawdziwie i bez oglądania się za siebie. Czy to jeszcze jest możliwe w moim wieku? Kiedyś myślałam, że człowiek mający czterdzieści lat jest stary. Dziś już tak nie myślę. Chciałabym kochać. Na miłość zawsze jest odpowiedni czas.

Michał... Tęsknię za Michałem. Gdyby jednak mógł zdarzyć się jakiś cud, chociaż na jeden moment, na jedną krótką chwilę, chciałabym wtulić się w jego silne ramiona i poczuć zapach piżma. Zamykam oczy i czuję to w swoich nozdrzach. Tak, za tym zapachem też tęsknię. Dobrze, że mam bujną wyobraźnię, pozwala mi ona przeżywać stany w rzeczywistości niedozwolone. Tęsknię za mężczyzną w moim życiu. Tęsknię za kimś, na kogo ramieniu mogłabym oprzeć swoją głowę i popłakać.

Pamiętam ten dzień, kiedy rozstawałam się z Michałem. Był maj i akurat kwitły kasztany. Nie wiedzieliśmy, jak potoczą się nasze losy. Jemu się udało, bo Rozalia to cudowna kobieta. Może i mnie wreszcie kiedyś się poszczęści? Na pewno! Chociaż teraz jest mi ciężko i... tęsknię za miłością. Tak, najbardziej tęsknię za miłością do mężczyzny. Taką czystą. Po raz pierwszy w swoich marzeniach jestem wolna.

Biorę wdech i wydycham powietrze. Wszystko będzie dobrze – wierzę w to!

21. Piąty dzień lipca

Obudził ją smród spalenizny. Na początku myślała, że dochodzi on z dworu. Lato zaczęło się wyjątkowo upalnie. Zostawiała na noc uchylone okno, aby nie musieć włączać klimatyzacji. Nie miała zaufania do tego typu urządzeń. Jakoś zawsze zdawało się jej, że wraz z chłodnym powietrzem ulatniają się także różnego rodzaju grzyby, groźne dla ludzkiego organizmu. Przetarła oczy i zerknęła na wiszący na ścianie zegar. Było dopiero wpół do szóstej. Wstała i podeszła do okna, aby je zamknąć. Dotarło do niej, że ów zapach nie dochodzi wcale z dworu. Zrzuciła na siebie szlafrok i przebijając nogami tak szybko, jak umiała, zbiegła na dół. Kiedy wpadła do kuchni, nie było już widać kuchennych szafek. Dym roznosił się wszędzie. Zdjęła z kuchenki garnek, na dnie którego ktoś ułożył sześć parówek i prawdopodobnie zapomniał dolać wody. Wrzuciła garnek do zlewu, zaalała go wodą i na całą szerokość otworzyła okno. Pobiegła do sąsiadującego z kuchnią pokoju dziennego, aby otworzyć okno balkonowe. Chciała zrobić przeciąg.

Ledwie widoczny zza kłębow dymu Harald Witt uśmiechnął się na jej widok, zaprzestając kołysania na bujanym krześle.

– Julita? Dzień dobry – rzekł promiennie. – Mogłaś jeszcze pospać. Dzisiaj to ja postanowiłem zrobić śniadanie – dodał, dumny z siebie.

Nagle wszystko do niej dotarło. Otarła dłonią pot iskrzący się na jej skroniach.

– Czy to pan wstawił te parówki? – Przyklękła na podłodze, wspierając się na kolanach starszego człowieka.

– Oczywiście – rzekł dumnie. – Codziennie to ty robisz nam śniadanie, a dzisiaj postanowiłem cię wyręczyć. Mareike mnie pochwali. Lubi, jak przygotowuję śniadania. Kiedy dzieci były małe, zawsze w weekend brałem śniadania na siebie. Jechałem do sklepu po bułki, gotowałem jajka. Potem parzyłem kawę. Nie taką byle jaką, ale taką dobrą. – Zetknął kciuk z palcem wskazującym i powiedział coś, co prawdopodobnie oznaczało, że czynił to perfekcyjnie.

Zrezygnowana Julita w geście bezsilności złożyła głowę na jego kolanach. Pogłaskał ją niczym ojciec. Po chwili spojrzała mężczyźnie głęboko w oczy, robiąc przy tym groźną, nieznoszącą sprzeciwu minę.

– Panie Haraldzie, niech pan nigdy więcej nie robi nam śniadania.

Zmarszczył czoło, jakby nie rozumiał, o co jej chodzi.

– Wstawił pan parówki, które spaliły się wraz z garnkiem. W domu okropnie śmierdzi. Nie czuje pan?

– Parówki? – zdziwił się.

– Tak, parówki. Nic z nich już nie zostało. Wstawił je pan i o nich zapomniał – tłumaczyła spokojnie, chociaż miała ochotę nakrzyczeć na staruszka.

Poprawił okulary, które zsunęły mu się z nosa.

– Dlatego otworzyłaś okno?

– Tak, dlatego.

Czasami mówił do niej na pani, czasami mówił jej po imieniu, bywało, że traktował ją jak córkę, ale czasami w ogóle jej nie poznawał. W ostatnim czasie podupadł na zdrowiu. Niby fizycznie wszystko było bez zmian, ale coraz częściej się zamyślał. Pamięć go zawodziła. W takich chwilach Julita czuła, że jest w pracy. Musiała mieć oczy dookoła głowy, by upilnować Haralda. Bardzo zdziecinniał, co czyniło go jeszcze bardziej czarującym starszym panem, lecz niestety bywało też drażniące, a nawet niebezpieczne.

– To co my teraz zjemy?

– Proszę się nie martwić, coś wymyślę. Mamy mąkę, jajka, mleko. Zrobię naleśniki. – Uspokoila zafrasowanego staruszka.

Na jego twarzy pojawił się grymas, jak u małego chłopca, który coś przeszkrobał i cienka granica dzieli go od tego, by zaraz się rozpłakać.

– Co jest? Panie Haraldzie? No, już, już, nie smucimy się. Garnek się wyrzuci, a parówki kupimy nowe. Proszę tylko obiecać, że nie będzie pan sam urzędował w kuchni. – Pogroziła mu palcem.

Harald kiwnął głową, tak jak przytakuje dziecko, które właśnie wysłuchało kazania własnego rodzica.

– Jest jeszcze wczesnie. Szybko zrobię ciasto, dodam laskę wanilii i jak będziemy smażyć, to jej zapach zniweluje ten smród. Rety, jak capi – dokończyła po polsku.

– Capi? – powtórzył.

Wy tłumaczyła mu, że tak się mówi w Polsce. Dopiero po tych słowach trochę się rozchmurzył. Siedział na krześle w kuchni i powtarzał:

– Capi, capi, capi.

Cieszyła się, że czymś się zajął. Miała dokładnie kwadrans do chwili, kiedy będzie zmuszona obudzić jego żonę. Nie chciała, aby kobieta martwiła się o męża i miała nadzieję, że do chwili jej pobudki nie będzie już czuć tych nieszczęsnych parówek.

– Ale ja chciałem, aby Mareike mnie pochwaliła – szepnął.

Julita smażyła naleśniki, co chwilę machając ścierką i próbując wypędzić zapach spalenizny z kuchni. Wzruszenie rozdzierało jej serce.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła, czule dotykając policzka staruszka. – Zaraz obudzę pana żonę. Jest piękny dzień, może dziś wyjdziemy trochę do ogrodu?

– Możemy wyjść. Dobrze, że jesteś. Dziękuję.

„Kiedy ktoś dziękuje za to, że jesteś, jest to niewiarygodnie miłe” – pomyślała,

przerzucając placek na drugą stronę. Nie była już zdenerwowana. Powinna mieć dystans do swojej pracy, traktować ją mniej osobiście. Tyle że nie potrafiła. Dostała od tych ludzi tyle dobra i życzliwości, że nie umiała traktować ich inaczej aniżeli jak kogoś bliskiego.

Reszta dnia minęła bez większych niespodzianek. Obudziła Mareike, zjedli śniadanie. Na pytania kobiety, co tak śmierdzi, odpowiedziała, że pewnie któryś z sąsiadów pali coś w ogrodzie. Na szczęście staruszka nie była zbyt dociekliwa. Garnka nie udało się uratować, więc zawinęła go w foliowy worek i wyniosła na zewnątrz, do śmietnika. Po śniadaniu była poranna toaleta, potem wyjście do ogrodu, obiad i wspólne gry planszowe. Dzień jak co dzień. Niby nie robiła nic szczególnego, bo przecież tylko zajmowała się domem i pomagała starszemu małżeństwu, ale wieczorem była tak potwornie zmęczona, że nie wiedziała, jak się nazywa. Z chęcią rzuciłaby się na łóżko i zasnęła tak jak stała. Obiecała sobie jednak, że nie będzie żyć tylko po to, aby wykonywać obowiązki. Chciała się nad tym swoim życiem pochylić, poszukać w nim głębszego sensu. Sięgnęła po leżący na biurku pamiętnik, w którym skrupulatnie zapisywała swoje odczucia. Dzięki temu miała je czarno na białym. Mogła się im przyjrzeć, zastanawiając się, co je spowodowało. Przez lata zaniedbywała kontakt z samą sobą, a teraz chciała być swoją przyjaciółką.

Jak zawsze pisanie zaczynała od daty – „Piąty lipca...”.

– Ożeż w mordę! – rzuciła głośno. – Jak mogłam zapomnieć?! – Złapała się za głowę i w popłochu zaczęła odpalać swój laptop. – Jaka ja jestem zakręcona. To przez te parówki. Tak! Na pewno! Przecież ja zawsze pamiętam... To do ciebie niepodobne, Julita. Jak mogłaś? Jak mogłaś! – gadała sama do siebie.

„Proszę cię, proszę cię... tylko bądź dostępna” – błagała w myślach, składając ręce jak do modlitwy i wznosząc wzrok ku górze.

– Jest! – krzyknęła, po czym zatkała dłonią usta, gdy przypomniała sobie, że było już grubo po dwudziestej drugiej.

Ela była dostępna na Skypie. Najwyraźniej jeszcze pracowała albo piła z rozpaczy, że jej najlepsza przyjaciółka zapomniała o jej urodzinach.

– No, cześć, kochana. – Uśmiechnęła się do monitora.

– Cześć, cześć.

– Przepraszam, że tak późno dzwonię.

Julita zastanawiała się, czy powiedzieć prawdę, że zapomniała, czy też pójść w kłamstwo, że przez cały dzień pamiętała, tylko nie miała ani chwili na to, by zadzwonić. Po krótkim zastanowieniu uznała, że prawda będzie lepsza. Ela miała jakby wbudowany detektor kłamstw i z pewnością zauważyłaby, że Juli zwyczajnie

ściemnia.

– Nic się nie stało. Nie dziwię się, że zapomniałaś, bo ja sama zapomniałam. – Pociągnęła nosem.

– Elu, słońce... Przepraszam najmocniej. Nie uwierzysz, co się stało dziś rano... – Opowiedziała jej o akcji z parówkami.

– Faktycznie śmierzcząca sprawa. Może mogłaś nie ratować sytuacji. Kto wie, może przyjechałby jakiś przystojny strażak, ugasił swoją wielką sikawką parówkowe płomienie i uratował ciebie i twoich pracodawców. Miałabyś szansę na miłość albo chociaż na seks. A jak by ci się nie spodobał, tobyś mnie z nim poznała i może ja bym miała szansę na seks.

Coś było nie tak. Julita w mig wyczuła sarkastyczny ton Eli. Nie знаła jeszcze przyczyny, nie sądziła bowiem, że są nią jej czterdzieste urodziny.

– Kochana, ale ja nie po to do ciebie dzwonię, aby gadać o parówkach. Jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się zapomnieć, przecież wiesz...

– Zawsze musi być ten pierwszy raz.

Julita nie zareagowała na ten przytyk, tylko mówiła dalej:

– Co roku życzę ci tego samego i co roku wierzę, że to się spełni. Kochana moja Eluniu, życzę ci miłości, miłości i jeszcze raz miłości. No i zdrowka, szczęścia, pociechy z nas, twoich lokatorów na gapę. Nigdy się nie zmieniaj, bo jesteś wspaniałą przyjaciółką. – Wypowiadając te słowa, sama się wzruszyła. Nieczęsto mówiła Eli o swoich uczuciach względem jej osoby.

Ela chrząknęła i kiwnęła głową. Nie powiedziała nawet „dziękuję”. Odwróciła głowę w bok i zaczęła smarkać w chusteczkę.

– Co jest?

– Nic.

– Jesteś chora?

– Katar to nie choroba.

– Ty płaczesz! Matko jedyna! Dziewczyno, przepraszam cię najmocniej. Jak wrócę, upiekę ci taki tort, jaki tylko sobie wymyślisz, tylko już nie płacz. Moja ty rycząca czterdziestko.

Kobieta milczała. Spuściła głowę i głaskała leżącego w pobliżu kota.

– Eluniu, co się dzieje? Dlaczego ryczysz?

Milczała, ale nawet średnia jakość obrazu nie przeszkodziła Julicie, by w końcu zrozumieć, co faktycznie działo się w domu przyjaciółki.

– Dlaczego jesteś sama? Nie poszłaś tego uczcić z Łukaszem? Nie powiedziałaś mu tak, wiesz, niby dyskretnie, że masz urodziny?

– Daj spokój z tym całym Łukaszem.

– Oho, chyba trafiłam.

– Nie trafiłaś. Łukasz to najmniejszy problem. Jak to facet, dzisiaj jest, jutro go nie ma. A ja z problemem zostaję sama... – Rozszlochała się.

– Elu, co jest? Opowiedz mi, proszę. Jak się wygadasz, to pewnie poczujesz się lepiej.

– Co mam ci powiedzieć, Julita? No co? Przecież wiesz, co mnie trapi.

Ela ewidentnie miała emocjonalny dołek. Średnio zdarzało się jej to raz na kilka miesięcy i było wywołane jakimiś niesprzyjającymi okolicznościami. Czyżby znów była zmuszona opowiadać o tym, że jest dziewicą?

– Byłaś u lekarza?

– Nie wiem, czy pamiętasz, ale sama jestem lekarzem.

– Oczywiście, że pamiętam, tyle że nie jesteś ginekologiem. Opowiedz, co się stało. No już! Gadaj, bo jak nie zaczniesz gadać, to Bóg mi świadkiem, że wsiądę w pierwszego busa i do ciebie przyjadę.

– No co się mogło stać? Przecież wiesz...

– Nic nie wiem, mogę się tylko domyślać. Wołałabym jednak usłyszeć to od ciebie.

Elżbieta wydmuchała nos w chusteczkę. Obok niej zalegał cały ich stosik. Nie było dobrze, oj nie...

– Od jakiegoś czasu źle się czułam, bolało mnie całe podbrzusze. Nie mogę sobie sama pomagać we wszystkim, jestem przecież pediatrą. Poza tym te wszystkie środki przeciwbólowe przestały działać. Nie wiedziałam, co się dzieje. Pojechałam do szpitala, akurat na dyżurze był mój kolega... ginekolog.

Julicie zrobiło się smutno na samą myśl o tym, co za chwilę miała usłyszeć. Słyszała te opowieści już milion razy.

– Tak mnie bolało, że się skręcałam. Twoja Kamilka akurat była u koleżanki, a ja nie chciałam wzywać pogotowia do bolącego brzucha. Rozumiesz?

Julita pokiwała głową.

– No i wiesz, co było potem. Chciał mnie zbadać, ginekologicznie oczywiście. I co ja na to? Że nie może mnie zbadać przez pochwę, bo jestem dziewicą. Adam na to, że niezłe żarty sobie stroję. Po czym, jak zobaczył moją minę, to od razu spalił buraka i zaczął mnie przeproszać. Ja tego nie wytrzymałam, Julita... Nie wytrzymałam!

Ela zaczęła płakać, a Julita żałowała, że dzieliły je teraz setki kilometrów. Wiele by dała, aby móc przytulić przyjaciółkę.

– Zbadał mnie na tyle, na ile mógł to zrobić. Niestety, nie mógł mi zrobić USG dopochwowego, bo, kurwa mać, jestem dziewicą. Rozumiesz to, kurwa mać?! Dziś

kończę czterdzieści lat i jestem dziewicą... Kurwa!

Odkąd znała Elżbietę, nigdy w życiu w trakcie jednej wypowiedzi nie usłyszała słowa na K trzykrotnie. Sytuacja była naprawdę poważna.

– Coś we mnie pękło, Juli. Rozryczałam mu się tam. Dla mnie to takie poniżające. Od lat jeżdżę do lekarza do innej miejscowości, bo boję się, że mnie ktoś rozpozna. Jeszcze, o zgrozo, sama jestem lekarzem. Czuję się jak dziwoląg, jakbym była wybrakowana, nie miała nogi czy ręki. Sama nie wiem... Jakbym nie była kobietą, rozumiesz?

Julita dotknęła monitora. Po policzkach ciekły jej łzy. Cóż mogła powiedzieć? Że rozumie? Nigdy w życiu nie była w takiej sytuacji. Ona przez całe swoje życie płaciła za grzech rozwiązłości, który rzekomo popełniła, natomiast jej przyjaciółka płaciła teraz za to, że nie popełniła właśnie tego grzechu. Jak miała jej pomóc? Słuchała, modląc się jednocześnie, aby z jakichś niewyjaśnionych przyczyn nie wyłączyli jej w trakcie rozmowy Internetu. Czowała, że Ela potrzebuje jej teraz bardziej niż kiedykolwiek.

– Adam okazał się naprawdę życzliwy. Nie wiem dlaczego, bo w sumie nie znamy się dobrze. Ot, widzujemy się czasami w pracy. Pierwszy raz w życiu odważyłam się zadać pytanie, co możemy z tym zrobić. Ja już mam dość, Juli. Mam tego serdecznie dość... Nie mogę się nawet zbadać. Łukasza też od siebie odepchnęłam, bo już zaczynał się niecierpliwić. Nalegał na seks, a ja... ja mam w głowie taką blokadę, że nie mogę. Po prostu nie mogę. Nawet się przespać z facetem nie potrafię. Wielka pani doktor, do jasnej dupy! Miliony certyfikatów, a w życiu penisa we wzwodzie na oczy nie widziała. – Nie wiedzieć czemu, słowo „penis” wywołało na twarzy Elżbiety delikatny uśmiech.

– Nie wiem, co mam ci powiedzieć, Eluniu. Rety, no nie wiem... Taka jestem ostatnio mądra i doświadczona, a kiedy mamy porozmawiać o tym, co cię trapi, to nie potrafię wymyślić żadnego sensownego rozwiązania. Pustka. – Rozłożyła rękę w geście rezygnacji. – No a powiedz, co ten Adam ci poradził.

Ela po raz kolejny wytarła nos i próbowała się uspokoić.

– Powiedział, że są trzy sposoby, żeby się tego pozbyć.

– Brzmi interesująco. Zdradzisz mi jakie?

– Pierwszy to operacja. Mogę się umówić prywatnie na zabieg przebijania błony dziewiczej.

– Boże święty! To są takie usługi?

– Najwyraźniej są. Mają nawet swoją nazwę: hymenotomia czy jakoś tak.

Pocieszające jest to, że nie ja jedna jestem taka głupia na świecie, co to do ślubu postanowiła wytrwać. Wyobraź sobie, że kosztuje to tysiąc pięćset złotych. Umawiasz

się na zabieg i trach, nie jesteś już dziewicą. Możesz normalnie się zbadać u ginekologa...

Julita podrapała się po głowie.

– Elu, myślę, że niejeden facet dałby ci o wiele więcej kasy, aby pozbawić cię tego problemu – wypaliła, niewiele myśląc.

Ela spojrzała na przyjaciółkę spode łba.

– Jakoś kolejki do siebie nie widzę.

– Bo jesteś zablokowana. Sama przed chwilą powiedziałaś, że Łukasz chciał. To nie mogłaś się z nim przespać? I to za darmo!

– No nie mogłam. Co niby miałam mu powiedzieć? Wiesz, bądź delikatny, bo to mój pierwszy raz? Przecież zabiłby mnie śmiechem. Czterdzieści lat baba i pierwszy raz.

– Tego nie wiesz, czy zabiłby cię śmiechem. Może powinnaś wreszcie komuś zaufać. Albo, nie wiem... może uchlać się trzeba było?

Na chwilę umilkły. Ela poprosiła Julitę, aby ta chwilę zaczekała, ponieważ musiała sprzątnąć górę zasmarkanych chusteczek, do których zaczął się dobierać kot.

– Już jestem – powiedziała, usadowiając się przed monitorem. – Przepraszam. Jestem w kropce, i już. Nie wiem, co robić, ale wiem, że ta sytuacja nie może dłużej tak trwać. Ta twoja rada, aby się uchlać, to trochę nie za dobra jest. Przecież ja nie piję.

Julita pomyślała, że może Elżbieta powinna zacząć trochę popijać, chociażby nalewki. Abstynencja najwyraźniej jej nie służyła. Nie odważyła się jednak odezwać.

– A pozostałe dwa sposoby?

– Sposób numer dwa to jakiś krem.

– Krem? – Julita wytrzeszczyła oczy. – Krem na błonę dziewiczą?

– Tak, tak jak słyszysz. Krem na błonę dziewiczą. Jakiś z hormonami czy coś, znieczulający.

– I co się robi z takim kremem?

– No jak to co? Wprowadzasz go przez jakiś czas tam, wiesz, do pochwy. Potem trzeba wziąć wibrator i podziałać. Tak powiedział Adam.

Julita była zszokowana. Odkąd żyła, nie słyszała o takich sposobach na przerwanie błony dziewiczej.

– Wyobrażasz sobie mnie i wibrator? Jak to wygląda w ogóle?

– No jak... – jęknęła Julita. – No wiesz, taki gumowy penis. No i wibruje.

– Jak wibruje?

– No normalnie, tak drży.

– Nie mów mi, że coś normalnie wibruje, Juli. Może dla ciebie wibruje normalnie,

bo dla mnie z normalnością to nie ma nic wspólnego.

Juli nie wiedziała, jakich użyć słów, by pomóc Eli. Postanowiła odpowiadać najjaśniej, jak tylko potrafiła. Nie chciała dać ponieść się emocjom. Była po to, by pomóc, a nie podkrecać atmosferę. Sytuacja nieco ją przerastała, bo jej mądra przyjaciółka, która w każdej sytuacji służyła jej radą, w temacie seksu była niedoświadczona jak dziecko.

– A grube to jest?

– Co?

– Jak to co? A o czym rozmawiamy? No ten wibrator.

– A... No, wiesz... no takie... To zależy w zasadzie. No takie, wiesz... –

Przytknęła palec wskazujący do kciuka, próbując odwzorować kółeczko. – Nie, no przesadziłam. Jest trochę grubszy. – Postanowiła wspomóc się palcami drugiej dłoni.

– Boże święty... – szepnęła przerażona Ela.

– Ale spokojnie, spokojnie, nie denerwuj się. Są różne rozmiary. Teraz wszystko można znaleźć w Internecie. Jak chcesz, to pomogę ci kupić.

– Adam powiedział, że ten wibrator ma być... no, taki „ołówkowy”, jak on to określił...

– Ołówkowy? – zamyśliła się Julita. – To ja o takich nie słyszałam...

Ela znów zaczęła płakać.

– Mam tego dość! Mam tego serdecznie dość! Teraz jak będę widziała tego Adama w pracy, to chyba spalę się ze wstydu. Taka wielka ze mnie pani doktor, a nie mam załatwionej takiej rzeczy. – Mówiła tak, jakby utrata dziewictwa była czymś w rodzaju ubytku zębowego. – Przecież zaraz wszyscy będą o tym paplać. Jak ja się teraz pokażę w pracy? No jak?

– Nikt nie będzie o tym paplał. Przecież obowiązuje go tajemnica lekarska. Nie sądzę, aby był tak niedojrzały.

– Żartujesz sobie chyba. Tajemnica lekarska? Lekarz też człowiek. Musi z kimś pogadać. Poza tym nie wiesz, jak to jest z tajemnicami? Każdy z nas ma jedną zaufaną osobę, której chce się wygadać. Wystarczy, że powie żonie, a żona przyjaciółce, przyjaciółka swojemu mężowi i tak dalej. Wieść o czterdziestoletniej lekarce, która jest dziewicą, rozpędzi się jak śniegowa kula na stoku. Rety, czym ja sobie zasłużyłam na takie upokorzenie... Powinnam zrobić to dawno temu, kiedy jeszcze był na to czas. Jest mi tak potwornie wstyd...

– To on ma żonę?

– Skąd ja mogę wiedzieć?

– To jak nie wiesz, to nie martw się na zapas! Swoją drogą to... Jak ty wytrzymałaś tyle lat? Człowiek ma przecież naturalny popęd seksualny. Wybacz, że

tak otwarcie o to pytam, ale tak długo się znamy, a dotychczas nie miałam śmiałości...

– Jak wytrzymałam? Przecież ja byłam bardziej święta od Maryi. I co mi z tego? Nie mogę się nawet przebadać jak normalna kobieta. Julita, ja nie czuję się jak kobieta, tylko jak jakiś wyrzutek społeczeństwa. Co ja mam zrobić?!

Julita bała się zapytać o opcję numer trzy, na szczęście Ela zaczęła mówić sama.

– Jest jeszcze trzecie rozwiązanie...

– Umieram z ciekawości, ale boję się pytać. Szczerze, to poprzednie dwa wbiły mnie w fotel.

– Domyśl się.

Julita dość miała zagadek, jak na jeden wieczór.

– Po prostu mam się z kimś przespać.

– No tak, dosyć oczywiste.

– Jak wiesz, nie wchodzi to w rachubę. Tak że koło się zamyka i znów jestem w punkcie wyjścia. Mam tego tak serdecznie dość, że nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo. Mam ochotę zdecydować się na ten zabieg. Adam mówił, że wykonuje się go stosunkowo często. Zna przypadek jakiejś kobiety, która już była mężatką, ale tak panicznie bała się bólu, gdy próbowała to zrobić z mężem, że aż poszła do lekarza, bo małżeństwo jej się rozpadało. Okazało się, że jej błona dziewicza jest tak gruba, że uniemożliwia jej to naturalne współżycie. Wyobrażasz sobie takie rzeczy, Juli?

Julicie trudno było sobie to wyobrazić. Była kobietą, która przez ponad połowę swojego życia przeproszała Boga za to, że zrobiła to przed ślubem. Teraz, kiedy słuchała przyjaciółki, jedynym pytaniem, jakie sobie zadawała było: „Jak powinniśmy kiedyś postąpić?”. Nie znajdowała odpowiedzi. Mawia się, że w życiu nie ma błędów, są jedynie doświadczenia. Teraz, patrząc na życie własne i Eli z perspektywy czasu, dochodziła do wniosku, że nie dając sobie zgody na popełnianie błędów, same strzelały sobie w kolano. Babcie zawsze powtarzały, że lepiej uczyć się na cudzych błędach. Ale czy na pewno?

Rozmowa przyjaciółek przeciągnęła się do późnych godzin nocnych. W okolicach pierwszej trzydziści Elżbieta uznała, że jest to najlepsza impreza urodzinowa, jaką dotąd przeżyła. Użyła nawet słów, że nie wyobrażała sobie lepszej czterdziestki.

22. Elżbieta

Nasza codzienność zmienia się z minuty na minutę. Mogłabym też powiedzieć, że z sekundy na sekundę. Będąc lekarzem, mam do tego święte prawo. Wielokrotnie w swojej pracy widziałam sytuacje ulatniającego się w ułamkach sekund życia. Coś, co dziesięć minut wcześniej wydawało się nieprawdopodobne, zaczynało się dziać, stając się realne. Wierzę w cuda. Wielokrotnie też słyszałam, że jestem cudem. „Dziewica? Zaraz, zaraz... Który pani jest rocznik? – Tu padało wymowne spojrzenie na moją metrykę. – O matko! To jakiś cud!”

Tak więc ja, Elżbieta Galinowicz, jestem cudem. Jestem czterdziestoletnią dziewczyną. Czymś nierealnym. Powinnam napisać – kimś nierealnym. A jednak...

Ja sama nie patrzę na siebie w ten sposób. Teraz myślę zupełnie inaczej. Nadal kocham Boga i wierzę w jego dobro. Dlatego chcę sobie pomóc. Zdecydowałam się na zabieg hymenotomii, czyli usunięcia błony dziewiczej. I tak, zapłacę za niego! Za miesiąc stanę się kobietą. Może nie w taki sposób, jak bym tego chciała, ale jednak. Zamiast księcia na białym koniu, przyjedzie po mnie taksówka, i zamiast świec aromaterapeutycznych będą mi świeciły w oczy lekarskie lampy. Julita obiecała mi towarzyszyć. Umówiłam zabieg na sierpień, czekam tylko na swoją przyjaciółkę. Jak dobrze, że ją mam. Co będzie później? Później bez lęku zrobię to z mężczyzną. Może będzie to Łukasz? Sama nie wiem. Może się zakocham? Tak na zawsze i na wieczność? Tego też nie wiem. Nie mam czarodziejskiej kuli, a szkoda. Może znajdę kogoś, kto taką kulę ma i pójde zapytać o swój los? Nie... lepiej nie. Niech to będzie niespodzianka.

Tak czy siak, decyzja już podjęta. Przez kilka ostatnich lat swojego życia zdążyłam się tym dziewictwem psychicznie zmęczyć. Nie uważam, aby Bóg chciał dla mnie takiego cierpienia. Nadal w niego wierzę i myślę sobie czasami, że to właśnie on podsunął mi Adama, który przekonująco mnie uspokajał, że nie jestem dziwolągiem. Takie rzeczy się zdarzają. Po prostu. Adam powiedział, że istnieją też zabiegi przywracania błony dziewiczej. Byłam zdumiona, a jednak... ludzie mają różne problemy, o których nam się nawet nie śniło. Trzeba uszanować ich inność. Szanuję innych i pragnę szacunku dla siebie.

Zabieg hymenotomii trwa od półtorej do dwóch godzin. Kto by pomyślał... Podobno przeciętny stosunek seksualny trwa około jedenastu minut. Wniosek nasuwa się sam – lekarz musi się nieco dłużej pomęczyć niż mężczyzna (choć w tym wypadku lekarz jest i jednym, i drugim). Muszę zrobić badania. Potrzebna mi grupa krwi, morfologia, wskaźniki krzepnięcia (APTT i INR), kreatynina, poziom glukozy, elektrolity (Na, K), badanie ogólne moczu, no i szczepienie przeciwko WZW B. Dam radę. Nie taki diabeł straszny. Jestem ostatnio nakręcona i podniecona, że to już, że

już niedługo. Będę żyła normalnie, jak większość kobiet. Będę mogła się zbadać. To jest dla mnie najważniejsze – moje zdrowie. Znieczulenie będzie dożylnie, więc dam radę. W klinice pobędę jedną dobę. Julita może mi towarzyszyć, bo mają tam specjalny pokój dla osób bliskich pacjentom. Najbardziej bawi mnie okres absencji seksualnej. Zalecają sześć tygodni. Też coś! Wytrzymałam bez seksu całe swoje życie, to i te sześć tygodni wytrzymam. Adam mówił, że niekiedy kobiety decydują się na przerwanie błony dziewiczej, ponieważ jest ona tak gruba, że mężczyzna nie jest w stanie jej przebić. Nie mogłam w to uwierzyć. Dobrze, że jeszcze wiele rzeczy mnie dziwi. Zawsze powtarzam, że przestać się dziwić, to jak przestać żyć. Martwiłam się tylko tymi szwami, ale uspokojono mnie, że są rozpuszczalne. Wchłaniają się samoistnie i nie wymagają usuwania. Dzięki ci, Panie! Sama myśl, że ktoś miałby mi tam znów grzebać, napawa mnie stresem. Jedyne opatrunki będę zmieniała. Cieszę się, że nie wykryto u mnie żadnych przeciwwskazań. Nie mam skaz naczyńowych, zaburzeń krzepliwości, ciśnienie tętnicze w normie. Brak jakiegokolwiek nieuregulowanej cukrzycy, infekcji ropnej skóry czy śluzówek. Jestem gotowa.

Przepelnia mnie wdzięczność za to, że mam Julitę. Kto by powiedział, że stracę dziewictwo z przyjaciółką, z którą chodziłam na katechezę. Sama śmieję się do swoich słów. Życie potrafi zaskakiwać. Ciekawe, co powiedziałyby na to moja babcia? Zapewne przewraca się w grobie, bidulka. Oj...

Gdyby tak przeanalizować nasze życie, to przynajmniej nie było nudne. No, może moje trochę było. Ale Julity? Jej historia nadaje się na film. Kobieta bluszcz, którą mąż wykopał (nazwijmy to po imieniu) z bezpiecznego (na pozór) życia, nagle się usamodzielnia, wyjeżdża do pracy za granicę i daje radę. Po drodze wyciąga z depresji syna homoseksualistę narkomana i przyjaciółkę dziewczę. Gdyby ktoś mi kiedyś powiedział, że to ja będę się wspierać na Julicie, nie uwierzyłabym. Nasza Julitka zaskoczyła wszystkich. Mnie, jako przyjaciółką, Marcina i Kamilę, jako matkę, która okazała się wyzwolona, i Gerarda... tak... jego zaskoczyła najbardziej. Dała radę bez niego, chociaż on jeszcze o tym zapewne nie wie, bo jest zbyt pochłonięty ważniejszymi sprawami. Ech, ta Boguśka... Tutaj mogłabym się wesprzeć dobrą radą mojej babci, a raczej przysłowiem, którego zwykła używać. „Zamienił stryjek siekierkę na kijek”. Oj, zamienił...

23. Upragniony sierpień

Sierpień to miesiąc, na który często czekamy. Nowożeńcy upodobili go sobie ze względu na zawartość litery R w nazwie, która – jak wiadomo – podobno ma przynieść szczęście. Z sierpnia cieszą się też rodzice, pragnący końca wakacji i chcący posłać swoje dzieci do szkolnych ławek. Sierpnia nie mogła doczekać się też Elżbieta. Czekwała z utęsknieniem na Julitę i na to, co miało się w nadchodzących dniach wydarzyć. Marcin odliczał dni do spotkania z matką. Monar w Ostrołęce okazał się „Ostrą Męką”, która, rzecz jasna, prowadziła do zmian na dobre, więc nie narzekał. Wykonywał solidnie wszystkie zlecane mu zadania, mające na celu wzmocnienie poczucia własnej wartości.

Bujająca w obłokach Kamila kończyła właśnie malować swój kolejny obraz. Przedstawiał on kobietę wyzwoloną, pragnącą żyć w zgodzie ze sobą. Włosy tej postaci powiewały beztrąsko na wietrze, wymalowanym z barw tęczy. Obraz był prezentem dla matki. Miał jej przypominać drogę, którą od pewnego czasu podążała. „Nigdy nie zbrocz z kursu” – ten tekst widoczny był na odwrocie. Dziewczyna wierzyła, że sprawi matce przyjemność.

Julita Snarska również cieszyła się z sierpnia. Czerwoną walizkę miała spakowaną już od tygodnia. Prawdę powiedziawszy, nie opuszczała bloków startowych, będąc gotową w każdej chwili na powrót do Polski.

Tylko państwo Witt nie cieszyli się z sierpnia. Mareike patrzyła na Julitę ciepłym, tęsknym wzrokiem, zadając jej niemo pytanie: „Czy zdążymy się jeszcze zobaczyć?”. Powrót do Niemiec Rozalia zaplanowała Julicie na początek października. W przypadku ludzi starszych dwa miesiące były całą wiecznością. Harald również chodził jakiś osowiały. Oczywiście próbował się uśmiechać, ale ten uśmiech zabarwiony był domieszką zadumy.

Aby zamknąć walizkę, Julita zmuszona była na niej usiąść. Coraz częściej pozwalała sobie na drobne przyjemności. Promocja goniła promocję, a jej przybywało różnego rodzaju bibelotów i rzeczy do życia „niezbędnych”. Przesuwając zamek, myślała o tym, jak to często musimy dokonywać wyborów, nie wiedząc, dokąd nas one zaprowadzą. Kiedy ich dokonujemy, często nie mamy pojęcia, jakie będą ich konsekwencje, mimo to chcemy wierzyć, że spotka nas to, co dobre. Nikt nigdy nie czyni czegoś, co potencjalnie miałyby go skazać na porażkę.

Mimo całej sympatii do pracodawców Julita była zmęczona. Przysłowiowym rzutem na taśmę Harald zaserwował jej niesamowity stres. Wpadł na pomysł, że sam wybierze się na wycieczkę rowerową. Zanim jeszcze zdążył porządnie wystartować z podwórka, kierownica jego roweru zahaczyła o stojący obok śmietnik, co spowodowało upadek. Rozległ się niesamowity huk. Przygotowująca popołudniową

kawę Julita o mało się nie poparzyła, gdy przez przypadek zerknęła przez okno i zobaczyła całą tę sytuację. Harald oczywiście przeproszał i obiecywał, że nigdy więcej tego nie zrobi. Po akcji z parówkami i rowerem Julita wiedziała, że tego człowieka stać na wszystko, a jeśli nie na wszystko, to na pewno na wiele. Nie myliła się. Nie minęły dwa dni, jak staruszek postanowił wybrać się na przejażdżkę swoim kabrioletem. Tym razem żaden śmietnik nie stanął mu na drodze. Parząca kawę Julita zdążyła jedynie dostrzec powiewające w letnim wietrze siwe włosy staruszka, i tyle go widziała. Zadowolony z siebie i życia, wrócił po godzinie z pękiem kwiatów, które prawdopodobnie wyrwał z jakiegoś klombu. Niektóre miały jeszcze korzenie. Ona w tym czasie obdzwoniła wszystkie dzieci państwa Wittów, błagając o pomoc. Nie mogła przecież zostawić samej Mareike, by udać się na poszukiwania. Z nią też nie mogła wyjść, bo przecież staruszka poruszała się na wózku.

Praca z ludźmi starszymi czasami przypominała pracę z dziećmi. Ludzie w jesieni swojego życia dziecinnieją. Miała wrażenie, że tęsknią za uwagą, jaką poświęcano im w czasach młodości. Harald wielokrotnie spoglądał na telefon, który milczał uparcie. „Nikt już do mnie nie dzwoni, Julitko” – mawiał. Tęsknił za swoimi pacjentami, tęsknił za pracą, za pędem życia i jego nieprzewidywalnością. Szukając powiewu adrenaliny, fundował sobie różnego rodzaju atrakcje, od których Julicie przybywało na głowie siwych włosów. Najpiękniejsze były chwile, kiedy się tłumaczył. Mówił wtedy tak przekonująco, że momentami dawała się na to jego gadanie nabrać. Wybacziała mu zawsze. Nawet wtedy, kiedy omal przez niego nie zwariowała ze strachu...

Był wieczór, upiekła na kolację cukinię z parmezanem – ulubione danie Haralda. Mareike jak zwykle towarzyszyła jej w przygotowywaniu posiłku, a jej mąż kręcił się po kuchni, chodząc niecierpliwie raz w prawo, raz w lewo. Ewidentnie czegoś szukał. Wreszcie stwierdził, że pójdzie do salonu, by posłuchać swoich ulubionych płyt, odtwarzanych na wiekowym gramofonie. Kiedy do uszu Julity zaczęła dobiegać nastrojowa muzyka, kobieta straciła czujność. Krzątała się po kuchni, oddając się rozmowie ze starszą panią. Gdy wszystko było gotowe, zawołała Haralda. Nie reagował. Na początku pomyślała, że jej nie słyszy, że odpłynął gdzieś do krainy melodii. Postanowiła po niego pójść. Zdziwiła się, kiedy nie zastała go w bujanym fotelu, w którym uwielbiał przesiadywać. Zaczęła go szukać, biegając nerwowo po całym domu. Gdy straciła już nadzieję i chwyciła za telefon, by znów zadzwonić do dzieci, Mareike podpowiedziała jej, by sprawdziła w piwnicy. Na początku zdziwiła się pomysłem małżonki dziadka, ale po chwili, niewiele myśląc, skierowała swe kroki do miejsca, w którym praktycznie nigdy nie bywała. Schodząc po stromych drewnianych i piekielnie trzeszczących schodach, była przerażona. Jej wyobraźnia

podsuwała obrazy w stylu: „co by było, gdyby Harald z tych schodów spadł”. Kiedy jej oczy spoczęły na uradowanej twarzy dziadka, jej wnętrze opanowały trudne do nazwania emocje. Z jednej strony poczuła ulgę, a z drugiej ogromną złość. Harald siedział sobie w najlepsze na starej, prawdopodobnie pamiątkowej skrzyni i popijał wino prosto z butelki. Kiedy ją zauważył, wzniósł butelkę i głośno rzekł łamaną polszczyzną:

– Twoje zdrowie, Julita.

– Ja ci dam „twoje zdrowie, Julita”. Marsz na górę! – Julita wyrwała mu alkohol z ręki.

Dziadek się obraził, ale nie odważył się sprzeciwić. Pokornie ruszył w kierunku schodów. Wolnym, odrobinę niestabilnym krokiem wdrapał się na górę. Trudno było wyczuć, czy owa niestabilność jest efektem spożytych przed momentem procentów, czy też powoduje ją sędziwy wiek.

– Jeszcze ci mało? Jeszcze ci mało, Harald? Julitka się w końcu zdenerwuje i już do nas nie wróci – dodała Mareike.

– Umyj ręce i chodź do stołu – rzuciła Julita, której serce miało ochotę wyskoczyć z klatki piersiowej. W takich chwilach nie zwracała uwagi na konwenanse i mówiła do niego po prostu per ty.

Przez cały czas trwania kolacji Harald nie odezwał się ani słowem. Patrzył tylko tymi swoimi maślanymi oczami, to na Mareike, to na Julitę. Teraz kobiety były obrażone.

– Jak ja mam ci teraz podać leki, co? – rzuciła Julita. – Przecież piłeś! – Wzniosła wzrok ku górze, po czym wymownie spojrzała na Mareike.

– Dziękuję, było pyszne – powiedział, kiedy z jego talerza wszystko zniknęło.

– Idź umyć ręce. Tylko nie zabłądź po drodze – nakazała mu żona.

Bez słowa poczłapał w kierunku łazienki. Mareike poradziła Julicie, aby ta zamknęła piwniczkę na cztery spusty, a najlepiej to jeszcze aby na owych drzwiach zawisała kłódka. Opowiedziała jej historię, kiedy to jej poczciwy mąż, wymawiając się bólem głowy, potrafił zamykać się w piwniczce na długie godziny, podczas których jedynie – jak to określił – delektował się wysokoprocentowymi trunkami. Julita, słuchając tego wszystkiego, tylko przewracała oczami.

– Nie gniewaj się na mojego męża, kochanieńka. To bardzo dobry człowiek. Całe życie o nas dbał. Niczego nam nigdy nie brakowało. Czasami nabroił, jak to mężczyzna, lecz zawsze wracał na właściwe tory. Potrafił ładnie przeproszać.

Najpiękniejsze w tym naszym życiu było to, że tak cudownie się zawsze godziliśmy.

– Staruszka się uśmiechnęła, oczy aż jej błysnęły.

Julita westchnęła, oznajmiając tym samym, że wszystkie nerwy, jeszcze kilka

minut wcześniej jej towarzyszące, nagle odeszły w niepamięć.

– Gdyby nie to, że tak pięknie umieliśmy się godzić, nie mielibyśmy tylu dzieci, prawda?

– No tak... prawda.

Praca opiekunki państwa Wittów pokazywała wszystkie odcienie życia, jakie tylko można było sobie wyobrazić. Czasami była witalna i aktywna jak czerwień, czasami mądra i odważna jak złoto, czasami ciepła, inspirująca i bezpieczna jak pomarańcz. Otulała Julitę różem, symbolizującym optymizm i radość, wlewała jej do serca zieleni, oznaczającą spokój, harmonię i wewnętrzną równowagę, przyprawiając wszystko stabilnością i wiedzą w kolorze brązu. Każdego dnia przybywało jej barw, nad znaczeniem których kobieta przestała się zastanawiać. Czerpała z akcentów tęczy tyle, ile tylko można było. Każdego wieczoru, gdy zamykała oczy, cieszyła się na następujący po nocy poranek. Była potrzebna i doceniana. Właśnie ta przynależność do kogoś dawała jej ukojenie, którego, jak się okazało, nie trzeba było zdobywać, oblepiając kogoś niczym bluszcz. Julita już nie była bluszczem. Chociaż czerń kojarzy się ze smutkiem, w przypadku życia Julity oznaczała pewność siebie i tajemniczość, nakrapianą białymi plamkami symbolizującymi nieskazitelną intuicję, którą kobieta zaczęła się kierować. Kładąc rękę na sercu, mawiała: „Ufam procesowi życia. Dostaję wszystko, czego potrzebuję. Umiem sobie radzić”. Robiła wdech i wydech, wreszcie czując, że żyje pełną piersią.

24. Powrót do Polski

Powroty są piękne. Wpatrując się w mijane po drodze drzewa, domy i przystanki, Julita rozmyślała o tym, jak cudownie jest wracać. Z twarzy nie schodził jej uśmiech. Jej powrót tym razem nie był niespodzianką. Po ostatniej jakoś odechciało jej się robienia czegokolwiek zniechęca. Zajadając kanapkę z serem, co jakiś czas zerknęła na zegarek i zadawała kierowcy busa pytanie: – Daleko jeszcze?

Na początku mężczyzna cierpliwie udzielał odpowiedzi, lecz po piętnastym z kolei usłyszonym tym samym pytaniu odpowiedział z nutką irytacji w głosie, że czuje się jak Shrek odpowiadający Osłu. Julita zrozumiała aluzję, ale mimo wszystko po godzinie znów zapytała o to samo. Mężczyzna uśmiechnął się i odpowiedział, że niedaleko.

Wreszcie się doczekała. Wsiadając przed posesją Elżbiety, nie czuła wcale zmęczenia. Wręcz przeciwnie, była podniecona i uradowana. Przyjaciółka wybiegła jej na powitanie.

– Tak się cieszę, że jesteś. Końcówka lata będzie piękna! Zobacysz! – krzyczała, ściskając Julitę.

– Mamo, mamo, mamo! – Kamila darła się jak opętana. – Tak się cieszę, że jesteś.

Resztę dnia spędziły na plotkowaniu i rozpakowywaniu prezentów. Te chwile były bezcenne. Gdyby nie to, że brakowało Marcina, Julita uznałaby, że jej życie jest idealne.

– No, już, już, nie smuć się. Jutro do niego pojedziemy. Obiecuję. – Ela wzniosła w górę dwa palce.

– To kawał drogi. Za tydzień masz zabieg. Nie możesz się przecież rozchorować. Mogę pojechać sama.

– Zwariowałaś? Ja też chcę zobaczyć, co tam u Marcina. Nic mi nie będzie. Jestem zdrowa jak koń. Jadę z wami.

– A jaki masz zabieg, cioteczko? – zapytała Kamila.

– Nie mów do mnie „cioteczko”. Błagam cię, dziecko drogie.

– Nie nazywaj mnie drogim dzieckiem. Jestem tania jak barszcz. Nic od matki kasy nie ciągnę. Sprzedaję obrazy i powiem wam, że idzie mi całkiem nieźle. Tak w ogóle to zamierzam pojechać do Kołobrzegu na kilka dni. Usiądę na promenadzie i będę malowała karykatury. Podobno jest na tym niezły biznes. – Mrugnęła.

– Jestem z ciebie taka dumna, córeczko – pochwaliła ją Julita, uciekając wzrokiem w bok, by ukryć zaszkłone oczy.

– Rycz, mała, rycz. Płacz, maleńka, płacz – zanuciła Ela.

Julita szturchnęła ją w ramię.

– Wracając do tematu... Cóż za zabieg będziesz miała? Tylko nie mów, że chcesz

sobie ten, tego... no... – Kamila złapała się za biust, unosząc go dłońmi w górę.

– A mam taką potrzebę?

– No właśnie nie!

– No to nie zadawaj głupich pytań, dziewczynko.

– Dobrze, ciotuniu.

Kobiety wybuchły gromkim śmiechem.

„Jak dobrze być w domu” – pomyślała Julita.

– Bardzo was kocham – szepnęła przez łyzy.

– My ciebie też.

25. Monar

Nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok, cały czas myśląc, jak tam będzie. W końcu nie co dzień odwiedza się syna w takich miejscach. Pragnęła pojechać tam sama. Przekonała Elę i Kamilę, że potrzebuje spędzić te kilka chwil tylko z Marcinem. Na początku nie były z tego powodu zachwycone, ale wreszcie zaakceptowały jej decyzję.

Rano zamówiła taksówkę, która zawiozła ją na dworzec. Kupiła bilet i po chwili rozsiadła się w pociągu, wyciągając z torebki iPoda. Szybko uruchomiła wi-fi z telefonu. Dotychczas bała się patrzeć na „to miejsce”, chociażby za pośrednictwem elektronicznych obrazów. „To miejsce” było ośrodkiem dla ludzi uzależnionych. W „tym miejscu” przebywał jej syn... jej maleńki kochany synek. Przesuwając obrazy, które ktoś umieścił w Internecie, czuła ogromne wzruszenie. Uśmiechający się do niej obcy ludzie nie wyglądali na takich, którzy mieliby jakiś problem. Gdzieś nawet mignęło jej jakieś dziecko, na innym zdjęciu zobaczyła górę jedzenia, prawdopodobnie podarowaną dla ośrodka przez jakichś miłych ludzi.

Jechała do syna. Była sama. Płakała. Po chwili łyzy zaczęły uniemożliwiać jej dalsze oglądanie internetowej witryny. Zadawała sobie w duchu miliony pytań i próbowała na nie szczerze odpowiedzieć. Patrząc prawdzie w oczy, była naprawdę dzielna. Tylko jednego nie umiała sobie wytłumaczyć... Gdzie był Gerard? Gdzie był ojciec ich wspólnego dziecka? Przypomniała sobie, jak pewnego razu podczas rozmowy na Skypie syn wyznał jej, że ojciec do niego zadzwonił tylko po to, aby powiedzieć mu, że jest mu wstyd, że ktoś taki jest jego dzieckiem. Kiedy o tym myślała, ból rozdzierał jej serce.

Dla Julity Snarskiej miłość była bezwarunkowa. Nie patrzyła na to uczucie w kategoriach zysków i strat. Obdarowując nim ludzi, nie myślała, czy oni na to zasługują i czy z tej „transakcji” przypadnie jej coś zacnego w udziale. Po prostu kochała, miłością możliwie jak najbardziej czystą. To właśnie z miłości czerpała życiową energię.

Otarła łyzy i zaczęła przeglądać witrynę dalej. Galeria zdjęć była bogata. Przedstawiała obrazy codzienności. Szukała na zdjęciach swojego Marcina. Zamiast niego, mignął jej Święty Mikołaj. Monar w Ostrołęce przedstawiony w Internecie był po prostu domem, w którym ludzie czuli się akceptowani.

Po chwili złożyła ręce do modlitwy i zaczęła przepraszać Boga za to, że nie umiała stworzyć swoim dzieciom domu pełnego akceptacji. Wybierając im ojca, popełniła błąd.

– Proszę cię, Boże, wybac mi moje grzechy. Wybac mi moje niedociągnięcia, jako matki. Przez całe życie się starałam. Przynajmniej tak mi się wydawało. Błagam,

wybacz to, że pozwalałam mojemu mężowi niszczyć nasze dzieci. Wybacz mi brak odwagi, brak siły, brak umiejętności walki o lepsze jutro dla nas. Błagam cię, weź mnie za rękę i poprowadź tak, abym już nigdy nikogo nie skrzywdziła – szeptała.

Przedział był pusty, co stwarzało atmosferę intymności. Odgłosy kół na szynach grały niczym akompaniament.

– Ja w Ciebie wierzę i nigdy nie przestanę. Nie obwiniam Ciebie za zło, które mi się przydarzyło. Ty jesteś miłosierny. Jestem Ci wdzięczna, że mimo tego, co mnie spotkało, jeszcze jakoś trwam. Tyle że ja... ja nie chcę trwać „jakoś”. Pochyl się nade mną, mój Panie. Ześlij mi coś, co będzie tylko dobre. Błagam, postaw to na mojej drodze. Nigdy w Ciebie nie zwątpiłam i nie zwątpię. Bez względu na to, czym mnie doświadczyłeś, kocham Cię całym sercem i w Twoje ręce składam moje życie.

Poświęcenie życia Stwórcy było najlepszym, co mogła uczynić. Puściła kierownicę swojego życia i od razu poczuła ulgę.

Nacisnęła klamkę metalowej furtki, napotykając opór. Dostrzegła guzik dzwonka, który prędko wcisnęła. Była dziwnie spokojna. Czuła się tak, jakby odwiedzała syna w jego własnym domu. Po chwili podszedł mężczyzna, któremu wyjaśniła, kim jest. Wpuścił ją do środka i przywitał się uprzejmie, ruchem dłoni wskazując jej drogę. Był piękny letni dzień. Trawa aż prosiła się o to, by musnąć ją bosymi stopami. Zdjęła buty i poczuła ulgę oraz radość. Ruszyła naprzód.

Marcin z zamkniętymi oczami siedział na ganku. Między palcami przesuwiał koraliki różańca. Jego twarz była promienna i pełna blasku. Wyczytała z niej spokój. Uśmiechnęła się do niego, lecz nie mógł tego zobaczyć. Przystanąła na chwilę, chcąc cieszyć oczy tym widokiem. Przesunął palce na ostatni koralik i po wszystkim się przeżegnał.

– Mama? – zapytał, nie dowierzając oczom, które przed momentem otworzył.

Wzruszyła się. Nie powiedziawszy ani słowa, zdążyła tylko upuścić torbę, boleśnie wpijającą jej się w ramię. Biegł do niej tak jak wtedy, kiedy przed laty odbierała go z przedszkola.

– Mama, mama! – Wziął ją na ręce. – Tak się cieszę, że przyjechałaś. Dlaczego nie dałaś znać wcześniej? Może jakoś bym się przygotował...

– Jak byś się przygotował, synek?

– Jak to jak? Upiekłbym coś. Nauczyłem się tutaj robić szarlotkę.

– Przecież to nie sezon na jabłka.

– Oj, mamó, daj spokój, my tu mamy wszystko w słoikach. Zupełnie tak jak u ciebie, w piwnicy.

Popatrzyła na niego oczami pełnymi miłości. Uniosła dłoń w górę, aby poprawić

mu włosy. „Wrócił mój Marcin. Mój mały kochany synek” – pomyślała.

– Co tak stoicie? Marcin, zaprowadź mamę do środka. Ania, nasza mistrzyni kuchni, właśnie przygotowuje mrożoną herbatę. Mamy też sernik na zimno. Nie byle jaki, bo z pysznymi malinami z pobliskiego ogrodu. Cześć, Julita!

Męski głos natychmiast przywołał wspomnienie zapachu piżma. Odwróciła głowę w kierunku mężczyzny.

– Michał? – zapytała, niedowierzając.

– Michał, Michał. We własnej osobie. – Przywitał ją serdecznym uściskiem. Jak na jej gust odrobinę zbyt odważnym, aniżeli przystało na męża jej pracodawczyni.

– A co ty tu robisz? – wydukała.

– Michał przyjechał w odwiedziny. Kiedyś...

– Och, stare dzieje. Chodź, chodź. Najpierw napijesz się herbaty, zjesz sernik, a potem pogadamy. Jesteś pewnie zmęczona podróżą – przerwał Marcinowi.

– Od kiedy jesteście na ty? Marcinek, synku, powiedz ty mi, dziecko, czy ty nie jesteś za młody, aby się do Michała zwracać po imieniu?

Marcin rozchylił usta, nie zdążył jednak wydobyć z siebie dźwięku.

– Wyluzuj, mama. Zrelaksuj się, przyjechałaś do syna w odwiedziny. Już nie musisz go wychowywać. Prawda, chłopie? – Michał odpowiedział za niego.

Marcinowi nie pozostało nic innego, jak tylko przytaknąć.

Julita uśmiechnęła się, ukazując przepiękne dołeczki w policzkach, i podreptała za chłopakami. Marcin niósł jej torbę, Michał obejmował go po ojcowsku. Piękny był to widok.

Doszli na stołówkę, gdzie napili się herbaty i zjedli obiecany sernik, podany przez słynną na cały ośrodek Anię.

– Mam nadzieję, że będzie pani smakował. Chłopaki przepadają za moimi wypiekami.

– Na pewno. Jak ktoś poda, to wszystko smakuje. A to ciasto wygląda perfekcyjnie.

Dziewczyna zarumieniła się pod wpływem usłyszanego komplementu.

Po wszystkim zaprowadzono Julitę do pokoju, w którym miała spędzić następne trzy dni. W rogu sali stało jednoosobowe łóżko, a po jego przeciwnej stronie – wiekowy kredens. Na tej samej ścianie, co wejściowe drzwi, znajdowała się umywalka.

– Bardzo mi przykro, ale łazienka jest na piętrze – powiedziała Ania, jakby się tłumacząc.

Julita dotknęła jej ramienia, zapewniając, że wszystko jest doskonale. Dziewczyna spuściła głowę i poinformowała Julitę, że musi wracać do swoich obowiązków.

– Mamo, przepraszam, ale za chwilę mam dyżur w dzieciennym pokoju. Nie mogę tego odwołać. – Syn przybrał przepraszający wyraz twarzy.

– Dyżur w dzieciennym pokoju? – zapytała, nie rozumiejąc.

– Leć, leć, chłopie. Wszystko mamie wyjaśnię – wtrącił się Michał.

Marcin ucałował matkę i zniknął za drzwiami. W jej synu było tyle życia, że jej samej chciało się oddychać pełną piersią.

– No, nareszcie. – Michał klasnął w ręce i potarł nimi energicznie, wyrażając swoje zadowolenie.

– Nareszcie co? – zapytała.

– Nareszcie mam cię tylko dla siebie. Przynajmniej na godzinę – rzucił wesoło.

– Ciekawe, co na to Rozalia?

Nie udzielił się jej entuzjazm mężczyzny. Nie była z tych, które zwykły pocieszać mężów nierozumianych przez żony. Poza tym zbyt szanowała Rozalię i do tego nie chciała łamać swojej zasady, mówiącej o tym, że na cudzej krzywdzie szczęścia się nie zbuduje.

Michał zmarszczył czoło i przyglądał się jej badawczo. Przez chwilę zastanawiał się, co ma jej odpowiedzieć.

– Myślę, że Rozalia, widząc nas teraz razem, byłaby najszczęśliwsza na świecie.

Julita potrząsnęła energicznie głową.

– Mówisz o mojej szefowej? – Chciała się upewnić, że rozmawiają o tej samej kobiecie.

– A ty mówisz o mojej siostrze?

Zasłoniła dłonią usta. Dotarło do niej, że kobieta będąca jej szefową nosi takie samo nazwisko, co mężczyzna pachnący piżmem z całkiem innych powodów, niż ją o to podejrzewała. Oczy otworzyły jej się szerzej. Ich blask porażał radością, nadzieją i wiarą.

– Chyba mamy do pogadania, jak myślisz? – Michał oparł się o futrynę. Był wysoki i przystojny.

„Przy takim to można by było nosić dowolne szpilki” – rozmarzyła się.

– Pozwolisz, że się odrobinę odświeżę?

– Za dziesięć minut na ganku. Będę czekał.

– Za piętnaście.

– OK, za piętnaście.

Zamknęła za sobą drzwi monarowskiego pokoju, opierając się o nie plecami. Nagle poczuła, że nogi ma jak z waty. Osunęła się na podłogę. Od uśmiechu bolały ją policzki.

Tego dnia deszcz padał od samego rana. Miało się wrażenie, jakby anioły płakały na wyrost, przewidując to, co miało się wydarzyć. Jagoda dzwoniła do niego kilka razy. Jak zawsze z drobiazgami. Chciała, aby w drodze powrotnej do domu kupił farbki plakatowe dla Maciusia. Ich synek tak pięknie malował... Mężczyźnie przedłużyły się korepetycje, bo jeden z uczniów zadzwonił do niego z pilnym tematem. Michał nie potrafił odmówić osobie, wciskającej w jego portfel pięćdziesiąt złotych za lekcję. Jako młode małżeństwo potrzebowali pieniędzy. Wysłał tylko SMS do żony, że wróci później. Po chwili otrzymał odpowiedź: „Maciuś stwierdził, że namaluje dla nas ten dom z ogródkiem, o którym tak bardzo marzymy. Zrozum, kochanie, nie mogę dziecku odmówić. Ubierzemy się ciepło i pójdziemy sami po te farbki. Wracaj szybko. Tęsknimy. K.C. :-)”

To była ostatnia wiadomość, jaką od niej otrzymał. Nie pamiętał tego, co działo się później. Nic. Luka w pamięci. Ocknął się po pogrzebie. Jednego dnia stracił wszystko, o czym całe życie marzył. Jedna chwila, jeden moment... Gdyby wtedy nie wziął tej dodatkowej lekcji... Gdyby można było cofnąć czas... Niestety, nie ma na świecie takiej instytucji, do której pójdziesz i poprosisz o zwrot wczorajszego dnia. To, co się stało, nigdy się nie odstanie. Nic nie zdoła zatrzeć wypowiedzianych wcześniej słów ani nic nie wymaże ich konsekwencji. Gdyby wtedy odmówił, jego żona i syn nie zginęliby pod kołami pędzącego samochodu, prowadzonego przez pijanego człowieka.

Po tym zdarzeniu uznał, że nie warto być dobrym człowiekiem. Nieważne, jak żyjesz, śmierć prędzej czy później zajrzy ci w oczy. Umierają wszyscy – zarówno narkomani, przestępcy i złodzieje, jak i ludzie składający ręce do modlitwy, medytujący i witający każdy dzień z nadzieją. Jego żona należała do tych drugich, a mimo to los tak okrutnie ją potraktował.

Kiedy sypnął garść ziemi na grób swoich bliskich, uznał, że nie warto się starać. Zaczął pić. Przepił wszystko, co udało mu się zbudować. Rzeczy materialnych było niewiele i z tymi poszło mu najszybciej. Kiedy już nie miał gdzie mieszkać, przygarnęła go Rozalia. Na siostrę zawsze mógł liczyć. Czym innym była praca. Jego alkoholizm zraził do niego uczniów. Jeden po drugim odchodzili, nie chcąc płacić za jego lekcje niemieckiego nawet złamanego grosza. Uznał, że to nawet lepiej – pensja nauczyciela dla jednej osoby wystarczała z powodzeniem. Wkrótce jednak i to stracił. Zwolniono go dyscyplinarnie. Nie przejmował się tym zbyt. Nic więcej nie miał do stracenia. Poczł się wolny. Pił na umór. Mąż Rozalii uznał, że nie będzie utrzymywał darmożjada. Spakował rzeczy Michała do jednej reklamówki i wyrzucił je za drzwi. Rozalia wniosła je z powrotem. Wywiązała się awantura, podczas której kobieta musiała dokonać wyboru między mężem a bratem. Wybrała tego drugiego. Michał

ucieszył się, że w jego życiu nic się nie zmieni. Nadal mógł pić bez konsekwencji. Miał wikt i opierunek zupełnie za darmo. Nie musiał się o nic starać ani o nic zabiegać. Aż pewnego dnia...

Siedziała przy stole, z obojętnym wyrazem twarzy, a po policzkach spływały jej lodowate łzy.

– Myślałam, że nigdy tego nie powiem, ale dłużej tego nie wytrzymam, Michał. –
Podsunęła w jego stronę kopertę.

– Co to jest?

– Pieniądze. Całe oszczędności mojego życia. Weź je i spróbuj zrobić coś dobrego. Nie możesz mnie dłużej niszczyć. Wszyscy pójdziemy na dno. Straciłam już męża, nie mogę stracić synów. Wyprowadź się jeszcze dziś.

– Ale, Rozalia, o co ci chodzi? Przecież jestem trzeźwy. W każdej chwili mogę to przerwać. Chcesz, to OK, od jutra nie piję.

– Obiecywałeś mi to milion razy.

– Ale teraz będzie inaczej. Nie wiedziałem, że to taki problem.

– Otóż to... nie wiedziałeś... To teraz już wiesz. Weź te pieniądze i wyjdź.

Zabierz swoje rzeczy. – Wskazała na reklamówkę.

Zabrał rzeczy i wyszedł. Przez miesiąc tułał się po dworcach. Póki było w miarę ciepło, jakoś dawał radę, lecz pod koniec października uznał, że coś należy z tym życiem zrobić. Poprosił o pomoc. Dobrzy ludzie skierowali go na terapię. Tak trafił do Monaru w Ostrołęce, w którym spędził ponad dwa lata.

Michał uśmiechnął się smutno, kończąc opowieść swojego życia.

– Dlaczego tu teraz jesteś? Znów masz problem? Jeśli oczywiście mogę zapytać...
– Julita bardzo przejęła się tą historią.

– Przyjechałem w odwiedziny. Tutaj każdy może wrócić, kiedy chce. Gdy wyszedłem z Monaru, stanąłem na nogi. Zrobiłem studia podyplomowe z zakresu pomocy osobom uzależnionym. Przyjeżdżam tu co roku, aby pogadać z ludźmi, którzy mają podobny problem. Od kogo jak od kogo, ale najlepiej uczyć się życia od tych, którym przytrafiły się podobne traumy. Nie uważasz?

– Masz rację. Zgadza się z tobą.

– A jaka jest twoja historia, dziewczyno z pierwszej ławki?

Roześmiała się w głos.

– Pamiętasz, że siedziałam w pierwszej ławce?

– No jasne! Pamiętam też, że babcia kazała ci plewić ogródek przeze mnie. Byłem w tobie naprawdę zakochany... Złamałaś mi serce. – Położył dłoń na klatce piersiowej, aby nadać swym słowom powagi.

– Ech – westchnęła. – Gdyby nie ten ogródek...

– Ech... gdyby można cofnąć czas – dodał.

– Nie byłabym bluszczem...

– Kim? – zdziwił się.

– Opowiem ci w wolnej chwili. Zobacz, Marcin idzie. Ciekawe, jak mu poszło w dzieciennym pokoju?

Michał wpatrywał się w Julitę, zachwycając się każdym elementem jej ciała.

Po chwili odparł, z zawadiackim uśmiechem:

– Obiecuj, że tym razem nie wyrzucisz mnie zbyt pochopnie ze swojego życia.

– Co to, to nie, mój drogi. Babcia już od dawna nie żyje, więc nie będę w ramach kary skazana na prace ogrodnicze. Poza tym... myślę, że teraz nie pozwoliłabym na to, aby ktoś kazał mi pokutować za miłość.

– Za miłość? – Zmrużył oczy i uśmiechnął się.

Emanowała od niego męska siła i pewność siebie. Zrobiło się jej gorąco.

Marcin podbiegł do matki, wziął ją na ręce i zrobił kilka obrotów, nie wypuszczając jej z ramion.

– Tak się cieszę, że jesteś. – Postawił ją wreszcie. – A o czym rozmawiacie?

– O miłości – odparł Michał.

– To bardzo dobry temat. „Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest. Miłość nie zazdrości, nie szuka poklasku, nie unosi się pychą, nie jest bezwstydną, nie szuka swego, nie unosi się gniewem, nie pamięta złego, nie cieszy się z niesprawiedliwości, lecz współweseli z prawdą. Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma. Miłość nigdy nie ustaje” – wyrecytował Marcin.

Julita uśmiechnęła się do siebie. „Wszystko będzie dobrze. Ufam tobie, życie” – pomyślała.

26. Wszystko dobre, co się dobrze kończy

Zabieg hymenotomii, któremu poddała się Ela, okazał się zbawienny dla jej ogólnego samopoczucia. Jej fizyczność zareagowała na utratę dziewictwa bardziej pewnymi ruchami, wyrażającymi się w odważniejszym kołysaniu bioder, co zaraz przełożyło się na stan jej psychiki. Od pewnego czasu spotykała się z lekarzem o imieniu Adam. Tym samym, któremu kiedyś zwierzyła się ze swojego problemu. Twierdziła, że to nic poważnego, że to tylko kolega z pracy, ale... Julita wiedziała swoje. Rozwiedziona mężczyzną w zestawieniu z piękną samotną kobietą... to mogło oznaczać tylko jedno. Tym bardziej nie zdziwiła się wcale, kiedy pewnej nocy odebrała dzwoniący z gigantyczną upierdliwością telefon.

– Kto się dobija do ciebie po nocy, kochanie? – zapytał zaspany Michał chwilę po tym, jak wróciła do łóżka.

– To Ela.

– Ela? Czego chciała? Cierpi na bezsenność?

– Nie, nie. Przeżyła właśnie swój pierwszy raz!

– Jaki pierwszy raz? – dopytywał, zaspany, zupełnie nie podejrzewając, o co chodzi.

– Śpij, skarbie. Jutro wszystko ci wyjaśnię.

– Powiedz teraz, nie wytrzymam do rana.

– Kochanie, teraz to ja muszę spać. O piątej trzydzieści wstaję na medytację.

– Rety, szalona, to środek nocy.

– Wiesz, że mi to pomaga.

– Wiem, wiem. OK, to poczekam do rana.

– Gdyby kiedyś ktoś powiedział mi, że zamieszkać z osobą, którą kocham, nigdy bym w to nie uwierzył. Dziękuję, że byłeś ze mną przez ten cały czas.

Marcin akurat jadł obiad. Odłożył sztucce na bok, aby położyć dłoń na dłoni Tomasza.

– Nie dziękuj. Dobrze wiesz, że kilka razy zawiodłem.

– Co było, to było. Przecież wszystko już sobie wyjaśniliśmy, prawda? Nie cofajmy się do przeszłości.

– Masz rację. Musimy budować przyszłość, czyniąc to tak, aby nikogo nie skrzywdzić. Zwłaszcza my, od nas społeczeństwo wymaga więcej.

– Tato, ale dlaczego się z nią rozwodzisz? Przecież niedawno się pobraliście. Ile wy byliście małżeństwem? Kilka miesięcy? – Kamila była zdenerwowana.

– O kilka miesięcy za długo – odparł Gerard.

– Że też ci się chce na stare lata. Mówiłeś, że Boguśka jest miłością twojego życia. Matkę dla niej zostawiłeś. – Dziewczyna nie kryła swego rozczarowania. Jako jedyna miała kontakt z ojcem, który ostatnimi czasy nieco spokorniał.

– Różne rzeczy w swoim życiu mówiłem, Kamila. Jedno wiem, żadna baba nie będzie mi mówiła, co mam robić. A już na pewno nie moja córka.

– Dobra, dobra. Jak byś nie zauważył, to ja jedyna z tobą rozmawiam.

– Zauważyłem...

Kamila była z siebie dumna. Tylko jej udało się wypracować z ojcem jakąkolwiek relację. Nie żeby się zmienił – ludzie tak szybko się nie zmieniają – ale przynajmniej czasami jej posłuchał. Jak mu się nie podobało, co do niego mówiła, to milczał, ze złości zaciskając pięści. Wybuch agresji mógłby spowodować utratę ostatniej osoby, która jeszcze chciała być w jego życiu obecna.

– Kamila, a powiedz mi.... Co u matki?

– U matki sielanka. Miłość w pełnym rozkwicie – odparła dziewczyna.

– Szkoda – szepnął, prawie niesłyszalnie.

– Mówiłeś coś? – zapytała.

– Uszy umyj, dziewczyno.

27. Julita

Jeszcze nie tak dawno myślałam, że jestem starą kobietą. Teraz wiem na pewno – życie zaczyna się po czterdziestce i wcale nie jest dobrze, jak jest tylko dobrze. Moje niedobrze wyszło mi na dobre! Jak dobrze, że to niedobre się przytrafiło...

KONIEC

Mierzyn, 27 listopada 2017 r., godz. 15.02.

Od Autorki

Historia opisana w *Bluszczu* jest fikcją literacką, jednakże pierwowzory stworzonych przeze mnie postaci żyją gdzieś, tuż obok.

Czytelników nie da się oszukać. Dlatego z wielkim szacunkiem i ostrożnością dobierałam słowa wyrażające wszystkie trudne uczucia. Chociaż niektóre sceny mogą wydawać się Wam nieprawdopodobne, ale... pamiętajcie, że życie pisze najbardziej zaskakujące scenariusze. Emocje zakłute na kartach powieści są prawdziwe. Wierzę, że poczujecie je równie mocno jak ja, kiedy pisałam.

Nie ma w życiu takiej rzeczy, która mogłaby zniszczyć człowieka. Nasze umysły w trakcie życia często ulegają zmęczeniu. Należy jednak pamiętać, że mętna woda, jeśli postoi, wkrótce stanie się czysta. Wszystko mija, to jest optymistyczna wiadomość.

Bluszcz dotyka takich zakamarków duszy, które człowiek często pragnie ukryć, nawet przed samym sobą. Uważam, że nic, co ludzkie, nie powinno być nam obce. Dlatego odważnie, z wiarą w sercu, oddaję Wam kawałek swojej duszy, uparcie wierząc, że skoro Bóg doprowadził mnie do momentu publikacji, to nie uczynił tego po to, by mnie teraz zostawić. Wierzę, że ta historia niesie dobro. Właśnie na tym najbardziej mi zależy.

Przemysławie, mój mężu i przyjacielu... Gdyby nie Ty, nie byłabym tu, gdzie jestem. Dziękuję Ci za wsparcie, które bezinteresownie ofiarowujesz mi każdego dnia. Uwielbiam śmiać się z Tobą z problemów i płakać z radości.

Lilianko i Remiczku – dla mnie zawsze będziecie małymi dziećmi. Chociaż Ty, synku, już dawno mnie przerosłeś. Dziękuję, że wybraliście mnie na swoją matkę. Dziękuję za radości i troski, którymi mnie obdarzacie. Bez Was nie mogłabym tworzyć.

Ewie Laskowskiej, mojej mamie, dziękuję za odwagę. Chociaż powieść jest fikcją, każdy się pewnie teraz zastanawia, czy naprawdę masz czerwoną walizkę. ;-)

Magdalenie Witkiewicz za słowa: „Ania, ja cię uwielbiam. Napiszę ci blurb nawet wtedy, kiedy napiszesz książkę telefoniczną. Będę chwaliła to, jak pięknie napisałaś nazwiska”. Madziu, jesteś moim aniołem. Uwielbiam nasze „przemyślenia” i każdego dnia dziękuję Bogu, że pozwolił naszym drogom się skrzyżować.

Agnieszko Lis, tylko ja wiem, jak mocno biło mi serce, gdy zadzwoniłaś, by podzielić się wrażeniami po lekturze. Po raz drugi wsiałam z Tobą do *Karuzeli* emocji i jestem Ci za to ogromnie wdzięczna. Dziękuję po stokroć.

Anno Seweryn, moja redaktorko... Nie wiem, jak o to zapytać, więc może zapytam wprost... Zamieszkaś ze mną? ;-)

Dziękuję, dziękuję, dziękuję...

Ani Wieliczko-Solińskiej, mojej pierwszej wiernej czytelniczce. Wszystko, co napiszę, zanim trafi do wydawcy, musi przejść przez Twoje ręce. Wiesz, że Cię kocham, prawda?

Kasi Brzezińskiej – jesteś jedną z tych kobiet, które pojawiły się w moim życiu niby przypadkiem, ale obie wiemy, że w życiu nie ma przypadków.

Joli Sokołowskiej – za wiarę, która trwa od samego początku naszej wieloletniej przyjaźni.

Danusi Łuźnej, za wszystko, co dla mnie robisz, kochana.

Dziękuję Wam, wspaniali blogerzy, za czas, który poświęcacie na czytanie moich powieści. Czas jest bezzwrotny, dlatego jest najcenniejszym prezentem. Bardzo, ale to bardzo Wam dziękuję. Dziękuję, dziękuję, dziękuję – na początek zawsze trzy razy. Później po stokroć więcej. To już nie jest moja powieść. Oddaję ją Wam, moi czytelnicy.

Do zobaczenia już wkrótce, na kartach kolejnej powieści. Wprost z mojego serca wysyłam Wam miłość.

Ania